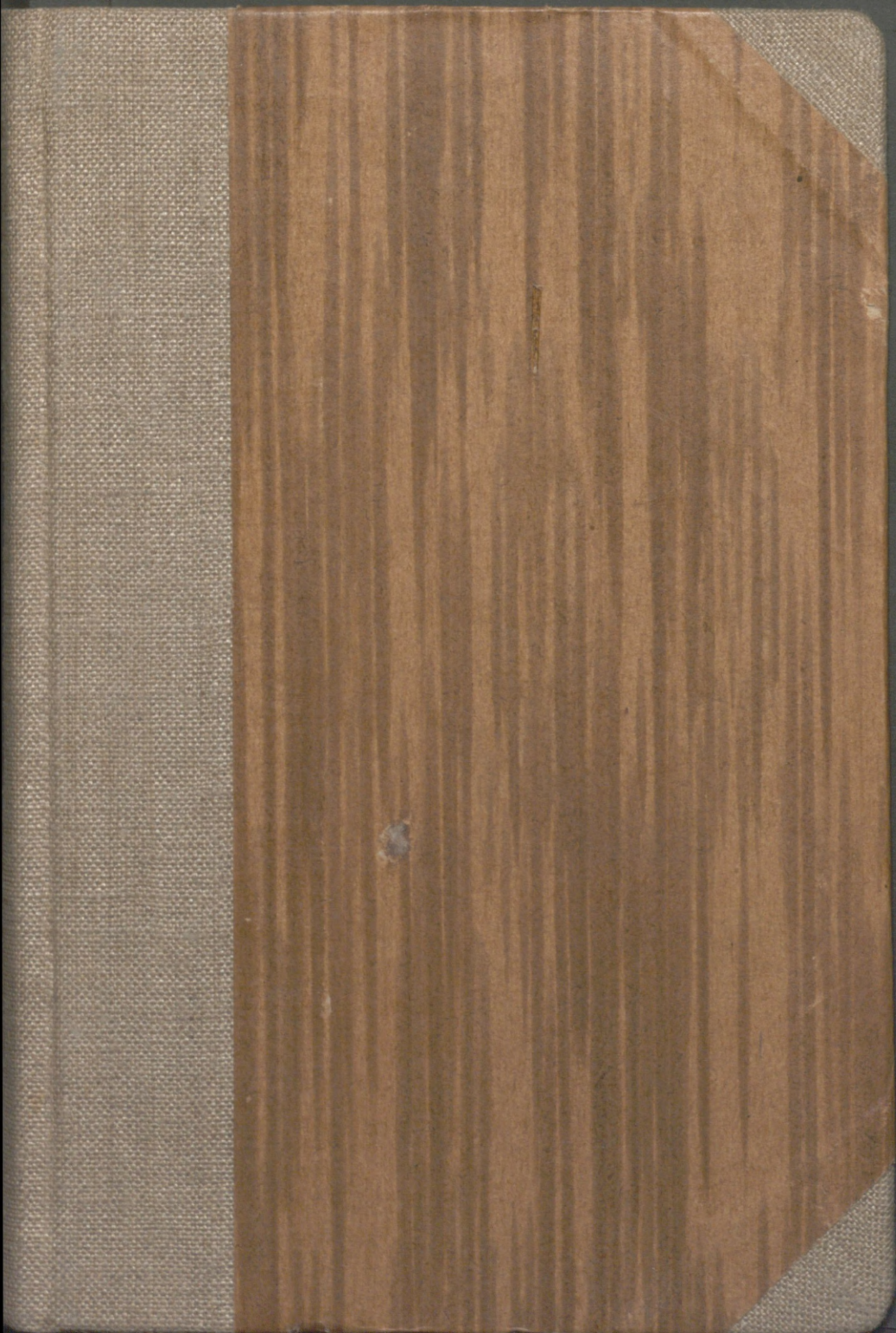
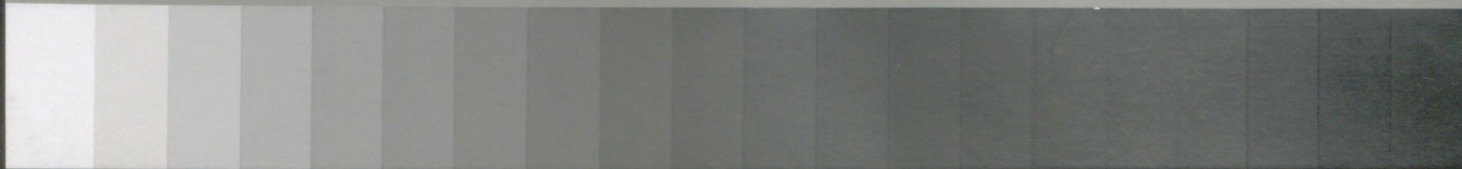


Grey Scale #13

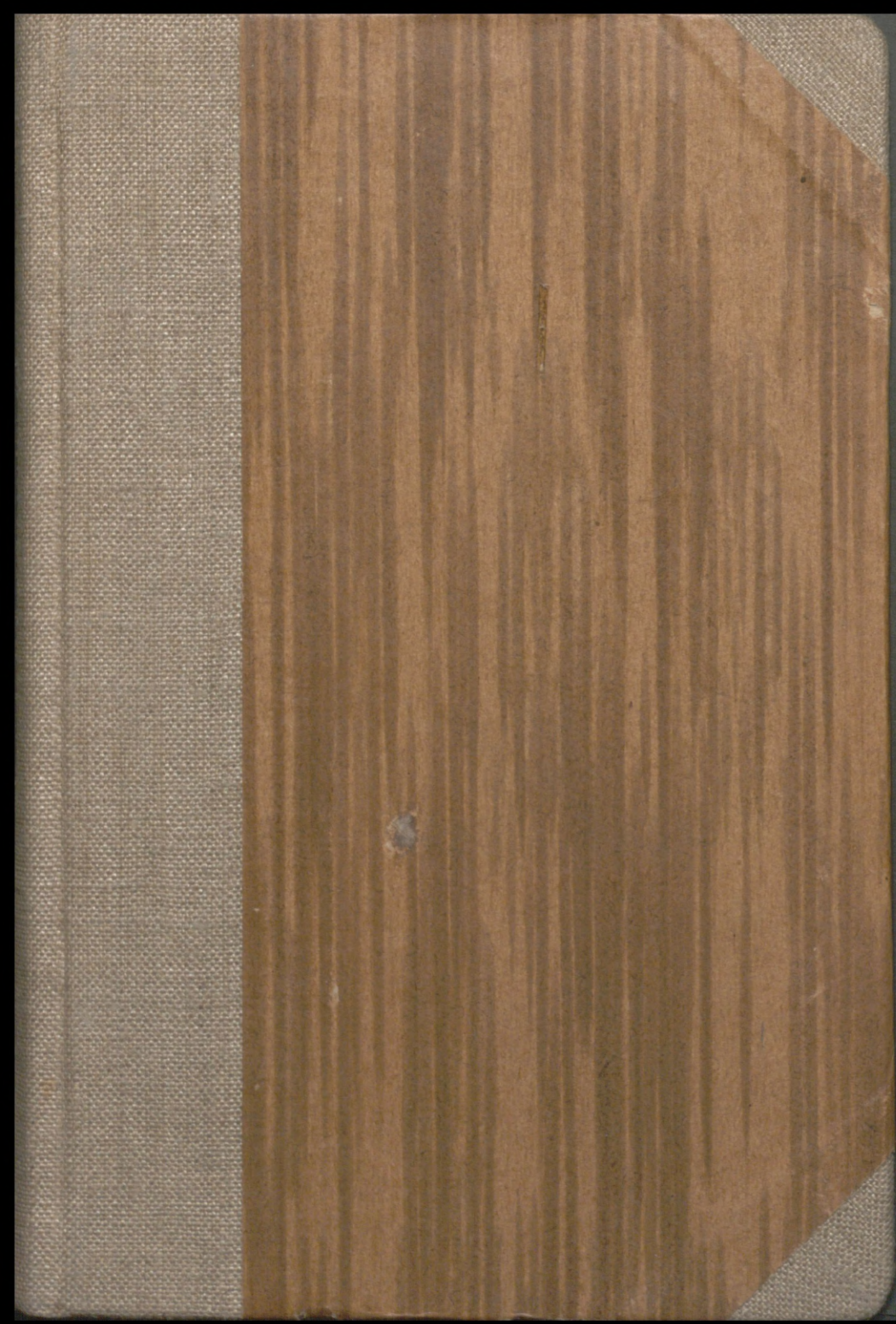


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

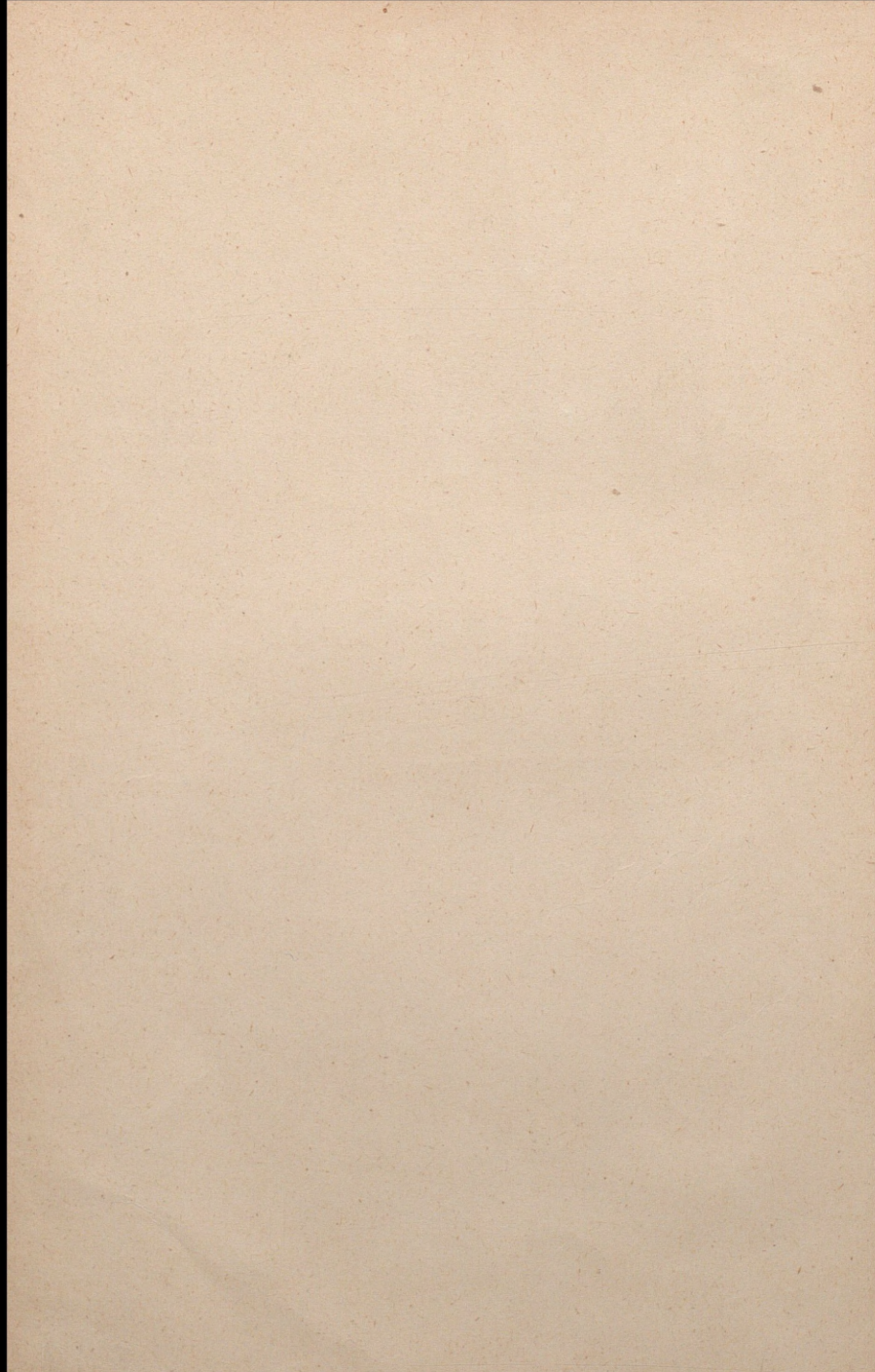


Colour Chart #13





PISMA POLITYCZNE.



STANISŁAW KOŹMIAN.

PISMA POLITYCZNE

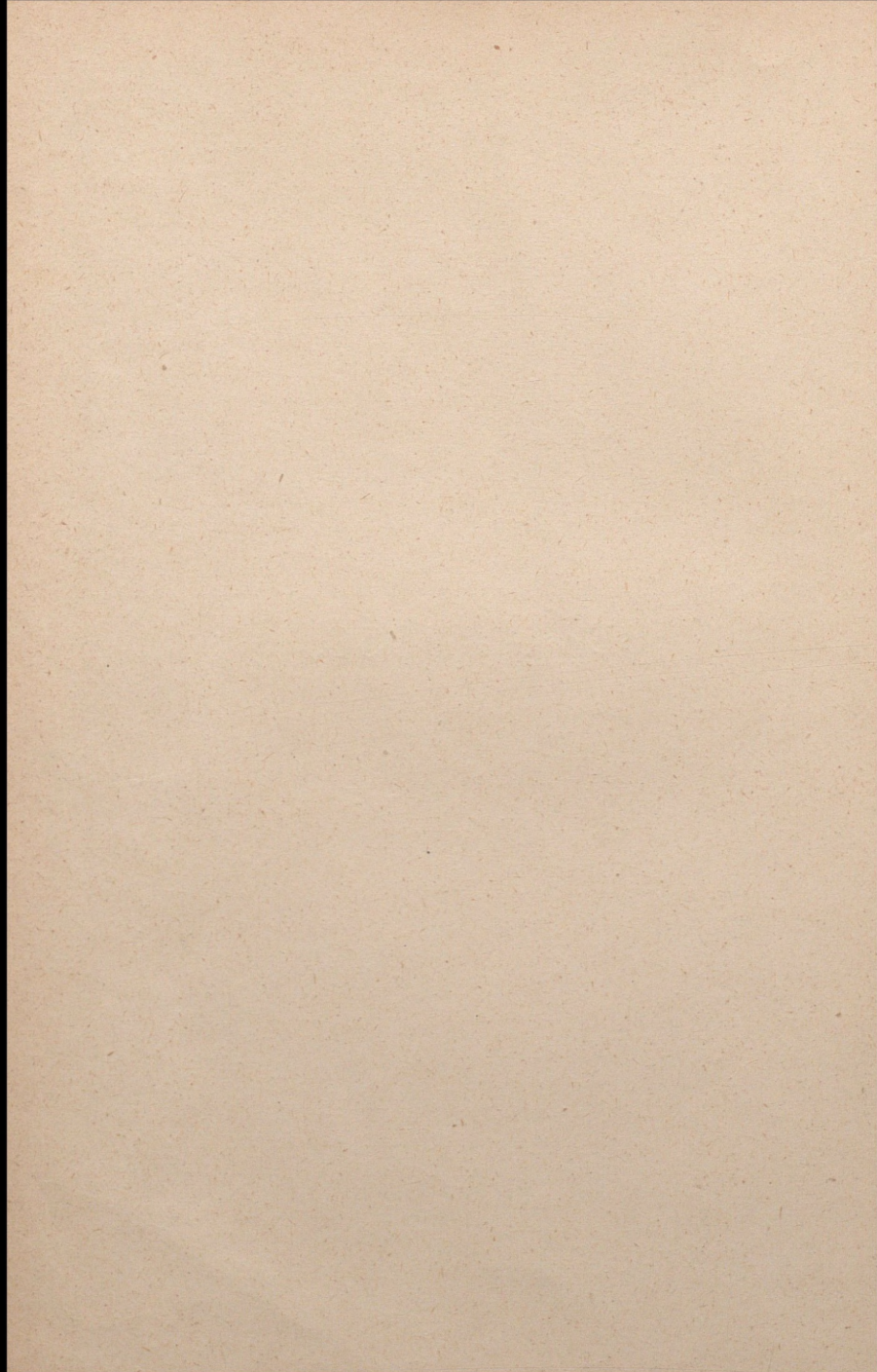


W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU«
1903.

93/938 | 92 | Nowy

28518 | 2
MOTA
MID
W

BEZKARNOŚĆ.



Rozmowa o naszej przeszłości z przyjacielem i znakomitym historykiem dziejów ojczystych, ks. Waleryanem Kalinką, zbyt odpowiadała wewnętrznemu naszemu usposobieniu, jakiemuś uczuciu, nie umiejącemu znaleźć na zewnątrz wyrazu, przecież trapiącemu ducha, aby mogła pozostać bez następstw. Stała się owem czemś, które tak często w życiu nadaje kształt tłoczącym się uczuciom, słowem uporządkowała myśli o nowej chorobie dzisiejszego ustroju społecznego, którą dwa określały wyrazy — nowoczesna bezkarność.

I.

Wiemy z dziejów naszych, jak stopniowo bezkarność powiększała się i wzmagala z upadkiem narodu, z upadkiem państwa i ze zbliżaniem się ostatecznej katastrofy. Była ona oznaką, objawem upadku, była zwiastunem zawalenia się gmachu i widocznym dla niezaslepionych dowodem, „że jest coś chorobliwego w Danii“. I w samej rzeczy do tego stopnia doprowadzona, rozwielmożniająca się zuchwale wobec sumienia publicznego, tak iż stała się nie wyjątkiem, ale zwykłym stanem społeczeństwa, była ona już zarazem przyczyną i skutkiem osłabienia ogólnego, rozprężenia wszelkich węzłów, rozstroju i zgnilizny, po których na-

stąpił, bo nastąpić musiał, rozkład czy też jak go dzieje nazwały, rozbiór. Strasznie, bezprzykładnie w historii upadło to państwo, upadł ten naród, który przecież tysiąc lat o własnych stał siłach, nie bez chwały i względnej wielkości; upadł nie dla braku przymiotów i cnót, których mu najzaciepsi wrogowie nie zaprzeczają, lecz w skutku zbytniego rozwielenienia się w nim zabójczych wad, więcej jeszcze w skutku miękiego z nimi obchodzenia się, niedostatecznej walki, zbyt słabego przeciw złemu oddziaływania, a między temi wadami, główną bezsprzecznie była bezkarność, której bogdaj czy nie bezpośrednio następstwem był nie tylko straszny, ale pod wielu względami sromotny koniec.

Niewprawny budowniczy oglądając stary gmach nie łatwo rozpozna czy pewny i bezpieczny; umiejętny i wytrawny, wypowie pod tym względem stanowcze zdanie, a to dlatego, że pierwszy nie potrafi rozróżnić porysowań murów, drugi umie odgadnąć doniosłość każdego z nich. Są porysowania bez znaczenia i ważności, które nie zatrwożą wprawnego oka umiejętnego budowniczego, są to bowiem poprostu porysowania ścian, nieuniknione następstwa czasu, dające się łatwo naprawić, są inne przecież, które zwrócą jego uwagę, zastanowią go i w końcu nakażą mu odsądzić budynek od dalszego użytku; grożą one bowiem zawaleniem, bo sięgają aż do podwalin, których osłabienie ich jedyną przyczyną.

Któż z myślących ludzi patrząc na dzisiejszy gmach społeczny, który pomimo ciągłych gorączkowych napraw i zbyt rychłych upiększeń, wciąż trzeszczy i co chwila, to z tej to z owej strony grozi głowom mieszkańców, nie starał się zbadać jego rzetelnego bezpieczeństwa i rzeczywistej trwałości, nie starał się dociec czy i o ile ozdoby jego nie ukrywają zawalenia? Wielką sztuką w tem badaniu jest właśnie rozróżnienie zewnętrznych, bez doniosłości porysowań od tych, które od podwalin

pochodzą, a jeżeli nie godzi się ani też jest ucziwem i użytecznem straszyć mieszkańców fałszywemi wróżbami, to z drugiej strony zbrodnią jest nie przestrzedz ich o porysowaniach świadczących, że podwaliny zgniły, lub że się rozpadają.

Wprawne i zdrowe oko wśród wszystkich świeci-
del, któremi otoczono dzisiejszy ustrój, dostrzeże niewąt-
pliwie osłabienia, opadnięcia, zgnilizny, dostrzeże pory-
sowań sięgających aż do podwalin a każde wprawne
i zdrowe ucho, wśród gwaru przechwałek i szabasu uwiel-
bień świata współczesnego dla siebie samego, dosłysz
pewnych szmerów i odgłosów świadczących o obsuwaniu
się murów. Między temi oznakami, coraz wyraźniej od-
rysowuje się na murach gmachu bezkarność, która za-
iste nie jest nieznaczącem i bez doniosłości porysowa-
niem ścian, lecz szczeliną idącą od fundamentów do
szczytu. Bezkarność, ta sama, aczkolwiek, jak to oka-
żemy niżej, niebezpieczniejsza, obrzydliwsza i gorszego
nierównie pochodzenia, która była zapowiedzią upadku
Polski, coraz bezczelniej rozwielnia się i zdobywa
sobie przeważne miejsce, już nie w jednym narodzie,
ale w całym ustroju społecznym, żyjącym dzisiejszą cy-
wilizacją, pod wpływem górujących wyobrażeń, prze-
konań i obłądów, słowem pod wpływem tegoczesnej
wolnomyślności, wszechpotężnej, bezwzględnej, despoty-
cznej maszyny tyraństwa. Władcy ta dzisiejszych wyobra-
żeń i przekonań ludzkich wśród upojenia wszechwład-
zy nie powinniśmy odwracać lub zamykać oczów na
mane, tekel, fares, odrysowujące się coraz wyraźniej na
ścianach jej od złota kapiących gmachów, tem więcej —
a może przemówi to do jej bezwyznaniowych i bezprze-
sądnych pojęć — że nie są to ani przepowiednie, ani ka-
balistyczne znaki, lecz objawy, dające się rozumem zmie-
rzyć, dające się poniekąd podciągnąć pod matematyczną
rachubę, a świadczące, że budowli grozi niebezpieczeń-
stwo. Jedną z takich oznak jest nieraz zdumiewająca

nowoczesna bezkarność. Wszechwładni dzisiejsi, ci którzy przewodniczą i podlegają zarazem wolnomyślności, którzy wyzyskiwani przez nią, usiłują ją, o ile się da, wyzyskać i tą grą ciągłą są chwilowymi panami świata, ci wszyscy nareszcie, którzy rozkoszują się w dzisiejszych wyobrażeniach i którzy palą przed niemi jakby przed bożyszczami kadzidla, a którzy z takim upodobaniem naigrawają się bezustannie z Polski i jej przeszłości, niech spojrzą na jej upadek, na Polskę upadłą, której nie oszczędzają kopnięcia osła i niech się zastanowią nad jej historią, już nie z nienawiścią do niej, ale ze zwrotem do dzisiejszego ogólnego stanu społeczeństwa; niech rozważą bezkarność w jej dziejach, a przekonają się może wtedy, że wkradająca się w ich bezwyznanio-wolnomyślne społeczeństwo, nie jest czem innym jak złowrogą dla nich i ich dzieła zapowiedzią; im większy stopień bezkarności, tem pewniejszy, tem prędszy koniec tego porządku rzeczy, który duma i pycha ludzka mniemają być coraz doskonalszym i silniejszym. Jeżeli bezkarność w jednym narodzie była oznaką jego upadku, o ileż w łonie ogólnego ustroju jest ona sroższego zamętu i straszniejszych zwrotów zapowiedzią! Jak porysowanie murów jest skutkiem innego złego, które tkwi w podwalinach, tak samo dzisiejsza rysa społeczna bezkarności ma swoją głębszą przyczynę.

Jednem z głównych znamion świata dzisiejszego jest coraz większe, niemal już dziś zupełne pomięszanie pojęć. Od chwili jak nie tylko, że powstało, ale wolny a poniekąd zwycięski ma bieg zdanie, że społeczeństwo obejść się może bez religii, pomięszanie to było nieuniknionem, osiągnąć ono musiało wszystkich kierunków życia, tem samem i sprawiedliwości na ziemi; ludzie puszczeni samopas, bez wiary i obawy wyższych, nadprzyrodzonych czynników, pozostawieni sami sobie, bez przewodnika, bez nici Ariadny, w wielkim labiryncie świata duchowego, blakają się w nim i we wszystkich

jego zakątkach — błędą. Jedyłą podstawą duchową w naszym świecie była zasada chrześcijańska, wiemy ile dolożono usiłowań, jak wciąż jeszcze zawzięcie pracuje się nad jej usunięciem, a im to dzieło dalej postępowało i postępuje, tem większy musiał powstawać zamęt w wyobrażeniach i przekonaniach, tem większy, że nie zastąpiono ani też nawet pomyślano o zastąpieniu niezbędnej, bo jedynej podstawy, inną, nową, lepszą. Kierunek ten niszczący jedyłą podstawę duchową świata, bez troski i zamiaru skądkolwiek, zastąpienia jej inną, jest najwyższym a jedynym w dziejach wyrazem zniszczenia. Działanie tej niweczającej dążności sprowadzić musiało chaos w dziedzinie duchowej, jakby go podobnie silny, niszczący kierunek w dziedzinie materji i tam sprowadził i temu to powstałemu już chaosowi, przypisać należy nie tylko pomieszanie wyobrażeń o słuszności i niesłuszności, o poczuciu prawa i sprawiedliwości, ale także zachwianie się samej sprawiedliwości w jej najwyższej czynności, w wymiarze kary. Trudno zaiste wymierzać karę, gdy się nie ma jasnego i pewnego pojęcia o karygodności, gdy się jest zachwianym w przekonaniu o tem co karygodnem, gdy się nie ma zdrowego, niezamąconego wyobrażenia o odpowiedzialności człowieka już nie tylko wobec społeczeństwa, ale przedewszystkiem wobec wyższego prawa duchowego. Inaczej zaś być nie może, od chwili jak ludzkość stała się sama sędzią nadprzyrodzonych praw i pozbyła się wszelkiego wyższego prawidła życia, tak niezbędnego dla podpory jej wrodzonej słabości i niemocy. Wszystko na tym świecie dziwnie się z sobą wiąże i spaja, a od chwili jak rozpowszechniło się przekonanie, że społeczeństwo ludzkie istnieć może bez pomocy wyższych czynników, to jest bez jakiegokolwiek nadprzyrodzonej religii, szerzy się też nieznacznie, powoli, ale nie mniej wyraźnie jakies chorobliwe poczucie, że obejść się ono może bez sprawiedliwości i bez kary, a tak bezwyzna-

niowość i bezkarność są rodzonymi siostrami i obsługują je ci sami kapłani. Bezwyznaniowe prawodawstwo doprowadzić musi ostatecznie albo do prawnego mordu, albo do bezkarności. I zważmy, że jeżeli w jednym kierunku przeważające dziś wyobrażenia bezwyznaniowo-wolnomyślnie, pozbawiając społeczeństwo i człowieczeństwo wszelkiej religii, doprowadzają zniszczeniem człowieczeństwa aż do zwierzęcości, to z drugiej strony do tego samego dochodzą następstwa wprowadzając bezkarność, która także jest znamieniem zwierzęcości, zwierzęta bowiem żyją bez sprawiedliwości i kary pozbawione w jestestwie swem ograniczonym, wynikającego z nich bezpieczeństwa, dlatego, że im je dać nie może wyższa duchowa siła.

Przecież pomimo przewrotności, kłamstwa, upadków i spodleń, człowiek jak ma w sobie samym uczucie zachowawczości, ochraniające go przed niebezpieczeństwami, tak samo posiada w sobie coś, co go broni przed ostatecznym zezwierzęceniem; to coś, jest stokroć większem i silniejszym w zbiorowym człowieczeństwie, które się zwie społeczeństwem; ile razy ludzkość zbliża się do granic zwierzęcości, tyle razy w skutku owego czegoś tkwiącego w niej samej, a które jest poprostu wstrętem przed zbydłęcieniem, odskok jej jest gwałtowny; zbaczając bezwiednie, jak w dzisiejszym dziejowym okresie, z drogi człowieczeństwa kroczy jakiś czas szlakiem prowadzącym do zezwierzęcenia, aż dojdzie do ostatecznego kresu, do granicy, od której cofa się z przerażeniem; to cofnięcie się w tył, jest przyrodzonym, nieuniknionem przeciwdziałaniem. Podobny przykład mieliśmy po zwierzęcych wypadkach, pierwszej wielkiej rewolucyi francuskiej. Nim jednak dojdzie się do kresu, postępuje się drogą zwierzęcenia zwykle nieznanie, niepostrzeżenie, bezwiednie, lecz zawsze i niezmiennie, wkracza się na nią tam, gdzie niknie z przed oczu społeczeństwa drogowskaz duchowy, wiara i religia. Tak

się stało w starym świecie, gdy poganizm stracił swą moc, tak się stało przed rewolucją francuską, kiedy filozofia ośmieszyła dogmatyczną wiarę. Istota człowieka jednak i w owych chwilach nie przestaje być ludzką, naginanie bowiem, nie jest przeistoczeniem, pozbawiona podstawy duchowej do której nawykła, szuka jakiegokolwiek i gdziekolwiek, całkiem bez niej obejść się nie może i albo wtedy odszukuje jej u źródła wszelkiej prawdy, to jest w Bogu, jak się to stało przy upadku Rzymu, albo w chwilach, w których odwraca się od Boga a Bóg od niej, odnajduje ją w sobie samej, jak przed rewolucją francuską, kiedy religią zastąpiło ubóstwienie rozumu; w pierwszych wypadkach ludzkość wkracza na wielki gościniec swoich przeznaczeń, w drugim zmierza nieco tylko dalszą drogą do owego kresu, do którego wcześniej czy później dochodzi a u którego przedstawiający się jej obraz zwierzęcości tak ją przeraża, że się w tył cofa.

Przy powtórnym szturmie przypuszczonym obecnie do zasady chrześcijańskiej, dotąd tak pomyślnie prowadzonym, acz jeszcze nie zwycięskim, dostrzedz możemy objawów podobnych, potwierdzających nasze rozumowanie. Ludzkość w znacznej już części pozbawiona wiary zdrowej, silnej w dziedzinie świata duchowego, pozbawiona religii płynącej od Boga, zachwiana jednym słowem w swoich przekonaniach chrześcijańskich, doprowadzona do wiary w kłamstwo, społeczeństwa bez religii nadprzyrodzonej, a więc bardziej niż kiedykolwiek pchnięta na drogę prowadzącą do zwierzęcości, z wrodzonego popędu, gorączkowo chwyta się przecież, jakichś pojęć wyższych, źle określonych, zbałamuconych i zmaçononych, jak zbałamuconemi i zmaçonemi są jej wyobrażenia, lecz dzielących ją choćby na chwilę od królestwa zwierząt i tak sama, wytwarza sobie jakąś wiarę, w którą nie wierzy, lecz radaby z biedy w nią wierzyć, jakąś, jeżeli już nie boską, to ludzką religię. I oto za-

miast prawdziwych pojęć wyższych i duchowych, zamiast odwiecznego stosunku, człowieka do Boga, a z niego dopiero wynikającego stosunku człowieka do ludzi, wytwarzają się chorobliwe, źle określone, śmieszne i zgubne, przecież nie pozbawione smętności i tęsknoty za czemś wyższem, wyobrażenia humanitarne i filantropijne, które tak przeważny, tak złowrogi i tak stanowczy wywierają wpływ na sprawę, którą się zajmujemy, że je nazwać możemy chrzestnemi rodzicami bezwyznaniowej bezkarności.

Zastąpienie religii boskiej religią ludzką, musi zawsze pociągnąć za sobą nieuniknione następstwa, a bliżej nierównie od religii ludzkiej do zwierzęcienia, jak od religii boskiej do ludzkiej! Stan wytworzony potrzebą chwilową a wrodzoną, religii ludzkiej, jest to stan wyjątkowy, chorobliwy, chorobliwymi też zawsze muszą być wszystkie jego objawy. Już pod koniec wieku osiemnastego, przytępiony zmysł religijny i duchowy tak dobrze w rządach jak ludach, zagłuszył zasadę, że kara jest odpokutowaniem występku i wywołał przesadną nad winowajcą litość, wobec której, nie ma litości ani nad ofiarą ani nad społeczeństwem. Dziś zaś w skutku wpływów humanitaryzmu i filantropii, w zamian uczucia sprawiedliwości opartego na zasadzie moralnej, wyrodziła się uczuciowość nerwowa, pewna czułościowość i miękkość ochrzczona nazwą ludzkości! Karę za winy zastąpiła wyrozumiałość dla ułomności ludzkich, która zwolna przeistaczać się poczyna we współczucie dla winowajcy, a zamiast wielkiej i silnej zasady przebaczenia i łaski, zapanowało gorszące pobłażanie, które niczem innem nie jest, jak tylko uświęceniem na tej ziemi występku.

Chorobliwy ten wpływ chorobliwych uczuć i przekonań, jest bezpośredniem następstwem podkopania i zepsucia podwalin społecznych, ogarnia on powoli, łagodnie, ale niemniej podstępnie, coraz wyraźniej, dziedzinę

sprawiedliwości społecznej a rozliczne tych uczuć i przekonań korzenie wybujały w przerażający swoją potwornością kwiat bezkarności. Zgubne, fałszywe, mylne pojęcia, których początek wskazaliśmy, wsiąkają we wszystkie części ciała społecznego i zaraziły już samą siedzibę sprawiedliwości. Z postępem i pod wpływem niszczących prądów w dzisiejszej Europie, zaraza bezkarności, rozszerza się coraz dalej, a jak dawniej rozprzegła ona i wywróciła nasz ustrój polityczny, tak dziś szarpie i rozluźnia węzły społeczeństwa. Sprawiedliwość bowiem będąc przedstawianą i wykonywaną przez ludzi, nie może ochronić się przed ogólnym wpływem górujących wyobrażeń i one czynią ją coraz więcej pobłażliwą, humanitarną, filantropijną; ostatecznie ani karzącą ani karzącą. Doczekaliśmy się tego, że we wszystkich kierunkach swej działalności, sprawiedliwość przemienia się zwolna w zakład dobroczynny dla złoczyńców.

Jakże przerażająco bałamucącym jest zawsze wpływ wyobrażeń, których początek nie w prawdzie! Owe humanitarne i filantropijne popędy, które zastąpić nadal mają wszelką wiarę i religię, powstały jedynie z uwielbienia ludzkości, owego człowieczego bóstwa, stworzonego wycieńczoną wyobraźnią racjonalizmu; a przecież w swym biegu dochodzą one do następstw i wyników, które niczem innym nie są jak tylko zamachem na ową ludzkość. W wymiarze sprawiedliwości i kary, doprowadzają one do osłaniania i oszczędzania złoczyńcy i zbrodniarza, do ochraniań ich, a tem samem nie tylko, że krzywdzą ofiary, ale poniekąd wyznaczają nagrodę za nowe zbrodnie i bezprawia, mnożą je tem samem, a tak powstałe w imieniu ludzkości, zadają same sobie kłam sromotny, bo oszczędzają jednostki ze szkodą i narażeniem bezpieczeństwa ogółu, owej ludzkości — Boga!

I tak się też dzieje. Rozstrojona i obalamucona społeczność dzisiejsza wysila się we wszystkich kierun-



kach, aby zoczyńcę ochraniać i skutki zbrodni jego uczynić mu jak najmniej przykre. Nie tylko w prawodawstwie, w całej działalności sprawiedliwości widoczną, wyraźną jest ta dążność, począwszy od filantropijnych urządzeń więzień, aż do narzucającego się wszędzie obcesowo społeczeństwu, zniesienia kary śmierci. Te względy rozliczne, ta pobłażliwość czułościowa, ta nieroztropna wspaniałomyślność dla zoczyńców, ta troska o ich wygody zarówno jak o bezpieczeństwo ich gardeł, to bezkarność prawna, uznana, uchwalona przez sejmy, to już na dzisiejszem społeczeństwie zdobyty niejako przez zoczyńców przywilej; a tak w skutku dziwnej, lecz słusznej sprawiedliwości, owej wyższej rzeczy ludzkich, wiek który zniósł wszystkie i wszystkich przywileje, stworzył je jedynie dla zoczyńców. Gorsza jednak i bardziej przerażająca bezkarność innego gatunku i treści świta już na widnokręgu dzisiejszego ustroju. Mamy tu na myśli dążność w samym wymiarze sprawiedliwości uniewinnienia, lub przynajmniej oszczędzenia, już nie oskarżonego, ale winnego, dążność ulagodzenia i doprowadzenia do *minimum* kary. Kierunek ten sprawiedliwości coraz wyraźniejszy, bo wpływ na nią wyobrażeń filantropijnych, wpływ powietrza przesyconego humanitaryzmem coraz większy; nie tylko w urzędzeniach i w prawodawstwie czuć się on daje, ale w samym wymiarze sprawiedliwości, w zastosowaniu, a zawsze i nieodmiennie działa on na korzyść przestępcy, i uczy tłumaczyć na dobre tak występki, jak jego przyczyny i powody, ze szkodą społeczeństwa. Pod wpływem owych wyobrażeń sędziowie jakimikolwiek oni są, drżą coraz więcej przed odpowiedzialnością, dlatego że nie mają o co ją oprzeć, że brak im potężnej podpory duchowej, a owo: nie chcę brać na moje sumienie, tak zwykłem jest obecnie, dlatego właśnie, że sumienia coraz mniej w świecie, że zastępuje je czułościowa a sfałszowana filantropia. I zważmy dobrze, że nie jest to

wcale szlachetna i łatwa do zrozumienia obawa ukarania niewinnego, którą sędzia zawsze winien być przejęty; nie, to obawa zbyt srogiego, zbyt nieludzkiego obejścia się z przestępcą, ze złoczyńcą, ze zbrodniarzem, którego wina, została uznana, dowiedziona, do której nawet sam się przyznał. Ludzie duchowo tak zmaleli, że nie czują w sobie ani mocy, ani powagi, ani powołania, ani namaszczenia do karania. Nie tylko nie śmia uderzyć ale nawet brak im siły do podniesienia ręki dla wymiaru sprawiedliwości. To wahanie się w wymiarze kary, nie wobec wątpliwości, lecz wobec dowiedzonego, uznanego czynu, pozostanie jednym z najbardziej znamienitych rysów czasu, a droga fałszu tak jest pochyla, że nieznacznie lecz nie mniej znacząco, wahanie to zamieniać się poczyna w jakieś współczucie dla przestępcy, którego inaczej pojąć ani wytłomaczyć sobie nie można, jak tylko tajemnym pociągiem pokrewnych dusz, lub czemś w rodzaju pokrewieństwa z wyboru. — Czyżby już świat miał dojść do tego, iżby wszelkie wyłamanie się z pod prawa, choćby pięścią lub siekierą, choćby wytrychem lub wytrychowem sumieniem, miało znaleźć współczucie w tyłu pokrewnych duszach, żeby aż zabrakło surowych sędziów? W nieuniknionem następstwie, niewątpliwie, dla zbyt wielkiej ilości przestępców nie byłoby sędziów.

Do czegoż to publiczne naigrawanie się ze sprawiedliwości przez sprawiedliwość samą doprowadzić może, jeżeli nie do zabicia jej w samej istocie i treści, a więc do zastąpienia jej obroną osobistą i doraźnym wymiarem kary, czyli powrotem do stanu dzikości lub do zwierzęcości. Sprawiedliwość weszła na drogę prowadzącą do samobójstwa. Srogie pomiatanie prawem, którego byliśmy i jesteśmy świadkami, dosięgło samej siedziby prawa i sprawiedliwości, a zasada i poczucie prawa poniewierane i zgnębane w wielkich sprawach

tego świata, zamierają i gasną w ognisku, bo w piersi sędziego.

Jeżeli dawniej oskarżano pochopnie sądy i sędziów o zbytnią surowość i srogość kar, przypisując je potężnym wpływom lub stronniczości, to zaiste dziś zawsze i nieodmiennie posądziłoby ich można i to z większą może słusznością o pobłażanie, o względy, o jakieś skryte dla zbrodniarzy i przestępców, niewytłomaczone współczucie, posądziłoby ich można o uległość i schlebianie wyższym i potężnym wpływom, tylko że nie w wymiarze kar, ale raczej w zawieszeniu miecza sprawiedliwości i o schlebianie tem i uleganie wszechpotężnym wyobrażeniom czasu, zarazem o obawę tak dziś strasznej niepopularności.

W prostem następstwie tegoczesnej plagi bezkarności, dojść musimy do tego, że zbrodnia się rozwiela, mnoży się będą, a w końcu zabraknie kata. Będzie to ostatnim wyrazem siły niszczącej, która jak tkwi w wielu wyobrażeniach dzisiejszych, tak samo znajduje się w łonie bezkarności. Bezkarności w samej sprawiedliwości towarzyszy inna, ściśle z nią złączona, jeszcze może groźniejsza, jeszcze wyraźniej zwiastująca niebezpieczeństwo, bezsilność duchową i rozstrój, bezkarność ze strony opinii publicznej; ona to oddziaływa tak zgubnie, tak haniebnie na wymiar sprawiedliwości. Dzisiejsza tak nazwana, opinia publiczna staje niezmiennie po stronie nie tylko obwinionego ale winnego, nie tylko winnego ale skazanego, nie tylko skazanego, ale i unikającego kary, ona go otacza swemi skrzydłami opiekuńczemi i w imieniu wolnomyślności i filantropii, zdaje się wołać do sędziów: nie karzcie, jeżeli nie chcecie być potępionymi. W każdym niemal procesie głośniejszym, znika wnet z widowni pokrzywdzony, a głównym bohaterem, który skupia całe współczucie widzów, staje się krzywdziciel. A tam i w tem gdzie zwykła spra-

wiedliwość osiągnąć nie może, lecz gdzie opinia publiczna ma moc karcenia i karania, czyż widzimy wymiar sprawiedliwości! Zaniechano go, i nie ma już ludzi, którzyby nie podawano ręki, nie dlatego zaiste, aby nie było takich, którzyby ręki podać nie należało, ale dlatego, że nie ma już takich, którzyby jej nie podawali. Obydwie te bezkarności schodzą się w jednym skutku, w jednej myśli, raczej bez myśli, bo ich początek, ich przyczyna ta sama, brak podstaw duchowych, obydwie podają sobie ręce, aby powoli zatrzeć różnicę między winowajcą a niewinnym, między zbrodniarzem a cnotliwym, między złoczyńcą a uczciwym człowiekiem i sprowadzić w życiu ten sam zamęt, który już istnieje w wyobrażeniach i pojęciach, a którego ostatnim demokratycznym wyrazem, będzie równość wobec sprawiedliwości tych, którzy ją gwałcą z tymi, którzy ją szanują. Lecz i tu jak zwykle, równość będzie złudną, bo niewątpliwie zbrodniarze będą mieli nad niewinnymi wielką wyższość i przewagę i w końcu utworzą zbyt potężną kastę, najwstrętniejszą oligarchię. A zaprawdę jak w słynnej powiastce Voltaire zebrał w Wenecyi grono zrzuconych królów i książąt, tak samo dziś już możnaby zgromadzić u jednego stołu liczny zastęp głośnych, na wolnej stopie żyjących przestępców i zbrodniarzy. Nie dziś tylko ale zawsze, zbrodnia i występki nieraz unikały kary i swobodnie żyły na świecie, lecz dawniej dla braku dowodów, dla zbiegu okoliczności, w skutku szczęścia czy zrzeczności, nigdy jak obecnie w skutku i pod zasłoną wyobrażeń i pojęć przeważających, z dobrodziejstwa filantropii, nigdy jeśli były przekonane, dowiedzione lub same się wyznaniem stwierdzały; i właśnie bezsilność, niemoc, czy też łagodność sprawiedliwości dla dowiedzionej, udowodnionej, wyznanej zbrodni lub przestępstwa, stanowią treść i odrębne znamie dzisiejszej bezkarności, jest to bezkarność prawna jak prawnymi są wszystkie bezprawia obecnych czasów. Nie

jest to, jak dawniej oszukaniem lub uniknięciem sprawiedliwości, lecz przeciwnie, sama sprawiedliwość potępia a nie karze, lub wymierza pozorną karę pozbawioną siły karcenia. Bezkarność tak dalece jest w powietrzu, w usposobieniu ogółu, że najczęściej nawet tam gdzie sprawiedliwość zdobywa się na karę, zwykle znów, jakiś dziwny zbieg okoliczności, wstrzymuje lub przeszkadza jej wykonaniu; nie tylko sędziowie, ale i strażnicy więzień pomagają bezkarności. Ucieczki z więzień, ich ułatwienia stają się coraz częstszymi i coraz zaszczytniejszymi, a osłoniętymi są także bezkarnością; niemoc sprawiedliwości coraz widoczniejsza we wszystkich kierunkach. Dwoma takimi gorszącymi, a głośniejszymi przykładami naigrawania się z kary były ucieczki z więzień Rocheforta z towarzyszami w zbrodniach komuny paryskiej z 1871 r., oraz Bazaina. W obydwóch wypadkach stokroć lepszem było zaniechanie procesu, jak dopuszczenie, aby dramat odegrany z całą teatralną grozą, zakończył się krotoczwilą; i tu i tam powody oskarżeń i wyroków, nie dozwalały, nie przypuszczały półśrodków, lecz wymagały dla zdrowia ducha publicznego, dla zbawienia publicznej uczciwości i ochronienia społeczeństwa, surowego, bezwzględного ukarania. Co za przykład gorszący, co za dowód niemocy, oskarżyć, skazać obywateli za udział w mordach i pożogach, za wojnę domową i najohydniejsze zbrodnie w ojczyźnie; oskarżyć, skazać marszałka Francji za niewypełnienie najświętszych obowiązków wobec nieprzyjaciela — a przecież rzeczywiście i ostatecznie dozwolić im korzystać najzupełniej z dobrodziejstw bezkarności! A właśnie tak się stało, takiego zgorzenia świat był świadkiem i Rochefort podżegacz komuny i Bazaine działacz ohydnej kapitulacji Metz, mogli powiększyć swobodnie grono dostojnych zbrodniarzy na wolnej stopie, o którym wyżej wspominaliśmy. I jeden i drugi stali się bohaterami bezkarności, i jeden

i drugi stali się tylko głośniejszymi; Rochefort wydał, jak przedtem paszkwile w Paryżu; Bazaine używał dalej tytułu marszałka i ścisłał się z Prusakami. A publiczność, a opinia publiczna chciały patrzyły bez oburzenia na to widowisko, na te wyścigi bezkarności z małemi przeszkodami; ciekawość zagłuszała wszelkie inne uczucia, a zręczność ucieczki zatarła pamięć ohydnej kapitulacyi i zbrodniczych pożarów. Wielkie a potworne przedrzeźnianie się bezkarności, wobec pojęcia prawa i zasady sprawiedliwości.

I w jakich to czasach, wśród jakich górujących i panujących wyobrażeń, szerzy się i rozwiela bezkarność? Oto wtedy kiedy materyalizm górą, kiedy walka o byt jedyną zasadą, a jedynym bożyszczem zysk. Jeżeli przestępstwo a nawet zbrodnia zawsze i wszędzie będą w skutku bezkarności, mniej lub więcej zyskownemi, któż się przed niemi dziś cofnie? A z drugiej strony w nieuniknionem następstwie, enota i poszanowanie prawa staną się największemi, najnieodzowniejszemi stratami, o ile wartość tamtych pójdzie w górę, o tyle tych spadnie. Któż nie cofnie się dziś z przerażeniem przed dowiedzioną z góry stratą? Kto? Mała gromadka ucziwych dla ucziwości, którzy zaiste niepocieszne zajmą stanowiska zawsze oszukanych i wysmianych. Bezkarność będąc podwójną ze strony sprawiedliwości i ze strony społeczeństwa, ze strony sędziów i ze strony opinii publicznej, wartość nieuczciwości pędzona jest do góry, gdy przeciwnie ucziwości ulega chronicznemu spadkowi. Sprawa kryminalna, sam kryminal, złodziejstwo, oszukaństwo, kradzież, nie mówiąc już o szacherce, tem najwykwintniejszym przestępstwie, nie odcinają dziś bynajmniej sprawcy od społeczeństwa, znajduje on w niem współczujące dusze, i dostateczne pobłażanie, aby pod jego zasłoną żyć pogodnie. Co więcej, ileż to razy niezaszczytna chwilowa i przypadkowa przeszłość nie przeszkadza wcale kierować

później opinią publiczną, nauczać społeczeństwo, obrzucać błotem uczeiwych ludzi i słuszne sprawy. Jeżeli przestępstwo, jeżeli zbrodnia nawet, staną się w dzisiejszych czasach, wśród dzisiejszych wyobrażeń, zyskownemi, nie wątpić zaiste pod karą śmiesznej dobroduszości, że się mnożyć i rozszerzać będą w nieskończoność. Nie inaczej już tłumaczoną bywa bezkarność przez łaknące zysków warstwy, a słowa fryzjera powiedziane z powodu wyroku w głośnej w Galicyi sprawie, winny swoją szczerością baczną na siebie zwrócić uwagę, „za połowę tych pieniędzy, rzekł on, chętniebym siedział dwa razy tyle“. Otóż i gotowy zysk. Tak więc bezkarność schodząc się z przeważającemi wyobrażeniami, apetytami, żądzami, bożyszcami, stanowi wspólnie z niemi nieobrachowaną siłę niszczącą, tem skuteczniej działającą, że przedmiot w który uderza nie znosi jej pocisków i najprędzej pod niemi rumie. Świat dzisiejszy przeważnie materyalny, przeważnie oparty nie na myśli, lecz na zysku, wymaga i potrzebuje dla swego bezpieczeństwa i istnienia, kredytu, zaufania, opieki, a któż bardziej, a któż więcej zdolny je zniszczyć, zachwiać, zniweczyć, jeżeli nie bezkarność? A gdzież bardziej grasuje ona obecnie, jeżeli nie w świecie zysków i w uroczej krainie szacherki, nie przystępnej ani dla karcenia, ani dla kary? Im bliżej więc przypatrujemy się uwielbianemu kierunkowi dzisiejszemu, tem wyraźniej dostrzegamy, że sam w sobie i przeciw sobie, w głównych swych wyobrażeniach i dążeniach nosi żywioły i narzędzia zniszczenia, tem lepiej widzimy i rozpoznajemy porysowania, których przyczyna w podwalinach. I zaiste niemała to pociecha, niemałe zadowolenie, nawet wyznajmy przyjemność, a wielka nadzieja, dla wszystkich, którzy nie zaślepieni jego uludnym blaskiem, nie dali się zaprzadz do jego zwycięskiego rydwanu; dla wszystkich tych wreszcie którzy nie są zwycięzcami, lecz zwyciężonymi chwili obecnej.

Zważmy dalej o ile tu działanie i przeciwdziałanie są silne. Jeżeli z jednej strony bezkarność jest skutkiem i następstwem pomieszania wyobrażeń i pojęć, o prawie i słuszości, to z drugiej strony, ona znowu nadzwyczaj dzielnie dopomaga do dalszego i coraz większego zamętu. Nie może w tak wysokim stopniu nie mąci wyobrażeń, jak wpływ bezkarności i zawsze jest ona źle i musi być na źle tłumaczoną, bo będąc pobłażaniem a nie łaską, nie przebaczeniem, niszczy dobry i drogocenny wpływ ich tak dalece, iż rzec można, że bezkarność zabija przebaczenie i łaskę, czyniąc z wyjątku regułę.

Wedle przeważających dziś wyobrażeń, co gorsza, wedle szerszącego się zwyczaju, czego niejedni mieliśmy przykład, dziwna a zgubna wyrabia się nauka o okolicznościach zwalniających, która w wysokim stopniu pogarsza bezkarność. Przeszłość zaszczytna człowieka, jego wykształcenie, wpływ który wywierał, zaufanie które wzbudzał, stanowisko jego poprzednie, są to zwykle dziś nieobciążające, lecz zwalniające okoliczności, a przecież im stanowisko było wyższe, tem upadek jest większy, im wpływ był znamienitszy, tem odpowiedzialność jest większa, im zaufanie było znaczniejsze, tem krzywda jest większa, tem samem bezkarność zgubniejsza; tak jest, bo im wyżej się ona wznosi, tem głębiej dosięgają jej skutki w społeczeństwie, a przykład złego u góry jest mniej szkodliwym i niebezpiecznym jak przykład bezkarności. Wykształcony, prawy, duchowo wyższy, obudzający zaufanie człowiek, popełnia zbrodnię, odpowiedzialność jego za nią jest tem samem niezaprzeczenie większa, jak tych, którzy niżej od niego stoją duchowo, osłaniająca go więc bezkarność jest szkodliwsza i prosta, zdrowa loika ludowa wybornie to rozumie i rozumuje; słyszeliśmy jak wobec podobnego przykładu, posługacz wysłany z małą kwotą pieniężną na pocztę z przestrożą, aby ją oddał, a nie zniknął z nią, odpowiedział żartobliwie, przecież z głębszą my-

ślą: „Jeżeli za tysiące skazano uczonego pana na rok, to przecież mnie za kilkanaście reńskich niebyło“. U dołu jest jeszcze poczucie odpowiedzialności, które dlatego, że u góry zaciera się coraz więcej, mącą się i bałamuca w tak zgubny sposób prawdziwe pojęcia, obciążających lub zwalniających okoliczności. I za prawdę zastanawiając się nad dzisiejszym stanem rzeczy, nieraz ma się jakby przeczucie nowej wieży Babel, około której nastąpi ostateczne i zupełne pomieszanie już nie języków, ale wyobrażeń, z którego dopiero powstanie nowy porządek duchowy, jak z chaosu powstał świat materyalny.

Dziwne, zdumiewające są niektóre objawy dzisiejszej, nowożytnej bezkarności; o ile zniechęca pokrzywdzonych do sprawiedliwości, do poszukiwania jej lub odwoływania się do niej, o ile budzi w nich zwątpienie coraz większe o wymiarze sprawiedliwości, o tyle z drugiej strony napęłnia przestępców i zbrodniarzy nieograniczonym do niej zaufaniem. Rozczulającym jest dzisiejsze zaufanie przestępców do sędziów, rozczulającymi są coraz częstsze oddawania się w ręce sprawiedliwości, i szczerze, otwarte, odważne zeznania winy. Nikt i nic nie obudza większego zaufania w winowajcy jak sprawiedliwość! Dawniej przestępca, zbrodniarz krył się, uciekał, szukał schronienia w nieprzystępnych miejscach w lasach i górach, między dzikimi zwierzętami, przepływał ocean i uciekał do Ameryki; dziś przeciwnie, zbrodniarz czuje się niejako bezpiecznym i nie ma nic pilniejszego do zrobienia, jak oddać się w ręce sprawiedliwości, jak zapisać się do więzienia, jak szukać schronienia, prawnej opieki tam, gdzie dawniej czekała go sroga lub straszna kara. I czyż nie widoczny to, dla nieuprzedzonych, zdrowo się patrzących, dowód, zwiększenia się, potężnienia bezkarności!? Stokroć wart był więcej ów zbrodniarz, który czuł ciężar swej winy, który jej wyznać nie śmiał, który drzał, ukrywał się przed

sprawiedliwością, od tego który swobodnie wyznaje winę i opowiada ją sądowi jako zdarzenie życia, którego następstwa uporządkować, uprawnić, złagodzić, jest rzeczą tego sądu, w którego objęciach schrania się z całym zaufaniem; w tamtym był jeszcze wstyd zbrodni i jej groza, w tym jest bezwstyd występku. O tak stokroć lepsza ucieczka do Ameryki, krycie się po lasach i górach, jak na pozór odważne, a oparte na dobrze wyrachowanej i ugruntowanej nadziei bezkarności, oddanie się w ręce sprawiedliwości. W każdym razie ucieczki i krycie się zbrodniarzy, nierównie lepiej świadczyły o stanie społeczeństwa i o sprawiedliwości sądów, jak dzisiejsze wyznania i oddawania się. Darmo, sąd to nie konfesyonał, przed którymby zbrodniarz nawet miał odwagę wyznać spełniony czyn. I rzeczywiście owa łatwość przyznawania się do zbrodni, owa pochopność do oddawania się w ręce sprawiedliwości, to poprostu bezwstyd zbrodni, jak wobec owych wyznań, mniejsza lub większa pobłażliwość sądów, jest tylko bezwstydem bezkarności. Zbrodniarze i przestępcy szukają bezpieczeństwa i schronienia na łonie samej sprawiedliwości, bo ono przepełnione współczuciem i pobłażaniem dla nich. Zamiast grozy i przerażenia, które w winowajcach obudzała sprawiedliwość, widzimy teraz między niemi a jej trybunałem jakieś poufałości, pewną zalotność i zamianę oznak dziwnego, niepojętego pociągu. Owa chęć okłamania sprawiedliwości, którą z taką goryczą wyrzucał Brid-oison oskarżonemu, stała się zbyt częstą i niepotrzebną, bo szczere i otwarte wyznanie winy jest najkorzystniejszym wybiegiem.

I kiedy wszystko to dzieje się i rozkrzewia pod godłem ludzkości, to zaprawdę mniemaćby można, że ludzie i bogi tej cywilizacji i tego świata, w którym do tego stopnia skrzywione są wyobrażenia, już szaleją. Ileż to bowiem ofiar pociąga za sobą pobłażanie dla jednego zbrodniarza a ileż ubywa bezpieczeństwa dla

ludzkości, w imieniu której wstrzymuje się ręka sprawiedliwości w wymiarze kary. Daremne usiłowania! Wasza bezkarność nie oszczędzi ani jednej ofiary, nie ujmie jednej kłęski, mnożyć tylko będzie i pierwsze i drugie i już zagraża nowemi karami, nowemi przewrotami ludzkości, w imieniu której chcecie ją wznieść do wysokości zasady. W okresie dziejowym, w którym więcej jak kiedykolwiek wojna tysiące pochłonęła i w danym razie pochłonęłaby ofiar, kiedy niezliczone narzędzia postępu, dziennie znaczną liczbę ludzkich istot poświęcają na jego ołtarzu, wy boicie się przez ludzkość ściąć głowę zbrodniarza lub zawiesić na nim kajdany! Sofiści w teorii i sofisci w zastosowaniu, nie jesteście nawet litościwymi, ale poprostu miękkimi, rozstrojonymi, bezsilnymi duchowo, i we wszystkich niemal kierunkach, przerażająco niedorzecznymi!

I cóż pomoże zawieszenie w imieniu waszych nauk i filantropijnych czulości, miecza sprawiedliwości, skoro statystyka — a ją przecież szanujecie — nie wykaże przez to mniej wypadków śmierci niezwyklej i ani jednej kropli krwi oszczędzonej. Znosicie karę śmierci na zbrodniarzy, lub unosicie się względem nich wspaniałomyślnością a okrutnymi jesteście dla pokrzywdzonych, oto patrzcie: potrzeba kary jest tak konieczną, tak mądrą, tak niezbędną, tak nieodłączną od istoty ludzkiej i układu tego świata, że ludzie, gdy jej zabraknie przez innych, sami ją sobie wymierzają, że sami na sobie wykonywują karę śmierci, poza waszemi naukami, poza waszemi sofizmatami i poza waszemi plecami. Wobec, jeżeli nie już w skutku bezkarność, mnożą się z każdym dniem samobójstwa i zaprawdę trudno nie odczuwać jakiegoś związku mistycznego a może nawet filozoficznego, między samobójstwami a bezkarnością. Niewątpliwie są one często, zbyt często w tych czasach, jakby bezwiedną tęsknotą za słuszną karą, wygnaną z tej ziemi, są objawem silnego uczucia ludzkości, potrzeby

kary i zaiste nie wymowniej nie potępia bezkarności, jak dorazne wymierzanie kary przez człowieka na samym sobie. Smutny, przerażający objaw czasów i pojęć, ale ściśle związany z całym przewrotem duchowym, którego jesteśmy świadkami, a w którym tak ważne miejsce zaczyna zajmować bezkarność. Gdzie ustają działać prawa przyrodzone i rządzić ludźmi, tam występują objawy przeciwne przyrodzie, a wobec bezkarności coraz częstszem staje się samobójstwo, które zwykle jest tylko samogwałtem kary.

I nie ludźmy się, nowoczesna bezkarność, nie jest bynajmniej złem chwilowem, przemijającym, przypadkowym, nie ustanie ona ani tak prędko, ani tak łatwo, bo jest następstwem ogólnych wyobrażeń, prądów, otaczającego powietrza; dalej i dalej dokonywać będzie w swoim kierunku niszczącego zadania, aż wywoła, jak wszelkie niszczenie, przeciwdziałanie. Nie jest ona ani przypadkową, ani chwilową, bo jest następstwem szeregu wyższych przyczyn, nie jest porysowaniem ściany, ale jest rysą mającą swój początek w podkopaniu i osłabieniu fundamentów. Usuwające się, wyjęte z podwalin społecznych cegły chrześcijańskie, oto przyczyny — jak wielu innych — tak i tego porysowania gmachu; społeczeństwo pozbawione jedynej dziś duchowo rozumnej, poza racjonalizmem, podstawy, podstawy chrześcijańskiej, błędzi, bałamuci i bredzi, jak w wielu innych, tak i w dziedzinie sprawiedliwości. Bezkarność jest prostem następstwem, coraz gwałtowniejszego wyrugowania nauki chrześcijańskiej przez wyobrażenia chwilowe i to do tego stopnia jest prawdziwem, iż w znacznej części, w niezliczonych wypadkach, przypisać ją jedynie należy zacieraniu się przekonania przed innemi chrześcijańskiego o wolnej woli człowieka, tem samem o jego odpowiedzialności; gdzie nie ma wolnej woli, tam winy być nie może, tam kara jest niesprawiedliwością, zaprzeczenie tem samem wolnej woli, czyli usu-

nięcie podstawy chrześcijańskiej, bardzo słusznie pociąga za sobą bezkarność. Liczne zaiste przytoczyć byśmy mogli przykłady, pobbżania i bezkarności, wynikające jedynie z zaprzeczenia wolnej woli człowieka, liczniejsze niewątpliwie są przypadki popełnionych zbrodni w skutku zaparcia się jej. Wśród mnogich przykładów bezkarności, w które nasze czasy obfitują, opowiadano nam jeden, godny swoją potwornością szczególnej uwagi. W Neapolu służąca pewnej księżny ukradła wspaniałe jej brylanty, w znowie z jakimś Frontinem, który zapanaował nad jej sercem; stawiona przed sąd, uniewinnioną została, gdyż sędziowie uznali, że niepodobna jej było się oprzeć podwójnemu urokowi miłości i brylantów. Dokąd podobna nauka doprowadzić może, łatwo pojąć, wiedząc jak ludzie skłonni są zawsze ulegać tym dwom urokom. Między miłością a brylantami znajduje się bezsprzecznie cała skala przestępstw i zbrodni! Czyż owe powody neapolitańskiego sądu nie wprowadzają nas już w krainę absurdum, owego absurdum, do którego zawsze dojść się musi we wszystkim, lecz przede wszystkim w wyrokach o sprawach ludzkich, skoro odepchnie się zasadę wolnej woli.

Bezkarność wynikająca z osłabienia i podkopania przekonań religijnych, najdalej w swoich następstwach sięga, bo nastaje w chwilach, w których religia najmniej działa na ludzi, na ich namiętności, w których jest zupełnie w tej mierze bezsilną; więcej niż w innych w takich okresach ludzkości winnaby sprawiedliwość już dla samego bezpieczeństwa społeczeństwa, poskramiać, ukrócać a więc karać i karcić złe skłonności człowieka, a Montesquieu, który raczej przemawiał za łagodnością, jak za surowością ustaw mówi: *moins la religion sera réprimante, plus les lois civiles doivent réprimer*, tymczasem związek istniejący między czynnikami niszczącymi jest tak ścisły, że właśnie bezwyznaniowość i bezkarność spotkały się z sobą w naszych czasach i że wtedy

kiedy religia przestała być poskramiającą, prawa jednocześnie stały się niezdolnemi poskramiać.

Głównym jednak znamieniem nowoczesnej bezkarności, na które szczególną zwrócić chcemy uwagę, bo ono właśnie wykazuje jej chorobliwość, nie jest wcale mniejsza lub większa łagodność ustaw, lecz zastosowanie, słowem wykonanie. Wiadoma jest i niezaprzeczona to prawda, że nie da się nic bezwzględnie powiedzieć o surowości praw, zależną ona jest od tysiąca okoliczności, od klimatu, obyczajów, stanu społeczeństw; lecz ich zastosowanie i wykonanie jest bezwzględną prawdą i jednym z ogniw stowarzyszenia ludzkiego; a właśnie w zastosowaniu i wykonaniu coraz więcej rozwiela się bezkarność, i to do tego stopnia, że równa surowe ustawy z łagodnemi, a nawet staje się krzyczącem i gorszącem ich zaprzeczeniem. Lepiej stokroć nie mieć i nie pisać ustaw, jak żeby one służyć miały bezkarności i powtórnie przytoczymy tu głębokiego w tych rzeczach myśliciela; Montesquieu, który sam nie w jednym kierunku dał początek wyobrażeniom i pojęciom dzisiejszym, mówi: *Qu'on examine la cause de tous les relâchements, on verra qu'elle vient de l'impunité des crimes, et non pas de la moderation des peines.*

Rzecz godna uwagi, że w czasach, w których tak się wzmogło wyobrażenie o potędze państwa, rozszerza się bezkarność, że w czasach, w których polityka nie straciła ze swej bezwzględności, sprawiedliwość staje się uwzględniającą, łagodnieje i słabnieje. A przecież jeżeli bezwzględność w polityce konieczną jest dla bezpieczeństwa państwa, to tem konieczniejszą jest bezwzględność sprawiedliwości. Nie możemy inaczej nazwać bezkarności, jak tylko zamachem na społeczeństwo, bo już bez względu na wszelkie duchowe wyobrażenia i prawa, widoczną jest rzeczą, że wymiar sprawiedliwości, że jej następstwo kara, jest niezbędną dla bezpieczeństwa społeczeństw; bezkarność więc, która się wylęła pod wpły-

wem przeważających dziś wyobrażeń, jest zamachem społeczeństwa na siebie, jest dalszem dziełem zniszczenia.

Prawda to tak jasna, tak przejmująca, że każdy wyższy umysł, choćby najwięcej i najsilniej idący z prądem nowoczesnym dostrzegał jej. Wybornym, znakomitym do tegoczesnej bezkarności objaśnieniem pozostanie mowa ks. Bismarcka przy rozprawach o zniesieniu kary śmierci. Człowiek ten, który ręką olbrzyma popchnął skarłowaciale plemię w niejednym niszczącym kierunku jasno zapatrywał się przecieź, na chorobę bezkarności i piętnował ją wyrazami zdradzającemi wyższy umysł. Dostrzegł on — to jego słowa — że w całym usposobieniu tych, którzy przemawiają za zniesieniem kary śmierci, przeważa chorobliwa troska otoczenia większą opieką przestępcy niżli ofiary. A dalej dodał: „owa obawa odpowiedzialności gdy idzie o skazanie na śmierć bliźniego, jest chorobą naszych czasów wciąż grasującą, która dosięga szczytów społecznej hierarchii; niemniej jednak słusznie i logicznie inaczej nazwać jej nie mogę, jak tylko niezdrową czułościwością obecnej epoki“. Widział więc ten przenikliwy umysł, jasno, wszystkie strony tej sprawy, dostrzegł, że skłonnością wieku było osłanianie przestępcy, ze szkodą ofiary, że łagodność była tylko obawą odpowiedzialności i zapewne niepopularności i że pobbłażanie było tylko chorobliwą, zmysłową czułościwością, nie zaś siłą duchową lub cnotą; lecz czego może ks. Bismarck nie domyślał się, oto że nowoczesna bezkarność ma głębszą przyczynę i że nie jest czem innym, jak tylko w znacznej mierze następstwem pomiatania i pogwałcenia zasady prawa w wielkiej dziedzinie spraw ludzkich, że wypowiedziane czy nie, lecz wykonywane słowa „siła przed prawem“ musiały doprowadzić w dziedzinie sprawiedliwości społecznej do bezkarności, bo związek rzeczy ludzkich i ich na siebie oddziaływanie nie jest i nie może być pozbawione kary, bo w tej dziedzi-

nie nie panuje ani na chwilę bezkarność, a zabicie uczucia prawa w świecie siłą, pomięszalo, zniweczyło lub osłabiło działanie prawa we wszystkich kierunkach. A tak zbyt często widzieć można jasno, a przecież działać na korzyść ciemności, nawet podkopywać własne dzieło, bo zaiste żadne, choćby najpotężniejsze państwo nie obejdzie się bez sprawiedliwości i wymiaru kary, a bezkarność grozić mu będzie zawsze upadkiem podobnym do upadku Polski.

Siła przed prawem i bezkarność rodzone to siostryce, które cokolwiek by czyniono aby je rozłączyć, podadzą sobie zawsze ręce, bo jak mówi indyjski filozof: „Niech tylko niedołężny monarcha, przestanie karać, a skończy się na tem, że silniejszy usmarzy słabszego“.

II.

Brakłoby zakończenia poprzedzających uwag, gdybyśmy nie rozważyli, w jaki sposób objawia się plaga bezkarności w tym kraju polskim, który zamieszkujemy, w Galicyi. Najlepiej zbadać można wszelki objaw społeczny na własnym gruncie. Przypatrzmy się więc jak bezkarność wygląda w kółku rodzinnem.

Szczególnym zbiegiem okoliczności, który może należy przypisać wyjątkowemu uzdolnieniu Galicyi do gromadzenia w sobie wielu nedorzeczności i wielu niedołęstw, bezkarność rozkwitająca w niej, jest tworem potrójnej bezkarności; składa się na nią, dawna bezkarność polska tkwiąca w usposobieniu narodowem, nowoczesna humanitarno-wolnomyślna, będąca naleciałością z zewnątrz, a którą jak każdą naleciałość mamy niezwykle dar przyswajania sobie i nareszcie, nieco od tej dawniejsza pokrewna jej, dobrze nam znana bezkar-

ność biurokratyczno - austriacka, uzbrojona formalnościami i przewlekłościami.

Miła będzie przyszłość, jeżeli do wszystkich wad i niedorzeczności bujających na ziemi galicyjskiej, przyłączy się chwast potrójnej bezkarności i rozpleni się swobodnie; przyjemnych wtedy chwil doczekamy się a przyjemniejsze jeszcze zgotujemy przyszłemu pokoleniu i wtedy historia — jeżeli wogóle historia nami trudnić się będzie — powie niewątpliwie, żeśmy niczego nie zaniechali, aby utworzyć tu najniebezpieczniejszy a zarazem najnierozumniejszy stan rzeczy.

Na dobrze uprawionym gruncie bezkarności staropolskiej podlanym jadem biurokratycznym, namacalnie i najwyraźniej a bardzo dotkliwie, rozkwita u nas bezkarność nowoczesna, ochraniająca i pielęgnowana starannie przez wyobrażenia i pojęcia humanitarno-filantropijne. Do czego nas doprowadziła nasza dawna staropolska bezkarność, wiemy i zapewne dziś nie mamy najmniejszej wątpliwości o jej zgubnych skutkach; jaką nam przyszłość zdolna zgotować nowoczesną, o tem nie mamy i mieć nie możemy dokładnego pojęcia, tak, jak nigdy nie ma się jasnego wyobrażenia o nicości.

Wielkie, bo też i ważne zachodzą różnice między staropolską, poczciwą a głupią bezkarnością a nowoczesną bezczelną, opartą na fałszu, a tak głęboko w swych ostatecznych celach demoniczną, wprowadzoną do nas z zagranicy i przepłaconą przez nas z drugiej ręki, jak zwykle przepłacamy kosztem resztek bytu, wszystko co tylko zagranicą raczy nam nadesłać.

Dziwną była polska bezkarność, nie było w jej pochodzeniu ani trochę demonizmu, ani trochę złości, było tylko wiele dobroduszości, niedołęstwa, miękkości, nieporadności i bezładu szlacheckiego, nie była skutkiem ani nauk fałszywych, ani skrzywienia pojęć lub zmysłu uczciwości; była ona przeciwnie niejako samorodną, pochodziła wprost z usposobienia narodowego, a bodaj czy głównem

jej źródłem nie był brak zdania, którym zawsze odznaczaliśmy się. Nasza złota wolność i nasza szlachecka równość, jak w polityce doprowadziły nas do niesłychanych niedorzeczności, tak samo w dziedzinie sprawiedliwości doprowadzić musiały do najwyższej — bezkarności; nasza też bezkarność była wyłącznie szlachecką, a jak tyle innych zgubnych obyczajów i zwyczajów, była powolnem, bezwiednem samobójstwem szlacheckiego świata, lecz nie miała znamion morderstwa względem innych, wyrządzaliśmy nią sami sobie, nie innym krzywdę. Nigdy i nigdzie nie usiłowaliśmy i nie staraliśmy się dogmatyzować jej, wznosić do wysokości zasady lub wzniosłej nauki, stała się ona u nas zwyczajem, który, jak mówi *Figaro*, tak często jest nadużyciem, była obyczajem, nad którym dla miłego spokoju i świętej zgody nie zastanawiano się, i który nie oburzał zbyt, lecz w gruncie w zakątku sumienia, wiedziano dobrze, że była ona niesłuszną i złą, aczkolwiek nie domyślano się, że była zgubnym błędem. Co najwięcej bezkarność pochodziła w tem społeczeństwie na wskroś chrześcijańskim może z mylnego pojęcia, raczej z pomieszania wyobrażeń o przebaczeniu i pobłażaniu. — Jeżeli w naszej bezkarności było coś bezładnego i niedołężnego, to zarazem było coś serdecznego, było bądź co bądź coś nietylko szlacheckiego ale i szlachetnego. Towarzyszyła jej miękkość i słabość w polityce, która także z wielką szkodą sprawy publicznej nigdy nie umiała być ani bezwzględna, ani karcąca; jak w polityce tak i w sprawiedliwości brak było u nas zawsze zakończenia, nie umieliśmy korzystać ze zwycięstw, ani też wymierzać kary za zbrodnie i przestępstwa. Szkodziliśmy sami sobie i jak powoli niedołęstwo w polityce, tak samo bezkarność w dziedzinie sprawiedliwości doprowadziły nas do upadku, do utraty bytu samoistnego.

Inną, innej treści i pochodzenia jest bezkarność nowoczesna, towarzysząca jak tyle innych potworów,

zwycięskiemu pochodowi wolnomyślności. Jest ona płodem skrzywienia zmysłu uczciwości, ma w sobie coś szatańskiego i niszczącego, ma tę siłę rozkładową, która dosięga szpiku kości społeczeństwa, nie pochodzi z usposobienia lub istoty tego lub owego narodu, lecz jest wpływem dzisiejszych ogólnych pojęć, stawia się zuchwale jako nauka, jako zasada, i narzuca się ze zdraziecką obłudą, jako nowy niszczący żywioł, pod zasłoną miłości, szlachetności, ludzkości. Właśnie to wyrozumowanie dzisiejsze bezkarności, to stawianie jej jako zasady pełnej szlachetności i wzniosłości, stanowi jej niebezpieczeństwo, jej zgubność, jej nierównie większą szkodliwość od staropolskiej; widocznem tu jest bowiem dążenie równające zatarcia różnicy między złem a dobrem, tem samym wytepienia w korzeniu pojęcia duchowego i religijnego. Kiedy polska bezkarność w miejscu prawa stawiała słabość, nowoczesna w miejscu prawa stawia siłę, tam była, słabość przed prawem, tu jest siła przed prawem. Bezkarność też nowoczesna nie rozbija już tylko polityczny ustroj, lecz podstawy społeczne, ład duchowy i chrześcijański, zacierając pojęcie sprawiedliwości; w gruncie nie tyle w niej jest miłości i litości dla winowajcy, jak nienawiści i złości do samego społeczeństwa i do istniejącego porządku rzeczy, tak w dziedzinie duchowej jak społecznej; jak wielce tem samem, niebezpieczną jest dla nas, nie trudno dostrzedz, grozi ona ostatkom naszego bytu, bo tak dobrze ustrojowi społecznemu, jak podstawie chrześcijańskiej, ma w sobie jak wszystkie plody wolnomyślności dziwną moc rozsadzania nas, a jeżeli staropolska doprowadziła nas do utraty bytu samoistnego, to niewątpliwie nowoczesna najdzielniej przyczynić się może do zguby narodowego. Z wszystkich darów wolnomyślności ten jest jednym z najniebezpieczniejszych, najzdrażliwszych już dla tego samego, że łącząc się z wrodzoną do bezkarności historyczną skłon-

nością naszą i z tak długo przeciw nam stosowaną w Galicyi bezkarnością przez rząd biurokratyczny, wytwarza potrójny a potworny chwast, którego zatrutą wonią niepodobna nam bezkarnie dla naszego zdrowia oddychać.

Wpływ nie całkiem jeszcze wygasły dawnych rządów biurokratycznych, jest tu także widocznym. Pierwszym niewątpliwie apostołem dzisiejszego liberalizmu u nas, była biurokracya austryacka; rzecz godna zastanowienia, że tyle doznawszy złego od niej, tyle przecież od niej przyjęliśmy. Krzewicielem wszystkich zgubnych, fałszywych i skrzywionych wyobrażeń był w Galicyi zastęp urzędniczy. Zgłębiając stan umysłów w Galicyi, zastanawiając się nad usposobieniem tego kraju, wszędzie i zawsze dotrzeć można do złowrogiego wpływu biurokracyi; poskrobać Galicyę a doskrobać się można wyobrażeń, narowów, nalogów i naleciałości przyniesionych przez biurokracyę austryacką i jest to może najgłówniejsza przyczyna zjałowienia galicyjskiego gruntu. Biurokracya przysposobiła nas także do nowoczesnej bezkarności, tylko że jej bezkarność była jedną z najgorszych, najohydniejszych, najpotworniejszych, bo była stronniczą i jednostronną, a przecież okrywającą się już płaszczem ludzkości; jak w całym działaniu biurokracyi tak i w bezkarności przez nią zaprowadzonej, tkwiła nienawiść do wszystkiego co wyższe, nie tylko do wszystkiego co szlacheckie, ale także do wszystkiego co szlachetne, i była ona zemstą, uprawnionym socyalizmem. Przez długie lata sprawiedliwość w Galicyi była bronią w ręku kasty biurokratycznej, aż nareszcie bezkarność znalazła swój ostatni a srogi wyraz w strasznych a na wieki pamiętnych zbrodniczych wypadkach 1846 r., osłoniętych przed karą, niestety zbyt wysoką powagą. Wtedy nie tylko że zbrodni nie karano, wynagradzano ją. — Potem im kto wyżej stał społecznie, tem pewniejszym mógł być, iż wyrządzona mu krzywda ujdzie bezkarnie. Karol II

widząc stawionego pod pręgierz, zapytał za co go karano, a gdy mu powiedziano, że za paszkwil na ministrów, odparł: „Głupiec, czemuż go na mnie nie napi-sał, byłiby go uniewinnili“. W położeniu króla angielskiego znajdowały się przez długie lata u nas wyższe warstwy a bodaj czy i dziś jeszcze w wielu wypadkach nie zwycięża ten duch niechęci i zazdrości, bodaj czy i dziś jeszcze, mianowicie w stosunkach wiejskich nie pojawia się pod kształtem bezkarności stary duch biurokracyi austryackiej. Widzimy więc, że Galicya nie z jednej ale z różnych stron podkopywaną i nurtowaną jest przez prądy bezkarności, a być może, że stąd pochodzi jej niemoc.

W ogólnym układzie świata i spraw ludzkich, nie należy brać w rachubę, kto karę wymierza, to tylko pewna, że bez niej obejść się nie można, że przyjść musi i spełnić swoje posłannictwo, a zaiste nie trudno, nawet bez mistycznych porywów, dostrzedz ścisłego, ba loicznego związku, między naszą dawną bezkarnością i srogimi karami, któremi zostaliśmy ochłostani.

Kto położy tamę szerzącej się znowu głównie w części Polski austryackiej, wszechstronnej bezkarności, kto przeszkodzi rozplenianiu się tego chwastu, pielęgnowanego z kilku naraz stron? Hart ducha publicznego, lub nikt. Tak jest niewątpliwie, bo prądy czasu są silne a my jesteśmy zbyt słabymi i skrepowanymi, aby się im oprzeć, jeżeli nie zdołamy wydobyć z siebie samych siły, któraby posłużyła za tamę szerzącemu się złemu. — Niestety daleko do tego! A tymczasem następstwa nieumiknione bezkarności coraz to zbliżają się do nas i coraz dotkliwiej czuć się nam dają. Niema w tem nic dziwnego, bo jak widzimy, są w naszym społeczeństwie dostateczne powody, aby się ona rozwieliła, gdy z drugiej strony niema żywiołów do skutecznej z nią walki, wszędzie też i we wszystkich stosunkach działa ona rozkła-

dowo na resztki ustroju społecznego, na szczątki naszego ducha publicznego.

Po wsiach czuć się ona daje najdotkliwiej i walczyć z nią wypada zbyt często bezowocnie, we wszystkich kierunkach życia ziemiańskiego, a nawet uczciwy i sprawiedliwy, sprężysty zarząd nie mógł jej ostatecznie zwalczyć. Doskonały jej obraz przedstawia Fredro (syn) w mowie marszałka powiatowego z Obecych żywiołów, a nie pomyliły się, twierdząc, że bezkarność stała się jedną z głównych przyczyn wstrzymania rozwoju i najważniejszą przeszkodą postępu w naszych ziemiańskich stosunkach.

Przechodząc ze wsi do miast, dostrzegamy na każdym kroku zbyt widoczne owoce bezkarności. W znacznej części z jej przyczyny mnożą się pieniądze kłęski. Przestępstwa w tej dziedzinie w skutkach swych nie raz równe zbrodniom, nietylko niszczą kieszenie, ale także zmysł uczciwości, każdej upadłości towarzyszy upadłość sumienia publicznego, a jedna przewyższa drugą niedorzecznością, lekkomyślnością, ohydą. W każdej takiej kłęsce, wszyscy tracą, traci ogół, tracą pojedyncze osoby, traci uczciwość publiczna, tracą jej sprawcy, a jak dotąd, zyskuje jedynie i podnosi zuchwale czoło bezkarność.

W wielu wypadkach w zdumiewający sposób przychodzi jej w pomoc przewlekłość postępowania sądowego. — Tam, gdzie nawet pobłażliwa dzisiejsza opinia publiczna oburza się na winowajcę, przeciąganie sprawy, przedłużanie jej staje się przeciwdziałaniem. Cały kraj zajęty był żywo sprawą Banasia, oburzenie było słuszne i nie małe, przerażenie rzeczywiste, przeszedł rok, kara jeszcze nie była wymierzona, przykład jeszcze nie dany, a przecież ten Banaś strzelał do Boga, a co tylko nie zabił księdza; może właśnie dlatego, że do Boga strzelał a w księdza mierzył.

W innych wypadkach nierównie mniej niezwykłych, niskość kary zdaje się być jej uragowiskiem i cały tok sprawy zamiast potępieniem, staje się poniekąd zachętą dla owych nieszczęśliwych, szukających bądź co bądź ratunku, czy też dla śmiałych, chcących jakąbądź ceną i jakąbądź drogą, choćby przez kryminala dojść do dzisiejszego bożyszcza, do majątku. Byliśmy wreszcie świadkami szału bezkarności, kiedy dla tych, co na kaźń zasłużyli, szukano miejsc w Panteonie narodowym a tak kiedy jedno tylko mogło być zdanie o winie, objawiło się podwójne sumienie społeczeństwa.

Jest rodzaj odrębny zbrodniarzy, dla których dziś zgola kary nie ma, są to zbrodniarze prawni, trzymający się zrećźnie a obłudnie litery ustawy i strzelający z poza niej jak z poza płotu do jednostek i do sprawiedliwości. Ohydny ten gatunek, wszędzie i zawsze istniał, lecz nigdy może tak śmiało i bezczelnie nie wznosił w górę czoła, jak w nowoczesnych czasach, bo dawniej wisiało nad nim potępienie ze strony uczciwych ludzi, a ono miało swoją przygniatającą wagę. Prawny zbrodniarz nietylko wznosi się ponad sprawiedliwość, ale naśmiewa się z niej. Jest to plaga, przeciw której skutecznie działać może tylko sumienie społeczeństwa.

U nas niestety czuć się daje jego brak. — U nas też bezkarność jest wszechstronną i niczem nie krępowaną, staje się zaraźliwą, z dziedziny sprawiedliwości przenosi się w inne. Używa jej dobrodziejstw, niedołęstwo polityczne, które tak rozczulającą a szczególną opieką ogółu cieszy się. Można u nas bezkarnie przepędzić cały żywot w sprawach publicznych nie zdziaławszy nic, nie zrobiwszy nic, nie odznaczywszy się niczem, prócz śmiesznościami i niedorzecznościami! Mierność, nijakość, bezbarwność są warunkami wzbudzającymi zaufanie. Wybrańcy mogą bezkarnie drzemać lata całe na ławach obrad publicznych a powtórne, ba niewyczerpane zaufanie wyborców zapewnia bezkarność

ich nicości. Mierność i niezdarność odpowiadają widocznie najlepiej uzdolnieniu i usposobieniu ogółu; w bezpośrednim też następstwie owej bezkarności, niedołęstwo i niedorzeczność rozwieliły się na niwie galicyjskiej tak, że przed wszelką inną pracą twórczą, trzeba by się zabrać do herkulesowego dzieła wyczyszczenia z nich publicznych stajni i obór.

Największej, bo nieograniczonej bezkarności, używa u nas głupota we wszystkich kierunkach i na wszystkich polach, w polityce, w samorządzie, w gospodarczych sprawach, w szkołach, w literaturze, szczególnie w dziennikarstwie; rozsiada się swobodnie, nawet zuchwale wszędzie i zawsze. Karać głupoty u nas nie tylko że nikt nie śmie, ale nikt nawet nie umie, „kto jest bez winy, niech rzuci na nią kamieniem“, zdaje się być godłem pokolenia. Można u nas popełnić tysiące niedorzeczności, dać sobie świadectwo najpiękniej rozwiniętej nieudolności, przecież być zdolnym do wszystkiego i do wszystkiego powołanym. Niesłychaną też jest w skutku zasłaniającej ją bezkarności, siła niedorzeczności u nas i zaprawdę wobec jej powodzeń sprawiedliwość zakryć musi zasmucone oblicze. W rozbujaniu swem głupota u nas staje się figlarną i zmyślną, i rzecz można, że obdarzona jest pewnym sprytem, tym przynajmniej, który zapewnia powodzenie. Szczęście daje rozum!

Nigdzie jednak niedorzeczność nie stwierdziła się tak zuchwale i nie grasowała i nie grasuje jeszcze tak bezkarnie jak w naszym dziennikarstwie; prawdziwe to pole jej zwycięskich popisów. I przyznać trzeba, że ta bezkarnosc weale nie jest stronnictwą, bez różnicy zasad i przekonań stronnictw i obozów, zasłania ona nieuctwo, niedołęstwo, niezdarność i nudę w dziedzinie publicystyki i dziennikarstwa. Na wszystkie te zbrodnie nie ma u nas kary! Czy w publiczności brak jest zastanowienia, czy sądu, czy odwagi, czy rozumu? Nie wiemy doprawdy, ale to pewna, że niema kraju, w którymby ludzie dali się

truć drukowanemi niedorzecznościami i pozwalali zabijać się drukowanemi nudziarstwami, z taką cierpliwością i dobroduszością. Jestże i tu owa przypisywana nam potrzeba i żądza męczeństwa!? W zadawaniu tych mąk rozumowi i rozsądkowi celowało i celuje wciąż nasze dziennikarstwo postępowo-wolnomysłne. Sadzi się ono na okazy niedorzeczności i pod tym względem doszło do tego stopnia doskonałości, który już w swoim rodzaju jest znakomitością. Niema ono już głupstwa do wydrukowania, każde jest tylko przedrukiem.

Gdyby nie inne, to estetyczny wzgląd, że u nas w obozie zachowawczym nierównie jest przecieź mniej półgłówków i drukowanych niedorzeczności, skłonić musi myślącego człowieka do sprzyjania mu lub należenia do niego. Być może jednak, że obóz ten mniej obfituje w te okazy jedynie dlatego, że jest mniej licznym, bo to pewna, że jeżeli w wolnomysłno-postępowym jest ich nierównie więcej, to w zachowawczym pojawiały się doskonalsze.

Wszędzie papier jest cierpliwym, nigdzie doprawdy do tego stopnia jak u nas. I jakżeż nie ma być cierpliwym, skoro wyrozumiałość publiczności jest bez granic, skoro bezkarność dla drukowanych niedorzeczności jest bezmierną.

Jak nie ma u nas ducha publicznego, któryby karał niegodziwości i nikiemności, tak też nie ma rozumu publicznego, któryby karcil wybryki i niedorzeczności. Bezkarność jest u nas następstwem braku tych dwóch najwyższych sędziów.

Gdyby bezkarność ograniczała się do niedorzeczności i nudów drukowanych, byłoby to ostatecznie rzeczą smaku i przeszlubiśmy do porządku dziennego nad galicyjskim; lecz tak nie jest, pod temi kwiatami tak wonnemi dla Galicyan ukrywa się wąż, żmija i jadowita ropucha, a wielką, niesłychaną i niepojętą jest bezkarność dla tych potworów, dla drukowanych niegodziwo-

ści, lotrostw i nیکczemności, staje się ona powszechną, ogólną, gorszącą, w wysokim stopniu rozstrajającą; niema w naszym społeczeństwie kary na drukowane przestępstwa, niema jej dostatecznej w prawodawstwie niema w wyrokach sądów przysięgłych. Powiedział to już Stanisław Tarnowski w rozprawie *Królowa Opinia*, która, jak ktoś rzekł, była czynem wyjątkowym, czynem odwagi. Wykazał tam oplakaną naszą bezsilność wobec drukowanych potworności i dziennikarskich nیکczemności. Zakończenie głośnej, gorszącej sprawy, między dwoma dziennikarzami, Dobrzańskim i Rogoszem, która natchnęła po części Tarnowskiego, stało się przykładem zuchwalej a wszechstronnej bezkarności. Krzywdzący się wzajemnie, sami sobie darowali wzajemnie winy, sądy nie dociekały ich, królowa opinia, jak to przewidział, Tarnowski przebaczyła je i rozgrzeszyła z nich. Dzienniki tych panów czytała dalej publiczność z równem jak dawniej zajęciem i wiarą, z większem zaciekawieniem, ludzie zaeni zamilkli i nic się nie zmieniło w Galicyi, przybyła tylko jedna galicyjska bezkarnosc więcej. I cóż dziwnego, że społeczeństwo, które do tego stopnia samo szanować się nie umie, ściągalo na siebie coraz większe zniewagi i obelgi i że nie zdołając karać niegodnej i haniebnej publicystyki dostawało bezkarnie policzki, bo zaproszenia na przedpłatę pism, wywieszających czelnie nazwiska, za które wypadaloby się rumienić. Zamiast oburzać się na nią, ogół zdawał się być rozmiłowanym w owych zapasach i igrzyskach, a jak cesarze rzymscy dla zabawy wychowywali i kształcili gladyatorów i dzikie zwierzęta, tak Cezar nasz, publiczność galicyjska, wychowywała i kształciła dla swej rozrywki szermierzy pióra władających potwarzą, obelgą i walczących z sobą każdą inną prócz szlachetną bronią.

Nieszczęsne a gorszące stosunki dziennikarstwa galicyjskiego oddziały najzgubniej na ducha publicznego i uczyniły go niezdolnym do karcenia; cią-

głę obcowanie z nikczemnością i niedorzecznością rozstroiło ogół tem więcej, że u nas pomimo tylu niezręcznych a dowiedzionych nadużyć dziennikarstwa, wierzą jeszcze ślepo w to, co drukowane, a chociaż tak mało czytają, czytają przecież to, co niegodziwe, a to co niegodziwe, byle drukowane, ma wiele u nas powabu i uroku. Dobroduszość do tego stopnia jest posunięta, że publicznie wyrażono zdanie, iż praca dla narodu na tem polu winna zmasać „mimowolne zboczenia młodości“.

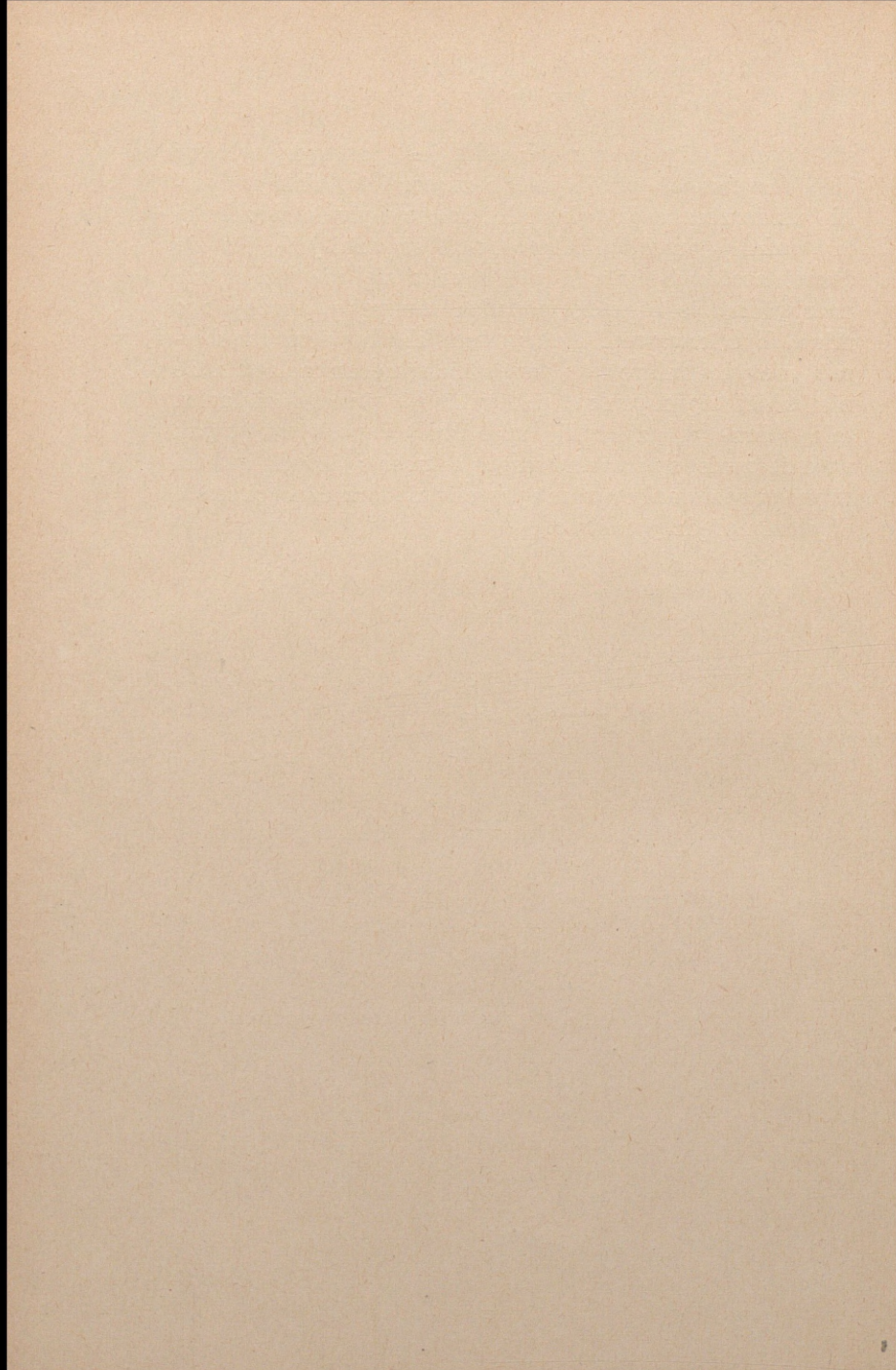
Bezkarność więc w dziedzinie sprawiedliwości tem niebezpieczniejszą jest dla nas, że nie ma u nas poważnej opinii publicznej. Dawniej karcenie z jej strony wynagradzało poniekąd bezkarność urzędową. Dziś i tej sily, zabrakło sprawiedliwości.

Mało mając do stracenia, nie powinniśmy się narażać na znarnowanie resztek mienia. Dozwalając bezkarności rozszerzać się w naszym społeczeństwie, grubą i niebezpieczną rozpoczynamy grę, w której nas lotry i szulery ograją. Nauki, srogie nauki przeszłości nakazują nam wystrzegać się bezkarności, tem więcej, gdy nowoczesna grozi rozsądzeniem tego, co stanowi treść naszego bytu; nie zdołamy w dzisiejszych czasach stawić jej zapory, jeżeli nie wytworzymy sami w sobie silnego, pełnego hartu i mękości ucziwego i poważnego sądu publicznego umiejącego karać. To jedno jest w naszej mocy przeciw tej zarazie. Czy podolamy zadaniu? Nie mamy odwagi zwątpić.

Jaknajgorsze mamy przed sobą przykłady silnych i potężnych. Poblężanie rządów dla stronnictw i sekt głoszących jawnie zamiar zburzenia społeczeństwa i wywrócenia istniejącego porządku rzeczy, jest ostatnim i najwyższym wyrazem bezkarności. — Zezwalanie na szerzenie słowem i pismem, zgromadzeniami, stowarzyszeniami i pochodami nauk i działań socjalistycznych i anarchistycznych, uprawnianie w państwie antypań-

stwowych i antyspołecznych sekt, jest ze strony władzy i społeczeństwa, samobójczą bezkarnością. Jak wszystkie nedorzecznosci, tak i bezkarność wywoła wcześniej czy później przeciwdziałanie tem straszniejsze, im złe dłużej szaleć będzie; a niech nikt się nie dziwi, że uczciwi ludzie ohocho podadzą mu rękę, choćby ono miało być krwawem i okrutnem, złe bowiem przebie-
rać zaczyna miarę we wszystkich kierunkach tak, że nie widzi się ratunku, jak tylko w przeciwdziałaniu, tak dobrze w dziedzinie społecznej i politycznej, jak w dziedzinie sprawiedliwości; a u nas przed innemi w przeciwdziałaniu rozumu przeciw nedorzecznosci, które oby czempędzej nastalo.





GALICYA I JEJ LUDZIE

LISTY DO „GAZETY POLSKIEJ“ W WARSZAWIE.

Dla uniknięcia nieporozumień, nadmienić należy, iż są w tych listach ustępy, które z powodu cenzury rosyjskiej, nie były drukowane w *Gazecie Polskiej*. Umieszczone tu zostały wedle pierwotnego rękopismu.

I.

Kraków, 4 lutego 1875 r.

Chcieliście, ażebym zdawał sprawę z życia tutejszego społeczeństwa; zaległość moja względem was jest już znaczną, spieszę wywiązać się z dawno danego przyrzeczenia, ze skrucą za opóźnienie, na jaką tylko stać dziennikarza, któremu w podobnych razach „wstyd już nie rumieni czoła“.

Zdaje mi się, żeście się nie zawiedli w wyborze miejsca, z którego chcecie mieć wiadomości o życiu i czynach społeczeństwa galicyjskiego. Nie posądzicie mnie, iżbym zapatrywał się na tutejsze sprawy ze stanowiska śmiesznego i politowania godnego a nieustającego współzawodnictwa pomiędzy Lwowem a Krakowem, ale zaprawdę spokojny Kraków jest niezaprzeczenie lepszym miejscem, niż wiecznie rozczochrany Lwów, dla sprawozdawcy, który chce wydobyć z tutejszego zamętu namiętności, pokrzywionych wyobrażeń, zabiegów, walk i burz w szklance wody, przynajmniej przybliżoną, skromną prawdę, jeżeli już nie ową prawdziwą prawdę, o którą Figaro upomina się u Zuzanny. Tę skromną prawdę o tutejszych stosunkach będę się starał przysyłać z Krakowa, a wątpię czy ze Lwowa zdołałbym wam i takiej dostarczyć. Rozmaite są powody tej różnicy dwóch głównych miast tego kraju, które wyjaśnię; jednym wszakże z główniejszych upa-

truję w tem, że Kraków, acz zajmuje się polityką, nierównie mniej politykuje niż Lwów, a że w naszych czasach politykowanie i prawda najzupełniejszy z sobą wzięły rozbrat, im mniej politykowania tem łatwiej o prawdę, i odwrotnie. Gdybym nie obawiał się, że mnie posądzicie o pochlebstwo, dodałbym, że bliskość Warszawy i częstsze z nią stosunki także korzystnie wpływają na Kraków; nareszcie ma on dawniejszą i nierównie lepszą tradycję niż Lwów, który jest wychowawcą biurokracyi austryackiej. Z góry was przestrzegam, że prawda, którą zamierzam wam przesyłać, będzie może czasem zabawną, rzadko wesołą a raczej pocieszającą; nie myślcie jednak, iżby to było skutkiem pesymizmu; wyzywam ludzi zapatrujących się najróżowiej na świat, aby zdołali obecnie napisać ztąd coś wesołego i orzeźwiającego a zgodnego z najskromniejszą prawdą. Lecz nie uprzedzajmy opowiadania!

Jeszcze na pierwszym odrysie spostrzegam schodzącą za ledwie z porządku dziennego sprawę *Porcyi*, slysze ostatnie akordy tej miejscowej opery, raczej kociej muzyki. Co to za nieprzebrana kopalnia dla badacza, ta sprawa *Porcyi*, o której i wy już coś zaslyszeleście, a która przez kilka miesięcy zajmowała wyłącznie tutejsze społeczeństwo! Jest ona dlatego godną uwagi, że bezpośrednio i najdokładniej oświecla tutejsze stosunki. Hr. Stanisław Tarnowski, jeden z prawdziwie tutaj znakomitych ludzi, napisał w miesięcznem piśmie *Przegląd Polski* rozprawę *Porcyę*, w której twierdził, że obywatelstwo w niektórych miejscowościach Galicyi wschodniej, ciągnie za pomocą pożyczek pieniężnych zbyt wielkie z włościan zyski w robociznie. Robocizna ta, wedle słów Tarnowskiego, odrabiana w odsetkach od wypożyczonych przez większych właścicieli pieniędzy włościanom, równać się miała największej lichwie, a zwyczaj ten miał się nazywać „Por-

cyami“. Pojmiecie łatwo do jakich następstw, szczególnie na tutejszym gruncie, podobne układy ostatecznie doprowadziłyby mogły. Okazało się przecieź, że Tarnowski, nie znający dość dobrze wiejskich stosunków, słusznie przerażony przesadnymi i niedokładnymi opowiadaniem, zbyt gorąco, może i trochę nierozważnie podjął tę sprawę, i nadał jej rozmiary, których nie miała. Złe zapewne zaledwie wyjątkowe rozciągnął niemal do ogółu. Oczywiście, że należało, dla prawdy i słuszności, sprostować mylne, lecz w dobrej wierze postawione przez Tarnowskiego twierdzenia. Zamiast uczynić to spokojnie i poważnie, wzięto się do rzeczy namiętnie, obcesowo, gwałtownie, rozpoczęto wicherzenie, bez którego nic tu nie umieją robić, puszczono wodze najgorszym namiętnościom w widocznym celu, nie sprostowania rzeczy, nie wyjaśnienia prawdy, ale dokuczenia Tarnowskiemu, skruszenia jego świetnego pióra i wykolejenia go z życia publicznego.

Z podziwienia godnym spokojem znosił Tarnowski wszystkie te następstwa swojej rozprawy a nawet odwołał i cofnął wszystko, co okazało się rzeczywiście mylnem w niej. Lecz to nic nie pomogło; sposób odwołania, niabyto nie podobał się; powtórne odwołanie ze strony *Przeglądu* także nie zadowolniło — wicherzenie nie ustawało, oświadczenia, zaprzeczenia i obelgi sypały się jak z rogu obfitości, bo nie szło o rzecz, ale o osobę. Mieście raz na zawsze na uwadze, że główną wadą, główną plagą tutejszych stosunków jest, iż nigdy tu nie idzie o rzecz, ale zawsze o osoby. Z wielkiem zdziwieniem widziano, jak najwyższy w kraju urzędnik, przez swój organ *Gazetę Lwowską*, brał czynny udział w tej zaciętej przeciw Tarnowskiemu walce, w której powinien był przed innymi zająć, jeżeli już nie rozjemcze, to przynajmniej neutralne stanowisko. Rzecz dziwna, ale dwa prądy, dwa obozy zawsze sobie w tym kraju przeciwne: pałac namiestnikowski i pałac książąt

Sapiehów, przyłączyły się do działania, prowadzącego ostatecznie do osłabienia i zniszczenia znaczenia człowieka, nie tylko z nieskalaną, ale z pełną zasług przeszłością, publicystę świetnego a niezależnego, słowem znakomitości, jakiej drugiej w pewnym kierunku i w tych warunkach Galicya z pewnością nie posiada. Rzucono obłudnie zarzewie niezgody, twierdząc, że rozprawa Tarnowskiego jest wojną wypowiedzianą wschodniej Galicyi przez zachodnią, dalej, że jest wcieleniem zasady przypisywanej nieodżałowanej pamięci Adamowi Potockiemu, streszczającej się w słowach, których podobno nigdy nie wypowiedział: „pan i chłop“, podburzano wszelkimi środkami namiętności dobrodusznej szlachty i potworek demokracji szlacheckiej, który już tyle złego na tej ziemi narobił a który mając wszystkie wady demokracji, niema żadnej z zalet ani demokracji, ani arystokracji, rozhulał się i rozszalał na dobre w tej sprawie. Widząc te bezużyteczne zapasy i tę niepotrzebną wojnę, a przypatrując się od dość dawna tutejszym stosunkom, niepodobna się wstrzymać od uwagi, o ile by one korzystniej i świetniej stały, gdyby tę siłę, którą rozwinięto z powodu rozprawy Tarnowskiego, zużytkowano od kilkunastu lat dla załatwienia najżywniejszych spraw, które odłogiem leżą. Lecz tutaj umieją silnie działać tylko ujemnie, nigdy dodatnio a rzecz godna uwagi, społeczeństwo tutejsze nie mogąc strawić prawdziwie znakomitych ludzi, wyrzuca ich z siebie po kolei, karmiąc się miernościami i tuzinkowymi osobistościami. To, co dziś widzimy z powodu Tarnowskiego, niejednokrotnie już się zdarzyło, a mianowicie gdy europejska znakomitość, słynny współpracownik *Revue des deux Mondes*, Julian Klaczko, osiadł tutaj. Wtedy także nie umiano czy nie chciano, należytego zrobić mu miejsca; gdy go przedstawiono na członka Akademii, niektórzy pytali: czy i co po polsku napisał? i dopóty kluto go szpilkami, dopóki

nie przeniósł Paryża nad słodczye życia tutejszego. Tarnowski zblądził, sam to przyznał, lecz gdyby nawet wina jego była stokrotnie większą, niż nią jest rzeczywiście, czyż nie było rzeczą rozumnego i pojmującego własne dobro społeczeństwa, nie sponiewierać człowieka tych zdolności i tego znaczenia! Tu przeciwnie uchwycono w lot sposobność, aby się go pozbyć, jeżeli się uda. Zatrzymałem się dłużej nad tą sprawą dlatego, że jest niestety, najdokładniej przybudowanym krążgankiem do gmachu, po którym mam was prowadzać.

Proces w Wiedniu Offenheima, przedsiębiorcy kolei czerniowieckiej, zbyt dotyczy tutejszych stosunków; zbyt wiele osób, i to wysoko położonych z tego kraju, wmięszanych jest do niego, aby nie zajmował unysłów i nie był przedmiotem rozmów. Proces ten głębokie robi tu wrażenie, a najzgubniej rozkładowo oddziaływa na tutejsze społeczeństwo. Uczciwi ludzie z boleścią w sercu starają się jak najmniej o nim mówić, szczególnie pisać. Dla innych, mianowicie dla paszkwiliistów i kondotierów pióra jest on nieprzebraną kopalnią zgorzeń i osobistych zaczepiek, z której wydobywają nie szlachetne kruszce, lecz stosy błota. Trudno dotąd rozpoznać się w tym ogromnym procesie, w którym oskarżony jak Tytan olbrzymich przedsiębiorstw dzisiejszych, broni się i walczy z sądem i prokuratorem. To jednak pewna, że jakikolwiek będzie skutek, sprawa kolei czerniowieckiej pozostanie zawsze złą, dla tej prostej przyczyny, że jej przedsiębiorcy i naczelnicy podzielili się znacznymi zyskami, kiedy jednocześnie kolej ta wadliwie i niedokładnie zbudowaną została; jest to zdaniem mojem główna strona sprawy i czarna. Ale znowu obwiniać tych panów o każdy zysk lub chęć zysku w przedsiębiorstwie tego rodzaju, jest po prostu dziecinstwem i zbyt zagorzałym ocknieniem się sumienia, aby ono mogło mieć rzeczywistą wartość.

Wprawdzie ktoś dowcipniej niż słusznie powiedział, „że wiedziano, iż nieraz dla załatwienia sprawy trzeba przekupywać, lecz nie wiedziano, żeby trzeba było dawać się przekupywać“. Pomimo jednak zaczepki i paszkwilów, któremi stronicze i niesumennie pisma tutejsze obrzucają znacznych i znanych ludzi w kraju wplątanych w sprawę Offenheima, nie ulega wątpliwości, że wogóle ich zeznania jako świadków zrobiły względnie dobre wrażenie nie tylko na tutejszych nieuprzedzonych umysłach, także w Wiedniu. Mianowicie księżę Leon Sapielha, o którego oczywiście głównie tu idzie i iść musi, z wielkim rozumem, z prostotą i stanowczością wytłómaczył przed sądem postępowanie swoje, a w Galicyi równie jak w Wiedniu zeznania jego zyskały ogólne uznanie. Kiedyś, może będę mógł wam wskazać o ile w tej sprawie było wmięszanych osobistych nienawiści i osobistej zemsty, i o ile szło właśnie o to, aby powalić, a przynajmniej skalać takiego męża jak księżę Leon Sapielha. Czy to było mądrze i roztropnie? Sami osądźcie. Czy uczciwie? Śmiem stanowczo powiedzieć, że nie. Chcieć przeistoczyć usterki w zbrodni, a za łada niepowodzeniem mazać całą zasłużoną i arcyużyteczną przeszłość i niszczyć wielkie stanowisko, może być dziełem tylko złych i poziomych namiętności.

Przejdźmy chociaż na chwilę z dusznego powietrza piątecznego do dziedziny sztuki. Tu oczywiście, na pierwszym odrzynie przedstawia się nam „Zawieszenie dzwonu Zygmunrowskiego“ Matejki. Znajdował się on tutaj przez kilkanaście dni na wystawie, teraz jest w Wiedniu. Mniejszy od zwykłych obrazów Matejki, ma wiele piękności, lecz w mojem przekonaniu nie stanowi postępu w zawodzie znakomitego artysty, a to dla tego, że nie uniknął w nim błędów, które mu słusznie zarzucają i wytykają znawcy. Pięknem, ale tą pięknoscia, która wyzywa wszelką naganę, jest grono robotników

wydobywających dzwon z ziemi; jest tu muszkularna siła Rubensa połączona z ogniem i samorodną potęgą tworów Matejki; wszystkie te postacie żyją, czują, myślą, pracują, wysilają się, pocą się; wszystko to, że tak powiem, pali się. Błądu nie dostrzeżesz tutaj. Środkowe postacie są piękne, przepysznie malowane, lecz ich znaczenie niejasne, nieco zagadkowe i względnej wartości. Grono naprzeciw robotników, to dwór patrzący się na poświęcenie i wzniesienie dzwonu; olśniewa blaskiem, świetnością, głównie przepychem strojów, owym przepychem, którego tajemnicę posiada dziś chyba w najwyższym stopniu Matejko, co dało powód do twierdzenia: „iż jest najpierwszym krawcem naszych czasów“. Lecz tego wszystkiego jest zawiele w tym gronie, zawiele blasku, zawiele osób natłoczonych i cisnących się — *il y a du trop*, a tem samem brak nieco dobrego smaku. Między postaciami obrazu jak zwykle portrety osób żyjących; burmistrz ówczesny, to dzisiejszy prezydent Zyblikiewicz, Bona, to żona artysty, powtarzająca się prawie w każdym jego obrazie; między środkowymi postaciami widzimy portret zdolnego rzeźbiarza Gujskiego. Król Zygmunt bardzo majestatyczny, pełen spokoju i królewskiej godności, coś wyższego górującego w całej postawie, aczkolwiek rysy twarzy więcej patryarchalne niż arystokratyczne. Ale przy tych pięknościach, niestety! błędy i to te, które poza Galicyą tak szkodzą Matejce, które w Wiedniu podczas wystawy w zdumienie wprowadzały znawców, w połączeniu z objawami tak potężnego talentu. I tu ciasno i duszno, a dla czego, skoro rzecz dzieje się na świeżem powietrzu? Lekceważenie najzupełniejsze perspektywy; zamek przyklepiony jest do pierwszego odrysu, a jakaś wieża, podobno „kurza stopa“, zawadza o baldachim, pod którym siedzi królowa. U stóp tronu jest pazik, trzymający dwa prześliczne pieski ulubieńce królowej, ale gdyby wstał, byłby potwornym,

wyglądałby jak na szczudłach. W całym obrazie widoczny brak wpatrzenia się w wielkie wzory! Stańczyk rozwalony na stopniach tronu z gołemi kolanami, jest w najwyższym stopniu nie estetycznym i jest uosobieniem błędu, który nazwę bezmyślną myślą; widocznie ma coś znaczyć, rzeczywiście nic nie znaczy, i niepodobna odgadnąć co miał znaczyć.

W chwili gdy się ukazał ten nowy utwór Matejki, zbierają się składki na zakupno innego obrazu, prawdziwie pięknego *Unij* dla podwoi sejmowych we Lwowie. Dwa komitety, jeden we Lwowie, drugi w Krakowie, ten ostatni pod przewodnictwem burmistrza Zyblikiewicza, zajmują się tą sprawą. Dotąd najwięcej dał hr. Artur Potocki, który już przy wstępie do życia zdaje się chcieć iść za pięknym przykładem zostawionym mu przez niewygasłej nigdy pamięci ojca Adama Potockiego.

W teatrze dwie nowości: *Żyd* Asnyka, *La belle au bois dormant* Feuilleta, przetłómaczona przez Sarneckiego pod tytułem: *Dwa światy*, i powodzenie, nie tyle może dramatu *Hrabina de Somerive*, jak raczej benefisu panny Wandy Urbanowicz, której talent i sprytna gra, ma tu między znawcami wielu zwolenników. *Żyd* Asnyka w ogniowej próbie przedstawienia, przeszedł najróżowsze nadzieje, zadał kłami czarnym przewidywaniom, aczkolwiek sam jest czarny jak atrament, żeby nie powiedzieć jak piekło, co też jest jego największą wadą. Ktoś go określił „jako rzecz niepopolitą a nieudaną“. Pomimo tego trzyma się desek i zajmuje. Prawda, że gra Feliksa Bandy w tytułowej roli jest jednym z głównych żywiołów tego zajęcia; poprawny ten artysta przewyższa tu swój talent. Słyszałem, że *Żyd* ma się ukazać w waszym dzienniku, powinszować by wam można tego nabytku; rzecz to bowiem godna głębszego zastanowienia i pobudzająca do niego. Co tylko nie zapomniałem o największem

chwilowem powodzeniu teatralnem, o *Kapeluszu słomianym* (*Le chapeau de paille d'Italie*); zapelnia on od kilku dni teatr od góry do dołu; krotofila to w całym tego słowa znaczeniu, ale najzupełniej udana, a na którą wszyscy młodzi i starzy, rozumni i mniej obdarzeni od przyrody, tłumnie spieszą; widziałem nawet Lucyana Siemieńskiego, który ręczę, że na *Andromace* nie był. Komisya konkursowa miała już pięć posiedzeń i zakończyła przedwstępne prace, to jest oznaczenie utworów, które warte są wspólnego głośnego czytania; znalazła ich przecież jedenaście; tylko te jedenaście ubiegać się mogą o liczne tegoroczne nagrody, z doświadczenia jednak lat poprzednich wiem, że i między temi jedenastoma powołanemi nie wszystkie będą wybranemi. Po za konkursem znany i u was a wielce tu lubiony i ceniony Bartels, napisał jednoaktową komedję, którą ucza się już artyści.

Balów, szczególnie w tak zwanem towarzystwie krakowskiem, prawie całkiem nie ma w tym roku; za ledwie wieczorki tańczące, z których najzabawniejsze niedzielne u młodej a pełnej wdzięku gospodyni, niedawno dla Krakowa nabytej. Jak zwykle o tej porze, jeden lub dwa publiczne bale co tydzień na różne dobroczynne cele, niektóre z nich liczne, inne mniej, wszystkie nie tak świetne jak przed dwoma laty, to jest przed głośną pieniężną klęską, która ciąży jeszcze jak zmora na całej monarchii, a w Wiedniu podobno bardziej niż w krajach koronnych. Bohaterem, lub jeżeli wolicie lwem tegorocznym salonów, jest prezydent Zyplikiewicz; dzielny burmistrz, nietylko przewodniczy radzie miejskiej, ale także na zabawach i w towarzystwach, nietylko, że bierze się do asfaltowania miasta i odbudowania Sukiennic, ale także usiłuje ożywić towarzyskie życie krakowskie, a sam daje najlepszy przykład wieczorami poniedziałkowemi, na które wszyscy tłumnie spieszą. O tych wieczorach rozpiszę się później.

Towarzystwo zaś tutejsze otacza zacnego prezydenta wielką przychylnością, a wszystkie znaczniejsze domy dają dla niego obiady. Słyszę o wielkim kuliku, gotującym się na ostatni wtorek, mającym zajechać na Szlak, to jest do dawnego pałacyku hr. Leona Rzewuskiego, nabytego w tym roku przez hr. Stanisława Tarnowskiego, w którym chwilowo mieszka księżna Marcelina Czartoryska. Wogóle liczne żałoby stanęły na przeszkodzie zabawom w tutejszym świecie; najpierw śmierć hr. Andrzeja Zamoyskiego, teraz znowu śmierć Pani Kisieleff, córki Szczęsnego Potockiego i Greczynki; ta ostatnia boleśnie dotknęła w przededniu zapust nie tylko krewnych, ale i licznych tutejszych przyjaciół tej pani, która była tak znaną i malowniczą postacią europejską; miała ona urok wielkiej pani w prawdziwym tego słowa znaczeniu, bo nieodłącznym od rozumnej kobiety. Krewni i przyjaciele odprawili w kościele OO. Kapucynów nabożeństwo za jej duszę, na którym całe wyższe towarzystwo znajdowało się. Śmierć wyrwała także milego, często złośliwie dowcipnego Leona Skorupkę; było to dziecko Krakowa, zarazem człowiek europejskiego wykształcenia i obejścia; miał wady i przymioty Krakowianina, lecz pierwsze sam umiał nielitościwie wyśmiewać.

II.

Kraków, 15 lutego 1575 r.

Mniej może niż w Wiedniu, lecz i tu obudziła zajęcie wiadomość o przeniesieniu z pułku artylleryi stojącego w Temeswarze, do pułku piechoty Wilhelma stojącego w Krakowie, arcyksięcia Jana Salwatora ¹⁾;

¹⁾ Znany później z przygód Jan Orth.

jestto bowiem wypadek nietylko miejscowy, ale mający ogólniejsze znaczenie. Arcyksiążę ten jest synem Wielkiego Księcia Toskańskiego, znany jest w Galicyi, gdyż dłuższy czas stał na kwaterze we Lwowie. Młody, bo liczący lat dwadzieścia trzy, bystrego pojęcia, niezależnego usposobienia, umie wzbudzać zajęcie i nadzieje na przyszłość; odznaczył się zaś świetnymi egzaminami. Przed rokiem przeniesiono go ze Lwowa do Temeswaru, wskutek zatargów z głównodowodzącym hr. Neuperkiem. Opowiadają z owych czasów, że hr. Neuperg, który ma być nader przykrym dla podwładnych, nie oszczędzał wcale młodego Arcyksięcia podczas ćwiczeń; Arcyksiążę zaś mścił się bardzo grzecznie, bo nader częstemi odwiedzinami generała. Wiadomem jest, że etykieta nakazuje, aby za przybyciem i odjazdem członka domu panującego, gospodarz witał go i żegnał u ostatnich stopni schodów; ile razy więc arcyksiążę dostał burę na mustrze, tyle razy śpieszył w odwiedzinę do hr. Neuperga, i nie zwalniał go wcale z obowiązków gospodarza, a to, aby zrównoważyć służbową surowość, przy musową grzecznością etykiety. Obecnie ukazała się, wprawdzie bezimienna, ale niewątpliwie pióra Arcyksięcia rozprawa ganiąca surowo, nawet szydząca z dowództwa i całego zarządu artylleryi w Austryi; rozprawa ta zawiera przytem ustęp treści politycznej, w którym, mówiąc o jedynie możliwych dla monarchii przymierzach, piszący dowodzi, że sojusz z państwem stworzonym przez księcia Bismarcka jest niemożliwym, i że raczej należy Austryi gotować się do wojny z niem, a szukać w innej stronie sprzymierzeńca. Pojmiecie jakie wrażenie zrobiła ta rozprawa; jest ono ogólnem, i przez tydzień tym wypadkiem zajmowano się przeważnie w Wiedniu i w krajach koronnych. Grom po gromie uderzał z Berlina w autora rozprawy, hałas, krzyk, jednym słowem zgorszenie było wielkie. Nareszcie rozporządzeniem cesarskiem przeniesiono Arcyksię-

cia z artyleryi do pułku piechoty stojącego w Krakowie, lecz półurzędownie położono szczególny nacisk na to, że nie za ustęp polityczny w rozprawie, ale za naganę dowódców artylleryi, która w zbyt trudnem położeniu postawiła Arcyksięcia względem przełożonych. O ile mi są znane stosunki wiedeńskie, to rzeczywiście ustęp polityczny nie mógł złego zrobić wrażenia na tym, który ostateczne miał w tej sprawie wypowiedzieć słowo, przeciwnie; aczkolwiek bardzo być może, że chwilowe względy dyplomatyczne a może parlamentarne, zmusiły do pozornej względem autora niełaski. Uderzającym jest jednak, iż ta niełaska czy też kara, dosięgła dostojnego publicystę dopiero po ukazaniu się drugiego wydania rozprawy. Będzie więc Kraków miał Arcyksięcia, i to potomka tyłu bohaterów, ulubieńca zwycięzcy z pod Custozzy, młodego, rozumnego, usposobienia niezależnego, a nie zginającego czoła przed ks. Bismarckiem! Są to na dzisiaj jak najlepsze warunki powodzenia tutaj. Zapewne, gdy Arcyksięże przybędzie, gdyż obecnie znajduje się na wodach hiszpańskich, zawiąże stosunki z towarzystwem, a to tem łatwiej, że już należy do niego, i bardzo mile jest tu widzianym generał ks. Ludwik Windischgrätz, który także przeniesionym tu został z Pragi, i wraz z młodą małżonką trzymają dom otwarty.

Wiadomość ta zesłała się z ostatnimi dniami zapust, które były huczniejszymi od poprzednich. Nim wspomnę o balach tutejszych, nadmienić muszę o danym przez ministra Ziemiałkowskiego w Wiedniu; znajdowali się na nim wszyscy ministrowie, posłowie galicyjscy i inne znane w stolicy osoby; ten nieco mięszany świat miał się dobrze bawić, a ogólne zajęcie obudził mazur prowadzony przez pana Leona Chrzanowskiego i gospodynię. Bal taki należy niejako do przywilejów pana ministra bez teki galicyjskiego, a tem łatwiej przyszło mu go dać, że podobno obecnie nie zbyt jest

zajęty, ani obarczony sprawami publicznymi. Przytaczają z tego powodu dowcipne odezwanie się ministra spraw wewnętrznych Lassera. Gdy się uskarżał na wydatki i trudności uporządkowania budżetu, ktoś poradził mu, jak zwykle, oszczędności. „Ależ jakie?“ zapytał minister. — „Znieście posadę Ziemiałkowskiego, przecież on nic nie robi“. — Na co Lasser dał odpowiedź, którą muszę przytoczyć po niemiecku, gdyż w tłumaczeniu zbyt wiele traci. *Das ist wahr, aber er macht die Polen confus, und das ist doch zwölf Tausend Gulden werth* ¹⁾.

Floryan Ziemiałkowski, Minister bez teki z Galicyi, Excelencya, Tajny Radca, Poseł na Sejm, żart na bok, jest znakomitością i między ludźmi tutejszymi, jednym z tych, przed którymi przejść nie można, nie zatrzymując się; pierwszy u nas dzwonił na erę konstytucyjną i głosił ludowi jej ewangelię. Apostoł, który rozpoczął w katakombach a zasiada w kuryi! Pierwszym ministrem z Galicyi był Kazimierz Grocholski, drugim Floryan Ziemiałkowski. Niby dwa bieguny choć nie na dwóch słońcach dwa przeciwne bogi!

Nie łatwym jest zadanie przedstawić trafnie Ziemiałkowskiego już z powodu obfitości czynów i działalności człowieka, niemniej jego zawilej istoty.

Floryan Ziemiałkowski kształcił się we Lwowie; po ukończeniu nauk prawnych i otrzymaniu stopnia doktora praw, poświęcił się zawodowi adwokackiemu. Między 1834—1836 należał wraz z wielu innymi mianowicie Smolką do spisku tak zwanego wojskowego, który miał na celu powstanie dla wyswobodzenia Polski. Były to pierwsze jego kroki w życiu publicznem. Zaczął w najmłodszych latach od spiskowania dla ojczyzny i wolności.

¹⁾ „To prawda, ale jego obecność w ministryum bałamuci Polaków a to warte jest przecież dwanaście tysięcy reńskich rocznie“.

Młodość mistrzu jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały,
Choć przemija sama szparko, cios jej dluta wiecznotrwały!

powiedział Zygmunt Krasiński! Ziemiałkowski skazany został wraz ze Smolką na śmierć. Karę zmieniono na długoletnie więzienie. Aureola męczeństwa otoczyła tych dwóch mężów, zyskali odrazu sławę patryotów wobec swoich, urok obrońców wolności wobec obcych, stali się obaj hasłami.

Jedni ich nie pochwalali, drudzy ich uwielbiali, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że byli to ludzie istotnej wartości, zdolni poświęcenia dla myśli, przechowujący w piersi miłość narodu i ludzkiej przyszłości. Złączeni ścisłą przyjaźnią, zbiorową budzili nadzieję i nikt nie odłączał jednego od drugiego, razem stanowili siłę. Niedługo na siebie kazala czekać przewidywana przyszłość. Wypadki 1848 roku, rozszerzając się aż do naszego kraju, musiały wprowadzić na widownię Ziemiałkowskiego i Smolkę. Znane jest piękne, znaczące i zacne stanowisko zajęte przez Franciszka Smolkę, przyniosło ono zaszczyt i chlubę polskiemu nazwisku. Niemniej ważnem i czynnem było postępowanie przyjaciela jego Floryana Ziemiałkowskiego. Należał do poselstwa polskiego, wysłanego do Wiednia, następnie wybrany został do Reichstagu, który obradował w stolicy monarchii a po rewolucyi październikowej w Kromieryżu. Wobec ruchu ówczesnego i ludzi ówczesnych, otaczał go urok męczeństwa za sprawę wolności ludów, które górowało nad poświęceniem się dla Polski; łączyło tych ludzi z nim jakieś przecucie, że w tym patryocie polskim jest szermierz ogólnej wolności ludów, której pozostanie wiernym, choćby się przeistoczyła miała kiedyś w miejscową wolnomysłność. Ziemiałkowski kochał swój kraj i szczerze był od najmłodszych lat do niego przywiązany; należał nawet do tych wyjątkowych Galicyan, co poza granice rozbiorowe sięgali wzrokiem, uczuciem, nadzieją i głębszą myślą; ale był przesiąknięty może

więcej niż przekonany nauką, że Polska powstać może tylko wskutek wyswobodzenia, za pomocą przewrotów, wszystkich ludów od słupów Herkulesa do Uralu; nie chciał innego odrodzenia własnej ojczyzny, a pragnął może w tej myśli użyć ją za stopień, po którym dojść można było do wyżyn, na których wyswabadzając ludzkość, tem samem wskrzeszało się Polskę! Kiedy w r. 1848 Nieustający Komitet bezpieczeństwa w Wiedniu wysłał swojego członka Stobnickiego do pałacego się z tyłu arsenału, przed barykadą zamykającą ulicę, przyłączyli się do niego Ziemiałkowski i Kudlicz, i mimo iż już leżał pod ścianą zastrzelony parlamentar, nie dali się od zamiaru odwieść. Gdy przeszli przez barykadę i posunęli się naprzód sypnięto od arsenału przeciągłym ogniem karabinowym. Dwóch ludzi niosących przy oświetleniu pochodni białą chorągiew, padło. Żywi cofnęli się. Stobnicki dostał nieforemnym kawałkiem ołowiu w lewe udo, Ziemiałkowski kontuzją odbitej od muru kuli karabinowej, Kudlicz wyszedł wapnem zasypany. W arsenale znajdowali się i strzelali ztamtąd ochotnicy walk ulicznych, podobno przeważnie Madziarzy. Już w tym czasie Ziemiałkowski zabłysnął jako pierwszorzędny mówca. Ale niebawem zmieniła się postać rzeczy i wypadki 1848 r. stały się dla ich koryfeuszów jednorazową, niemniej bolesną męką Tantalą; w chwili, w której już, już mieli zerwać owoc i spragnione usta odświeżyć, znikł on z ich oczów jak mara, jak zły sen, jak okrutny żart. Musiał dotkliwie Ziemiałkowski uczuć ten zawód, ale z uporem woli i wytrwałością, które go znamionują, a które są wielkimi w polityce zaletami, powiedział sobie: co się odwlecze, to nie uciecze! Po zamknięciu i rozwiązaniu Reichstagu, został pod eskortą wywieziony do Meranu, gdzie był osadzony. A więc znowu więzienie, znowu policya i prześladowanie! Któż mógł wtedy przypuścić, że były to szczeble do godności i za-

szczytów, któż mógł w prostocie ducha odgadnąć, że największe otrzyma, kto najsurowiej będzie karanym i że więzienie 1836 roku i osadzenie w r. 1849, doprowadzą Ziemiałkowskiego do przedlitawskiej rady korony, kiedy jednocześnie szubienica *in effigiae* zawieszć miała hr. Andrassego na miejsce ks. Metternicha! Tego źródła wtedy nawet największe pragnienie odkryć nie mogło.

Ziemiałkowski powrócił do Lwowa.

Mniej huczny, z mniejszym loskotem rozpoczął się okres odrodzenia Galicyi. Po burzach, trwała nastąpiła pogoda. Już nie urok może trochę sztuczny, ale istotne zalety politycznego człowieka, naznaczyły w nim pierwszorzędne i bardzo znaczące miejsce Ziemiałkowskiemu. Od 1861 r. jest członkiem Sejmu z małą wyjątkowo przerwą. Wybrany po raz pierwszy z miasta Lwowa wraz z hr. Gołuchowskim, Smolką i Dubsem. Zaraz podczas pierwszej sesyi powiedział piękną, doniosłą mowę, w której poruszył i świetnie rozwinął sprawę chłopskiego socyalizmu, zawartą w słowach *lisy i pasowyska* i stanął w obronie własności i zasad dodatnich, a po mistrzowsku rozróżnił i odłączył sprawę wolności od wywrotów i żądz społecznych. Wzbudził do siebie tą mową zaufanie tych, którzy mu nie dowierzali, złożył dowód szerokich poglądów i stał się dla wielu mniej strasznym, chociaż może w przekonaniu innych pozostał jeszcze niebezpiecznym. Posłował do Sejmu z miasta Lwowa aż do r. 1869, w którym wobec pamiętnego zgromadzenia wyborczego w dziedzińcu ratuszowym zdawał wraz z hr. Gołuchowskim, który nie chciał przed ludem nakryć głowy pomimo deszczu, sprawę z swoich czynności poselskich, poczem złożył poselstwo. Przy ponownym z tego powodu wyborze posłów ze Lwowa, nie został do Sejmu wybranym i nie brał udziału w sesyi jesiennej 1869 r. Pamiętnem pozostało z tego powodu powiedzenie jego żony: „co mi to za Sejm bez Ziemiał-

kowskiego!⁴ Była to rzeczywiście jedyna sesja między rokiem 1861--79, podczas której nie zasiadał; wymowny dowód zmienności królowej opinii, zřęcznie podburzonej przez jej nowych ulubieńców. Nielaska nie długo trwała i w roku 1870 przy ogólnych wyborach do Sejmu, Lwów wybrał go wraz ze Smolką, Dąbrowskim i Fränklem i stolicę przedstawiał na Sejmie do 1876 roku, lecz nie posłował już z Sejmu do Rady państwa. Dopiero po zaprowadzeniu bezpośrednich wyborów wybranym został w r. 1873 z okręgu gmin miejskich Żywiec-Biała. Do Sejmu wybierany bywał także z innych okręgów mianowicie z większej własności. Szlachta bowiem przekonała się, że ten zapamiętały liberal i straszny demokrat nie jest tak niebezpiecznym, jak z początku miemano, a stronnictwo krakowskie, nawet Stańczyki popierali go wytrwale i nie bez poświęcenia, nie zważając na to, iż jego dzienniki i przyboczna straż, nie zawsze im się wywdzięczały.

Giętkim umie on być, a zarazem musiano w kraju wysoko cenić jego dodatnie strony, skoro kierownicy *Przeglądu Polskiego*, tego stańczykowskiego *Przeglądu*, co nim w postępowych i wolnomysłnych domach niańki straszą niegrzeczne dzieci, powierzyli napisanie pierwszego wstępnego słowa zapamiętałe wolnomysłnemu i nieubłaganemu demokracie Floryanowi Ziemiałkowskiemu. I rzeczywiście pierwsze kartki *Przeglądu Polskiego* podpisane są tem nazwiskiem, a dziś odczytując je, przyznać trzeba, że nie można było nic uczciwszego, mędrszego i patryotyczniejszego powiedzieć o zadaniach i przyszłości Galicyi. Świadczy to, że nad straszneni niby współzawodnictwami i sprzecznościami galicyjskimi górowało i góruje zawsze jedno, jedyne, wielkie i silne uczucie polskie, że w niem spotkali się Floryan Ziemiałkowski i założyciele *Przeglądu Polskiego*, i że ono było między nimi spójnią tak silną, że pozwoliło wznieść

się nad odcienia a nawet znaczne może w wielu sprawach różnice zdań i przekonań.

W ogólnych poglądach i kiedy wzbijał się nad miejscowe marności Ziemiałkowski, ożywiony był zawsze i wszędzie tą myślą polską, która w północnym niebezpiecznym dla Austrii sąsiedzie, upatrywała głównego wroga. Całe jego działanie było ostatecznie tą myślą natchnione i nią się kierował. Jest ona niezaprzeczenie kluczem do wielu jego czynów może i nieczynów, a mniemam, że i do wielu niewytłomaczonych dotąd zagadek.

Ztąd także jego znane a upoczywie zajmowane stanowisko wobec sprawy ruskiej, zwichniętej i przemienionej w szkodliwą i groźną przez Świętojureców.

Na pierwszej sesji sejmowej w 1861 r. wybrany był do Wydziału krajowego wraz z Kraińskim, Smarzewskim i innymi. Był to najświetniejszy okres Wydziału. W 1867 r. był w Sejmie sprawozdawcą komisji wnoszącej adres, następnie cofającej go. Główny wtedy twórca uchwały 2-go marca, przechylił szalę za obsyłaniem Rady Państwa. Urządził przedstawienie polsko-węgierskie, podczas gdy kierownictwa podjął się hr. Gołuchowski. Po raz pierwszy wśród wyraźnie odrysowanego współzawodnictwa on i Zyblikiewicz poszli w jednym kierunku, obaj powodowani przekonaniem o niezbędności tego kroku z tą różnicą, że odpowiadał on wyobrażeniom, skłonnościom i nawyknieniom, może i nadziejom pierwszego, a dla drugiego był tylko złem koniecznym i nieuniknionem wobec stanu kraju i położenia ówczesnego monarchii. Obaj wybrani zostali do Rady Państwa.

Uchwała 2 marca, mocą której Sejm miał obesać Radę Państwa powstającą w duchu centralistyczno-wolnomyślnym i na podstawie dualizmu, stała się dla Ziemiałkowskiego podstawą działania; oparty o nią i dokonywując obrotów ze znaną zręcznością i biegłością, stworzył w Sejmie swoje osobiste stronnictwo głośne i znane pod

nazwą Mameluków; wierne zagorzale dowódcy, lecz które jak Goplana rozplynęło się w powietrzu ministeryalno-beztecznem. Stracił wtedy drogocenną polityczną przyjaźń Smolki, w zamian pozyskał mniej brylantowe poparcie *Dziennika Polskiego*. Oby nie był nigdy szukał po stracie przyjaźni Smolki tej smutnej pociechy! W Sejmie Ziemiałkowski odznaczał się płodnem działaniem, czynnością, pracą i wprawą w parlamentaryzmie, znamionującą jego kapłana.

Zostawszy ministrem, nie brał już czynnego udziału w obradach Sejmu, który stracił jednego z najzdolniejszych swoich pracowników. — W Radzie Państwa działanie Ziemiałkowskiego było nierównie jeszcze donioślejsze i ważniejsze. W r. 1867 po zebraniu się Izby w pierwszych dniach maja, mianowany był przez Cesarza wiceprezesem, gdyż dopiero od rewizyi konstytucyi w tymże roku Izba wybiera sama swoje prezydium. Przez Koło Polskie wybranym był prezesem i sprawował tę godność 1867—1868. Należał do komisji konstytucyjnej wraz z czterema innymi Polakami, która poprawiała konstytucyę i tam przeważyły dawne z młodości nawyknięcia i zapatrywania. Układał ustawy zasadnicze i do ich przyjęcia na świat znacznie się przyczynił; zostały one potwierdzone przez koronę i ogłoszone w grudniu 1867 r. Koło polskie głosowało przeciw nim. Przy uchwaleniu w tym roku adresu do cesarza przy końcu maja, brał udział wraz z Adamem Potockim i Krzeczunowiczem w układach z baronem Beustem i hr. Andrassym o ustępstwa narodowe dla Galicyi. Przyrzeczono wtedy potwierdzenie ustawy sejmowej o języku polskim w szkołach oraz wydanie rozporządzenia stanowiącego o Radzie szkolnej krajowej i zakresie jej działania; przyrzeczenie to spełniono. W pamiętnym tym r. 1867 Ziemiałkowski wybrany został z Rady państwa do pierwszej komisji ugodowej z Węgrami czyli regnikolarnej wraz

z Adamem Potockim. Wybrany do pierwszej i następnych Delegacyj wspólnych, zasiadał w ich komisjach budżetowych w latach 1868 i 1869. W roku 1868 miał znakomitą mowę, tłumaczącą, dlaczego Polacy głosują za siłą zbrojną Austrii, chcąc utrzymać znaczenie monarchii na zewnątrz i tu zaznaczył wyraźnie swój kierunek w wielkich sprawach i zadaniach, kierunek przedewszystkiem antipanslawistyczny.

W roku 1863, jak we wszystkich ważniejszych chwilach życia publicznego, Ziemiałkowski brał wpływowy i przeważny w wypadkach udział. Po rozszerzeniu się powstania i wobec wmięszania się dyplomatycznego mocarstw, wraz z innymi patriotami, popierał powstanie z Galicyi i był wciąż czynnym; wskutek tego uwięziony wraz z wieloma, skazany był na długoletnie więzienie; uwolniony zaś został wskutek powszechnego ulaskawienia.

Ziemiałkowski piastował przez dłuższy czas urząd prezydenta miasta Lwowa aż do chwili, w której wezwany został do rządu w 1872 r. w maju, jako minister bez teki z Galicyi w gabinecie ks. Auersperga. Powołanie nastąpiło po spełnieniu układów z hr. Ludwikiem Wodzickim, a Ziemiałkowskiemu towarzyszyły życzenia wszystkich rozumnych ludzi i prawdziwych patriotów, oraz nadzieje przywiązane do tak ważnego świeżo zdobytego stanowiska ministra z Galicyi, tem większe, że zając je miał człowiek politycznie niepospolity, znający zarówno kraj i monarchię. Dowcipy i żarty nieuniknione, powstałe z okoliczności wstąpienia do rządu Ziemiałkowskiego, nie osłabiały poważnego zapatrywania się kraju na zadanie nowego ministra a wyrazem tego zapatrywania stało się piękne i patriotyczne podanie ręki przez Zyblikiewicza w imieniu sprawy, długoletniemu współzawodnikowi. Stronnictwo krakowskie znowu silnie poparło nowego Jazona, udającego się do

Wiednia, jeżeli nie po złote runo, to po złote dla kraju korzyści.

Widzimy z tego, że życie publiczne w tej części Polski, zapełnione jest Ziemiałkowskiego czynami, jego osobą, która nie mały wywarła wpływ na bieg wypadków, nadała im nieraz barwę i nieraz wycisnęła na nich swoje piętno.

Poczucie i zmysł w wysokim stopniu polityczne, wielkie zdolności, sprężystość, giętkość, pracowitość, obrotność, zręczność, nawet przebiegłość, chęć znaczenia, oto pierwszorzędne zalety, które uczyniły z Ziemiałkowskiego jednego z najwybitniejszych ludzi w naszym kraju i które dopomogły mu do położenia istotnych, nie dających się zaprzeczyć zasług, których nie zdołał zaćmić sposób nieodmiennie przez niego używany zaczerpnięty we wspomnieniach i nawyknieniach młodości, a którego często nadużył.

Młodość mistrzu jest rzeźbiarką...

Ale właśnie dlatego, że przeszłość jest tak obfitą w czyny i zasługi, tak pod wielu względami świetną, w każdym razie czynną i głośną, dziwić może obecne milczenie, spokój i próżnia około tak znaczącego człowieka jak Ziemiałkowski. Tylko wielkie poświęcenie dla wielkiej myśli i wielkiej przyszłości zdołałoby wytłumaczyć tak wielkie zaparcie się. Nie przypuszczam bowiem, aby człowiek z taką przeszłością mógł się stać naraz nieczulym na sławę; aby człowiek tej miary politycznej powiedział sobie: dosyć i filozoficznie z Montaignem powtarzał: *De toutes les resveries du monde, la plus receue et la plus universelle est le soing de la reputation et de la gloire, que nous espousons jusques à quitter les richesses, le repos, la vie et la santé, qui sont bien effectueus et substantiaux, pour suyrre cette vaine image et cette simple voix qui n'a ny corps ny prinse:*

*La fama ch'invaglâsce a un dolce suono
Voi super i mortali, e par si bella*

*E' un'eco, un sogno, anzi del sogno un'ombra
Ch'ad ogni vento si deliqua e sgombra; ¹⁾*

Ludzi jak Ziemiałkowski zadaniem podnosić, nie obniżać poziom społeczeństw, do których należą. Być może i wierzę temu, że jest jakiś organiczny błąd w dzisiejszym stanowisku ministra z Galicyi i że nie da się inaczej usunąć, jak przez operacyę, ale to pewna, że sposób w jaki Ziemiałkowski je zajmuje, nie odpowiada ani jego dawnej sławie i wzięciu, ani wyobrażeniu o jego zdolnościach i zmyśle politycznym, które kraj sobie wyrobił. Ziemiałkowski znikł w ministrze, a ministra nie znać. Nawet rzadko, zbyt rzadko słyhać o nim, a przecież minister to nie kobieta. Przeszto o nim mówić źle lub dobrze. Dziwny to objaw, który zapisać muszę, lecz nie do mnie należy tutaj o nim sąd wydawać. Ziemiałkowski pozostał wśród nie zawsze pomyslnych okoliczności ministrem z Galicyi, nie lekceważmy sobie tego, uronił przecież wiele ze swojego uroku, zagubił gdzieś własne stronnictwo, a kraj nie może odszukać dawnego Ziemiałkowskiego.

Przytoczę zdarzenie nie do uwierzenia, za które przecież ręczyć mogę. Przypomina ono subtelne rozumowanie nieocenionego sędziego Dogbery w Schakspearu *Wiele hałasu o nic*. W dniu, w którym minister Ziemiałkowski miał przybyć do Krakowa, zapowiedziane było przedstawienie *Rabugasa*, Sardou. Przesłano z magistratu do teatru żądanie, aby zmienić afisz, „gdyż pan minister mógłby to wziąć do siebie“. Ten bizantyzm magistracki o ile był wyborny o tyle był niesłuszny.

¹⁾ Sława, która słodkim swoim głosem zachwyca dumnych śmiertelników i wydaje się tak wielce powabną, jest tylko echem, snem, raczej cieniem snu, który znika i rozwiewa się w jednej chwili (*Tasso*).

Przecież są tacy, którzy twierdzą, że Ziemiałkowski powtarza sobie: „otóż jestem ministrem, rzecz skończona“ — i temu wszystko przypisują. Ja tego nie przypuszczam, bo wiem, że w czasach, w których inni ulegali pokusom, Ziemiałkowski odznaczał się zawsze zarówno zaparciem się wszelkich osobistych korzyści, jak prawdziwą żądzą polityczną i właśnie dlatego dziwię się, że człowiek tak biegły i zręczny nie zdołał być inaczej ministrem. Inni przypisują całe zle zbyt niemu zespoleniu się z ministeryum, inni może słuszniej z ministerstwem. Wiem przecież, że w pewnym wypadku kiedy chciano uszczuplić prawa Galicyi, Ziemiałkowski przesłał prośbę o uwolnienie do Gödöllö N. Panu. Cesarz pismem odręcznym nie przyjął jej. Wiem dalej, że jego jest zasługą, iż w sprawach pieniężnych wbrew pierwotnemu zamiarowi rządu, nie wyrządzono krzywdy Galicyi; wiem o tem, a o wielu innych podobnych wypadkach zapewne nie wiem, a wiem o niezaprzeconych trudnościach, ale mimo tego, a nawet mimo zresztą chwalebnej opieki rozciągniętej nad drobnym u nas przemysłem, działalność Ziemiałkowskiego i jego obecne stanowisko nie odpowiadają nie już przesadnym, ale nawet uprawnionym nadziejom kraju, przedewszystkiem przeszłości i znaczeniu tego dzielnego szermierza i znakomitego patrioty. Po czyjej stronie większa wina, czy urzędu i otaczających go warunków, czy też człowieka, nie wiem, ale Ziemiałkowskiemu powinno zależeć na tem, aby tę rzecz wyjaśnić, nie powinien i nie może spokojnie czekać na chwilę ostatecznego sądu. Po doświadczeniu z marszałkiem Mac-Mahonem wiadomo, jak niebezpiecznym jest nietylko dla człowieka ale i dla sprawy, którą przedstawia: *J'y suis j'y reste!*

W ostatni poniedziałek odbył się w sali hotelu Saskiego publiczny bal „na korzyść budowy szpitala dla dzieci“. Gospodynią była opiekunka tego szpitala, księżna Marcelina Czartoryska, słynna uczennica Chopina;

bal ten świetnością przeszedł wszystkie tegoczesne, dziewięćdziesiąt par stanęło do mazura. Na drugi dzień kulig, o którym wspomniałem w przeszłym liście, ruszył z mieszkania ks. Lubeckich i najechał książąt Czartoryskich na Szlaku. Na czele wesela postępował tradycyjalny organista z „Krakowiaków i Górali“; w pierwszej zaś parze starosta Bartels ze starościną księżną Drucką Lubecką, dalej państwo młodzi księżniczka Jabłonowska i Woźniakowski, następnie druźbowie i inne pary. Posypały się jak z rogu obfitości śpiewane krakowiaki, wiersze i oracye; nie trudno było odgadnąć autorów Bartelsa i Anczyca, było więc tam wiele zapalu, dowcipu, czucia i prawdy. Najznakomitszą była oracya wójta z Woli, letniej siedziby, należącej do księstwa Czartoryskich, znanego w Krakowie, gdyż rozumem i zacnością wyszczególnia się między okolicznymi włóściami; lecz tym razem niewątpliwie przemowę napisał mu autor „Chłopów Arystokratów“. Nic nie brakło, aby nadać kuligowi barwę miejscową i właściwą, może nawet i to, że nie wszyscy wyuczyli się dobrze na pamięć oracyi i krakowiaków, i że kiedy jedni wołali polonez, drudzy upominali się o mazura! Gdy zagrzmiał mazur a ochocze pary uderzyły w podkówki, widok był uroczy, zabawa ożywiona i pełna ognia; trwała jednak tylko do dwunastej, lecz rozpoczęła się była o szóstej, a jeszcze pozostaje przypuszczenie, że może zatrzymano o jaką godzinę zegary. Na dowód, że Kraków nie jest znów tak małym miastem, jak niektórzy twierdzą i jak sam w swej dumnej skromności czasem utrzymuje, dowiedzcie się, że w tym dniu i o tych samych godzinach było kilka innych zabaw, był przepelniony teatr na „Gwałtu co się dzieje!“ Fredry, i była dość liczna reduta w sali teatralnej. Redut takich było w tym roku kilkanaście; są to bale maskowe, które dawniej wielkiem cieszyły się powodzeniem, które z każdym rokiem mniej są świetnemi, aczkolwiek zaprowadzono

obecnie w ich urządzeniu korzystne zmiany, przeciw sobkostwu i zbytniemu spospoliceniu tych zabaw.

Kulig zamknął tutejszy karnawał, benefis pani Hoffmann rozpoczął tutejszy post. Jestto uroczystość teatralna, która co rok, mniej więcej w ten sam sposób się powtarza z dodatkiem różnego rodzaju hołdów dla najznakomitszej tutejszej artystki. Zwykle w dniu tym, a to najważniejsza, ukazuje się na scenie jakiś poważniejszy lub niepospolity o lepszym zakroju, utwór. W tym roku przedstawiono nie graną dotąd na żadnej scenie polskiej: „Begum Somru“, tragedję w pięciu aktach Halma, przełożoną wierszem miarowym. Jak wam wiadomo, Halm jest pseudonimem barona Münch. v. Belinghausen, autora „Iskry“ (Wildfeuer), „Szermierz z Rawenny“, „Syna puszczy“ i t. d. Urodził się w Galicyi i dłuższy czas urzędował w Krakowie. „Begum Somru“ jest jednym z ostatnich jego utworów. Poeta w „Synu puszczy“, marzyciel w „Wildfeuer“, patriota germański w „Szermierzu“, w „Begum Somru“ stał się Halm mężem politycznym i bystrym badaczem namiętności ludzkich, nie przestając przecież być dramaturgiem. Pod względem wyłącznie scenicznym, jestto zapewne najlepszy jego utwór. Wprowadza nas w sam ogień walk Kompanii indyjskiej przy końcu ośmnastego stulecia (1782) z królestwami Indyj Wschodnich, mianowicie przedstawia chwilę, w której słynny Sir Warren Hastings kieruje sprawami Kompanii i okala siecią zabiegów i zręcznych a głębszych podstępów królestwo Serdany. W Serdanie panuje Alida Begum księżna Somru, wdowa po Europejczyku, znakomitym i dzielnym wojowniku, przewanym przez Indyan Somru, który przed kilku laty zginął w zasadzce zastawionej przez Maratów. Na dworze Begum Somru znajduje się rezydent Kompanii Dyce, którego Alida namiętnie pokochała jeszcze za życia męża, acz pozostała mu do końca wierną. Alida ma syna Nadira, chorowitego i marzycielsko uspo-

sobionego; przysięgła, że po Somru on tylko panować będzie, i pragnie zachować mu tron. Dyce zaś nagli ją, aby zawarła z nim związek małżeński, niby dla odsumienia niebezpieczeństwa ze strony Anglików. Na tak przygotowanym gruncie działa wytrawny i przebiegły Hastings, aby dojść do jedyngo celu — zdobycia Serdany dla Kompanii. Trzy pierwsze akta poświęcone są tej politycznej robocie, która zwolna, lecz misternie się rozwija; odrysowuje się tu wybornie postać Hastingsa, jako uosobienie samolubstwa, bezwzględności, zarazem rozumu i zręczności politycznych, szczególniejszej polityki wyłącznie angielskiej. Hastings przecież nie jest tu tylko uosobieniem, to człowiek, to osobistość, to charakter samorodny i samoistny.

Jedną z najudatniejszych scen jest ta, w której Hastings ułożywszy swój pomysł i ukończywszy zręczną i szatańską robotę, mówi, że teraz spocząć może i wyjmuje z kieszeni Horacyusza, którego właśnie odę do *Deliusa Aequam memento rebus in arduis servare mentem* tłómaczy; najspokojniej zasiada on pod cieniem palm do dalszego przekładu. Hastings gra jak prawdziwy wirtuoz na namiętnościach, i nieco słabych usposobieniach biednych Indyan. W pewnej chwili potrzebnem mu jest do jego zamiarów usunięcie Dycego, o którego zabiegach wie, a który podwójną wciąż odgrywa rolę. Dyce, to znakomicie nakreślony pierwowzór awanturnika z XVIII wieku, ale bez czci i wiary, człowieka miękkiego, słabego, miotanego żądzami, nie umiającego nawet dążyć rozumnie i wytrwale do swojego celu; słowem, jest to charakter bez charakteru. Hastings o wszystkim jest dobrze zawiadomiony, zatem wie co się dzieje na dworze Begum Somru, wie o zamiarze Dycego zaślubienia księżny, lecz zarazem dowiaduje się, że nie zupełnie jej jest wiernym, i że kocha się w Syrnie, jej wychowanczy. Na tem więc, jak prawdziwy artysta opiera swoją polityczną robotę; na za-

zdrości kobiecej; i dobrze obrachował ją, bo szlachetna Alida jest przedewszystkiem kobietą, i to kobietą wscho-dnią, namiętną. Za pomocą Komorana, zagorzałego in-dyjskiego, który nienawidzi Dycego, Hastings daje Ali-dzie namacalne dowody niewierności rezydenta. Tu się zaczyna czwarty akt i prawdziwa tragedia, silna, wzru-szająca, czasem nawet wspaniała. Zazdrość pożera Alidę; i oddycha ona tylko jednym uczuciem — zemstą; chce się zemścić strasznie, okrutnie, chce zakopać żywcem w dole obok altany, w której ujrzała Syrnę w objęciach Dycego, parę kochanków. Dyce jednak jest rezydentem angielskim, nie może więc bez ściągnięcia straszego na kraj odwetu karać go; ale ten cios złamał już zu-pelnie wrażliwe jej usposobienie, i pozostawił w jej sercu tylko uczucie zemsty; przekonała się zarazem, że jej syn nie zdolny do panowania, poddani do walki, którą chciała wprawdzie prowadzić; więc zwrotem nagłym a tak zwykłym u kobiet, szczególnie namiętnych, postanawia oddać Serdanę w ręce Hastingsa pod pewnymi warun-kami, przedewszystkiem, żeby mogła rozporządzać ży-ciem Dycego, i żeby trzy dni jeszcze panowała dla wy-dania na niego i Syrnę publicznego wyroku. Tu na-stępuje piąty i najpiękniejszy akt. Alida z całą wście-łością zranionej lwicy wydaje publicznie wyrok zako-pania w ziemi Dycego i Syrny; strażę odprowadzają ich; wtem słychać uderzenie bębna i wchodzi we-zwany przez Begum Hastings, Dyce wyrывa się straży i błaga Hastingsa o ratunek, lecz on z niczem nieza-chwianą zimną krwią nawet z szyderstwem odsyła go do Begum; Dyce widzi się zgubionym, lecz raz jeszcze próbuje rozczulić Alidę, i aby przekonać ją o swej go-rącej miłości, wyznaje, że on to namówił Maratów do morderstwa jej męża. Cel chybiony! Alida zamiast się rozczulić, przejęta jest zgrozą na widok tyłu zbrodni, i na myśl, że pośrednio z jej przyczyny mąż jej zginął. Tu następuje piękne, nadzwyczaj bohaterskie, a naj-

mniej spodziewane rozwiązanie. Alida mówi: „Myślałam że przyszedł tu sędzić dwoje winnych, a jest ich troje“, i Syrnie przebacza, Dycego oddaje w ręce Hastingsa, aby on go ukarał, samą zaś siebie powołuje przed własny trybunał, i przebija się sztyletem. Hastings widząc to mówi: „tego się nie spodziewałem“, co dowodzi, że wszystko inne przewidział i obrachował, a co jest najwięcej znamiennem, zbliża się do leżącej na ziemi Alidy i mówi: „umarła! a teraz niech zatkną pełną chwały chorągiew Anglii na szczytach Serdany“ — o tem nie zapomina. Cel dopięty. W utworze tym, którego tylko szkic podałem, jest wiele piękności i wzruszających ustępów. Trzy pierwsze akta są nieco za długie i wogóle za wiele i niepotrzebnie w nich mówią, przecież dla znawców mają zalety i dużo politycznej prawdy; dwa ostatnie są dramatyczne, może nawet jest w nich zbyt wielka obfitość wrażeń. Znakomicie jest przedstawionem zetknięcie się cywilizacji europejskiej ze wschodnią, charakterów angielskich z nieco miękkiemi Indyjan, zwycięzców ze społeczeństwem rozpadającem się i upadającem. Siła i rozum są po stronie angielskiej, lecz Hastings nie przebiera w środkach, aczkolwiek w imię cywilizacji i postępu działa; położenie to cechują dobrze słowa Alidy do Komorana: „Ty mnie nie zdradziłeś, bo ty nie Anglik, nie gentleman“. Rola Begum Somru, jest jedną z najwięcej bohaterских, jakie znam, bohaterstwo do końca utrzymane, przecież są w niej i ulomności kobiece, więc jest prawda; jedyną jej wadą, że gdzieniegdzie Alida jest nie Indyanką ale Germanką; wada, której nie umięją się ustrzedz najlepsi pisarze dramatyczni niemieccy, tak Halm jak i Grillparzer, gdy przedstawiają czy to starożytną, czy wschodnią kobietę. Alida jest Niemką, kiedy uczuciowo nazywa Dycego marzycielem, lub gdy spostrzegłszy altanę, w której pierwszy raz zeszła się z nim, rozczuła się i tkliwie wygłasza zdania; ale są

chwile, w których jest bengalską tygrysią, wtedy szczególnie, gdy wre w niej zazdrość i żądza zemsty. Rolę tę odegrała pani Hoffmann, artystka znakomita i samodzielna; talent Hoffmann jest samorodny, góruje w nim prawda i naturalność, czasem gra tej artystki jest nierówna, lecz jest zawsze myślącą, zawsze artystką, główną jej zaletą, że nigdy nie wpada w przesadę. W *Begum Sonru* Hoffmann grała pierwsze akta nieco chłodno, cały czwarty akt oddanym był z siłą, z przejściem. Niezrównaną była chwila, w której Alida po raz pierwszy domyśla się, że Dyce ją zdradza, obawa i boleść zostały po mistrzowsku uwydatnione. Z trudności piątego aktu wyszła Hoffmann zwycięsko. Po niej najlepszym był Szymański w roli Komorana, prawdziwym był Indyaninem i zagorzalcem, a charakter utrzymał wiernie do końca. Benda przepyszną rolę Hastingsa odegrał z miarą, nawet polotem; dużo rozumu, wiele szyderstwa, nieco cynizmu politycznego. Inne role w przedstawieniu stanęły nierównie niżej od tych trzech. Całość szła poprawnie, nie rażąco. Ujrzeliśmy nowe, weale ładne dekoracje, czem nie zwykł tutejszy teatr psuć publiczności.

Proces Offenheima ma się ku końcowi; nie małe zrobiło wrażenie, że prokurator sam cofnął kilka części oskarżenia.

Bawi tu od pewnego czasu Andrzej Grabowski, zamieszkujący zwykle Lwów; jest to portrecista, który w ostatnich latach znacząco zrobił postępy. Dawniej już wymalował portret swej matki, prawdziwej artystycznej wartości, lecz następnie przez dłuższy czas nie lepszego nie stworzył. Teraz talent jego zdaje się na nowo obudzać, a łączy się z sumienną pracą. Wezwany przez Radę miejską tutejszą do wymalowania portretu byłego burmistrza Dietla, który na wieczną pamiątkę ma być zawieszony w sali radnej, wykończył już głowę znakomitego uczonego i statysty a głowa ta jest bardzo piękną; siła umysłowa, rozum, błyszcza w oczach wspa-

niałego jowiszowego czoła; w wyrazie jest pewne poczucie własnej wyższości, nie obce ex-burmistrzowi. Jednocześnie Grabowski rozpoczął dwa inne portrety, które już dziś wiele obiecują: kasztelana Wężyka i Hoffmann; wykończył zaś za tej bytności w Krakowie portret Waligóry, owego wójta z Woli, który na kuligu tak wymownie przemawiał. Grabowski umie w drugiej części swojego zawodu nadawać myśl i duszę swoim portretom, umie cechować istotę osoby, to już bardzo wiele, teraz idzie jeszcze o wydoskonalenie i o dobry smak.

Dwie komisye, artystyczna i techniczna, pracują nad pomysłem odnowienia Sukiennic Prylińskiego. Aczkolwiek odbudowanie Sukiennic przeszło już w przyszłość, są przecież ludzie, którzy tyle mają wiary w dzielność burmistrza Zyblikiewicza, iż trzymają zakłady, że zostaną odnowionemi za pierwszego jego sześćciolecia. Odbudowanie Sukiennic w Krakowie i ostateczne urządzenie sprawy propinacyjnej w sejmie lwowskim, byłoby to prawdziwe na ziemi galicyjskiej cuda.

Jutro Matejko wystawia nowy obraz *Wernyhora*.

III.

Kraków, 27 marca 1875.

Wskutek nieobecności mojej w Krakowie spóźniłem się z przesłaniem wam zwykłego sprawozdania o życiu galicyjskiem, a tu wypadków nagromadziło się tyle, że nie wiem jak i gdzie pomieścić wszystko, o czym zamilczeć nie mogę i czy zdołają to wszystko połączyć wasi czytelnicy.

Druga połowa lutego, przepelniona była zjazdami i naradami we Lwowie. Gdyby szło o zapisanie tego, co na nich uradzono i zrobiono, nie wieleby to zajęło miejsca, bo dużo mówiono i radzono, nie nie ura-

dzono, i nic nie zrobiono. Zwykła to kolej rzeczy tutaj. Jednak niepodobna o tych zjazdach i naradach zamilczeć, gdyż dają wierny obraz tutejszego społeczeństwa, tutejszych stosunków, zarazem rzucają światło na grę tak nazwanych tutejszych stronnictw, rzeczywiście tutejszych ludzi.

Trzy więc zebrania odbyły się z rządu we Lwowie: Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Marszałków rad powiatowych w sprawie drogowej i Towarzystwa rolniczego galicyjskiego. — Pierwsze tem tylko się odznaczyło, iż chciano koniecznie na niem ukarać dwóch świadków w sprawie Offenheima, panów Tchórznickiego i Pietruskiego; stronnictwo zaś Sapienhów, oczywiście wszelkimi siłami sprzeciwiało się temu. Jak zwykle chciano ukarać najmniej winnych, raczej zupełnie niewinnych panów: Oktawa Pietruskiego i Tchórznickiego, ludzi światłych i pracowitych, którzy tylko przypadkowo wnięszani zostali w proces Offenheima, i stawali w nim jako niezaprzysiężni świadkowie, a za odstąpienie od koncesyj kolei rumuńskiej, otrzymali od Towarzystwa każdy po dziesięć tysięcy reńskich. Karą dla nich miało być wykluczenie z dyrekcji Towarzystwa kredytowego. Otóż jak wzięto się do tego. Zdolnego i jaknajlepszego używającego sławy Tchórznickiego nie wybrano powtórnie, a jednym głosem, jak rzeczpospolita francuska, utrzymał się na dawnym stanowisku, Pietruski członek Wydziału krajowego, dawny sędzia, mąż światły i wielce w sprawach krajowych użyteczny. Słowem, zrobiono jakąś parodyę sprawiedliwości obywatelskiej, zdaniem mojem zbytcej, niezawodnie, tak jak wypadła, arcysmiesznej. Zjazd marszałków w sprawie drogowej jeszcze mniej wydał owoców. Sprawa drogowa jest jedną z tych, których załatwienie zależy oddawna tylko od kraju i sejmu; stanowi ona jedno z ogniw tych zbawiennych napraw, których wprowadzeniu, zaślepienie i samolubstwo stawiają ciągłe a nie-

przeparte przeszkody. Aby ją należycie załatwić, trzeba koniecznie, żeby dwory poniosły niejaki ofiary, włościanie mniej jak dotychczas byli obciążeni; na to, większość sejmowa nigdy dotąd zdobyć się nie mogła, równie jak na wykupno propinacyj i uchwalenie rozumnej ustawy gminnej. Obecnie zjechali się marszałkowie rad powiatowych, bardzo szumnie i licznie w celu wygotowania zarysu nowej ustawy drogowej dla sejmu i po tygodniowych obradach nie zgola nie uchwalwszy, rozjechali się z wielką radością wszystkich demagogów, centralistów, Niemców i różnych złowrogich żywiołów. Ten sam potworek demokracji szlacheckiej, o którym pisałem dawniej, a który tak buńczucznie i swawolnie wystąpił w sprawie Poreyj, stawil tu nieprzeparte zapory wszelkiej naprawie. To niedołęstwo, tę niemoc w przeprowadzeniu możliwych, użytecznych a koniecznych ulepszeń, połączone z hałaśliwem a bezowocnem obradowaniem nad nimi, szyderczo piętnuje ostatnia kronika polityczna *Przeglądu*, w słowach znamionujących tutejsze położenie. „Wiadomem jest, mówi kronikarz, że Chińczycy nie lubią ani zmian ani nowości, że słowem nic nie robią i wszystko u nich dzieje się po dawnemu; ale to pewna, że przynajmniej umieją nic nie robić, czego nie można powiedzieć o wszystkich europejskich społeczeństwach; w tem też dopatrzeć się można pewnej ich wyższości, którą zbyt często i nierozważnie lekceważymy. W Chinach z małemi wyjątkami drogi znajdują się w oplakanyim stanie, rolnictwo z wyjątkiem uprawy herbaty, nader nisko stoi, lecz przynajmniej tam mandaryni nie zjeżdżają się z odległych stron cesarstwa na to, aby cale tygodnie radzić nad temi sprawami i nic nie uradzić; słowem, Chińczycy umieją nic nie robić i już dlatego wielce pożałowania godnym jest brak dokładnych w Europie o nich wiadomości, bo przy dokładniejszych i częstszych, nie-

jedno nasze społeczeństwo, które także nic nie robi, nauczyłoby się przynajmniej, dobrze nic nie robić!”

Nareszcie zebrano się Towarzystwo rolnicze galicyjskie, a to nietylko że nic dodatniego nie wydało, przeciwnie, ujemne tylko po sobie skutki zostawiło. Jedyną bowiem rzecz, którą z zapalem podniosło i dzielnie przeprowadziło, była od miesiąca już uszpiąta nieszczęsna sprawa Porcyj, raczej rozprawy hr. Tarnowskiego o Porcyach. Bez narady i jednogłośnie orzekło ono, że odpiera uczynione w tej rozprawie zarzuty, jako niezgodne z prawdą. Znowu więc wyszła ta rzecz na wierzch i jak przewidywałem, zakończyła się wyrzuceniem z życia publicznego galicyjskiego jednego z najznakomitszych ludzi tutejszych hr. Stanisława Tarnowskiego, który w odpowiedzi na ową uchwałę złożył poselstwo. Do tego więc smutnego skutku doprowadziło ostatecznie owo wicherzenie, którego pozorowi dostarczyła rozprawa hrabiego Tarnowskiego o Porcyach, lecz którego rzeczywiste przyczyny i cele były głębszemi i dalej sięgającymi. Z tego powodu wicherzenie, nie byłoby przybrało tych rozmiarów, i nie byłoby tak długo trwało, gdyby nie było z wysoka podniecanem i kierowaniem, i tu właśnie odsłaniają się śmieszne, to znów smutne strony życia galicyjskiego. Jak już dawniej nadmienilem, do wicherzenia przeciw hr. Tarnowskiemu przyłożyły ręce dwie znaczące osoby: namiestnik hr. Gołuchowski i ks. Adam Sapiela, przyczynili się obydwaj do niego, każdy z innych względów i każdy w innym celu. Dwaj ci ludzie publiczni wprost sobie przeciwni i nie lubiący się wzajemnie, spotkali się w jednym i temsamem uczuciu.

Hrabia Agenor Gołuchowski zajął znaczne i wybitne miejsce w porozbiorowych dziejach polskich. Świadczy on, że naród który stracił byt niezależny, może zaważyć w polityce i historii przez swoich synów. — Hrabia Gołuchowski ma rysy i postawę męża

stanu i wiele tegoż zalet; był pierwszym, który — wprawdzie z początku tylko sobą i dla siebie — rozpoczął politykę pojednania tego kraju z dynastją i państwem, zespolenia się Galicyi z Austryją a następnie rozwijał ją na podstawie jej narodowego bytu; politykę, którą wśród społeczeństwa krzewiła i broniła odważnie i silnie szkoła stańczykowska, którą wreszcie przyjął za swoją kraj. — Obdarzony zmysłem politycznym, praktyczny, bardzo praktyczny, hr. Gołuchowski, ma poczucie władzy i ładu. Trzechkrotnie powtarzające się rządy jego jako Namiestnika, zaznaczyły się przedewszystkiem usunięciem złego, którem nawiedzony był kraj, obcej biurokracyi i zawleczonej przez nią zarazy społecznej. W tych dwóch kierunkach oddał on znamienite i stanoweze usługi; zdziałał wiele, stworzył narodowy zastęp urzędniczy i dla przyszłości podstawę. Przeciął i położył koniec polityce, która w tym kraju polegała na waśni włościan ze szlachtą. Uporządkowaniem służebnictw dokonał rzeczy społecznie i gospodarczo doniosłej.

Hr. Gołuchowski, mąż stanu bystry, widzący jasno, spokojnie zapatrujący się na rzeczy, znakomity zarządca, urzędnik prawy i sprężysty nawet samowładczy pokrzepił tutejsze społeczeństwo i ten kraj, rozstrojony dawnymi narodowymi wadami i rządami, oraz zgubnem wiekowym działaniem urzędniczej kasty austriackiej, duchem ładu, poradności i karności, wzorowym zarządem. — Zawód jego polityczny był spieszny i świetny, wtedy, gdy nikomu z tutejszego społeczeństwa nie danem było odznaczyć się na większej widowni, on zajął na niej miejsce zaszczytne i znaczące; dotknął się spraw światowych, zaważył w polityce monarchij. — Znane są jego rządy 1859—1860 r. jako ministra stanu, kierującego sprawami Austrii, w chwili jej przeobrażenia. Dyplomem październikowym 1860 r. założył podwaliny, pod to przeobrażenie, podwaliny, które pomimo zmian, prze-

ciwnych prądów i zwrotów, wywarły zbawienny wpływ i stały się drogowskazem. Współpracownikiem przy sporządzeniu tego pamiętnego dyplomu był węgierski magnat hr. Szecsen. — Zasada dyplomu październikowego zapewniła Galicyi w przyszłości byt narodowy i ona z niego, acz w monarchii wykonanym nie został, najwięcej skorzystała. Hr. Gołuchowski ustąpił z ministerstwa stanu wraz z zasadą i systematem, które przedstawiał; zatem dla męża stanu zaszczytnie.

Wierny sługa monarchy był doradcą nie pochlebcą. Wierność nie przeszkadzała swobodzie i stałości zdania. Dwie — jak mi mówił — rzeczy, wywołały między nim a cesarzem przeciwieństwa; jedna, że monarcha tak dalece upodobał sobie powołaną do życia przez Gołuchowskiego Wzmocnioną Radę Państwa, iż chciał jej przyznać prawo opodatkowania; druga, iż postanowił bez zapytania ministra stanu, udać się w październiku 1860 r. do Warszawy, na zjazd trzech władców. Ustąpienie hr. Gołuchowskiego było zresztą bezpośredniem następstwem, raptownej zmiany kierunku, w skutku której na jego miejsce powołanym został Schmerling 31 grudnia 1860 r.

Hr. Gołuchowski objął potem dwukrotnie galicyjskie namiestnictwo i rozwinął na tem stanowisku, dla dobra kraju, znakomite zdolności oraz zarządcze zalety.

Hr. Gołuchowski jest zatem po raz trzeci Namiestnikiem Galicyi; był nim od 1849 r. do 1859 r., następnie od 1866 r. do 1868 r. i jest nim obecnie od 1871 r. Podczas drugiego namiestnictwa myśl jego i zamiar poczęły sięgać poza granice Galicyi i jak wtedy powiedziano, zapragnął włożyć na głowę Habsburga koronę Jagiellonów. Pośrednio z tem, ułożył w 1868 r. podróż cesarza Franciszka Józefa do Galicyi, która zapowiedziana, ze względów tak zewnętrznych jak wewnętrznych, odwołaną została. Wtedy to sejm lwowski uchwalił był znaną rezolucyę, określającą żądania narodowe Gali-

cyi, przyczem hr. Gołuchowski śmiała nader wypowiedział mowę, nie licującą z urzędowem stanowiskiem; gdy przybycie cesarza zaniechanem zostało, ustąpił z namiestnictwa; i objął je po raz trzeci dopiero w 1871 r.

Biurokracya austryacka przy wielu wadach była silną kastą. Ktokolwiek do niej należał, wycisnęła na nim swoje piętno. — Hr. Gołuchowski acz ją zwalczał i w tym kraju ją pokonał, nie uwolnił się całkowicie od jej wpływu. Jest on nieznanym dotąd okazem austryackiego urzędnika — polskiego szlachcica. — Ma zalety i wady tego pierwowzoru. — Poczucie władzy i nawyknienia samowładcze rozwinęły w nim niechęć do usposobień i ludzi niezależnych, może i do wyższych. Nieraz poniżał i upokarzał tych, co czenkolwiek, nad zwykły wyrastali poziom; stąd przeciwieństwa między nim a nimi i odosobnione nieco stanowisko, któremu jednak zdolnościami i osobistą wartością sprostać potrafił; pomiatanie tem, co nie mieści się w zakresie jego pojęć i wyobrażeń. — Czy tym samym przyczynom przypisać należy hr. Gołuchowskiego nieżyczliwość dla Krakowa i wszystkiego co krakowskie, czy też nie wzniesieniu się, w tym wypadku, ponad parafiańszczyznę, dość, że głucha lub jawna niełaska dla starego grodu i jego ludzi jest ze szkodą kraju, znamieniem jego osobistego zachowania się więcej jak jego rządów; co w znacznej mierze przyczynia się, do utrwalenia i zaostrenia współzawodnictwa między wschodnią i zachodnią Galicyą, między Lwowem i Krakowem.

Hr. Gołuchowskiego nieprzyjaźń względem przedstawicieli możnowładczych rodów jest znaną; nie jest ona wolną od małostek; prowadził z nimi podjazdową wojnę rozmaitymi sposobami i sposobikami, czy to w stosunkach towarzyskich, czy w ważniejszych rzeczach, jak się to stało z księciem Jerzym Lubomirskim w sprawie Zakładu Ossolińskich. — Gdyby powodował się nie osobistemi czy rodowemi uczuciami, lecz pamięcią złego

wyrządzonego przez możnowładztwo, zasadzie władzy i państwa, popełniałby anachronizm. — W dawnej Polsce należało na wodzy trzymać i karcieć możnowładztwo za jego pychę, samolubstwo, wichrzenie i zdrady; obecnie nie ma za co i doprawdy, albo nie warto, albo jest to niesłusznem; nie ma tu miejsca dla Richelieu'go a szkodząc historycznym rodowi i podkopując je, osłabia się tylko jedną z pozostałych sił narodowych i społecznych. — Ten niepospolity skądinąd człowiek, zdaje się lubować w tej małej z wielkimi wojnie. — Zresztą hr. Gołuchowski butą szlachecką, od której wolnym nie jest, okazuje nietylko wobec polskich możnowładców, także wyrażając się o monarsze. — A jednak ten człowiek mający poczucie władzy, samowolnego usposobienia, posiadający zmysł rządzenia, i do góry noszący głowę, nie uchronił się od zwykłej polskiej choroby, od pragnienia popularności, obawy przed niepopularnością i ten mąż nieugięty za pierwszego namiestnictwa, za drugim i trzecim zbytecznie dbał i dba o wzięcie, liczy się nieraz z niezdrową opinią publiczną i jej przedstawicielami, wreszcie zdejmował z myślącego czoła kapelusz przed ludem lwowskim, zebrany przed ratuszem, dla wysłuchania sprawozdania z czynności poselskich, oceniając zresztą niezawodnie należycie swoim rozumem, wartość takiego pochlebstwa.

Hr. Gołuchowski oddawszy znamienite w dziedzinie spraw politycznych i zarządu usługi krajowi, zdziaławszy wiele w tych kierunkach, nie spełnił jednak całkowicie zadania, bo nie podniósł należycie ducha publicznego i umysłowego poziomu społeczeństwa. — Hrabia Gołuchowski przemawia do rozumu, lecz nie do wyobraźni.

Ks. Adam Sapiela, syn marszałka sejmu galicyjskiego Leona; dość już znaczył w życiu publicznem; dość poruszał się i innymi poruszał, więcej jednak przecząco niż twierdząco; stąd zapewne skutek nie odpo-

wiedział dotąd zamiarom i działaniom, czego nie można powiedzieć o hr. Gołuchowskim, którego zawód przyniósł i jemu i krajowi dojrzałe owoce. Zachowanie się i postępowanie ks. Adama Sapielhy nieraz waśniło i rozprężyło. Jak Ziemiałkowski przesiał spiskiem, tak on wykształcił się na wichrzeńcu.

Ks. Adam Sapielha jest pierwowzorem przeniesionym z innych czasów w terażniejsze, który kilkakrotnie odnaleźć można w dziejach starożytnego, nieraz zasłużonego jego rodu; to możnowładca-gminowładca, żądny znaczenia, namiętny, nie przebierający w politycznych środkach, przecież bez dobrze określonego celu; usposobienie burzliwe, ma w sobie coś z trybuna; przeważnie bystry i rzutki, przedewszystkiem bardzo wymowny, ma wszystkie warunki potrzebne, aby rej wodzić na sejmikach; wysmienicie umie podjudzać i porywać za sobą szlachtę, igra hasłami demokratycznymi lub popularnymi, którymi innych odurza wtedy, gdy się zdaje, że się sam niemi upaja; rzeczywiście jest możnowładcą w całym tego słowa znaczeniu. Piękny, jak rzymski patrycyusz lub jakiś książę włoski z czasów Odrodzenia, jest to człowiek pełnej krwi; ma postawę, ruchy, wysłowienie, porywy wielkich mowców; ma w sobie siłę przyciągającą, zachwyca lub czaruje; ma wiernych, nawet zagorzałych zwolenników, których umie zachować, w potrzebie rozgrzać, ma także zawziętych przeciwników, zatem to — ktoś. Nazwany tutaj księciem czerwonym nie jest, zdaniem mojem, ani czerwonym ani białym, ale przedewszystkiem i zawsze — księciem Adamem Sapielhą. Ma wiele stron błyszczących, ma wielką śmiałość w niezważaniu na nikogo, nawet na nie; ostatecznie bez pożytku nawet dla siebie. — Jak dawni polscy możnowładcy, jak Radziwiłłowie, stać chcieli na czele Litwy przeciw królowi, tak książę Adam Sapielha zapragnął przewodniczyć wscho-

dniej Galicyi przeciw zachodniej, tylko, że bez pomocy obcych. Odezwało się w nim dawne zarzewie niezgód i walk między polskimi panami a dowodząc i prowadząc wschodnią Galicyę przeciw zachodniej, powoduje się współzawodnictwem z Potockimi. Chcący czy nie chcący tak samo jak hr. Gołuchowski, choć z innych pobudek, przyczynił się nie mało do zaostrzenia przeciwności między dwoma częściami kraju, które San rozdziela.

Na szerszej widowni ks. Adam Sapięha zablęsnąłby, tutejszą ciasną, czasem zaciemnia. — Nieraz zdawałoby się mogło, że zajmując się sprawą publiczną i wicherząc w niej, uprawia tylko sztukę dla sztuki.

Ma on tę wyższość nad wielu innymi, że choć po swojemu, ale szczerze i gorąco miluje sprawę i kraj; przebywa w nim stale, żywo się zajmuje jego dołą; chce pracować i pracuje dla niego; lecz porywając innych, sam daje się porwać przez zapalne usposobienie.

Jeżeli hr. Gołuchowski nie do wyobraźni, ale do rozumu przemawia, to ks. Adam Sapięha przemawia raczej do wyobraźni.

Abym zrozumieć zachowanie się tych dwóch panów w sprawie Porecyj i jego dalsze następstwa, trzeba jeszcze słowo powiedzieć o Stańczykach, która to nazwa pochodzi od słynnej politycznej satyry *Teka Stańczyka*.

Aczkolwiek ogół skłonny jest widzieć w Stańczykach tutejszą skrajną prawicę, to przecież są oni jeszcze czemś innem. — Rzeczywistemi Stańczykami nazwać można tylko kierowników *Przeglądu Polskiego* i najbliższych a nielicznych ich przyjaciół politycznych. Otóż w tem ciasnem kole, chociaż każdy ze Stańczyków ma niezaprzeczenie swoją odrębną istotę, przecież w głównych rysach, w życiu publicznem są oni kubek w kubek do siebie podobni. Zdolnościami, pracą w różnych kierunkach, bystrością w sprawach publicznych, odwagą cywilną, i niezależnemi stanowiskami, zajmują dziś wa-

żne pod wielu względami miejsce w tutejszem społeczeństwie. Było to już dostatecznym, aby obudzić niechęć, jeżeli nie nienawiść. Do zalet panów Stańczyków dodać wypada i niemałe wady. Główną, była ta, iż mając wiele rozumu, nie umieli nigdy obchodzić się z rozumem społeczeństwa w którym żyją, może zgoła odnaleźć go nie mogli; dość, że zbyt rażąco, dobitnie i wyzywająco okazywali swoją wyższość, jeżeli już nie z zarozumiałością, to przecież z tą pewnością siebie, która odstręcza ludzi i mnoży nieprzyjaciół, szczególnie wśród rzeszy mierności. Zbyt czuć było w całym ich postępowaniu, w tem co wygłaszali, mianowicie w pismach hr. Tarnowskiego, lekceważenie jeżeli nie wszystkich, to wielu; stąd także pochodziła pewna przesada w tem co pisali, przesada której wyrazem była rozprawa o Porcyach. Dodajmy do tego dziwnie drażniący sposób pisania a będziemy mieli wierny i żywy obraz położenia. Stańczyki, w różnych kierunkach życia publicznego i umysłowego, postawiwszy swoją zasadę, przyłożyli dzielnie ręce i znacznie dopomogli, do odrodzenia Galicyi, które między 1866 r. a obecną chwilą było rzeczywistym i na wielu polach niepozobawionem nawet względnej świetności. — Te ich powodzenia uznawano, ale nie wszyscy takowe przebaczaali.

Czytano pisma tych panów i robiły one wrażenie, bo były z talentem i siłą pisane, ale ich nie lubiano już dlatego, że nieraz ich się obawiano. Potrzeba więc było tylko iskierki, aby pożar wybuchł; tem więcej, że ci panowie nielitościwie obchodzili się z ohydnyem wprawdzie, ale hałaśliwym dziennikarstwem tutejszem, mianowicie lwowskiem. Iskierką stała się rozprawa o Porcyach, a tę rozdmuchali i kilkakrotnie rozdmuchiwali nie lubiący ich ludzie Galicyi. Jeżeli rozprawa była niezgrabnością, błędem, lekkomyślnością, to owo rozdmuchiwanie było wobec kraju, czemś gorszem. Ale powody do tego były rozliczne; Stańczyki jako szkoła polityczna

i z przekonań które głosili, nie mogli pozostać w zgodzie z księciem czerwonym; to też nie oszczędzali go i walczyli z nim, nieraz lekceważeniem; hr. Gołuchowskiemu przeciwnie, bez zapału, ale popierali, przecież mu nie schlebiali, ani mu nisko się kłaniali; a nawet nieraz wytykali mu, że on dla zdobycia wzięcia, czasem zbyt nisko kłaniał się tak zwanej, tutejszej opinii publicznej. Czegoś podobnego nigdy się nie przebacza i o tem Stańczyki zbyt lekkomyślnie zapomnieli. Przytem hr. Gołuchowski nie bardzo rad był Stańczykom, już dlatego, że byli niezależnymi i z wielu względów wyższymi, a hr. Tarnowskiemu podobno przebaczyć nie mógł, nielitościwego wysmiania hrabiów galicyjskich w artykule „Królowa opinia“, *inde irae*; stąd w części dla wielu niezrozumiałe, bezprzykładne wicherzenie z powodu rozprawy umieszczonej w *Przeglądzie Polskim*, którą dość było zbić, wykazując jej przesadę.

W ostatnich chwilach, do których doszedłem w mojem opowiadaniu, podniesiono znowu sprawę *Porcyi* i do ostateczności doprowadzono ją na zebraniu Towarzystwa rolniczego. Oprócz wyżej przytoczonych, były dwa do tego przypadkowe powody, jeden który, jeżeli nie pochwalić, to przynajmniej zrozumieć można, chęć odwrócenia uwagi od procesu Offenheima — drugi wybór na prezesa Towarzystwa rolniczego galicyjskiego ks. Adama Sapielę. Jak wyborny jeździec, księżę dosiadł rumaka nazwanego *Porcy* i na nim wyjechał na prezesostwo. — Cel odwrócenia uwagi i zagłuszenia sprawy Offenheima, chybiony został, i tu powiedzieć można, że człowiek strzela, Bóg kulę niesie. Uchwała Towarzystwa rolniczego dała sposobność hr. Tarnowskiemu złożenia poselstwa sejmowego, a uczynił to w liście do wyborców obwodu Rzeszowskiego, doniosłym, pełnym godności, zręcznym.

To złożenie poselstwa było ze strony Stańczyków rozumnym czynem politycznym i niemałą, nieprzyje-

mną niespodzianką dla całego wicherzenia, któremu odbierało powód bytu. Krok ten natychmiast też skutkował, bo opartym był na psychologicznej znajomości społeczeństwa, którego współczucie i uznanie przechodzą zawsze na stronę tego, który z jakiegokolwiek schodzi stanowiska. Złożenie poselstwa przez hr. Tarnowskiego, ostatecznie w skutku blahej sprawy, w dziwnem świetle postawiło marszałka sejmu ks. Leona Sapiechę, który acz wnięszany w sprawę Offenheima, nie składał laski marszałkowskiej. Skorzystały z tego natychmiast dzienniki nieprzyjazne księciu i jaskrawo przedstawiły różnicę postępowania posła Tarnowskiego i marszałka Sapiechy; położenie tego ostatniego z każdym dniem stawało się niemożliwem i jak już wiecie, naprężona struna pękła, przyjęciem przez cesarza dawniej podanej, jak się wyraziła *Wiener Zeitung* prośby o uwolnienie księcia i powołaniem hrabiego Alfreda Potockiego na stanowisko marszałka sejmowego. Stańczyki usuwając się w tej chwili od działania politycznego, zamiar ten z ich strony jest widocznym, okazali swoją wyższość i niemałą zręczność, żeby nie powiedzieć przebiegłość. — Być może także, a tego powinszować by im tylko można, że ci panowie przekonali się nareszcie, że zbyt wielką ważność przywiązywali do polityki austryjacko-polskiej, i że błędem byłoby upierać się przy tem, bądź co bądź, sztucznem przerzuceniu punktu ciężkości. — W każdym razie widocznem jest, że się cofnęli i zaprzestali kłaść zbyt ni nacisk na doniosłość owej polityki, oni, którzy pierwszymi i najgorliwszymi byli jej poplecznikami. Panowie ci zbyt znaczące zajmują stanowiska w tutejszem społeczeństwie, zbyt są czynnymi w różnych kierunkach umysłowych i innych, zbyt są niezależnymi, aby przestali znaczyć i ważyć, ale prawdopodobnie, a wnosić to można z listu hr. Tarnowskiego do wyborców i z pobocznych objawów, będą na razie czynnymi na innych polach i w innym kierunku, a opuszczają niewdzięczny

grunt wielkiej polityki austryacko-polsko-galicyskiej, pozostawiając jego uprawę tym, którzy go zjałowili. Taki więc ostatecznie miało skutek to bezrozumne wicherzenie! Oto wyrzuciło chwilowo z życia publicznego tu-tejszego, zdolnych i niezależnych ludzi, o jakich zbyt trudno; ludzi — których zapatrywać można było nie podzielać, lecz których wartość polityczna, społeczna i umysłowa, zaprzeczyć się nie da; i wyrzuciło z sejmu, jednego z najznakomitszych posłów, który zaernością i zdolnościami niepospolite zajmował tam miejsce, którego, mianowicie w komissyi szkolnej, nie łatwo będzie zastąpić.

Niepomyślnym wypadkiem jest także ustąpienie ks. Leona Sapielhy, z marszałkostwa. Nie jest to dla nikogo tajemnicą, iż nastąpiło w skutku procesu Offenheima. Czy słusznie? Śmiem wątpić. Ks. Leon Sapielha jest mężem, który niemałe położył tu zasługi, który wiele stworzył i dużo robił wtedy, kiedy jeszcze mało kto coś robił, który całe życie dla dobra ogółu pracował, a nieraz dowiódł, iż są rzeczy, które wyżej ceni od pieniędzy i to nie takich, jak te o które szło w sprawie Offenheima. Posądzać go więc nie należy o złą wiarę, o chciwość, lub coś gorszego. Książę tem tylko zgrzeszył, że się wogóle takimi posługiwał ludźmi jak Herz i Offenheim, że zbyt im wierzył, że biorąc wiele na swoje barki, nie umiał i nie mógł ich dopilnować, tem samem, w danej chwili musiał z nimi dzielić odpowiedzialność, przynajmniej wobec ogółu i ponieść nierównie sroższą karę, bo co dla Offenheima jest niczem dla ks. Leona Sapielhy musi być bolesnem. Były to więc grzechy, które ważne pociągnęły za sobą następstwa, ale które przeszłości księcia zatrzeć nie powinny i nie mogą. Niestety — jak już dawniej nadmienilem — jak we wszystkim tutaj, tak w sprawie Offenheima przeważały osobiste nienawiści i namiętności przeniesione z bruku lwowskiego na wiedeński. Wreszcie

Cherchez la femme. Zdziwicie się zapewne gdy wam powiem, że pierwszą przyczyną procesu Offenheima była kobieta. Jest w Wiedniu pewna pani Glaser, której wdzięki, między innymi oczarowały także ministra Banhansa. Kiedy Offenheim był jeszcze u szczytu powodzenia, Banhans prosił go razu jednego o zaproszenie dla tej pani na bal, który wydawał szczęśliwy wielkorządca kolei czerniowieckiej. Pojmiecie łatwo, jak takiemu Offenheimowi uśmiechało się, móżdź odnówić komuś zaproszenia, i to komuś zaleconemu przez ministra; zaprosił więc na swój bal pana Glasera, lecz nie zaprosił pani, i stąd, jeżeli nie proces, to pierwsze nieporozumienie między dziś uniewinnionym przez sąd przysięgłych ex-wielkorządcą kolei czerniowieckiej, a niemal wygnanym ministrem handlu. Usposobienie dworu było wprost przeciwnie wyrokowi sądu; objawiło się dość wyraźnie, odznaczeniem koroną żelazną hr. Lamazan i barona Wittmanna, prokuratora i prezesa sądu w procesie Offenheima, — nareszcie zawiadomieniem pana Giskry, aby więcej nie ukazywał się na dworze. Zresztą — osobiste przekonania Cesarza w tych rzeczach, od dawna zbyt są znane; wstręt jego do gry giełdowej i wszelkiego rodzaju nieczystych obrotów pieniężnych, tak powszechnie wiadomy, że nikogo tutaj powyższe zdarzenia po procesie nie zadziwiły. P. Giskra chciał się ratować puszczeniem w obieg wieści, że nie tylko on, ale także ksiązę Sapieha, ks. Jabłonowski i hr. Borkowski dostali zawiadomienie o zamknięciu przed nimi podwoi Burgu, lecz wieść ta zaraz na drugi dzień okazała się mylną. Giskra zaś dostał owo upokarzające zawiadomienie, głównie za kłamliwe zasłonicie się podczas procesu osobą Naj. Pana, następnie za samowolne wykreślenie, z zapisków stenograficznych izby, pewnej cyfry odnoszącej się do sprawy Offenheima. Tak więc smutno i płasko zakończył swój zawód, ten niegdyś wielki trybun, który nawet gdy był ministrem, miał zawsze w sobie coś kelnera.

Na zakończenie dowiaduję się, że Offenheim, który obecnie bawi w Neapolu, wynosi się z Austrii i osiada w Londynie. Pokazuje się, że uniewinniający wyrok sądu przysięgłych nie całkiem mu wystarcza.

Rozpisałem się obszernie, zbyt obszernie nad temi wypadkami, dlatego, że dobrą dały sposobność przedstawienia wam, wiernego, żywego, jaskrawego obrazu, tutejszych stosunków, ludzi i małości.

Powołanie hr. Alfreda Potockiego na marszałka nikogo nie gniewa, a to je znamionuje. Zdaje się, że przyjął łaskę marszałkowską po długim wahaniu, na wyraźne żądanie Cesarza, i tylko na tę jedną sesję, która jest ostatnią sześcioletniego okresu, a po której nastąpią nowe wybory.

Sesya sejmowa rozpocznie się 6 Kwietnia, lecz z góry przewidzieć można, iż będzie bladą i nieznaczącą, że znowu nic na niej nie uradza. Zbierze się w warunkach bardzo niekorzystnych, wśród ogólnego rozstroju, niezadowolnienia i kwasów, spowodowanych tak sprawą *Porcyi*, jak procesem Offenheima i jego skutkami. Braknie na niej Stańczyków, tem samem tak zwanego stronnictwa krakowskiego, bo chociaż tam się znajdzie, trzymać się będzie, jak się zdaje, zupełnie na uboczu. Jeżeli zaś Stańczyki także nic dotąd nie zdołali zrobić na polu polityki austriacko-polskiej, to przecież pomimo swoich wstecznych wyobrażeń, odznaczali się zawsze początkowaniem w użytecznych naprawach. Tutejszy *Czas* stawia tylko skromne życzenie, aby w tej sesyi sejm zakończył przynajmniej sprawę wykupna propinacyj; lecz można być pewnym, że i tego nie zrobi w należyty sposób, bo potworek i temu stawi nieprzyparte zapory. A tak znowu przemina te narady, bezowocnie.

Obecnie jest mowa o przybyciu Cesarza w sierpniu do Galicyi, w przejeździe do Czerniowiec na uroczystość założenia tam uniwersytetu niemieckiego, za-

razem na obchód stułetniej rocznicy przyłączenia Bukowiny do monarchii Habsburgów, który to obchód, Naj. Pan podniósł z naciskiem, jako główny cel swej wycieczki, w odpowiedzi wysłannikom bukowińskim. Wiadomość o dłuższym z tego powodu pobycie Naj. Pana w Galicyi, zdaje się pochodzić z dobrego źródła. Hr. Gołuchowski, który w tych dniach jeździł do Wiednia w sprawie obsadzenia marszałkostwa, a który wracając zatrzymał się tylko pół godziny na dworcu w Krakowie, miał być nader ożywionym i uradowanym ową zapowiedzią odwiedzin cesarskich, w przejeździe do najmniejszego kraju monarchii.

Arcyksiążę Jan Salvator, o którym pisałem w poprzednim liście, przybył tu już i najął pałac hr. Piotra Moszyńskiego, świeżo nabyty przez Jaroszyńskiego, a który pierwszy przedstawia się oczom Warszawian, przybywającym koleją żelazną do Krakowa. Zetknięcie się młodego arcyksięcia z różnymi tutejszymi ludźmi, jaknajlepsze zrobiło wrażenie; ma on rozmowę ożywioną i przeważnie polityczną, w duchu i kierunku głośnej jego rozprawy, o której wspominałem. Arcyksiążę jest majętny i dworno żyje, zaprasza na objady; służbę zaś wojskową pełni z wielką dokładnością, która nawet czasem dla niektórych jest męczącą.

O skutku konkursu dramatycznego tutejszego już wiecie; przeszedł najróżowsze oczekiwania, gdyż rozdano wszystkie nagrody, i w dodatku zalecono jeszcze jedną sztukę, i to warszawskiego pisarza, do grania. Gdy odpieczętowano nazwisko autora dramatu „Mieczysław“, który otrzymał pierwszą nagrodę, okazało się, że był nim Adam Bełcikowski. Komisya konkursowa ogłosiła obszernie i zajmujące sprawozdanie z swoich czynności; jest to tajemnicą komedyi, że sprawozdania te są zwykle pióra Karola Estreichera. W teatrze nie bardzo uderzającego w tych dniach, oprócz świetnie odegranej przez pannę Urbanowicz roli Heleny w „L'Autre“ (Ten

Drugi) pani Sand. Choroby kilku artystów zmieniły znacznie repertoar. Przez wielki tydzień przedstawień nie ma; na drugi dzień świąt zapowiedziany jest obraz z żywych osób: „Dzwon Zygmunowski“ Matejki.

Wspaniałej obojętności tutejszej nie mógł zwalczyć nawet tak gwałtowny środek jak proces Kirchmayera, który przeszło tydzień toczył się przed zwykłym sądem karnym, gdyż upadłość jego miała miejsce jeszcze przed potwierdzeniem ustawy o sądach przysięgłych. Proces ten blisko obchodzący tu wszystkich, niezbyt wiele budzi zajęcia, i nielicznych gromadzi widzów w komnacie sądowej. Ktoś powiedział, że i pod tym względem Kirchmayer nie miał szczęścia, bo sprawa jego przysłała zapóźno, i zaraz po Offenheima. Śledztwo trwa już blisko pięć lat, Kirchmayer odpowiada na wolnej stopie za poręką. Przykra to i bolesna sprawa przecież, bo stawia przed kratkami człowieka, z którym przez długie lata żyli ściśle wszyscy niemal uczciwi, porządni i rozumni ludzie. Kirchmayer był niezaprzeczenie dobrym i użytecznym człowiekiem, uczynnym, uprzejmym, wcale nie głupim, wzbudził ogólne zaufanie, był wspieranym przez takiego męża jak Adam Potocki; wiele dobrego w życiu zrobił, wiele stworzył; dziennikarstwo, literaturę szlachetnie i bez osobistych widoków wspierał; utrzymywał przez długie a trudne lata najpoważniejszy i najlepszy dziennik tutejszy *Czas*, był jego właścicielem, przecież zostawiał redakcyi najzupełniejszą niezależność. Zetknięcie się Kirchmayera ze światem wiedeńskim stało się przyczyną jego zguby; zrobił wprawdzie pomyślny obrót pieniężny, zakupując dobra rządowe, ale dla nabycia ich wdał się z szachrajami, którzy go wyzyskiwali i wyzyskiwali jego słowiańską gnuśność, zgubili go nareszcie. Sam zgrzeszył lekkomyślnością, a ta jest matką wszystkich nieszczęść, nawet i paskustw w sprawach pieniężnych; nie wiedział kiedy je popępiać zaczął, i kiedy stał się przyczyną strat dla wielu osób i rodzin. Kilka

szczegółów procesu było zajmujących, gdyż, stawali, jako świadkowie i poszkodowani, ludzie znani tutaj, którzy w ścisłych dawniej zostawali stosunkach z Kirchmayerem. Jak łatwo było przewidzieć, proces nie wykazał dotąd, z góry powziętego zamiaru oszustwa lub przestępstwa, wykazał zgubne zaplątanie się w kłopoty pieniężne, które spowodowało różne czyny podpadające pod ustawę karną. Jaki będzie ostateczny skutek procesu trudno przewidzieć; sądzićby można, iż Kirchmayer nie powinien być skazany za oszustwo, ale niezawodnie za lekkomyślność. Być może, że stanie się przeciwnie; bo zwykle w czasach, w których wielcy przestępcy uchodzą bezkarnie, mali są surowo karani; a to pewna, że wobec klęsk pieniężnych, których byliśmy świadkami od pięciu lat, wina Kirchmayera jest, w porównaniu z innemi, o wiele mniej ciężka. Przypominam sobie zabawne zdarzenie w chwili jego upadku, świadczące jakże on wzbudzał zaufanie i jak dobrej używał sławy. Ktoś, którego brat znaczne poniósł straty w upadłości Kirchmayera, wezwany został telegramem z Warszawy do Krakowa, i poszedł się pożegnać z dogorywającym wtedy hr. Władysławem Małachowskim, którego siostry znane tu Wojewodzianki, także miały złożone pieniądze u Kirchmayera. Ten ktoś, nie chcąc przestraszać hrabiego, powiedział mu tylko, że jedzie do Krakowa, gdyż brat jego powierzył swe kapitały jakiemuś bankierowi, który popadł w krydę; na co hr. Małachowski zawołał: „Cóż to za nieroztropność, mając pod ręką Kirchmayera, składać pieniądze u jakiegoś tam bankiera“.

Kraków obchodził uroczyste Wielki tydzień i Święta, jest to jedna z tych chwil, w których znajduje się w swoim żywiole. W tym roku wyjątkowo już teraz dość jest pusto. Odbyło się wielkie, zwykle święcone pod „Baranami“ u hr. Katarzyny Potockiej, sędziwa bowiem hrabina Arturowa, która zwykle przewodniczy mu, przepędza tego roku zimę w Odessie u siostry ks.

Woroncow. Święcone to gromadzi w pierwszy dzień Świąt cały Kraków; jest piękną, patryarchalną i narodową uroczystością, wznoszącą się ponad małości codziennego życia.

IV.

Kraków, 6 grudnia 1875 r.

Jako dawny znajomy, powracam do przerwanej z wami rozmowy. Nie pytajcie o powody tak długiego milczenia, nie mógłbym się wytłumaczyć; przyrzekam Wam tylko, że teraz będzie inaczej. Być może, że i moja rozmowa będzie nieco inną, niech was ta zmiana nie dziwi; jestem blisko o pół roku starszy, tem samem zubożony większem doświadczeniem, może i nieco złudzeń straciłem, aczkolwiek zaprawdę, mało ich i wtedy miałem.

Niepodobna w tej chwili od czego innego zacząć ztąd listu, jak od nowego namiestnika; został nim — czego po śmierci hr. Gołuchowskiego oczekiwać można było na pewne — marszałek sejmu hr. Alfred Potocki. Są chwile, w których nie należy nikogo zbyt mocno zadawałniać, aby nikogo zbyt mocno nie rozgniewać; taką chwilą jest obecna i dlatego to tak właściwem i na czasie jest wyniesienie hr. Al. Potockiego na urząd namiestnika; powołanie, aczkolwiek zgodne z wyraźnie objawionem życzeniem całego kraju, nikogo zbyt mocno nie cieszy, ale też nikogo nie jętrzy. Usposobienie to ogółu staje się najlepszem ocenieniem nowego namiestnika; nadającego się do Galicyi, do okoliczności i stosunków tutejszych, wśród których nie nadzwyczajnego nie da się zrobić, a nawet zbyt żąda zrobienia czegoś nadzwyczajnego, mogłaby się już stać szkodliwą. Nikt bezsprzecznie w tej chwili nie posiada jednocze-

śnie w tak wysokim stopniu zaufania monarchy i kraju jak hrabia Potocki, tem samem nikt nie mógł właściwiej zająć stanowiska namiestnika. Godnem jednak zapisanania zjawiskiem w tym kraju jest, że do wszystkich czynności i godności ma on zawsze tylko jednego człowieka. Od pewnego czasu tym człowiekiem — przedtem mało w życiu publicznym znanym, wcale niepopularnym — jest hr. Alfred Potocki. Gdy szło po procesie offenheimowskim o obsadzenie krzesła marszałkowskiego, nie umiano nikogo innego wymienić tylko hr. Alfreda Potockiego; po śmierci hr. Gołuchowskiego głos publiczny, przemawiał tylko za hr. Potockim. Hr. Potocki stoi na czele kilku Towarzystw krajowych jako prezes, hr. Potocki jest zastępcą protektora Akademii umiejętności, hr. Potocki w niektórych miesiącach przewodniczy kilku lub kilkunastu zebraniom. Ktoś powiedział, że jak umrze arcybiskup lwowski, arcybiskupem zostanie niezawodnie hr. Potocki. Czy świadczy to o ubóstwie i braku ludzi, czy o lenistwie umysłowem ludności, która wzięwszy, że tak powiem, na oko kogoś, nie zadaje sobie pracy szukania innych? Nie chcę rozstrzygać. Wiem tylko, że po śmierci hr. Gołuchowskiego, życzenie kraju co do powołania hr. Potockiego na namiestnika, objawiło się bardzo jawnie, nawet przez chwilę hałaśliwie. Była to poprostu robota muchy w bajce, gdyż wyniesienie hr. Potockiego na tę godność, od pierwszej chwili było w Wiedniu postanowionem i zależało tylko od przyjęcia jej przez hrabiego. Przecież nie podobało się to i słusznie, w rozstrzygających kolach i dało nawet powód cesarzowi do powiedzenia, „że jeżeli kraj chce wybierać namiestnika, to Korona będzie wyznaczać posłów“.

Hr. Al. Potocki wytrawnym i pełnym godności postępowaniem, jako marszałek sejmu, zyskał tu sobie wielu zwolenników, nawet, co dziwniejsza, uznanie ogółu, co jeszcze dziwniejsza, będąc miłym Krakowowi

jest zarazem przyjemnym Lwowowi. Ważniejszą zaś od tego wszystkiego jest jednozgodna życzliwość dla niego wszystkich różnorodnych żywiołów w kraju i sejmie. Czy do końca tak będzie, jak jest teraz w miodowym miesiącu? trudno przewidzieć; bo jeżeli Austria jest państwem nieprawdopodobieństw, to niezawodnie Galicya jest krajem sprzeczności i nigdzie tak blisko jak tu, od Kapitolu do skały Tarpejskiej. Na szczęście, że ani Kapitol, ani Tarpejska skała nie są wysokie, i że dostać się można do pierwszego bez zawrotu głowy, spaść z drugiej i to kilkakrotnie, bez złamania karku. Dla mnie osobiście ta wyjątkowa jednozgodność, w kraju sprzeczności jest złowrogą: *car c'est trop beau*. Co się tyczy samego namiestnika, to niewątpliwie, spokojem, taktem, wielką prawością, stosunkami w Wiedniu, stanowiskiem społecznym i także wytwornem wzięciem, które u niego jest siłą, odpowie on położeniu. Przypomina postacie Van-Dycka; ma powierzchowność nadającą się do purpury kardynalskiej i przedstawiać będzie władzę, jak niktby tego tutaj w tym stopniu nie potrafił, bo jest on pierwowzorem człowieka dobrze wychowanego, tem samem prawdziwym wielkim panem i nawet rzecz dziwna, że człowiek tak dobrze wychowany, mógł zjednać sobie życzliwość kraju tak źle wychowanego. Jedyne szkopuł, którego, chcąc koniecznie coś ujemnego znaleźć, dopatrzećby się można w dostojnym namiestniku, jest pewna żądza, która u niego góruje nad wszystkim, żądza bezstronności. Nie bierzcie tego co mówię za paradox. Bezstronność, która jest niezaprzeczenie przymiotem w życiu publicznym, staje się szkodliwą, gdy zamienia się w żądzę, jej treścią bowiem i istotą jest miara, — gdy jej zachować nie umie, gubi lub odstręcza przyjaciół i zwolenników, nigdy nie jedna, ani zadawalnia przeciwników, którzy ją biorą za objaw słabości. Tej zbytnej bezstronności złożył dowody hr. Potocki podczas swojego ministeryum, tak, iż na niem najgorzej wyszli i ludzie jego przekonani i zasady, które zdawały się być jego.

Kończąc o namiestniku, przytoczyć muszę dowcip humorystycznego pisma lwowskiego, określający położenie hr. Potockiego. Karykatura przedstawia go wraz z ministrem Lasserem. Hr. Potocki mówi: „A pamiętasz Lasserze, że jak byłem ministrem, oddaliłem cię z namiestnictwa w Tyrolu“. -- „To też, odpowiada Lasser, przyszła kreska na Matyska i przez zemstę zrobiłem cię namiestnikiem w Galicyi. Cierp teraz i naucz się nie zaczepiać Lassera“.

Poza sprawą już rozwiązaną namiestnictwa, zajęte tu umysły przypuszczeniami i przewidywaniami odnoszącymi się do Wschodu, które acz może prawdopodobne, nie mają jeszcze dostatecznej podstawy, aby się nad nimi zastanawiać.

Przewidywania te nie odrywają, ani też zakłócają zwykłego życia tutejszego, szczególnie nie zamęczają nudów krakowskich. Niezrównane ich określenie dała dziewczynka, której rodzice zamieszkują jedną z głównych ulic tutejszych Grodzką, przez którą przechodzą od zamku pogrzeby z muzyką. „Mamo, rzekło dziecko, dziś tak nudno, nie przeszedł żaden pogrzeb“. Pogrzeb przedstawiający się jako szczyt zabawy i wesołej rozrywki, to najwymowniejsze ocenienie zastoju, zacnego, starożytnego, królewskiego i pod wielu względami niegłupiego, wykształconego, lecz ociężałego i drzemającego Krakowa. Nudy tutejsze mają — jak wszędzie — główną swą przyczynę i magazyn główny, jak mówi Mickiewicz, nietyle w zewnętrznych okolicznościach, jak raczej w duszy samych Krakowian. Ludzie ci miłują się w nudach i dlatego tak bardzo się nudzą, a ktoś dobrze powiedział, że gdy się wraca z podróży do Krakowa, zdziwionym się jest widząc wszystkich w zasepionem usposobieniu. Dla Krakowianina niema większej przyjemności jak drugiemu powiedzieć nieprzyjemność. Uważanem jest to tu za obowiązek i cnotę, lecz pojmiecie, że nie może się przyczynić do uprzyjemnienia stosun-

ków towarzyskich, i że doprawdy lepsząby była pewna wykwintna obluda. Drugim żywiołem nudów tutejszych jest zbyt częste zakochanie się w sobie *l'infatuation de soi même*, do czego powietrze tutejsze usposabia bardzo prędko ludzi nawet niepospolitych. To wielkie rozmiłowanie się w sobie samym stwarza cały zastęp ludzi trochę za wielkich dla Krakowa, trochę za małych na gdzieindziej; jestto istna plaga tutejsza, nie tylko nieznośna dla innych, ale niweczająca wielu mających niezaprzezoną wartość. Dla tych ludzi trochę dla Krakowa za wielkich, wszystko co ich otacza jest złem, małym, poziomem; tęsknią, szukają i gonią za czemś, za doskonałością, a nie mogąc jej znaleźć wokół siebie, znajdują ją w końcu w samych sobie; dla zastrzeżenia się co do własnej wyższości, wszystko ganią i poniżają. Człowieka trochę za wielkiego dla Krakowa, łatwo można rozpoznać po stereotypowym, szyderyczym uśmiechu na ustach. Nietrudno zrozumieć, że idą oni drogą prowadzącą wprost do śmieszności, i że zarazem marnują te żywioły życia, które bądź co bądź, znajdują się tutaj, które należy zużytkować z tym prawdziwym rozumem, który umie wszystko wyzyskać, i ze wszystkiego w pewnej mierze umie być zadowolonym. Stąd tyle tu ludzi śmiesznych, acz niegłupich i takie nudy, pomimo tylu czynników życia umysłowego i zajmującego.

Nie myślcie jednak, aby tu nic rozumnego lub dobrego nie robiono — wcale tego nie twierdzę; — Akademia uniejętności, jak świadczą o tem wzmianki umieszczane w waszym dzienniku, wypełniać usiłuje sumienie i pracowicie swoje zadanie; nie umie jednak obudzić szerszego, ogólniejszego zajęcia, co może świadczyć tylko, iż trzyma się ściśle zakresu naukowego. Główną jej podporą obok czcigodnego prezesa Mayera jest sekretarz Józef Szujski i znowu wszystko tu oparte na jednym człowieku, czy też na dwóch ludziach. Odczyty

publiczne już się rozpoczęły; zapowiedzianych jest kilka zajmujących, mianowicie hr. Tarnowskiego „O najnowszych krytykach Shakespearę“.

Wystawa sztuk pięknych nieustająca w pałacu biskupim, przedstawia od czasu do czasu dzieła godne uwagi, jak niedawno „Targ na Kleparzu“ Lipińskiego, który zdobywszy sobie uznanie w Wiedniu, zakupiony tam został. Matejko wystawił „Przemysława“ który przecie znowu nie stanowi postępu w twórczości znakomitego malarza. Niedawno wręczono mu medal wybity na jego cześć. Słusznie, przyjmując go, rzekł: „że medale winno się bić tylko umarłym, i że z trwogą przyjmuje go, gdyż ani on, ani ci, którzy wręczają medal, nie mogą jeszcze wiedzieć, co się stanie z jego talentem“. Są na wystawie dwa dobre portrety męskie Grabowskiego, na którego już zwracałem waszą uwagę.

Nieraz jeszcze oczywiście powrócę do tych miejsc zajmujących, w tym miłym bądź co bądź Krakowie, mieniącym się raczej dobrodusznie niż dumnie Atenami; a teraz zająć muszę tam, gdzie obecnie najtłumniej i najgwarniej, do teatru. W szczupłym i starym tym gmachu, dużo życia w tym roku, już dlatego, że prawie zawsze pełno. Obecnie gości tam opera lwowska, która o niczem nie wątpiąc i przed niczem się nie cofając, daje nam same arcydzieła olbrzymich rozmiarów, od „Balu Maskowego“ do „Roberta dyabła“. Wam nie potrzebuję mówić, jaką może być rzeczywista wartość tej opery; u nas jednak i w naszych stosunkach, wypada — nie chcąc należeć do za wielkich — sądzić o wszystkim nie bezwzględnie, ale względnie. Opera, rzecz najdroższa w dziedzinie teatralnej, przytem nieznosząca mierności, jest nieprawidłowością, gdy nie jest niepodobieństwem w małych miastach, szczególnie na północy, jestto zbytek, który w tych warunkach nigdy nie może stać się przepychem, skoro jednak jest publiczność chętna, czy też zdolna zaparcia się, to przyznać trzeba, że Dyrekcyja

lwowska zrobiła co tylko się dało, i że znać staranność i sprężystość. To więc, nie powiem przedrzeźnianie, ale raczej to udawanie opery, ściąga tłumy ciekawych do teatru krakowskiego. Rzeczą godną bowiem uwagi, że zachowawcze to i stare miasto w dziedzinie widowisk publicznych, jedną tylko ma żądzę — nowości, która je zawsze wiedzie do stóp każdej nawet mierności. I w tym wypadku Kraków okazał się wiernym tej żądzy, zarazem dowiódł, że jest Atenami bez Ateńczyków. Bywają, szczególnie bywały tu nieraz przedstawienia, mające większą wartość od owych wysileń operowych; a aczkolwiek widzieć je można było po niższych cenach nierównie mniej ściągały widzów. Świadczy to, że więcej tu jest dobroduszości, może ciekawości, jak znawstwa. Dodać winienem, że uniesienia, na przedstawieniach niema, ale jest coś lepszego, bo są tłumy. Towarzystwo wyższe stroni od opery.

Co się tyczy zwykłego teatru, ten dał znowu dowód giętkości i sprężystości, któremi od kilkunastu lat odznacza się. Jest w tym teatrze coś z węża; poćwiartowany zrasta się z łatwością. Wystawiony wiecznie na rabunek ze strony innych teatrów, dotkniętym został w dwóch ostatnich latach śmiercią lub chorobami najlepszych artystów, przecież potrafił zawsze skleić jakąś taką całość. W zeszłym roku, jednoczesne straty takich aktorów jak Ekerowa, Benda, Wardzyński, Dłużewski i Ładnowski, były dla niego, jeżeli nie Sedanem, to przecież Sadową. Nawet najsilniej wierzący w gwiazdę tutejszego teatru i Dyrekcyi, wątpić o niej zaczęli. Tymczasem nowy okres rozpoczął się w październiku wcale przyzwoicie, a od pierwszej chwili nie zabrakło najgłośniejszego czynnika, to jest publiczności. — Z kolei zrabowała Dyrekcyja wasze prowincjonalne teatryki i dopełniła dość szczęśliwie zdziesiątkowane towarzystwo. Tak przekształcony teatr opierając się na kilku pozostałych znakomitościach, rozpoczął „Nietoperzami“ Lubow-

skiego; znać było trochę w tem przedstawieniu, połączenie sztuczne, różnorodnych i obcych sobie żywiołów. Aczkolwiek „Nietoperze“ przeniesione na grunt krakowski straciły nieco, a szczególnie aczkolwiek straciły na tem, że nie było w nich ani Żółkowskiego, ani Rapackiego, przecież podczas przedstawienia podobały się i wywoływały nieraz wybuchy wesołości; potem ochłonięto z pierwszego wrażenia, a Kraków zanadto jest plotkarskim miastem i Krakowianie zanadto wielkimi plotkarzami, aby poznawszy się w tej komedyi i poznawszy w niej główny grzech Krakowa, nie znienawidzili jej i nie odepchnęli od siebie jako sobowtóra. Każdy bowiem tam wyraz jest docieciem staremu grodowi. „Przezorna Mama“ Blizińskiego, miała powodzenie śmiechu, ale jest to trzyaktowa komedya, a to za mało aby ściągnąć do teatru Ateńczyków.

Czy nie zdarzyło wam się nieraz spotkać z osobą, która ani pięknoscią, ani rozumem, ani wogóle niczem szczególnem nie odróżnia się, przecież wszystkim się podoba i jest przez wszystkich lubianą, która jednym słowem ma szczęście do ludzi? Do takiej osoby porównałbym komedję Zalewskiego „Przed ślubem“. Ulubione to dziecko publiczności lwowskiej, odrazu przygarniętem i wypieszczonem zostało także przez krakowską. Było to prawdziwe, rzeczywiste, wyjątkowe powodzenie teatralne, — komedya ta przepelnia wciąż jeszcze widownię, wszyscy wychodzą z jej przedstawienia zadowoleni, rozpromienieni, sypią się pochwały dla autora, dla aktorów, dla Dyrekeyi, słowem ma ona szczęście do ludzi. Gdy się jednak zapytać dlaczego? mało kto umie odpowiedzieć. „Przyjemnie jakoś być na takiej rzeczy“, oto jedyna a prawie ogólna odpowiedź.

Oprócz tych rodzimych nowości, dwa przedstawienia obcych utworów, zwróciły na siebie uwagę, głównie dzięki grze w nich Hoffmann. „Chata pod lasem“ znany i wam zapewne, słynny przed laty dramat Souliego (La

Clôserie des Genêts), wznowionym tu został. Jest to utwór z okresu, w którym pisano nie tylko dla pieniędzy, ale z przekonania; czuć to w tym dramacie wybornie zbudowanym, opartym na uczuciu honoru i na poszanowaniu związków rodzinnych. Walka obowiązków stwarza tu położenia przejmujące i podniosłe.

Drugi utwór o którym mówię, jest „Nowa Firma“ (Maison Neuve) Sardou, komedia arcyniesmaczna, lecz w paru rolach dobrze grana.

Ostatnią większą nowością, jest „Mieczysław II“, Belcikowskiego, dramat historyczny, uwieńczony na ostatnim konkursie nagrodą 650 złr., ową pierwszą nagrodą, która przez dwa lata czekała na pojawienie się godnego jej utworu. Jeżeli znacie dramatyczne utwory Belcikowskiego, to nie poznalibyście go w tym najnowszym jego dziele, tak odskok jest znacznym, postęp znaczącym. Dramat ten jest najzupełniej, ale dobrze wzorowanym na historycznych dramatach Shakspeara, wielką jego zaletą, że pomimo tego nie zatarte w nim rodzime znamię, przeciwnie, oddane rysy charakteru narodowego, szczególnie w samym Mieczysławie II.

Dzielny i butny w początku, gotów świat cały podbić, niewątpiący o niczem, łatwo daje się zgnębić nieprzyjaznym okolicznościom i upada najzupełniej na duchu. Upokorzenie którego doznaje, będąc zmuszonym oddać hold cesarzowi niemieckiemu w Merseburgu, najzupełniej powala go o ziemię i z wszelkiej wyższości i dzielności wyzuwa, nawet doprowadza do spodlenia i „gnuśności“, kończącej się rozpiciem. Dramat nieco przydługi, i nudny w pierwszych aktach, od chwili owego upokorzenia, staje się zajmującym i wysoce tragicznym. Są położenia pełne grozy, są i szczęśliwe wykrzykniki. Jak wszystkie niestety dramata historyczne, „Mieczysław II“ obejmuje więcej jak się pomieścić może na scenie, szczególnie na małej scenie. Niezliczona liczba podrzędnych osób jest wielkim błędem, nawet kalectwem

tego utworu. Te osoby wchodzące na to tylko, aby kilka wierszy wypowiedzieć, bądź co bądź, przypominają szopkę — na tutejszej scenie przypominały ubogą — na większej i zamożniejszej przypominać będą bogatszą. To błąd organiczny. Bolesław Ładnowski przybył ze Lwowa dla odegrania Mieczysława; znać Dyrekcyja nie dowierzała jeszcze młodym i nowym siłom. Artysta ten, pełen talentu, przypomniał nam w tej roli najpiękniejsze swoje chwile, i raz jeszcze przekonał, jak samoistną, zarazem niepospolitą obdarzony jest twórczością; szczególnie dwa ostatnie akta, upadek ducha, rozpicie się i waryacya, oddane zostały z prawdziwą potęgą tragiczną. Jedyłą niestety, dodatnią postacią dramatu jest nadreńska księżniczka, której nagrobek znajduje się w katedrze Kolońskiej, królowa Ryksa. Usobienie to, rozumu stanu i suchej ale silnej wiary chrześcijańskiej. Odegrała, a może raczej wypowiedziała tę rolę bardzo rozumnie Hoffmann. Sztywna ta postać przypomina do złudzenia portrety starej szkoły niemieckiej, i jest od początku do końca, znakomicie przez autora z nieubłaganą ciągłością nakreślona. Drugą kobiecą rolę, nierównie słabiej naszkicowaną Dobrówki, kochanki króla, lecz dającą więcej sposobności do wywołania wrażenia, odegrała panna Kwiatyńska i wyglądała w niej, szczególnie przebrana za rycerza bardzo pięknie. Gra jej wyrażająca się pełnym, silnym głosem, niezłe sprawiła wrażenie.

V.

Kraków, 4 Stycznia 1876 r.

Gdy się osiągnie to czego się gorąco pragnęło, nastaje zwykle chwila uspokojenia. Galicya, otrzymawszy upragnionego namiestnika, zdaje się już więcej ani zajmować, ani troszczyć jego rządami. Nastąpiło zupełne

zobojętnienie, które zapewne trwać będzie aż do chwili powołania nowego marszałka sejmowego, gdyż, jak to już dawniej zauważyłem, sprawy osobiste i osób, mają tu wyłączny przywilej rozbudzania umysłów i namiętności. I rzecz godna uwagi, w kraju, w którym wciąż, choć niesłusznie, skarżą się na brak ludzi, o osoby głównie idzie w sprawach publicznych. Tymczasem Lwów nader jest zadowolony z nowego namiestnika, raczej z dostojnej pary namiestnikowskiej. Podwoje pałacu namiestnikowskiego otwarte są wieczór, dwa razy na tydzień dla licznych gości, codziennie dla szczuplejszego grona wybranych. Wielka uprzejmość, raczej wielka znajomość świata, czaruje jednych, upaja drugich, zadawalnia wszystkich. Niemalą to będzie zasługą hr. Potockich, jeżeli zdołają rozbudzić i utrwalić na prawdziwych, zdrowych, nie sztucznych podstawach życie towarzyskie we Lwowie. Dotąd bowiem dość dziwne i dzikie miano tam o niem pojęcie. Uwzględniano jedynie to, co w niem najmniej ma rzeczywistej wartości, aczkolwiek najdrożej kosztuje — wystawność. Nieraz domy, które nie mogły ośniewać przepychem, wołały zamykać swe podwoje. Niskie to wyobrażenie o życiu towarzyskiem, stawało się zaraźliwem, i aby z tej choroby wyleczyć Lwów, trzeba było tak wielkiego pana, jak hr. Potocki, który sam stoi ponad przepychem i zbytkiem, i który może dać przykład wytwornego i prawdziwego domu, bez służby w perukach i bez ścian kapiących od złota.

W tym i podobnych kierunkach namiestnikostwo hr. Potockiego może mieć prawdziwą i rzeczywistą dla Galicyi wartość. Na polu politycznem, zdaniem mojem, które już w poprzednim objawilem liście. nowe namiestnikostwo nie ma i mieć nie może wielkiej przyszłości. Hr. Potocki zbyt trzeźwo zapatruje się na rzeczy, aby sam mógł pod tym względem ludzię się; zbyt jest on prawowiernym, wstrzemięźliwym, i jak mówią w Au-

stryi: korrekt, aby popadł w śmieszność lub śmiałość polityki na własną rękę. Tego ani się obawiać, ani też o to posadzać go nie można. Namiestnik w państwie konstytucyjnem, aczkolwiek mianowany przez monarchę, zależnym jest i być musi od ministerstwa, odpowiedzialnego przed izbami. Już to samo określa, zarazem ogranicza jego działalność polityczną. Bądź co bądź, w tych warunkach musi on być wykonawcą. Że tak a nie inaczej przedstawia się namiestnikostwo hr. Potockiego, najlepszym dowodem, iż pomimo jego życzenia, nie zostawiono mu prawa przenoszenia starostów bez odwołania się do ministra. Wprawdzie prawa tego w całej monarchii używał tylko, osobiście, hrabia Gołuchowski, a danem mu ono zostało za ministerstwa hr. Hohenwarta. Do pomocy w zarządzie będzie miał nowy namiestnik dobrą siłę, prawego, zdolnego i obeznanego ze stosunkami urzędniczymi i krajowemi, Hermana Loebła. Jeżeli zbyt wielkiego politycznego znaczenia nie należy przywiązywać do namiestnikostwa hr. Potockiego, to znów w kierunku zarządczym, po tak dzielnym i zdolnym kierowniku, jakim był hr. Gołuchowski, niewiele, przynajmniej nic nowego nie pozostaje do zrobienia, tem mniej do stworzenia. Tem cenniejszem i godniejszem jest uznania poświęcenie hr. Potockiego, który w tych warunkach przyjął ciężar dostojęństwa, stojącego bezsprzecznie niżej od jego dotychczasowego politycznego stanowiska. Poświęcenie to jednak o tyle zrozumiałem i cennem będzie, o ile nowy namiestnik okaże, iż poza temi dwoma wyżej wymienionemi kierunkami jest jeszcze wiele do zrobienia. I tu jest najważniejsze zadanie.

Nie urząd namiestnikowski, ale naczelne stanowisko w kraju może mieć dla niego wielką ważność i doniosłość. Hr. Potocki z urzędu mało zdziałać może, stanowiskiem swoim bardzo wiele. Poprzednie lat kilkanaście dowiodły, że w tym kraju z dołu nie zdrowego ani silnego wydobyć się nie dało; społeczeństwo to

z dołu wydawało tylko wyziewy i potworki; dziwaczne wyobrażenia w dziedzinie myśli, ubóstwo w dziedzinie pracy. Naprawa i wyleczenie, tem samem zdrowie, przyjsć może tutaj tylko z góry. Takim górnem stanowiskiem jest niewątpliwie posada namiestnika, szczególnie gdy ją piastuje hr. Potocki. Danie więc popędu pracy rzeczywistej, utworzenie ogniska dla życia umysłowego, literackiego i artystycznego, pielegnowanie języka, literatury, sztuk pięknych, skupianie ludzi, odszukiwanie ich, łączenie z sobą tych, którzy są, a jest ich bezsprzecznie wielu, tylko są rozproszeni i ubezwładnieni, działanie na ducha publicznego, nareszcie rozbudzenie i towarzyskiego życia, oto liczne, a wzniosłe zadania, które świetnie zapełnić mogą rządy nowego namiestnika; oto kierunki, w których idąc, ochronić może te rządy od oplakanej jałowości i poza zarządem przewyższyć potrójne hr. Gołuchowskiego namiestnictwo. Że hrabia Potocki baczną zwróci uwagę na gospodarze sprawy kraju, o tem ani wątpić. Kraj to głównie i przeważnie rolniczy, hr. Potocki jest z powołania rolnikiem i jednym z najlepszych zarządców jednego z największych w polskich ziemiach majątków. Wie on więc doskonale czego potrzeba, aby podnieść źródła bogactwa krajowego, a że w tym kierunku bezczynnym nie pozostanie, mamy dowód w jego przemówieniu do Towarzystwa rolniczego, w którem nazwał je swoim dzieckiem. Jedna to przecież, i aczkolwiek ważna, nie najważniejsza strona zadania. Rozbudzenie, uporządkowanie i przodowanie życiu umysłowemu i duchowemu kraju, oto wedle słów Ewangelii, najlepsza strona, a nader nagląca, powiem nawet piekająca tutaj. Hrabia Potocki, jako zastępca Protektora akademii umiejętności, już niejako z urzędu, ma wytkniętą pod tym względem drogę. Opiekując się, i ożywiając życie umysłowe, nadając mu zdrowy i uczciwy kierunek, mógłby niejako wytworzyć zbawczą przeciwtruciznę tych wszystkich bezrozumów i szaleństw, któremi

karmi się dotąd tutejsze społeczeństwo. Włać nieco godności i zacności w życie publicystyczne tutejsze, byłoby to oddać krajowi niemalą usługę. Żywiółów nie brakłoby, brak tylko urządzenia i początkowania z góry.

Jedyną niestety w tym kierunku zasługą hrabiego Gołuchowskiego, było założenie *Gazety lwowskiej* urzędowej, raczej powierzenie jej znanemu, zdolnemu, a nieskałanemu błotem dziennikarstwa galicyjskiego, pisarzowi Władysławowi Łozińskiemu. Pomimo niełatwego stanowiska urzędowego dziennika, *Gazeta lwowska* w krótkim czasie, dzięki wybornemu kierownictwu, wyrobiła sobie poważne i poważane stanowisko i zabłysła jako istny meteor na ciemnym i wiecznie zachmurzonym niebie dziennikarstwa lwowskiego. Już samo przeciwstawienie porządnego i rozumnego dziennika, niesfornej zgrai codziennych drukowanych niesłychanych błazeństw, było drogocennem. Raz tylko *Gazeta*, ulegając maluteczkim nienawiściom wysokiego opiekuna, niepotrzebnie stała się skrzynką pocztową dla grubiaństw szlacheckich, wystosowanych do Stańczyków, podczas słynnej sprawy Porcyi i tem, jak na urzędowy dziennik, dowiodła braku poczucia przyzwoitości. Poza tym przecież odosobnionym błędem, odpowiada ona doskonale swojemu zadaniu; a wydawanie obok niej *Przewodnika naukowego i literackiego*, pisma zbiorowego, w którym znajdują się nader poważne i drogocenne rozprawy, przemawia najlepiej za kierownictwem i kierownikiem. Z prawdziwą więc przyjemnością zapisać należy, że ze zmianą osoby namiestnika nie się dotąd nie zmieniło w wydawnictwie *Gazety Lwowskiej*, a pogłoski jakoby ze względów oszczędności miał przestać wychodzić *Przewodnik*, poczytać należy za bezzasadne. Trudno bowiem przypuścić, aby hr. Potocki miał takim sknerstwem, rozpocząć swoje działanie na polu, na którym najwięcej zrobić może i powinien. W *Przewodniku* znajdują się znakomite artykuły Małeckiego, zajmujące hr. Dzieduszyckiego, weale

niepospolite historyczne rozprawy młodego pracownika Kubali. W *Gazecie* zaś, oprócz doskonałego streszczenia wypadków politycznych, jest nader ożywiony odcinek, w którym nieraz rozpoznać można świetne pióro naczelnego kierownika, autora nieocenionych niegdyś odcinków w *Czasie* „Szurum Burum“, w których opisał tak dowcipnie i zjadliwie zamęt wyobrażeń i całe zagmatwanie lwowskie. A co najważniejsza, jest w sposobie *Gazety* godność, przyzwoitość, w jej treści rozum: trzy czynniki, których brak zupełny w innych lwowskich dziennikach, przemienia je, w potworki bez nazwy.

Hrabia Potocki, przejeżdżając tędy z Wiednia do Lwowa, zapowiedział rychłe swoje urzędowe przybycie do starego grodu. Dotąd obietnica nie została spełnioną. Nie brak tu już takich, którzy mówią, że stołeczne miasto, nie pozwala namiestnikowi zwiedzić powiatowego miasta Krakowa. Twierdzenie to jest, zdaniem mojem, tylko objawem owej żółciowej choroby Krakowa, która się zwie Lwowem, aczkolwiek jest ona zwykle słabszą od drugiej wątrobianej choroby lwowskiej, która się zwie Krakowem. Namiestnik, który bezsprzecznie stoi ponad temi małostkami, nie miał poprostu dotąd czasu opuszczenia Lwowa i biur namiestnikowskich. Jeżeli kto jest stworzony, aby załagodzić nieznośne między Lwowem a Krakowem przeciwieństwo, to właśnie hr. Alfred Potocki, i to będzie jedną z dobrych stron jego rządów.

Zanim Kraków ujrzy Namiestnika i przekona się, że go potomek hetmanów nie myśli wcale poniżać, namyśla się do zimowego ożywienia. Święta ściągnęły do miasta nieco napływowego żywiołu. Przybyli też z Wiednia i posłowie do Rady Państwa. Podczas ostatnich obrad, dwóch posłów Krakowian odznaczyło się świętnie i dobrze zasłużyło. Poseł Rydzowski wyborną mową o lichwie; poseł Dunajewski znakomitem przemówieniem przy ogólnej rozprawie budżetowej. Tak

rzadko ludzie galicyjscy umieją stanąć na stanowisku przedmiotowem, tak trudno im nie opierać się o komunały i nie zadawałniać się pięknie brzmiącemi choćczczemi słowy, że doprawdy z chlubą zapisać można wystąpienia w Radzie Państwa tych dwóch panów, które zjednały im uznanie nawet przeciwników, a które miały rzetelną wartość. Chcąc was zapoznać z tutejszem społeczeństwem, najlepiej jest przedstawiać wam Galicyę w jej ludziach. Wszak nie bardziej zajmującego niema nad człowieka, a poznanie choćby jednego w mieście, więcej warte niż zwiedzenie wszystkich jego gmachów. Do wybitniejszych ludzi należy Julian Dunajewski, profesor ekonomii politycznej na wszechnicy Jagiellońskiej; jest on jednym z najlepszych mowców tutejszych; dobrze włada polskim i niemieckim językiem. Poseł na sejm krajowy, poseł w Radzie Państwa, członek Rady miejskiej krakowskiej, profesor oraz kilkakrotnie dziekan i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Akademii, Dunajewski, należy do tych rzadkich wyjątków, które nigdy nie ubiegały się o popularność i nigdy nie posługują się frazeologią. Bystry i dowcipny, posiada naukę równowagi w sprawach i działaniach publicznych. Chętnie się odznacza, nie narzuca się. Obdarzony zdrowym poglądem na bieżące sprawy, nie obcą mu jest pewna godziwa żądza polityczna i umie być bez śmieszności kandydatem na wyższe posady, których jeszcze nie piastował. Słowem, jest on z drzewa, z którego wystrugać tu można ministra, marszałka sejmowego lub namiestnika. Niewątpliwie jest dygnitarzem przyszłości. Mąż zachowawczych i zdrowych zasad, z którymi jednak obchodzi się jako człowiek obdarzony zmysłem politycznym; umie się im poświęcać, nie narażając jednak swojej przyszłości. Mam do mówienia tym razem nietylko o człowieku znaczącym w kraju, ale istotnie politycznym, gruntownie pod tym względem wykształconym, który od młodu odda-

wał się naukom państwowym, następnie pracował i zaważył w różnych gałęziach życia publicznego. Mąż o talencie istotnym, nauki i doświadczenia, któremu zarówno przystępna katedra i *forum*, praca gabinetowa i sejmowa, zarząd i mownica. Słowem jeden z tych, którym pod każdym względem szczyścić by się mogło każde społeczeństwo. Rozpoczął nauki szkolne w Nowym Sączu, skąd wybierany bywa zarówno do Sejmu i do Rady państwa, kończył je we Lwowie i Wiedniu, zdobywając świetnie wszystkie stopnie uniwersyteckie. Około 1852 r. zostaje przy uniwersytecie krakowskim supletem umiejętności politycznych. W chwili germanizacyjnej zakusy, dostępuje tego zaszczytu, iż wraz z Helclem, Polem, Zieleniewskim, Małeckim odsuniętym jest od Uniwersytetu Jagiellońskiego i przeniesionym do Presburga, stamtąd na Uniwersytet lwowski; ze Lwowa gdy zaprowadzono napowrót język polski na wszechnicy Kazimierza i Jagiellonów, wraca jako wróżba lepszej przyszłości do Krakowa, znowu na katedrę ekonomii politycznej. W czasach rządów Wielopolskiego w Warszawie i niezrównanego przeobrażenia przez tego znakomitego męża stanu, wychowania publicznego w Królestwie Polskiem na podstawach narodowych, Dunajewski wezwany zostaje przez niego, za pośrednictwem syna Zygmunta, wraz z największemi naukowemi powagami w Polsce do objęcia w Szkole Głównej, katedry ekonomii politycznej. Rząd Schmerlinga czuł na coraz większe rozwijanie się życia publicznego i narodowego w sąsiednim Królestwie Polskiem, z wielką niechęcią dowiedział się o tem zaszczytnem dla młodego profesora wezwaniu. Prezydent rządu krakowskiego Merkel, postarał się, aby w oczach władz rosyjskich w Warszawie, mianowicie u oberpolicmajstra Trepowa, przedstawić Dunajewskiego, jako bardzo niebezpiecznego i stojącego na czele jakiegoś uniwersyteckiego wywrotowego stronnictwa. Jakież było zdziwienie

tych władz, gdy się niebawem dowiedziały, że Dunajewski obrany rektorem w Krakowie, potwierdzonym został w tej godności przez N. Pana; wtedy zrozumiały dopiero o co szło rzeczywiście rządowi Schmerlinga i Rechberga.

Rektor Dunajewski obdarzony bystrym rozumem, gryzącym acz wesółym dowcipem politycznym, wymowny, łatwo obejmujący każdy przedmiot, ma niezaprzeczenie polityczne usposobienie. Pomimo tego, pomimo istotnej, poważnej miłości sprawy publicznej i wśród najliczniejszych, użytecznych, to znów świetnych zatrudnień czasem tęskni za wykwintnym odpoczynkiem, za Horacyuszowskimi *otium* z pewnym odcieniem niewinnego sybarytyzmu; przecież o zadośćuczynieniu najniewinniejszemu nawet, w naszych stosunkach, mowy być nie może. Przyjaciele Dunajewskiego twierdzą, że ze względu na to, czego od niego wymagają, czego od niego oczekują a dla niego życzą, chęć wywczasu za często bierze w nim górę i zarzucają mu brak pilności. Ale bo też nie ma jak przyjaciele! Czyż nie wiedzą, że przy niepospolitych zdolnościach, człowiek, któremu wszystko łatwo przychodzi, z łatwością obejść się może bez tuzinkowej pilności. Ale żeby wogóle u nas człowiek publiczny używał choćby najbardziej za nim tęsknił, odpoczynku cóż dopiero sybarytyzmu, to wielkie złudzenie. Widziałem, jak Dunajewski powróciwszy z Rady państwa po ciężkiej pracy, bezpośrednio rozpoczął w Uniwersytecie wykłady. A zatem wszystko się kończy na najlepszych może chęciach. Zresztą te chęci byłyby jak w wielu wypadkach tak i tutaj objawem i następstwem prawdziwego talentu. Z wielkimi zdolnościami dzieje się to samo, co z wielkimi majątkami, zwykle chcieliby je nad miarę wyzyskać, ale nie darmo jest się profesorem ekonomii politycznej, żeby nie wiedzieć, że oszczędność jest matką bogactwa. Dunajewski z wiarą religijną łączy pewien odcień niewiary o ludziach i sprawach

ludzkiej, który objawia się szczyptą szyderstwa, a brany jest za lekceważenie.

Istotny to krasomówczy talent, mowca prawdziwy, niepospolity, umiejący i zawsze gotów odpowiadać, który już na szerszej widowni zdobył sobie pod tym względem sławę; włada doskonale piękną niemczyzną. W niektórych rysach jego wyżej przytoczonych, odnaleźć można przyczynę, dla której nie lubi waśni i unika jej, ale dotknięty z ręcznie się odcina, czasem zjadliwie a tak misternie i wybornie, że cała Izba wybucha śmiechem i przeciwnik czując długi czas otrzymane razy, unika narazić się powtórnie na nie. Dunajewski mówi nadzwyczaj płynnie, z niesłychaną łatwością tak wśród zgromadzeń politycznych jak z kieliszkiem w ręku, gdy wznosi toast, który czasem jest arcydziełem w swoim rodzaju; zdaje się, że go to nic nie kosztuje, lub raczej, że się wybornie przysposobił, a wiadomo, iż zwykle mówi całkiem nieprzygotowany. Kiedy Kraków podejmował ucztą w radnej komnacie Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego, Dunajewski piękną i zręczną oracyą swoją, tak dalece wzruszył Gołuchowskiego, że się rozplakał. Ktoś ułożył wtedy dwuwiersz:

Coś z Skały ¹⁾ wywiódł źródł rosy niebieski
Jesteś Mojżeszem panie Dunajewski!

Dbaly o kształt, mówi spokojnie, bez namiętności, wytwornie, nadużywa może zbytecznie zastrzeżeń, unika wszelkich drażliwych uwag i przytyków, nie chce obrazić, a jednak nieraz dotknie do żywego dowcipem. Wymowa to wykwintna; on nie rąbie, ale mówi; głos wdzięczny, wielka swoboda mająca czasem pozór niedbania o słuchaczy, co jednak dodaje uroku całości. Izba słucha go zawsze z uwagą; on sam siebie nie słucha.

¹⁾ Skala, majątność hr. Gołuchowskiego.

Zakrój na męża stanu, o ileby mu się chciało nim być, wraz z ową tęsknotą, o której wyżej wspomniałem:

Beatus ille, qui procul negotiis itd. itd.

Woli być szukanym, jak szukać, wolałby aby się o niego starano, niż miałyby się o cokolwiek starać; nigdy zaś o popularność; przyjałby bez przesadnej skromności i z swobodą każde ważniejsze stanowisko i nie zdziwiłby się, gdyby mu je ofiarowano, ale kraj nie zdziwiłby się również.

Zdrowego, wytrawnego, roztropnego i zimnego sądu o sprawach politycznych, obawia się złudzeń, których sam nie ma. Wielkiej odwagi cywilnej ze skłonnością do wyzywania niepopularności; ma zdanie i wolę w potrzebie żelazną rękę — bez rękawiczki.

Jest Stańczykiem jak Bóg przykazał. Stanowczym, nawet zawziętym jest przeciwnikiem centralistów i liberałów niemieckich.

Jest twórcą głośnego *Zarysu*, zmian w zarządzie kraju i silnej gminy, który staje się zawiązkiem stronnictwa reformy.

W Sejmie Dunajewski wybierany bywa zwykle do kilku ważnych komisji. W Radzie Państwa jest mową *Koła Polskiego*, w *Kole* członkiem komisji parlamentarnej; jest członkiem komisji ekonomicznej, budżetowej, ugodowej i komisji dla trybunału administracyjnego. Pierwsza jego mowa w Radzie państwa w r. 1873 wśród obrad nad adresem, w którym wiernokonstytucyjni wyrażali radość z zaprowadzenia bezpośrednich wyborów zrobiła nie małe wrażenie. Nastąpiły dwie mowy budżetowe, w 1874 i przy końcu ubiegłego roku; mowa o reformie administracyjnej, w której stanął w obronie hr. Hohenwarta jednocześnie w obronie znanego ze sprężystości i zdolności starosty rzeszowskiego, hr. Kazimierza Badeniego odpierając nieco niespodziewany, zwłaszcza z polskiej

strony, zarzut zawarty w nazwaniu go Effendim; prócz tego wiele innych mów i przemówień.

Dunajewski stworzony do władzy ma po temu przymioty i ten, że w jego ręku da się ona czuć. Takich ludzi rządy wywierają zbawienny wpływ na społeczeństwo. On znaczenia i powagi władzy nie umniejszylby w czasach, w których bywa poniżaną lub poniża się. Przypuścić wolno, iż to człowiek przyszłości niedalekiej. Obfitą bowiem zaszczytną pracą i prawdziwie politycznym zachowaniem się, Dunajewski zdobył sobie uszanowanie u Niemców, w kołach rządowych, mianowicie w ministerjum spraw zewnętrznych, nawet najwyżej. Uważają go za męża niepospolitego.

Dunajewski jest istotnie jednym z najrzeczywistszych ludzi politycznych w naszym kraju. Uosobił w sobie kierunek dodatni i zachowawczy, a wraz z Grocholskim, Krzczunowiczem, Jaworskim i kilku innymi przedstawia politykę Koła polskiego w Wiedniu; był też przedmiotem największych napaści, najzjadliwszych zaczepek i najsmieszniejszych potwarzy; tyczyły się one w części stanowiska zajętego przez Dunajewskiego, ale także i jego niewątpliwej wartości i wyższości. Dunajewski ma przyszłość, bo ma przeszłość, która jak szlachectwo obowiązuje.

W świetnej mowie, którą miał przy ostatniej ogólnej rozprawie budżetowej, najlepiej odzwierciedliła się jego osobistość już i tem, że była to mowa, z której wykluwa się minister. Poglądy w niej na stan gospodarczy i skarbowy Austrii były trafne, i dlatego, że spokojnie wypowiedziane, miały znaczenie i doniosłość ostrej nagany dzisiejszych stosunków politycznych.

Nierównie goręcej, wiele mniej doniosle przemówił Euzebiusz Czerkawski, rektor Uniwersytetu lwowskiego, w sprawie ścieśnienia praw Rady Szkolnej, przy głośnym wniosku Wildauera. Mowa ta była pierwowzorem

tutejszej frazeologii. Wywołała też uznanie, pochody z pochodniami i wybór na członka do Rady Szkolnej, bo właśnie dziwnym zbiegiem okoliczności, w przededniu tej ognistej mowy, opróżnionem zostało jedno miejsce w tej Radzie. Słowem Czerkawski, jeżeli nie zdobył swoją mową, za to wydostał się za jej pomocą na Kapitol i znowu okazało się, że tu niezbyt daleko od Tarpejskiej skały do świątyni, bo nie tak dawno jak z tejże samej skały ów Czerkawski, broniący dziś gorliwie praw Rady Szkolnej, strąconym został, i to dość boleśnie, za zbyt gorliwą germanizacyjną ochotę, gdy był inspektorem szkół rządowych. Nie ma może w życiu publicznem nic szkodliwszego od konieczności odkupienia lub zmazania przeszłości; popycha ona do przesady, zbyt często do niedorzeczności.

Nareszcie donieść wam mogę, że odwieczna sprawa odbudowania Sukiennic, dzięki sprężytosci prezydenta Zyblikiewicza, przeszła z dziedziny marzeń w dziedzinę rzeczywistości. Rada miejska postanowiła rozpoczęcie robót na wiosnę, teraz cała już rzecz zależy od prezydenta, tem samem pomyślnie jej rozwiązanie zapewnione. Mała to może na pozór sprawa, przecież stała się tem ważną, że jej nierozwiązanie byłoby rzeczywistym dla prezydenta niebezpieczeństwem, boby go okryło śmiesznością. Jak wiecie, są już porobione zakłady: czy za burmistrzostwa Zyblikiewicza owo herkulesowe dzieło tutejsze, ukończonem zostanie, a w razie dokończenia go, niedowiarki mają dać obiad w najlepszej garkuchni, która znajdować się będzie w odnowionych Sukiennicach.

W bieżącej kronice zapisać należy ślub Wandy Zamoyskiej z Stanisławem Grocholskim. Cały Kraków zaproszonym został i gościnnie podjętym na śniadaniu u hr. Zdzisławowej Zamoyskiej, matki panny młodej. Uroczystość ta przypomniała podobną przed kilku laty,

z powodu ślubu starszej córki pani Zamoyskiej z hr. Janem Tarnowskim. Wtedy ta hetmańska para pobłogosławioną została na Wawelu przez biskupa Łętowskiego; wspaniały orszak weselny w przepysznych strojach narodowych, odnowił wspomnienia minionej przeszłości.

Dawna Resursa krakowska jest tutejszym arystokratycznym klubem, zarazem punktem zbornym dla towarzystwa męskiego. Nie jest on bynajmniej wyłącznym, i liczy między członkami, obok historycznych nazwisk, wiele osób, które różne zajmują tak w mieście, jak w kraju stanowiska. Stan tego klubu jest kwitnący; dotąd posiadał statut osnuty nieco na tradycjach byłej Rzeczypospolitej, obecnie wypracował go w duchu nieco więcej monarchicznym, a w skutku tego ma wybieranego na rok prezesa. Na bieżący obrano prezesem hr. Kazimierza Starzeńskiego. Hr. Starzeński znany z wielkiego dowcipu, jest prawdziwie rycerskim, z dawnych czasów zjawiskiem. Silnej woli i niezłomnego usposobienia nigdy przed nikim nie ugiął się i szedł zawsze za swoim przekonaniem osobistym, nawet wtedy, gdy ono było w sprzeczności z zapatrywaniem ogółu. Czasy się zmieniły i obecnie zapatrywanie ogółu stało się takim, jakim było zawsze przekonanie hr. Starzeńskiego. W chwilach jednak koniecznej i nieuniknionej niepopularności, dostojny hrabia używał wielkiego wpływu, jaki miał w Wiedniu i u dworu, dla dobra kraju i zaslania lub dopomagania jednostkom. Podczas wojny niemieckiej 1866 r. zajął ważne stanowisko polityczne, uzbrajając tu, za zezwoleniem Cesarza, pułk krakusów, ale wtedy zgodnie ze zmienionym już nieco poważnym kierunkiem kraju. Nie dziw więc, że pomimo niegdyś wielkiej niepopularności, hr. Starzeński otoczony jest dziś powszechnym szacunkiem i licznymi przyjaciółmi. Chciano nadać wyraz tym uczuciom, wybierając go na prezesa obywatelskiego klubu. Obecnie hrabia

usunął się od wszelkich spraw publicznych, nawet od Wiednia, którego dzisiejsze powietrze nie dogadza mu; i jego dotknęła historyczna niewdzięczność, zamknął się więc w kółku przyjaciół i dobrych znajomych. Na dokończenie roku Resursa dała wspólną dla członków biesiadę, na której liczne wznoszono zdrowia, najpierwej nowo obranego prezesa, potem komitetu, prezydenta Zyblikiewicza i t. d. Lucyan Siemieński rozweselał zgromadzenie, klejąc naprędce najzabawniejsze częstochowskie wiersze, które tem zabawniejsze były, iż wychodziły z ust tłumacza „Odyssei“.

W teatrze pełno. Ale bo też wywołano niemałe wrażenie i powodzenie, wystawiając słynny dramat Denere'go autora „Maryi Joanny“, „Dwie sieroty“. Jest tam wszystko, co tylko zwabić może publiczność, od dyliżansu zajeżdżającego na scenę i dorożki przejeżdżającej ślepą dziewczynę, do śniegu spadającego obficie na scenę. Przytem jest prawdziwy żywioł dramatyczny i dwie ładne role sierot, doskonale odegrane przez Hoffmann i Urbanowicz; ta ostatnia ma trudne zadanie grania przez pięć aktów niewidomej z otwartymi oczami. „Sieroty“ ściągają tłumy i rozrzewniają je. Wystawiono także „Krytyków“ Chęcińskiego, którzy dlatego może podobali się, że tu ich jest wielu niepowołanych.

Szujski kończy wielki dramat historyczny „Śmierć Władysława IV“.

VI.

Kraków, 9 lutego 1876 r.

„Czy rzeczywiście tutaj są tylko źli ludzie?“ zapytał mnie cudzoziemiec, bawiący chwilowo w Krakowie. „Dlaczego pan tak mniemasz?“ odparłem. „Bo nie słyszałem, żeby tu ktoś powiedział o kimś coś dobrego, zawsze słyszę coś złego“. Dopiero po tem objaśnieniu

zrozumiawszy zapytanie cudzoziemca, odpowiedziałem: „Nie panie, ludzie nie są tu tak zli, jak sobie wyobrażasz i zapewne nie są gorsi jak gdzieindziej, ale są o wiele mniej życzliwi, szczególnie o wiele mniej uprzejmi“.

W krótkiej tej rozmowie, mieści się poniekąd ocena tutejszych obyczajów. Brak życzliwości, zupełny brak uprzejmości, oto główne rysy życia krakowskiego; tym niedostatkom w towarzyskim i społecznym życiu, przypisać należy mało powabne i wcale niepociągające znamię tutejszych stosunków.

Zastanawiając się nad naszym usposobieniem rodzimem, nad naszą istotą i odwiecznymi jej ujemnymi stronami, dochodzi się nieodmiennie do przekonania, że najszkodliwszą, najzgubniejszą, największą naszą wadą, wadą nad wadami, była i jest zazdrość. Zazdrość też hula jak „dusza bez kontusza“ po galicyjskiej ziemi i temu przypisać należy głównie, zastój tutejszego społeczeństwa. Biada tutaj tym, którym się cokolwiek powiedzie! Wcześniej czy później upaść muszą — wraz z tem co się powiodło pod razami rozszalałej zazdrości. Najsilniej tutaj nienawidzą rzeczy udane i ich twórców, współzucie i życzliwość otaczają rzeczy mierne a nieudatne, udanym ogół i jednostki zaprzysięgają zwykle nienawiść a pastwienie się nad niemi zdaje się tu być rozkoszą godną bogów. Tutaj wogóle umięją tylko wylewać łzy krokodyle nad niepowodzeniem lub upadkiem. Dlatego też najwięcej jest niepowodzeń i upadków a tak mało rzeczy udanych. Pocieszna ta nasza choroba zazdrości, nigdzie może nie objawia się tak wyraźnie, jak obecnie tutaj a oczywiście pierwszym jej następstwem we wszelkich stosunkach, brak uprzejmości, życzliwości i wytworności, które cechują wykształcone i wykwiłtne społeczeństwa.

Odstrasza to od Krakowa, mało tu kto przybywa, a kto tylko może, lub nie jest związanym, ucieka, albo

przemysliwa o wynoszeniu się stąd. Miasto pozostawione samemu sobie nie odradzając się nowemi żywiołami upada społecznie i towarzysko. Upadek ten jest z każdym rokiem widoczniejszy, pomimo setki nowo wybudowanych domów. Nic też tu nie rozkwita, cokolwiek zakwitnie, więdnije pod tem łożowianem niebem. Wiadomo, że tam gdzie nie rośnie zboże, puszcza się chwast; to też i tutaj wybucha on, a zwie się plotką. Jest ona tu czemś silniejszym od tradycyi, bo stała się już obyczajem. Tradycjonalna plotka krakowska, jest w swoim rodzaju wielce ciekawym objawem. Znacznie ona teraz skarłowaciała; nie jest wcale powabną, czuć ją pieskiem starej panny, zwykle jest poziomą, zawsze przesadną, najczęściej nieprawdziwą, nieraz nieprawdopodobną, przecież wszyscy wierzą w nią przynajmniej przez dwadzieścia cztery godzin. Dziecko nudów i próżniactwa, uderza lekkomyślnie w dobrą sławę, cześć, nawet spokój wszystkich po kolei. Włosy stają na głowie, słysząc co tu jedni o drugich mówią, wynajdują i w co wierzą. Dziwić się doprawdy można, jak ludzie którzy ostatecznie są uczciwymi i porządnymi, mogą żyć z sobą i podawać sobie rękę, powtarzając wzajemnie o sobie podobne okropności i potworności. Ale jak wszędzie, tak i tu nadmiar złego staje się poniekąd lekarstwem: plotka przesadna i potworna jest tu rzeczą tak zwykłą, tak codzienną, tak powszechną, że już nikt prawie na nią nie zważa, i nikomu ona ostatecznie nie szkodzi, aczkolwiek wszyscy nią się trudnią. Jest ona zawsze do najwyższego stopnia i najrozczochniej przesadną. — Kobieta, którą tu wezmą na języki, zasługiwałaby na dom poprawy, mężczyzna na kryminal. Plotka tutejsza nie jest subtelną, niema w niej umiejętności odcieni.

Niedawno temu, pewna pani, cudzoziemka, którą widywano zwykle na balach i w teatrze, przestała się pokazywać. Kraków natychmiast wynalazł, że ją zamknięto w więzieniu, ogłosiwszy ją pierwej oszustką i tru-

cicielką. Pokazało się, że pani ta zachorowała na silną grypę. Oto próbka krakowskiej plotki, która nawet na tę nazwę nie zasługuje, bo jest poprostu grubem kłamstwem, ponętą rzuconą dla zbyt łatwowiernych, przez licznych tutejszych próżniaków, raczej, jak ich dowcipnie nazwał Bałucki, pracowitych próżniaków. Wogóle ludzie zajmują się tutaj nierównie więcej cudzemi, jak własnymi sprawami, i dlatego tyle ich niezadowolonych; czynią zaś to w sposób nieprzyjemny i niebaczny, upatrując w tem jakieś dziwne bohaterstwo. Im przedmiot jest niesmaczniejszy i brudniejszy, tem chętniej grzebią w nim i zajmują się nim. Przez dwa lata salony krakowskie niczem innym nie trudniły się, jak najskrytszemi tajnikami, wielce niedobranego, lecz wcale niezajmującego stadła tak, że pewna, bardzo rozumna pani powiedziała: *on est parvenu à rendre le mariage indécent*. Trzeba bowiem wiedzieć, że w gorszącym się i zawsze zgorzonym Krakowie, nie tak nie popłaca, jak już nie lekka ale tłusta rozmowa, która zwykle ma wszystkie ujemne strony nieprzyzwoitości, bez jedynej możliwej do niej przyprawy — dowcipu. Ten bowiem przerażony i wystraszony, stąd uleciał tam, gdzie niekoniecznie upatrują, jak mówi piosnka, moralność w spojrzeniu kota. Dodajmy do tego kilka rodzin, które własne mimowolne zboczenia okrywają płaszczem nieograniczonego pobłażania, surowo zaś i nieubłaganie karzą ułomności innych, a dziwić się nie będziemy, że mało tu kto przybywa, wielu ubywa i dziwić się nie będziemy, że owemu cudzoziemcowi wszyscy wydawali się tutaj złymi. Złymi nie są, ale są mało uprzejmi, mało życzliwi a wielce w sobie rozmiłowani. Wady te najlepiej na jaw wychodzą, gdy się porówna sposób przyjęcia Warszawianina w Krakowie, Krakowianina w Warszawie. Gdy ten przyjedzie do Warszawy, na obliczach maluje się radość, zadowolenie, serdeczna gościnność, przybyły nie wie, jak sobie dać radę z wszystkimi nie-

zliczonemi objawami uprzejmości. Gdy Warszawianin przybędzie do Krakowa, widzi same zachmurzone i posępne twarze, zdawaćby mu się mogło, że przeszkadza, że nabawia tylko kłopotu i przerywa ważne zajęcia, bo już to każdy Krakowianin wygląda, jak gdyby na jego barkach spoczywały losy Europy, słowem, Warszawianinowi zdawaćby się mogło, że się znajduje w położeniu *d'un chien dans un jeu de quilles*. Tymczasem niewątpliwie są tu mu równie i równie serdecznie radzi, jak Warszawiacy Krakowianinowi, tylko nie umieją tego okazać, nie umieją być uprzejmymi, nie umieją rozchmurzyć czoła; uprzejmość i wesołość zeszytwniały w grodzie starych pomników. Ktoś też powiedział, że w Krakowie niepodobna być cały dzień wesołym, bo zazdroszczą nawet wesołości i zawsze postarają się o to, aby ją w ciągu doby spędzić z czoła, z ust, z serca.

Na tem tle dość posępnem, które zdaleka szczególnie nader wydawać się musi czarnem, chociaż w rzeczywistości nie jest tak strasznem, już dlatego samego, że jak do wszystkiego, tak i do tego przyzwyczaić się można — zobaczymy teraz jak się odrysowuje tegoroczne życie zapustne.

W świecie mieszczańskim hasło do zabaw i jakiegoś przynajmniej życia, dało jedno z najstarszych stowarzyszeń tutejszych: „Towarzystwo strzeleckie“. Jest ono właścicielem znanego dobrze Warszawianom Ogrodu Strzeleckiego i tam właśnie teraz rozszerzono i upięksono znacznie podwoje. W komnatach tych odbywają się co drugą sobotę liczne i ochocze tańce, a na post zapowiedziane są wieczory, przedstawienia, koncerty. Ogród ma być także przeobrażony i upięksony, nawet mówią o wybudowaniu na wiosnę letniego teatru. Słowem, Towarzystwo strzeleckie rusza się, daje znaki życia — rzecz to nieobojętna, bo może ono tym sposobem przyczynić się do wytworzenia tutaj świata mieszczańskiego, który pomimo licznych żywiołów, nie istnieje dotąd jako

całość. Główną w tem przebudzeniu się oddawna drze-
miącego stowarzyszenia zasługę ma Alfred Szczepań-
ski, zięć Zieleniewskiego, prezesa Towarzystwa, a je-
dnego ze znaczniejszych przemysłowców tutejszych. Szcze-
pański znany niegdyś jako wielce politycznie ruchliwy,
dziś zdaje się nieco poważniej zapatrywać na wielkie
i małe sprawy ludzkie, a nie pozbył się przecież tej
żywotności i sprężystości, któremi się zawsze odznaczał,
które tak wielce są tu w Krakowie potrzebne, że nie
można nigdy dość wysoko ich cenić, skądkolwiek po-
chodzą.

W poniedziałki, w obszernym domu naprzeciw te-
atru, okna oświecone *al giorno*: to wznowione zebrania
u prezydenta miasta Zyblikiewicza, o których w zeszłym
roku już wam donosiłem. Jeżeli ten burmistrz nie ożywi
Krakowa i nie wyrwie go z gnuśności, to doprawdy
trzeba będzie zwątpić o starym grodzie. Jednym ze środ-
ków są owe poniedziałki, które dotąd licznie bywają
uczęszczane, na pierwszym szczególnie znajdowały się
osoby z najrozmaitszych i najdalszych stron.

Od prezydenta udaje się zwykle większa część go-
ści na ulicę Sławkowską do księżny Marceliny Czarto-
ryskiej, która zaprasza na tańczące poniedziałki do
nowo, wspaniale odnowionego dawnego pałacu pani
starościny Wolbromskiej, znanej także niegdyś z wiel-
kiej gościnności. Pałac ten urządzony został przez księ-
żnę z wykwintnym smakiem artystki, z pięknym prze-
pychem wielkiej pani i z wygodą prawdziwej Pary-
żanki. Przyjęcie zaś w nim nie krakowsko-uprzejme. —
W tymże samym pałacu, co środa, zbiera się szczupłe
grono znawców i miłośników muzyki i dla nich dostojna
księżna-artystka, nie skąpi czarów swego wyjątkowego,
znakomitego a poważnego talentu. Są to prawdziwe
biesiady lecz przypuszczani są do nich tylko niepo-
szlakowanej wiary muzykalnej biesiadnicy. W te same
środę odbywają się u hrabstwa Tarnowskich wieczory

prawie tańczące. W przyszłą zaś sobotę rozpoczną się wieczory najzupelniej tańczące pod Baranami u hrabiny Arturowej Potockiej. Pani ta, acz złamana wiekiem, nie usuwa się od niczego, co tylko może przyczynić się do dobra, szczęścia, lub nawet przyjemności bliźnich.

Z małej liczby zamiejscowych, którzy ukazują się w tutejszem towarzystwie, państwo Żurowsey dali ładny bal, lecz z powodu zbyt szczupłego miejsca nie u siebie, lecz po amerykańsku w Hotelu Saskim. Uprzejmość gospodarstwa dozwoliła zapomnieć o zaatlantycznym zakroju zabawy, przemieniła ją najzupelniej w staropolską.

Szereg publicznych tańców rozpoczął bal na zakupno obrazu Matejki „Unii“. Obraz ten wspaniały i zdaniem mojem najpiękniejszy Matejki, nabytym został drogą składek dla gmachu sejmowego we Lwowie, za trzydzieści tysięcy reńskich. Dotąd jednak te pieniądze jeszcze nie całkiem zebranemi zostały, a zachodnia część Galicyi w tym wypadku, wyprzedzić się dała przez wschodnią, dla tego tutejszy komitet zakupna, uciekł się do balu, który przyniósł przeszło tysiąc reńskich dochodu.

Druga zabawa publiczna daną była na rzecz Towarzystwa dobroczynności. Nosi ona tu nazwę „balu dziadowskiego“, a że opiekuje się nim hr. Arturowa Potocka, więc jak zwykle, tak i w tym roku udał się. Wogóle, publiczne zabawy tańczące w Krakowie, w których biorą udział wszystkie niemal społeczne warstwy: arystokratyczna, mieszczańska i artystyczna, są piękne. W tym roku, jednak acz dość liczne, mało są ożywione, niema w nich duszy, bo niema prawdziwej młodzieży. Niema już młodzieży! Oto okrzyk rozpacz, który wydaje chórem pleć piękna. Jeszcze najmłodszymi są starzy *les vieux*.

Przeciw balom akademików powstał tu pewny opór z powodu, iż służyły za pozór młodzieży do odrywania się od nauk. Dawniej każdy wydział Wszechnicy urządzał swój bal, w tym roku na wniosek rektora Zolla, zgodzono się na jeden wspólny akademicki, który właśnie w tej chwili rozpoczyna się. Zmiana to wcale mądra i bodajby mądrość na niej zyskała.

Ze spraw ważniejszych najwięcej zajmowano się w tych dniach obsadzeniem posady marszałka sejmowego. Cienki tu zwykle głos rozumu politycznego, wola Naj. Pana, życzenie namiestnika i ministra Ziemiałkowskiego, powoływały na to stanowisko hr. Ludwika Wodzickiego. Jest to jeden z ludzi tutejszych, zwracający na siebie uwagę i wielce ceniony. Stańczyk z kolebki, obyczajów i stosunków, umiał przecież uniknąć tej czarnej niepopularności, którą inni z tej szkoły politycznej, ściągnęli na siebie. Słowem, potrafił pomimo niezaprzeczonego rozumu i dzielności ducha, pozostać możliwym w tutejszem społeczeństwie. Nie mała to zasługa. Już niejednokrotnie wyznaczany był na wszystkie trzy posady, które tu stanowią trójcę żądź i westchnień politycznych. Raz miał niezawodnie zostać ministrem; przecież dotąd nigdy nie mógł się zdobyć na przyjęcie ofiarowanych mu godności. Hr. Ludwik Wodzicki od najmłodszych lat brał zaszczytny udział w sprawach publicznych i niewątpliwie ożywiony jest chęcią odznaczenia się i żądzą działania. Dotąd jednak w chwilach stanowczych cofał się zawsze, ile razy otwierała się przed nim szersza widownia. Ubolewać doprawdy należy nad tym politycznym hamletyzmem szanownego hrabiego, który unicestwia jednego ze zdolniejszych i szlachetniejszych obywateli tutejszych, lecz łatwiej go zrozumieć, gdy się wie, że hr. Wodzicki należy do tych, którzy nie chcą być czemś aby być, lecz na to, aby coś zrobić. Nie mając zaś przekonania, aby coś mógł zrobić, woli się trzymać ponętnego godła: *pouvoir et*

s'abstenir. — Obecnie znowu ofiarowanej łaski nie przyjął i tą odmową zasmucił trzeźwo zapatrujących się na położenie. Tu bowiem, nietylko idzie o to, aby ktoś właściwe zajął miejsce, ale przede wszystkim, aby przeszkodzić niewłaściwemu obsadzeniu. Po stanowczej odmowie hr. Wodzickiego, nie ulega wątpliwości, że marszałkiem zostanie hr. Włodzimierz Dzieduszycki, mąż prawy, największy właściciel ziemski w Galicyi, ornitolog z powołania i zamiłowania, lecz ani z zamiłowania ani z powołania polityk. Zdaje się też, że będzie on tylko marszałkiem, na jedną sesyę, na ostatnią przed nowymi wyborami. Potem nie tracą jeszcze nadziei, że hrabia Ludwik Wodzicki, któremu tym razem stanęły podobno na przeszkodzie stosunki rodzinne, przyjmie łaskę marszałkowską.

Przesunął się przez Kraków, nie na wystawie, ale w kilku obywatelskich domach, nowy, ładny obraz Brandt'a „Zaloty“, nabyty przez hrabiego Aleksandra Orłowskiego. Przedstawia umizgi kozaka pojącego konie myśliwskie, do ukraińskiej dziewczycy. Znamię okolicy uchwycone misternie, błogi spokój w przyrodzie, to wszystko ożywione szlachetnym życiem. Każde stworzenie na tym obrazie ma duszę i każde ma inną duszę. Nawet w drzewach i liściach jest życie. A przystem wszystko starannie wykonane, znakomicie malowane. Perspektywa najdokładniejsza. Ktoś też, wielki znawca w tych rzeczach, słusznie powiedział: „że pierwszy raz patrzeć można z zupełnem zadowoleniem na rodzajowy obraz polskiego malarza“. Dlaczego? Bo górują tu zgododźwięk i dobry smak, których tak często niestety brak w wielkich utworach nawet potężnych mistrzów. Obraz, acz rodzajowy, nie jest wcale mały. Warszawa powinna by zażądać go do obejrzenia. W zeszłym roku Brandt wraz z Kossakiem przedsięwzięli podróż po wschodnich krajach, i ten obraz jest owocem owej

wycieczki, podczas której dzisiejszy właściciel jego, niejedną oddał usługę artystom.

Komisya konkursu dramatycznego już rozpoczęła coroczną pracę. Nadeszło dotąd czternaście utworów, jeszcze do 15 t. m. trwa czas nadsyłania. Liczba powyższa jest niższą jak zeszłych lat, lecz przypomnieć należy, że tym razem konkurs jest ograniczony do dramatów i komedyi współczesnych, lub osnutych na historii polskiej i do sztuk ludowych. Prawdziwie białym krukiem na tegorocznym konkursie jest komedia „Trzy Flory“, nadesłana z Chicago w Ameryce. Czy ten zaatlantycy ptak nie będzie kaczką, przyszłość okaże, w każdym razie obdarzony jest wysmienitym lotem.

W teatrze Patti, oczywiście Charlotta, dała dwa koncerty po nadzwyczaj wygórowanych cenach. Pomimo tego Kraków, który przepada za każdą nowością, a dla którego firma jest ostatniem słowem w sztuce, pospieszył złożyć haracz śpiewającej katarynce. W liczbie spieszących na ten koncert, większa połowa przekonana była, że idzie słyseć Adelinę. Nie wiem, czy nastąpiło rozczarowanie, to pewna, że na drugim koncercie były pustki. Ale bo też Kraków, który jest obraźliwy, jeżeli się nie rozczarował, to srodze się obraził dowiedziawszy się, że ta sama Patti w przededniu dawała w Mysłowicach koncert po nader umiarkowanych cenach. — Rozwiał to w jednej chwili cały urok firmy.

Jutro w teatrze, oddawna zapowiedziana „Córka Rolanda“ Borniera w przekładzie Lucyana Siemieńskiego.

VII.

Kraków, 3 Marca 1876 r.

Dawno nie pamiętam tak zapełnionego wypadkami i ożywionego w Krakowie miesiąca, jak ubiegły. Stary

gród nie może się opamiętać i dziwi się sam sobie, że tyle w nim pomieściło się naraz ruchu i życia. Przybyli goście z W. ks. Poznańskiego i z innych stron; tak, że rzecz niesłychana, obszerne pałace krakowskie nie mogły pomieścić bawiących się, a mazury o niezliczonych parach, wstrząsały ich posadami. Kiedy dawniej dla sklejenia nielicznego balu, gospodynie musiały zapraszać miasto i przedmieścia i nie mogły się okazać zbyt wybrednemi w układaniu spisu gości, w tym roku nie tylko że mogły, ale musiały być w wyborze trudnemi, co niejednej dogodziło próżności, jak też niejedną ukłulo boleśnie. Dawniej, goniono za gośćmi, i łapano ich poniekąd gdzie się dało, w tym roku ubiegano się za zaproszeniami, a opędzano się przed zbyt licznymi zastępami: bo istotnie były komnaty, które wszystkich pomieścić nie mogły. Gdzie szukać przyczyny tego chwilowego zelektryzowania towarzyskiego życia tutejszego? Niestety, nie w zasobach Krakowa, ale w sile przyciągającej kilku wcale okazałych posagów, które u stóp Wawelu obrały zimowe leże. Niejeden a przed innemi prezydent Zyblikiewicz, nieraz przemysliwał nad środkami podniesienia i ożywienia Krakowa; ten to, tamten owo doradzał; przywiązywano wielką wagę do urzędzenia tu różnego rodzaju targowisk, gdyż jedynem przemysłem Krakowa są obchody narodowe; gdy naraz zbieg okoliczności wskazał, że Kraków stać się może między-polskiem targowiskiem małżeńskim, i że stworzenie tu takiego jarmarku, wpłynie niezawodnie na rozwój gospodarczy i społeczny miasta lepiej, jak cokolwiek. Ubiegłe zapusty podają przedmiot do rozprawy o wpływie posagów na rozwój mniejszych miast. Ile jeden posag obudza marzeń, westchnień, tyle ożywia zapusty; pomnóżcie go przez 4 czy 6, a odnajdziecie tę niewiadomą, która była przyczyną wyjątkowego, niezwykłego ruchu tegorocznego. Nietylko z różnych krajów polskich mieliśmy tu gości, ale nawet

z Paryża, nawet z Chili. Nie twierdzą bynajmniej, aby wszystkich bez wyjątku ściągnęły powaby posagów, ale one były przyczyną pierwszą szumnych zapust. Do niezwykłych, nader miłych gości zaliczyć należy przybyłego wprost z St.-Jago hrabiego Edwarda Raczyńskiego, jednego z najniepospolitszych młodych ludzi pokolenia obecnego, wślawionego już bohaterskimi czynami na południowych polach bitew i rozlicznymi, dalekimi podróżami we wszystkich częściach świata. Jest to godny syn tak powszechnie w naszym społeczeństwie znanego i kochanego Rogiera Raczyńskiego, tego męża o wielkim rozumie i wielkim sercu. Słowem, nie w tym roku nie zabrakło do świetności Krakowa.

Wyliczać wszystkie uroczystości, które tu miały miejsce z powodu przybycia z więzienia w Ostrowie kardynała Ledóchowskiego i świetne bale, które dano wskutek liczego zapustnego zjazdu, niepodobna. Nie mogę jednak pominąć balu kawalerskiego, który wysmieniecie się powiodł. Tańcowano codzień, nawet bywało i dwa wieczory jednocześnie. Bal dla szpitala dzieci, pozostającego pod opieką księżny Czartoryskiej, przyniósł znaczny dochód. Na nim panie obdarzały zaraz na wstępie pleć nienadobną ślicznymi bukietami; — z początku oblicze każdego z obdarzonych rozjaśniało się na widok takiej uprzejmości, niejeden brał to za pomyślną wskazówkę w drodze zapustnej, inni mniemali, że to nowy sposób zamawiania do tańca, gdy wtem raptem każdy zaszczycony bukietem ujrzał przed sobą tacę na której złożyć musiał ofiarę dla biednych. Nigdy nie widziałem tak gwałtownej przemiany kwiatka w marchewkę *la carotte*, jak ją zwą Francuzi, ale tą marchewką przynajmniej pożywili się ubodzy.

Nie brakło i wzruszających zdarzeń; mieliśmy tu bowiem, jak wam wiadomo, pseudo-wylew Wisły; zaczął właśnie grozić miastu, raczej przedmieściom

w poniedziałek, podczas wieczoru u Prezydenta, tak iż ten musiał opuścić gości i udać się na miejsce, aby zaradzić niebezpieczeństwu, oraz drutem przestrzecz Warszawę. Na szczęście, owa powódź okazała się nad wszelki wyraz łaskawą i nie stała się przyczyną żadnego dla ludności opłakanego wypadku. Omal przecież nie zatopiła balu kawalerskiego, o którym wspomniałem; liczne bowiem zaraz odezwały się głosy, aby pieniądze zebrane na ten bal poświęcić na dotkniętych powodzią. Przeciw temu powstał żwawy opór, rozprawy rozogniały się, gdy wtem pokazało się po sprawdzeniu, że jedyną ofiarą powodzi stał się jakiś nieszczęśliwy pies, którego fale Wisły uniosły wraz z budą i łańcuchem. Cały Kraków przypatrywał się smutnemu końcowi tego nieszczęśliwego, którego pomimo usilnych starań uratować nie zdołano. Gdy jednak przekonano się, że nikt więcej zatopionym nie został, uratowano z powodzi zabawę kawalerską, która miała już w niej utonąć.

Lwów nierównie mniej był w tym roku świetnym od Krakowa. Wbrew nadziejom, osieroconym on został na zapusty. Nowa namiestnikowa przepędziła ten czas w Wiedniu, gdzie licznych ma znajomych i przyjaciół, namiestnik udał się na kontrakta do Kijowa, gdzie liczne ma sprawy. Za to, z powrotem namiestnikostwa, obiecują tam świetny post i kilka zabaw po świętach.

Zdarzyło się wam niewątpliwie jechać w zimie jednym ciągiem, z naszych okolic, wprost do południowej Francji, i nie zapomnieliście zapewne doznanego wrażenia. Wyjeżdża się wśród mrozu i śniegów, otulonym w futro; żegna się martwą i skamieniałą przyrodę, w czterdzieści ośm godzin zrzuca się futro, odycha się jakimś niewypowiedzianem miłym, błogiem powietrzem, widzi się wokoło zieloność, roślinność najpiękniejszą; jest się pod wpływem uroczego jakiegoś niedającego się określić wrażenia, a przyczynę jego siły, szukać należy w przeciwstawieniu, tych dwóch odmien-

nych przyród. Takiego samego wrażenia doznaje się dziś na przedstawieniu „Córki Rolanda“. Słynny ten dramat Borniera, jak już wam wiadomo, odegranym tu został w tłumaczeniu Lucyana Siemieńskiego.

Być może, że bezwzględna wartość tego utworu, mniejsza jest jak jego sława; ale dziś, kiedy wszystkie sceny europejskie i wszystkie publiczności przesycone są poziomością w sztuce, dramat ten przenoszący nas raptem w dziedzinę najczystszej duchowości, sprawia niewypowiedziane błogie i przyjemne wrażenie; oddycha się w jego powietrzu swobodniej, szlachetniej; w porównaniu z dramatyczną literaturą dzisiejszą, szczególnie francuską, ma on urok południowego klimatu w przeciwstawieniu z zimą na Północy. Wszystkie powody działania są tu wzniosłe, szlachetne, każda postać ma swój ideał, dla którego gotowa poświęcić się i poświęca się. Prawda, że wszystko to dałoby się może wznioślej, poetyczniej i silniej powiedzieć, przecież treść cała nie jest pozbawiona tragiczności, a, rzecz godna podziwu, rzecz niesłychanej wartości w oczach tych szczególnie, którzy głębiej zastanawiają się nad teatrem, wrażenie i to wielkie szczególnie wzniosłe, osiągnięciem jest w ostatnim akcie, bez jednego trupa, bez jednej kropli krwi wylanej, jedynie wielką ofiarą duchową. Ostatni akt jest bezsprzecznie najpiękniejszym, co także niemalą jest zaletą budowy. W nim misterność, wykwintność, że tak powiem, uczucia rycerskiego, doprowadzoną jest do ostatnich granic, jest wyduchowioną, przecież stwierdza się czynem i to czynem wielkiego poświęcenia, nieubłaganej sprawiedliwości wymierzonej na samym sobie. Pomimo zaklęć Karola W., prośb Berty, błagań rycerzy, którzy potracili krewnych lub otrzymali rany pod Roncevaux, Gerald, syn Ganelona zdrajcy, który przez zawiesz zgnubił Rolanda, naprowadzając na niego Saracenów, jak tylko dowiedział się, że jest jego synem, nie przyjmuje ręki Berty

synowicy Cesarza, opuszcza dwór i idzie szukać śmierci w walkach z poganami, aby zmazać zbrodnię ojca. To piękne, wspaniałe zakończenie, siłą swoją duchową do tego stopnia staje się scenicznie tragicznem, że pobudza do łez i pozostawia publiczność pod głębokiem i uroczystem wrażeniem. Z całości zaś tryska zdrowie, które działa orzeźwiająco. Dodać należy, że przy nader sumiennem odzwierciadleniu okresu dziejowego Karola W., są ciągle, nienaciągnięte, ale pełne prawdy, zwroty do dzisiejszego położenia Francyi; nie ma owych buńczucznych przechwałek, któremi niestety tak do zbytku popisywali się Francuzi, przed ostatnimi klęskami, ale jest głęboka, prawdziwa miłość Francyi. Zwroty te są szczęśliwe, wzruszające, są do tego stopnia trafne, że widocznie, bez zamiaru, przypominają i marszałka Mac-Mahona i Bazaina i Sedan i Metz. Nie można się też dziwić, że utwór ten wielkie sprawił we Francyi wrażenie. Nie małem przecież było to, które tu wywarł — a to głównie, dzięki wspaniałemu tłómaczeniu Lucyana Siemieńskiego. W tłómaczeniu tem, rzecz cała nabrała siły, jędrności i męskości odpowiednich czasom i ludziom, a właśnie brak nieco tych koniecznych warunków w tekście francuskim, który jest często miękki i deklamacyjny. Przekład jest poniekąd mistrzowski, bo żadna myśl nie została przeistoczona lub sfalszowana, przecież żaden ustęp nie jest niewolniczo przetłomaczony. Piękny język Siemieńskiego już sam podnosi ducha i zachwyca. Przekład wykonany jest białym wierszem, ale nie tym luźnym, który niestety tak się teraz rozpowszechnił, który nie jest ani prozą ani poezją, ale tym, sumiennie i dobrze ulanym, który rytmicznie wpada w ucho. W ważniejszych miejscach są rymy, co jeszcze zwiększa wrażenie. Nie potrzebuję wam mówić, jakich sił wymaga przedstawienie zupełnie znakomite takiego utworu; że ich Kraków obecnie nie posiada i posiadać nie może, zbytecznem byłoby dodawać. Przecież całość

przedstawienia wypadła przyzwoicie, a były ustępy zupełnie dobrze oddane. Wystawa trudna i kosztowna, względnie, to jest jak na mały teatr, dokładna. Główna rola hrabiego Amaury (Ganeleona) to potężny twór, wymagający i warunków cielesnych i wielkiego ciepła. Rola stworzona dla Rychtera, lub dla Królikowskiego. Tutaj grał ją Podwyszyński rozumnie, i o ile nieodpowiednie warunki pozwalały, dobrze. Wielką rolę cesarza Karola grał zupełnie dobrze Szymański. Inni, mężczyźni jest jeszcze bardzo dużo, nie wzniesli się ponad przyzwoitość, czasem przecież w deklamacyi razili fałszywą nutą. Jedyna rola kobieca Berty, jest stosunkowo do ról męskich małą i nie błyszczącą. Gra ją w Paryżu wielce uroczą i uczuciową artystką, panna Sara-Bernhard; tutaj grała ją pani Hoffmann. Ten rodzaj nie jest, że tak powiem, zawodowym tej, jak wiecie, nad zwykłą miarę artystki, która głównie celuje w oddaniu postaci wybitnych, silnych, stanowczych w komedyi i dramacie współczesnym; liryzm nie wchodzi w zakres jej talentu. Berta nie jest przecież w zupełności liryczną bohaterką; jest w niej, że tak powiem, dużo męskości, dużo siły rycerza, słowem jestto córka Rolanda, ale niedość rozwinięta. Otóż Hoffmann nacechowała znamiona wnuczki, synowicy i córki rycerzy, i siłą wrodzoną wysunęła naprzód tę postać. Sara Bernhard wlewa w tę rolę więcej liryzmu, więcej ciepła, więcej zapału, wzniosłości duszy i rodu; pani Hoffmann nadała jej męskość.

Post nie zmniejszył bynajmniej dotąd tegorocznego towarzystwa tutejszego, pozostało ono niemal w zapustnej całości. Wszystkie też wieczory są już rozebrane; a koncerty towarzyskie i amatorskie teatru układają się. Pod „Baranami“ u hrabstwa Potockich we wtorki mają być przedstawienia. Do poważniejszych zebrań należą środy w gmachu „Banku galicyjskiego dla Handlu i Przemysłu;“ dają je dyrektorowie tego zakładu

pierwszego w naszym mieście, raczej jedyne w swoim rodzaju po upadku Kirchmayera. Stworzyli go ludzie pracowici, nie tutejsi, lecz którym zarówno nieznośną była bezczynność jak nieobojętną pomyślność kraju i miasta. Panom tym przyszedł w pomoc, nigdy dość nieodżałowanej pamięci Adam Potocki, oraz jeden z najrozumniejszych ludzi tutejszych hrabia Henryk Wodzicki. Bank zakwitł, co najważniejsza, dzięki roztropnemu kierownictwu, przetrwał, bez najmniejszej dla siebie i innych szkody, wielką wiedeńską klęskę pieniężną 1873 r. Nie jestem w stanie wam opisać, ile to powodzenie, ta zasługa rzeczywista, ściągnęły na niego i jego naczelników nienawiści, złości, potwarzy i plotek. Co chwila rozgłaszano: że się chwieje, że upada, że już go niema. Lecz ludzie stojący na jego czele, nie zważali na te krzyki, na ten bezecny zwyczaj galicyjski, nie zważali na ohydną plotkę krakowską, i pracując wytrwale, przetrzymali burzę pieniężną i burzę niechęci. Nie ograniczając się na tem, gdzie mogą i jak mogą przyczyniają się do wiania nieco życia w tutejsze społeczeństwo. Niestety, dusza tej rzeczy i tej gromadki ludzi, Kurtz, złożony jest ciężką chorobą, która obawiać się każe przedwczesnej straty męża użytecznego i potrzebnego aczkolwiek oczywiście tutaj niedostatecznie ocenianego.

W tych dniach zmarł znany poeta Seweryn Goszczyński, któremu wspaniały sprawiono we Lwowie pogrzeb.

Posłowie do Rady Państwa, w tych dniach powrócili z Wiednia, nazajutrz znaczna ich liczba udała się na otwarcie Sejmu do Lwowa. Już to niema Amerykanina, któryby był tak obarczony sprawami publicznymi jak Galicyanin, skoro raz wejdzie w zakłętę koło życia politycznego. Obecna sesya, ostatnia przed nowymi wyborami, trudno aby była zajmującą lub doniosłą.

Komisya konkursowa dobiega do kresu swych prac. W dziale utworów ludowych, są niezłe rzeczy. Wiele już wrzawy narobiło odsądzenie od wspólnego czytania dramatu „Ojciec Makary“, jak doniosły dzienniki, Okońskiego, autora „Niewinnych“. Rzecz napisana jest z niezaprzeczonem talentem, ale jest najzupełniej niemożliwą na scenie, aczkolwiek rozgłaszają tu, że ją wystawią w Berlinie po niemiecku. Zwyczajnie to strachy na Lachy.

VIII.

Kraków, 4 sierpnia.

Dziś już odrysuje się Kraków, jakim go zostawi prezydent Zyblikiewicz przyszłym pokoleniom, jeżeli obecne, nie stawi nieprzepartych przeszkód w urzeczywistnieniu rozległych i szeroko pojętych zamiarów upiększenia i przeistoczenia starożytnego grodu, bez starcia przecież z niego onych nieocenionych znamion przeszłości, które są i pozostaną na zawsze jego poezją, jego największą i najdrogocenniejszą ozdobą. Co może sprężystość i dobra wola jednego człowieka wszędzie — szczególnie u nas — dowiódł dzisiejszy prezydent miasta. W paru latach zrobił już wiele, bardzo wiele, a z tego co zrobił, przeczuć można i odgadnąć co zamierza zrobić i Kraków przyszłości, Kraków Zyblikiewicza, przedstawia się wyobraźni nader przystojnie i pięknie. Mikołaj Zyblikiewicz należy do tej nielicznej garstki ludzi, którzy nie na to chcą czemś być aby być, ale na to aby coś zrobić. Powodują nim dwa czynniki, które we wszystkich, mniejszych i większych sprawach ludzkich, najdzielniejszymi są dźwigniami — chęć odznaczenia się, i silne zamiłowanie tego, czego się podjął. Zyblikiewicz kocha się i w tem co już zrobił i w tem co zamierza zrobić; jestto umysł nader czynny, nieumiejący nietylko próżnować, ale nawet wytchnąć, słowem umysł

ten jest niejako przeciwstawieniem samolubstwa, ospałości i zastołości krakowskich. Jeżeli nie zdołał on, jak tylu innych, zmienić wewnętrzznego usposobienia starego grodu, jeżeli nie udało mu się jeszcze wyleczyć go z senności, zmniejszyć rozmiary jego wątrąby i śledziony, to przecież niewątpliwie wiele już zrobił w tak krótkim czasie dla odnowienia, upiększenia, wywabienia plam i oczyszczenia zewnętrznej strony Krakowa, jego zaniedbanych, podziurawionych i brudnych szat. Kraków, niestety, zdaje się lubować w obrzydliwym brudzie, zarówno jak w obrzydliwych plotkach: *la ville est charmante, mais la saleté est dégoûtante*, rzekł niedawno ktoś przybyły tu po dłuższym za granicą pobycie. Zyblikiewicz nielitościwie wytrwale walczy z tym nałogiem Krakowa do brudów; zżyma się czasem Kraków, ale niczem niewstrzymany prezydent oblewa go wodą i szoruje szczotkami. Z nakazu magistratu — myślę się — z nakazu prezydenta kanały zanieczyszczone od czasu smoka i Krakusa, zostały wszystkie wyczyszczone, prawie gwałtem, czego dokonał dzielny dowódzca straży ogniowej tutejszej Eminowicz. Jeżeli Kazimierz W. zastał Kraków z drzewa, a zostawił go z cegły, oby Zyblikiewicz zastawszy go brudnym i smrodliwym, zostawił go czystym i woniejącym.

Na owe herkulesowe dzieło wyczyszczenia miasta, Rada miejska przeznaczyła skąpą, malującą tutejsze zamilowanie do czystości kwotę dwóch tysięcy reńskich; prezydent zaś, na własną odpowiedzialność, wydał dziesięć tysięcy.

Inaczej tutaj postępować nie można, chcąc coś zrobić. Nie na tem kończy się działalność ruchliwego, jak żywe srebro, zapalnego jak siarka prezydenta. Gmachy szkolne wyrastają z pod ziemi, nowe domy budują się, bo przedsiębiorcy znajdują do tego zachętę; Plantacye przeobrażone, upiększone, otaczają prawdziwie uroczem swoją świeżością pasmem, miasto, te same Plantacye, za

które, jeszcze przed paru laty trzeba było Krakowianom się wstydzic, tak były zaniedbane. Asfalt okrąża Rynek i zapuszcza zagony w sąsiednie ulice.

Było tu jedno krótkie ale straszne przejście, które znamionowało Kraków.

Na przesmyku prowadzącym od Rynku do teatru, publiczność musiała co wieczór brnąć w błocie nawet czasem łamać nogi. Obecnie, pomimo gwałtownego oporu właściciela sąsiedniej kamienicy, zatwardziałego wsteczniaka z czasów byłej Rzeczypospolitej, a dzięki osobistemu wdaniu się Zyplikiewicza, niebezpieczne to przejście pokryte jest gładkim asfaltem. Drobnym to rys, ale określa stosunek sprężystego i pełnego życia prezydenta do zacofanego i zgrzybiałego miasta. Lecz, co najważniejsza, oto nareszcie rozpoczęto roboty około odbudowania Sukiennic, i przestało ono być pięknym snem, nadzieją, śmiesznością; stało się rzeczywistością. Za trzy lata dzieło całkowicie będzie skończone. W niedalekiej przyszłości rozpoczną się roboty około wodociągów, a dzięki usiłowaniom prezydenta, niebawem już otwarte zostanie muzeum starożytności ks. Czartoryskiego.

W dalszych zaś zamiarach naszego Haussmana dostrzedz już można pięknej i zbawiennej myśli przemienienia części błoni, ciągnących się między Krakowem i Wolą, na przechadzkę publiczną, której brak daje się tu coraz więcej czuć, a która jest ozdobą, zdrowiem i najprzyjemniejszą rozrywką każdego większego nieco miasta; urządzenie takiej przechadzki wpłynęłoby niezawodnie zbawiennie na usposobienie mieszkańców i wyleczyło ich może nieco z dobrowolnej hipochondryi. Dzięki także prezydentowi stanął tu letni teatr. Wobrażcie sobie *risum teneatis amici*, że magistrat królewskiego miasta, nie chciał dać pozwolenia Dyrekcyi teatru na wystawienie drewnianego budynku i nie mógł w żaden sposób zrozumieć, że nie może być letniego teatru, je-

zeli nie ma być drewnianego budynku. Węzeł ten śmie-
szności przeciał, na własną odpowiedzialność, Zyblikie-
wicz, i oto od dwóch miesięcy stoi budynek, pozwa-
lający, szczególnie przejeżdżającym z waszych stron,
niesamotnie, wieczór przepędzić. Dodajmy, że w prezy-
denckich rozległych pomysłach, jest naznaczone miejsce
i na nowy zimowy teatr, który bezsprzecznie jest także
jedną z naglących potrzeb tutejszych, gdyż stary bu-
dynek przy placu Szczepańskim nie tylko odraża brudem
i brzydotą, ale sam nawet czuje, iż należałoby mu
się usunąć z widowni i z każdym rokiem daje wyra-
źniej do zrozumienia, że radby się wycofać z czynnej
służby.

Tak więc, dzięki prezydentowi, mógł ktoś na pół
żartem powiedzieć, że Kraków pod jego rządami staje
się miastem światowym, i że co się nie udało ks. Bis-
markowi zrobić dotąd z Berlina, uda się może kiedyś
zrobić z Krakowa Zyblikiewiczowi.

Nie myślcie, aby to wszystko szło łatwo i, jak mó-
wią Francuzi, *sur des roulettes*. Są oczywiście tacy, któ-
rzy kładą *des bâtons dans les roues*. Dużo jest przeszkód,
więcej przeszkadzających. Nic niewdzięczniejszego jak
przeprowadzać dzieło, wymagające spiesznego, natych-
miastowego działania, a być krępowanym przez obra-
dujące ciało. Nic trudniejszego, szczególnie u nas, jak być
władzą wykonawczą, pochodzącą z wyborów ciała, bez-
pośrednio nadzorującego działania tej władzy. W tem
pochodzeniu tkwi już tysiące trudności i przeszkód. Mamy
tego, na większe rozmiary, przykład w miłym położeniu
marszałka Mac-Mahona, do którego *mutatis-mutandis*
porównać można stanowisko prezydenta miasta, wy-
brańca rady miejskiej. Pierwsza przeszkoda: mniejszość,
czyhająca na rzeczywiste błędy, wynajdująca urojone
w postępowaniu człowieka, powstałego z przeciwnego
obozu, stawiająca z potrzeby i zasady trudności wszel-
kiemu działaniu, aby dowieść, że wybór był najgorszy!

Druga przeszkoda: większość z której się powstało, z której namiętnościami i małostkami rachować się trzeba. Nareszcie, i to najważniejsza: wielu, tak z mniejszości jak i z większości, nie pragnących aby urzędujący prezydent wiele zdziałał, bo sami ubiegać się będą o tę godność po sześciu latach, a każda jego naprawa, każde dzieło, każdy czyn dodatni, to jedno zalecenie więcej, jeden powód więcej powtórnego wyboru! Dotąd Zyblikiewicz szczęśliwie żagłuje pomiędzy temi szkopolami maleńkich namiętności oraz zazdrości ludzkich i zwycięsko pokonywa trudności. Wielka parlamentarna zręczność, bystry rozum, dar rozkazywania, nareszcie i nieco samowładcze usposobienie, które tu nigdy nie zaszkodzi, dopomagają mu do tego. Zarzucają mu nieco szorstkości, ale rozumniejsi przebacząją mu ją, wiedząc, że nie pochodzi z serca ale z głosu.

Shczęście to prawdziwe jak się taki zjawi mąż u nas, gdzie — zauważyć to można oddawna — zdziałać coś może i umie tylko człowiek nie zbiorowe ciała. W życiu naszego społeczeństwa, wytyczne słupy są dziełem wyjątkowo obdarzonych ludzi; wszelkie zaś sejmiowanie było nam zgubne i pozostało jałowe.

Jednym z takich ludzi i jednym z najznakomitszych jest Mikołaj Zyblikiewicz. Gdzie jest, znać go.

Historja nasza parlamentarna, to zarazem dzieje pięknego, bogatego zawodu publicznego Zyblikiewicza, który w bardzo trudnych, dla Koła Polskiego w Wiedniu, czasach, umiał wstępnym bojem zdobywać na centralizmie, co zdobyć się dało, i zyskać dla siebie i dla Koła stanowisko poważne i poważane, pomimo szczupłej liczby osamotnionych posłów polskich. Był też czas, kiedy Zyblikiewicz przewodniczył w Kole polskiem w Wiedniu, a zdolności jego, pracowitość, gorliwość o dobro rzeczy publicznej, dzielność wymowy i bystrość umysłu, kazały nieraz kolegom jego, ba, nietylko kolegom, prezesowi Izby i samym ministrom,

liczyć się z niecierpliwością i porywcznością jego. W pierwszych czasach posłowania Zyblikiewicza w Wiedniu nazywano go taranem, który rozbija biurokratyczny mur chiński, a przypomnieć trzeba, że wszystkie dzieniki czy przyjazne, czy nieprzychylne Polakom, były pełne pochwał dla niego lub podziwu, choć niekiedy gniewu. Nie były one nawykłe do jędrności, i że tak powiem, nieogłędności, zawsze stanowczości, i co znaczy wiele, gotowości, z jakimi Zyblikiewicz od razu, bez długiego namysłu, wygłaszał siarczystą filipikę i zwykle miał przy sobie słuchaczy, których podbijał, pomimo, że w pierwszych latach życia parlamentarnego było wielu mowców między Niemcami z rodzaju tych, których nazywają pięknie wysławiającemi się, co sypali dokoła krasomówczemi kwiatami, albo zwrotami dyalektycznemi lub wolnomyślną frazeologią odziedziczoną po frankfurckim parlamencie i którą olśniewać umieli! Ale Zyblikiewicz nie uciekał się do takich sposobów twardo, jasno, treściwie, mając za sobą słuszność i wiarę w to, co głosi, przekonywał tych, co nie powiedzieli sobie z góry, iż przekonać się nie dadzą, nie zatykali uszu, aby nie usłyszeć prawdy a nie zasłaniali oczu, aby jej nie widzieć. Zyblikiewicz trzymał zawsze wysoko w Radzie państwa sztandar polski, Sejmu zaś naszego był duszą, a jego tam znaczenie najlepiej określa to pamiętne powiedzenie nieprzyjawnego mu pisma: „że nie podobna wystawić sobie Sejmu bez Zyblikiewicza“. Kiedy zaś poczuł się do obowiązku oddania się prastaremu grodowi naszemu uosabiającemu w sobie myśl polską i kiedy przyszło takiego zastąpić męża jak Ditel, podjął zadanie z poświęceniem się mu zupełnem; z wszystkimi właściwościami bogatej swej istoty. — Znana jego porywczność, z gorącej pochodzi miłości sprawy publicznej. Sam Zyblikiewicz wie, że jest czasem szkodliwą. Opowiadają, że prosił przyjaciela i dzielnego współpracownika w zawodzie politycznym Rydzowskiego, aby go

upomniął i ostrzegł umówionym znakiem, ile razy się uniesie podczas rozpraw w Radzie miejskiej; pewnego więc dnia, gdy Rydzowski raz po raz ten znak powtarzał, mianowicie głośno i coraz głośniej nos ucierał, zniecierpliwiony Zyblikiewicz zawołał: „Wiem, wiem, ale nic nie pomoże, muszę wszystko wypowiedzieć i wypowiem!“ Nikt z obecnych nie zrozumiał tych słów, gdyż nikt nie znał symbolicznej rozmowy między przyjaciółmi. Znamienny to rys, który przedstawia człowieka jakim jest, z wielkimi zaletami, małymi wadami. Zyblikiewicz bieżący warcholstwa i wiehrzenia, położył podwaliny powodzenia Koła Polskiego w Wiedniu, którego był czas pewien Prezesem, dając mu znakomity statut, zapewniający karność i solidarność. — Każda kasta rządząca, aby pozostać żywotną i utrzymać się przy naczelnictwie musi móżdż i umieć odmładzać się znakomitościami z innych; wzbogacać się nie tyle posagami jak nowemi ludźmi, przywłaszczając ich sobie. Niezrównanym nabytkiem jest tu Zyblikiewicz, Rusin z pochodzenia i plebejusz. Miejsce, które sam zajął i które mu przyznano w tutejszej przodującej kaście, jest dowodem, że szlachta polska wyleczyła się z ciasnej wyłączności i najlepszą odpowiedzią na zarzut, iż jest zamkniętym zastępem. Zyblikiewicz, Ziemiałkowski, Smolka i inni świadczą, że przestała nim być. Zyblikiewiczowi dopomógł do odznaczenia się Adam Potocki, który raczej innych, niż siebie wysuwał naprzód.

Na deskach tutejszej sceny, tak zimowego, jak letniego teatru, ukazał się utwór, rzec można, jedyny w swoim rodzaju: „Emigracya chłopska“ Anczyca. Zaslugą jest tutejszego konkursu, że po długim milczeniu, zmusił jedyne naszego ludowego pisarza do odezwania się ze sceny. Anczyca umie podsłuchać mowę i najtajniejsze myśli ludu wiejskiego, dlatego jego „Emigracya“, równie jak „Chłopi arystokraci“, nawskróś jest rodzimą i czaruje urokiem prawdy; czuć w niej woń

sianożęcia, słyhać odgłos śpiewu żniwiarzy. „Emigracya“ jest wielkiem powodzeniem; pojawiła się na deskach w bardzo szczęśliwej dla niej chwili, w której rzeczywiście większe rozmiary przybierać zaczyna, w jasielskim i tarnowskim powiatach, wychodztwo do Ameryki. Ogół zaczął zwracać uwagę na tę nową plagę, nawet urzędowa *Gazeta Lwowska* umieściła znakomitą o niej rozprawę. Wtedy to Anczyz wystąpił ze swoim utworem; nie więc dziwnego, że znalazł powodzenie u progu sceny. Ale utwór, sam przez się, najzupełniej na nie zasługuje. Jest w nim uczciwy, szlachetny, trafny pogląd na tutejsze stosunki wiejskie, pogląd ten, dość niestety smutny, rzucił Anczyz bez złudzeń, przecież z miłością, z wskazaniem środków naprawy. Wystawienie jędrne tutejszych stosunków społecznych stanowi prawdziwą treść i wartość dzieła, więcej jak wplecenie dotąd sporadycznego wychodztwa ludu wiejskiego do Ameryki. Z tego względu utwór jest czemś więcej jak dziełem scenicznem, to obywatelski czyn, mogący nawrócić zaślepionych i wskazać dobrą drogę. Zamiar zgadza się wybornie z dążeniem stronnictwa krakowskiego, żądającym oddawna wewnętrznych napraw, na podstawie gminy zbiorowej i znanego wam z przeszłego sejmku wniosku Dunajewskiego opartego na jego *Zarysie*: słowem jest to odezwanie się do warstw wyższych, aby wniknęły w rzeczywiste potrzeby ludu wiejskiego.

Spoleczny ten obraz jest w najwyższym stopniu scenicznym, urozmaicony wszystkimi możliwemi ale prawdziwemi wrażeniami — grany tu dobrze, coraz większe budzi zajęcie i pobudza do namysłu.

Drugi utwór, który widzieliśmy w letnim teatrze, była „Merima czyli powstanie w Bośni“. Tragedya ta, ze względu na odgrywające się na Wschodzie wypadki, musi budzić zajęcie, i trudno rzeczywiście w obecnej chwili o rzecz, odpowiadającą bardziej ogólnemu położeniu.

Utwór ten napisany po serbsku przez Bana, przełożony przez Zmorskiego, rzuca jasne, rodzime światło na stosunek ludności słowiańskiej do panowania tureckiego; widać tam, jak na dłoni, obydwa obozy w walce, widać jak sprawa społeczna wpływa przeważnie na wypadki. Przywiązanie do wiary ojców jest tu głównym, szlachetnym żywiołem tragicznym. Pod względem artystycznym nie jest ten utwór bez zalet, zręcznie bowiem splata się stosunek miłosny — oczywiście między chrześcianinem a muzułmanką — z politycznem powstaniem rajasów bośniackich w pierwszej połowie tego stulecia. Są zbiorowe sceny, drugiego naprzykład aktu, robiące wrażenie; ale znać także właściwe Słowianom niedołęstwo w dramatyzowaniu i układzie scenicznym: najczęściej i długo dwie tylko osoby rozmawiają z sobą; — w tekście są wielkie długości, które znikły w przedstawieniu, gdyż znaczne porobiono skrócenia. Czytałem w dziennikach, że jednocześnie wystawiono ten utwór w Petersburgu, a że niebawem ma być grany w Pradze.

Mówiono tu, że od dziesięciu lat wychodzący *Przegląd Polski*, organ Stańczyków, zakończy swój żywot w skutku zniechęcenia jego założycieli. Otóż, w lipcowym i sierpniowym zeszytach tego pisma, ukazała się obszerna rozprawa Tarnowskiego: „Po dziesięciu latach“, niezwykła tem, że przyznaje się do zupełnej na wszystkich stanowiskach przegranej, do zupełnego braku czytelników, do zamiaru zaniechania dalszego wydawnictwa, zarazem oświadcza, że *Przegląd* przecież dalej wychodzić będzie „jeżeli nie na jutro to na pojutrze, że jego redakcyja bita chce być i dalej bitą!“ Jest dużo dowcipnego szyderstwa pod tem arcypokornem wyznaniem, *Przegląd* umieszczając tę rozprawę zdaje się mówić, że społeczeństwo tutejsze nie dorosło jeszcze do pism poważniejszych, trzeźwych i zdrowych a nie szubrawczych. Jakiegokolwiek można mieć zdanie o zasadach stronnictwa i jego pisma, nie ulega przecież wątpliwo-

ści, iż było ono niepospolitem i że więcej warte pod względem umysłowym, jak publiczność, która go czyta a raczej nie czyta.

Jednocześnie z wskrzeszeniem niejako *Przeglądu*, dzięki zamożności jego właścicieli, przestał wychodzić organ złośliwie tu nazwany, zielonej literatury: *Szkice społeczne i literackie*. Zajmowali się tem wydawnictwem sami młodzi ludzie, między niedokończonymi naukami a bilardem i jednocześnie wydawali dwa, bez dowcipu, dowcipkujące pisma: *Dyabła* i *Harapa*. Na czele tych wydawnictw stał młodzieniec, syn znakomitego historyka, powszechnie czczonego męża. Można było nie pochwalać tego przedwczesnego rzucenia się na pole publicystyki, mianowicie w kierunku dowcipkująco-paszkwilowym, mogło to dawać powód do żartobliwych uwag, że są ludzie, którzy piszą na to tylko, aby nie kończyć nauk; przecież jest w dzisiejszych czasach coś niezwykłego, coś szlachetnego w młodym człowieku, który, zamiast jak inni gonić za zyskami, lub żyć tylko troską o byt, poświęca mienie i czas, według słów Ewangelii, lepszej części i oddaje się i to w Galicyi, choćby zielonej literaturze.

Z pewnością nie zdobędzie on tu ani zysków ani zaszczytów! Jest w nim przecież drogocenna iskierka, która w tyłu piersiach obecnie zgasła. Przyznać trzeba, że te pisemka, pomimo młodych lat pisarzy, unikały dotąd zgorzeń, brudów i osobistych zaczepiek, trzymały się w pewnej przyzwoitości granicach. Oczywiście, jak wszystkie na polu piśmiennictwa usiłowania i te rozbiły się tutaj o ocieężałość i wstręt do czytania.

Szkice, które podobno dużo kosztowały młodego nakładcę, zakończyły żywot. Pozostała najmniej zajmująca, najniwłaściwsza dla młodzieży, część tych wydawnictw: owe dowcipkujące pisemka. Czy może być coś smutniejszego, jak dowcipkujące pismo bez dowcipu i zapалу? To coś jak taniec bez muzyki. A przytem,

pomimo dobrych chęci właściciela, wkradają się tam teraz często brudy i małe nikczemności, znoszone przez niskiego rządu współpracowników, zszarżanych i chcących swoje sprawy lub osobiste zemsty podnieść do znaczenia humorystyki społecznej. Nikogo to nie bawi, bo niema w tem duszy, a pisemka, które podobno także śmiertelną dotknięte są chorobą, do reszty obniża.

Znaną wam jest zapewne sprawa niewłaściwego posłannictwa pana Marescha, przysłanego do Galicyi przez ministra oświecenia, Stremayera, dla zwiedzenia szkół tutejszych, wbrew nieco prawom i stanowisku Rady Szkolnej. Zajmowano się nią przez dłuższy czas. Dowiaduję się z pewnego źródła, że na Radzie ministrów Cesarz nie pochwalił tego samodzielnego kroku ministra i wyraził życzenie, aby w przyszłości trzymano się dróg prawnych.

Nierównie przyjemniejszym było dla kraju przybycie ministra rolnictwa, hr. Coloredo-Mansfeld, najmłodszego członka dzisiejszego gabinetu, który ze znajomością rzeczy, badał tutejsze stosunki rolnicze, i po powrocie do Wiednia złożył Naj. Panu nader przychylnie sprawozdanie, wykazujące potrzeby oraz niedostatki tego kraju koronnego.

Najważniejszym i zajmującym największe miejsce w tutejszem życiu wypadkiem ubiegłego miesiąca, był zgon wielkiego Fredry; do dziś dnia odczuwa go i zajmuje się nim nasze społeczeństwo. Tak pięknie i trafnie oceniliście tę stratę, że trudno więcej i lepiej powiedzieć. Wyższość Fredry na tem polega, że gdy wszystkie dotąd komedye polskie są śmiertelne, jego obdarzone są nieśmiertelnością. Jedyne to u nas komedyopisarz, bo on jeden stworzył wiekotrwałą komedye, która jest wszędzie wyskokiem ostatnim cywilizacyi i wykształcenia umysłowego; to też wedle wyrażenia Shakespeara, powiedziec można o Fredrze, że między naszymi komedyopisarzami „wygląda on jak jaki Bóg między ludźmi“.

Ze rzadką tutaj zgodnością wszyscy bez różnicy oddają hold jego pamięci. Pogrzeb we Lwowie był poważny i majestatyczny, ztąd dużo osób i wysłanników pospieszyło na ten obrzęd. W Krakowie: Dyrekcyja teatru urządziła nabożeństwo żałobne, w dzień pogrzebu teatr był zamknięty, 15 lipca przeznaczono na uroczyste coroczne przedstawienie w teatrze dla uczczenia pamięci Fredry. W tym roku zapowiedziane jest także uroczyste przedstawienie na 15 sierpnia. We Lwowie: Dyrekcyja teatru ustanowiła konkurs dramatyczny imienia Fredry i daje teraz cały szereg przedstawień komedyj Fredrowskich. W całym kraju odbywają się żałobne nabożeństwa. *Czas* zamieścił ładny o pogrzebie odcinek, *Przegląd* z sierpnia zawiera wspomnienie o Fredrze, pióra Dyrektora krakowskiego teatru, z udzielonym mu wierszem, pozostałym w papierach wielkiego komedyopisarza. Wiersz ten objaśnia zamilczenie Fredry, w skutku lekko-myślniej i płytkiej oceny jego utworów: Przytaczam go:

Nie drwicie sobie z mej starej bandury,
Że posklejana od dołu do góry,
Jaki pan taki kram.
Nie drwicie sobie, że mój głos już stary,
Malo w nim sztuki, ale dużo wiary,
Śpiewam co w sercu mam.
Nie lajcież mnie wy, uczone wieszczu,
Jeżeli czasem odezwę się jeszcze,
Wszakże to cichy śpiew...
A za dawniejsze, dawniejsze przewiny,
Żem kiedyś sięgał po wasze wawrzyny,
Niech zmięknie słuszny gniew.
Niegdyś młodemu czucie w piersiach grało,
Że to natchnienie, zamarzyłem śmiało,
Nuż śpiewać tak i siak!
Aż głos wasz zagrzmiał, Mistrzowie sztuki!
„Cicho z oklaskiem! tu barwy nauki,
Tu poezyi brak!”
Wprawdziem nauki nie nabrał w obozie,
Tam się machało w pospolitej prozie,
Wzdłuż i szerz: — jak Bóg dał.

Chcieć więc być wieszczem bez doktorskiej czapki,
Zdroju waszego nie łyknąwszy kapki,
Był to błąd — był to szal.
Zamilkłem, milczę, uwierzyłem, wierzę —
Że w niskiej tylko kręciłem się sferze,
Że prac moich lichy plon,
Lecz nigdy, nigdy, to potomność przyzna,
Fałszu, zawiści, oszczerstwa trucizna,
Nie dotknęła moich strun!
Jakie bądź były mej myśli natchnienia,
Zawsze jednak o aż przez dno sumienia,
Czysty ich płynął źródł.
Karcilem niemi złych ludzi głupotę,
Kochałem niemi Boga, prawdę, cnotę,
Współbraci i kraj mój.
Stłukliście lutnię w mojem młodem ręku,
Niechże przynajmniej bandury pobrzęku
Nie ściga już wasz gniew!
Jeśli dziś śpiewam, to tylko pacierze,
.....
Łabędzi to mój śpiew.

Cześć oddana wiekopomnemu komedyopisarzowi jest zupełna i przystojna.

Dwa wesela w zamożnych rodzinach odbyły się w tych czasach, obydwie pokryte żalobą po bliskich krewnych. W Krzeszowicach trzecia córka Adama Potockiego — Marya, zaślubiła hr. Sierakowskiego, znanego z podróży po Indyach. Ślub odbył się w cichości, z powodu śmierci ciotki panny młodej hr. Lizy Krasińskiej, p. v. żony Zygmunta. Drugie, ale złote wesele księstwa Leonostwa Sapiehów, obchodzone było w Krasiczynie; uroczystość ta miała przybrać szerokie rozmiary, ale ograniczyła je śmierć brata synowej księżnej Sapieżyny, ks. Pawła Sanguszki; przecież poważny ten obrządek odbył się z wspaniałością.

Żniwa już na ukończeniu, wszędzie tutaj świetne urodzaje, zbiory pomyślne.

IX.

Kraków, 31 sierpnia 1876 r.

Galicja przystąpi niebawem do rozwiązania ważnego zadania, bo do ogólnych wyborów sejmowych na nowy sześcioletni okres. Wybory rozpisane zostały na koniec października; jak zwykle, każda kurya wybierać będzie posłów na Sejm w innym dniu, od 24 do 31. Dotąd przecież zaledwie czuć, że się ta chwila zbliża. Zajmowano się już wprawdzie mechaniczną, że tak powiem, stroną wyborów, lecz polityczna i społeczna leżą jeszcze niemal zupełnie odlogiem. Nikt do tej chwili nie postawił jasnego, wybitnego programu wyborczego i wolno przypuszczać, że tak jak zwykle dotąd, wybory rozpląną się w komunalach, że się odbywać będą około pięknie brzmiących słów, nie około zasad, i że walka toczyć się będzie znowu nie o rzecz, ale o osoby. Wszystko, co dotąd mogło was dojść, o tutejszym ruchu wyborczym, bądźcie o tem przekonani, jest tylko gadanina bez treści; do czezych słów zaliczyć muszę hasło — wybierać ludzi zawodowych! Brzmi to nieźle, ale w gruncie rzeczy nie wyraża nic, nie wytyka żadnej drogi ani krajowi, ani jego Sejmowi. W ciele politycznem trzeba przede wszystkim ludzi politycznych, trzeba ludzi, którzyby przedstawiali pewne myśli, pewne kierunki społeczne i polityczne nie zawodowe zatrudnienia. Takie i tym podobne hasła, dowodzą tylko próżniactwa umysłowego i świadczą o chorobie tutejszego społeczeństwa, która na tem polega, że zadawała się ono pustemi słowami, bez względu na treść. Aby wybory były żywotne, aby były płodne, musi być walka wyborcza, ta nie może się odbyć między zawodami, lub między zatrudnieniami, ale między zasadami i ich przedstawicielami. Otóż takich wyborów nie można tu oczekiwać i dlatego

obawiać się należy, że może będą one hałaśliwemi, ale pozostaną blademi.

Brak tu wybitnych stronnictw, bo brak silnych przekonań i brak przewodzców. Dlaczego? Warto nad tem w chwili wyborów zastanowić się. — Główną tego przyczyną: że więcej tu jest próżności, jak prawdziwych żądz politycznych; wielu tu szuka w stanowiskach zadośćuczynienia miłości własnej, nie środka dopiero do odznaczenia się i zdziałania czegoś użytecznego. Tam, gdzie wrą prawdziwe namiętności, gdzie kieruje ludźmi silna ale szlachetna żądza, tam wyrobiją się niezawodnie przekonania, zasady, stronnictwa i przewodzcy; tam zaś gdzie idzie tylko o zadowolenie próżności, lub drobnych osobistych pragnień, tam wytwarzają się tylko czeze gadania i koterye, i tam, w następstwie, brak jest przewodzców, czyli ludzi znaczących, około których mogłaby się skupić walka, a wielka jest obfitość powiatowych zachcianek, które na proszek ścieraają działanie wyborcze. — Jednym z ważnych czynników tego rozdrobnienia publicznego życia w tym kraju, jest niezawodnie kierunek przeważnej części tutejszej publicystyki, to jest niemal jedyne nieco więcejżywionego działu piśmiennictwa w Galicyi.

Do wielu dawniejszych i daleko sięgających przyczyn ubezwładnienia i zjałowienia tego kraju, o których nieraz w moich listach mówiłem, dodać należy najświeższą — dziennikarstwo tutejsze i przeważający w niem żywioł humorystyczno-paszkwilowy. Ojcem tej szkoły jest Leszek Borkowski, autor głośnej niegdyś „Parafiańszczyzny“, najwybitniejszym jej uczniem dziś kapłanem jest Jan Lam, słynny autor „Kronik“ w *Dzienniku Polskim*. Lam w ostatnich kilkunastu latach życia galicyjskiego, był niewątpliwie najdowcipniejszym i najpłodniejszym humorystą. Niezwykły wrodzony dowcip zmarnował w tuzinkowych zapasach, bystry rozum jego, zszarzał się i zmalął w ciągłej podjazdowej wojnie. Dziś zużył się

już nieco, a jego „Kroniki“ przejadły się. Cięty jego język stępieł, ostre zęby wykruszyły się na twardym kawałku, bo na Janie Dobrzańskim, zbyt znanym właścicielu *Gazety Narodowej*, którego był uczniem i współpracownikiem, następnie zajadłym współzawodnikiem; kąsał on go wciąż, co najdziwniejsza, nie mógł przecież napocząć. Były w Lamie żywioły prawdziwego, niepospolitego satyryka i humorysty; lecz jak tylu innych, i jego nie umiano tutaj należycie zużytkować. Z pociągu i wrodzonego dowcipu, z jakiegoś nieokreślonego poczucia umysłowego, raczej niż z wychowania i wykształcenia, chętniej byłby niezawodnie Lam poszedł wprost przeciwnym kierunkiem, jak tym, którym idąc, rzucał się na wszystko, co dodatnie i mające w tutejszem społeczeństwie wartość, tem łatwiej, że zasady lub przekonania nie krępowały go nigdy. Była chwila, w której można go było pozyskać dla jedyne go uczeiwego i poważnego dziennika tutejszego dla *Czasu*; zaniebano tej sposobności i puszczono go samopas drogą, na której dowcipkując, sam się zużył, zużywszy wielu innych. Jako szczegół zawodu tego humorysty, przytoczę, że przed kilku laty jeden z wielkich dzienników wiedeńskich ofiarował mu bardzo korzystne warunki, które on odrzucił, nie chcąc opuszczać kraju; przemawiaćby to mogło wielce za nim, bo świadczyć poniekąd, że nie uległ chorobie kosmopolityzmu, którą w jego pismach dostrzedz można; chyba, że owa odmowa przeniesienia się do Wiednia była już skutkiem zmęczenia i tej niemocy, która przykuwa do przyzwyczajień. Lam obdarzony bystrym, czasem dalej sięgającym dowcipem, obracając się w ciasnem nieco kole tutejszem, wpadał, szczególnie w obecny czas, w wymuszoność, powtarza się jednostajnie; przecież zabłyśnie czasem satyrą lub żartem, które zostawiają ślad po sobie; dawniej odznaczał się wielką żywotnością i złośliwością, która, jeżeli nie przeszywała na wskrós, to przecież raniła, wy-

trwałością w ściganiu szyderstwem i śmiesznością ofiary, wpijała się w nią, jak pijawka. Najbezwzględniejszy brak wszelkiej wiary we wszystko, znacznie osłabia doniosłość i obniża poziom jego satyry. Cynizm nie zawsze dobrego smaku i pewien kawiarniany zapach, przysłuszają niezły zakrój literacki; wogóle w jego humoryście jest więcej dowcipkowania jak dowcipu, aczkolwiek i jego nie brak; dziś Lam padł ofiarą zgubnej konieczności dowcipkowania na zamówienie co tydzień; ale niektóre jego „Kroniki“, przedewszystkiem jego powieść polityczna „Panna Emilia“, świadczyć będą o niepospolitym talencie, o bystrości niezwyklej, nawet o głębszym darze spostrzegawczym. Kto wie nawet, czy „Panna Emilia“ nie zostanie się? Człowiek obdarzony takimi zdolnościami i wciąż piórem czynny, musiał wywrzeć wpływ na społeczeństwo, które wyjątkowo czytało go z chciwością i musiał stworzyć cały zastęp niepokiesznych naśladowców; humorystyczny paszkwil, który nie małe ma tu znaczenie, jemu je zawdzięcza: znaczenie zgubne, bo pozbawione wszelkiej zacności.

Drugim w tym kierunku czynnikiem, o którym mówić warto, jest humorystyczne pismo lwowskie *Szczutek*, którego kierownikiem jest Liberat Zajączkowski. *Szczutek* odznaczał się dotąd bardzo nieraz trafnym dowcipem, pewną miarą w używaniu go, szanowaniem stosunków domowych, przy widocznej skłonności do skrajnego, wolnomyślnego kierunku, chwalebłą bezstronnością. Jest to niewątpliwie najlepsze humorystyczne pismo tutejsze i niedające się nawet porównać z innymi podobnemi piśmiłkami lwowskimi lub krakowskimi; jeżeli nie zawsze kładzie, to przecież umie włożyć rękawiczki; jest ostre, nigdy grubiańskie; ulega wprawdzie pewnym zadawnionym przesądom i, od czasu do czasu robi ustępstwa miejscowym koniecznościom. Mniej w nim życia jak w „Kronikach“ Lama, ale też mniej wpływu obczyzny i wiedeńskiej humorystyki; czuć,

że są rzeczy, w które wierzy i które kocha. Kierownik tego pisma Zajączkowski, jest człowiekiem z lepszym wychowaniem i wzięciem, tem samym z lepszym smakiem; odróżnia się pod każdym względem pośród zgrai dziennikarzy galicyjskich z pod ciemnej gwiazdy; ma jeszcze pod wielu względami, ciepło wiary i miłości, i dlatego może właśnie humorystyka jego więcej od innych jest rodzimą; postępowania i przeszłości nieposzlakowanych, ma prawo śmieiej się odzywać; coś wrodzonego hamuje w nim podejrzliwość względem wyższych warstw społecznych i nie tyle karci on je, jak raczej ich czyny. Obecnie założył codzienne pismo polityczne *Kronikę*, bez wielkiej przyszłości, może ulegając tej słabości ludzkiej, która popycha nas często do robienia tego, do czego najmniej jesteśmy zdolni. Niewątpliwie *Szczutek* na tem nie zyska, a już ktoś dowcipnie powiedział: że to co powinno być w *Szczutku*, znajduje się w *Kronice*, przeciwnie to co w *Kronice*, w *Szczutku*.

O innych tutejszych humorystach wspominać nie warto; są to bladzi naśladowcy, ich plemię rozmnożyło się w nieskończoność. Humorystyczny paszkwil stał się tu modą, opętaniem, chorobą; każdy piszący poczuwa się do obowiązku humorystyki; wszystko wyśmiać, z wszystkiego wyzyskać paszkwil, to hasło tutejszego codziennego piśmiennictwa; całe niemal dziennikarstwo podlega temu przywidzeniu; jest to szarańcza, która padła na niwy galicyjskie i która dokończyła dzieła rozpoczętego przed laty przez biurokracyę austriacką — zjałowienia tego kraju; szukając dokładnie, bodaj czyby nie można odnaleźć niejedną styczność, nie jeden tajemny i mistyczny węzeł między ową biurokracyą a dzisiejszym kierunkiem dziennikarstwa tutejszego i jego humorystyką? Te same przesady i społeczne wyobrażenia, te same nienawiści i żądze!

W społeczeństwach wykwinnych, w których znajdują się na żarcie, humorystyka wyższa i dowcipna satyra

nie są szkodliwemi; przeciwnie, jest to sól dodająca smaku sprawie publicznej; jest to pęcherz utrzymujący często, na powierzchni wody, pływających po morzu politycznym; jest to także, owo zręczne zalecenie, o które nawet na Zachodzie ludzie publiczni dobijali się nieraz; w każdym razie to trefniś rozweselający społeczeństwo; lecz u nas gdzie dotąd nie znajdują się na żarcie, bo biorą go poważnie, gdzie żart nie rozwesela, lecz zasmuca jednych, zatrważa drugich, zadawalnia tem samem nienawiści i chęć zemsty wszystkich, wpływa on nader szkodliwie i przybijająco na życie publiczne, a przestaje być szlachetną bronią; nie oczyszcza powietrza, ale przygniata ołowianem niebem; nie rozwesela, ale waśni; nie dodaje odwagi, ale zniechęca; nie jest on trefnisiem gromadzącym ludzi około śmiechu, jest gęburem rozpędzającym ich. Dodajmy do tego znany u nas brak odwagi cywilnej, w skutku którego niejedni, ale wielu woli stać na uboczu, jak wystawiać się na dotkliwie, bo dotkliwie odczute żarty, a zrozumiemy, dlaczego humorystyka tutejsza i ulegające jej wpływowi dziennikarstwo, tak zgubnie oddziaływały na obyczaj polityczny; dlaczego stały się przyczyną braku zasad i przekonań stałych, dlaczego zużyły tyłu ludzi i stworzyły próżnię, w której słyszeć się daje tylko złowrogi odgłos kurczowego śmiechu. Humorystyka tutejsza niedość głęboka i silna, aby zabijać, czyni gorzej, bo ubezwładnia; rzecz godna uwagi, że w tym kraju nie biorą do serca, prócz żartu. Niema tu jednej osoby niewyśmianej, niewyszydzonej, tego wyśmiania i wyszydzenia ogół nie umie strawić jako lekką potrawę, lecz dostaje po niej niestrawności. Niema tu poważniejszych myśli i poważniejszych książek, niema szczególnie chęci do czytania ich, bo smak zepsuty jest codziennem używaniem dziennikarskiej assafetydy. Nie w samej przecieź nieudolności społeczeństwa do zrozumienia i ocenienia żartu, jest przyczyna jego szkodliwości; oto przy-

pisac ją nalezy jego istocie, jego treści, jego pochodzeniu. W najlepszych stosunkowo okazach, o których wyżej wspomniałem, jest on płytki, często złego smaku, zawsze niezdrowy; cóż dopiero mówić o okazach podrzędnych, które zniżają się do rynsztokowych brudów i kalają wszystko bez dowcipu i polotu!? Tu przedstawia się nam pospolity obraz wszystkich niskich namiętności i płaskich stron ludzkich, istna kawiarnia pod „łatającą ropuchą“, tak misternie odtworzona w „Rabagasie“ Sardou. Żart i śmiech są przyrodzonymi potrzebami; lecz aby dobrze wpływały na zdrowie społeczeństw, muszą być same zdrowe, muszą wyrastać z własnego gruntu; żart musi pobudzać do czerstwego, do serdecznego śmiechu. Humorystyka galicyjska tego nie umie; wywołuje kurczowy nie serdeczny śmiech; zamiast uzdrawiać, rozstraja; zamiast poprawiać, psuje; zamiast karcieć, poniża! A dlaczego? Bo i żartu przyczyna i pochodzenie muszą być szlachetne, bo i żart musi być wypływem jakiegoś głębszego uczucia, czasem wielkiej, byle wzniosłej boleści! Humorystyki tutejszej nie ożywia żadna wyższa myśl, żadne głębsze przekonanie; jej celem wyśmianie każdego, jej dźwignią najczęściej zemsta osobista. Przedewszystkiem brak jej rodzimej podstawy; nie jest to wesołość ani żart Reja, Radziwiłła Panie Kochanku, lub biskupa Warmińskiego, Morawskiego, Henryka Rzewuskiego albo Fredry, to towar zagraniczny z wiedeńskich kawiarni, lub naśladowanie *Bomb* i *Pchel* naddunajskich; dlatego to humorystyka galicyjska pozbawioną jest zacnego powodu bytu, dlatego wpada zbyt często w pospolitość i zamiast uzdrawiać i zapładniać, działa zgubnie na ustrój społeczny i zjaławia grunt galicyjski, już pierwiej, przed konstytucyjnym okresem, wypłeniony działaniem biurokracyi austriackiej tak, że tutaj choroba wyprzedziła zdrowie. Nie pomyłę się twierdząc, że tym dwom wpływom, jednemu dawniejszemu, drugiemu bezpośredniemu — prze-

ważnie przypisać należy nieudolność tego kraju do twórczej pracy, do poważniejszego zajęcia lub działania. Im także, w następstwie przypisać potrzeba nieporadność przy wyborach i zwykle zbyt błady ich wynik; im, brak zasad i silniejszego odczucia przekonań; one narazie pozbawiły nas wybitniejszych w życiu publicznem przewodzców, których nieobecność przy wyborach dotkliwie czuć się daje.

A przecież, jeżeli te nowe wybory mają mieć jakieś znaczenie w życiu tego kraju, jeżeli nadchodzące sześć lat mają być lepiej zużytkowane jak poprzednie, trzeba koniecznie ludzi skupić około ważnych spraw społecznych, około pewnych o tych sprawach pojęć i przekonań, czyli około zasad. Przyroda nie znosi próżni, tem mniej znosi ją życie społeczeństw, szczególnie oparte na wolności, i słusznie powtórzyć tu można, co w staro-francuskim języku Montaigne tak pięknie o duszy powiedział: *de mesme il semble que l'ame esbranlee et esmue se perde en soy mesme si on ne luy donne prinse; et fault tousjours luy fournir d'object ou elle s'abutte et agisse.*

Niezbędnym jest w chwili obecnej taki *object*, na którymby Galicya mogła *s'abutter et agir*; próżnia musi być zapełnioną, nie zapełni jej jakaś walka nie na czasie o polityczne zdobycze, lecz jedynie naprawa stosunków wewnętrznych. Oto jest pierwszorzędnej wagi sprawa wszędzie szczególnie u nas, sprawa najważniejsza dla kraju rolniczego, sprawa stosunków wiejskich, która wymaga zbadania sumiennego, troskliwego, odważnego. Tylko na gruncie naprawy stosunków wiejskich, jako podstawy wszystkiego, odbyć się mogą poważne, owocodajne wybory. Wyleczyć się z zarazy zaszczepionej przez paszkwilowe dziennikarstwo, otrząść się z prochu, którym przysypała ten kraj biurokracya, wziąć się śmiało i trzeźwo do pracy na polu stosunków wiejskich, oto jedyny program wyborczy, który

streszczałby się w dwóch głównych postanowieniach: dążenia do utworzenia gminy zbiorowej i zaprowadzenia zmian zarządczych na podstawie wniosku Dunajewskiego. Dwie te naprawy byłyby ważnymi krokami na drodze gospodarczego i duchowego rozwoju tego kraju, bo rozwiązaniem stosunków wiejskich w zamiarze i myśli, które tak obrazowo przedstawiła publiczności warszawskiej „Emigracya Chłopska“ Anczyca.

Dotąd przecież pojedyncze tylko głosy przemawiają za takim programem wyborczym, a że on na zajadłych natrafi przeciwników, o tem niestety wątpić nie można. Między głosami przemawiającemi śmiało za naprawą stosunków wiejskich, pierwszy dał się słyszeć Pawła Popiela, posła z ziemi krakowskiej, w liście do wyborców; zwięźle i dobitnie stanął on w nim na gruncie gminy zbiorowej i zniesienia podwójnego zarządu. Mąż to światły, znany nietylko tutaj, wnuk po kądzieli ministra Marcina Badeniego, wychowany zatem w najlepszych wspomnieniach życia publicznego, kształcił się we Francyi, gdzie go ścisła łączyła przyjaźń ze znakomitościami ówczesnego stronnictwa katolickiego. Lamennis, Montalembert, Veillot itd. W kraju należy do najcelniejszych ludzi, zawsze umysłowo czynny, niejedną zdrową myśl rzucił w nasze społeczeństwo; przyjaciel najznakomitszych współczesników swoich: Adama Potockiego, Jerzego Lubomirskiego, Helcla, Wielogłowskiego, Leona Rzewuskiego, Maurycego Manna itd., uchodził nieraz za ich Egeryę; założyciel przed blisko trzydziestu laty *Czasu*; sam pisarz wytworny, zaprawiony na starożytnych, a przypominający naszych klasyków, Paweł Popiel jest jednym z najwdzięczniejszych pierwowzorów, stojących jeszcze na granicy przeszłości i terażniejszości pełen niezwyklej samorodności; ma on woń starego węgryna, takiego, którego już za pieniądze dostać nie można, lecz który odziedzicza się. Silnych, raczej wyraziście naszkicowanych przekonań, wygłasza je nieco

ostro, nawet ostrokatnie; przy głębokiej nauce i talencie Popiel grzeszył często niezręcznością polityczną, nie raz sprawie, której chciał służyć, szkodził; miał dar niewczesnego odzywiania się; był czas, w którym dość było powiedzieć, że pomysł wyszedł od Popiela, aby go uniemożliwić. Długo marzył bezowocnie o utworzeniu u nas stronnictwa takiego, do jakiego należeli we Francyi jego przyjaciele i stał zwykle odosobniony; obecnie połączył się ze Stańczykami, od których dawniej nieco stronił. O nim to ktoś powiedział, „że przerzuca zawsze wielkie myśli na mały obszar“. Ludzi tego kroju, tak obeznanych ze sprawami publicznymi, tak zacnie miłujących rzecz publiczną, mało już. Jestto też jednym świadectwem więcej umysłowego ubóstwa tutejszego, że dopiero teraz kiedy już blisko lat siedemdziesiąt liczy, przypominano sobie, iż mąż taki winien zasiadać w Sejmie. Wybrany na przeszłą sessyę z krakowskiego Paweł Popiel, zajął w Sejmie poważne i poważane stanowisko, odznaczył się trafnością zdania, pracą i miarą w przemawianiu, szczególnie pięknym wnioskiem o internatach seminaryów nauczycielskich. Już w Sejmie popierał wniosek Dunajewskiego i naprawę stosunków wiejskich, obecnie on jeden postawił w tym kierunku zdrowy, wybitny program wyborczy, od przeprowadzenia którego zależy przyszłość tego kraju koronnego.

Ze sprawą wyborów do Sejmu, ściśle się łączy powołanie nowego marszałka krajowego. Zarówno życzenie rządu, jak zdanie przeważnej w kraju większości, wyznaczają na to ważne stanowisko hr. Ludwika Wodzickiego, jednego z najcelniejszych ludzi młodszego pokolenia. Mówiłem o nim w jednym z poprzednich listów; zajmie on niewątpliwie wybitne stanowisko; objęcie laski marszałkowskiej przez młodego, zdolnego hrabiego, tem więcej byłoby pożądanem, iż niezawodnie przyjąłby ją jedynie w myśli sprężystego i śmiałego przeprowadzenia naprawy stosunków wiejskich. Jako

przewodniczący w Wydziale krajowym, hr. Ludwik Wodzicki umiałby początkować, umiałby godzić sprzeczności, żadnemu stronnictwu nie byłby zbyt nieprzyjemnym. Podniósłby poziom spraw publicznych, okazując przykładem, że nie należy w nich upatrywać jedynie osobistych widoków. Od chwili złożenia godności marszałkowskiej, w ręce Najjaśniejszego Pana, przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, który zbyt jest poważnym mężem, aby wolno go było posadzać w tym względzie o ryszardowską komedię, nikt tu nie przypuszcza, aby wybór korony paść mógł na kogo innego, jak na hr. Ludwika Wodzickiego. O ile wiem, za tym wyborem przemawia jak najsilniej u Tronu namiestnik hr. Potocki. Jeżeli przyszła kadencya sejmowa ma być płodną, musi jej przewodniczyć człowiek przejęty przekonaniem o konieczności naprawy, dość dzielny, aby jej dać silny popęd, dość roztropny i bezstronny, aby przeprowadzając ją, nie narażać kraju.

X.

Kraków, 26 września 1876 r.

Przygotowania do wyborów i choroba namiestnika, choroba namiestnika i przygotowania do wyborów, przepłatane mylnemi, ale uporczywemi wieściami o przyjeździe Naj. Pana na ćwiczenia do Gródka, oto czem żyła Galicya od ostatniego listu mojego. Jeżeli wbrew twierdzeniu, iż przysłowia zawierają w sobie mądrość narodów, nigdy u nas nie sprawdziło się: że niema tego złego, któreby na dobre nie wyszło; to inaczej rzecz się ma ze słabością namiestnika. Pisałem w chwili powołania hr. Potockiego, że zadowolenie i uradowanie z jego powodu były za żywe, zbyt powszechne i jednogodne, aby mogły trwać długo; po niespełna roku można było się przekonać, że miałem słusność. Zaczęły się utyski-

wania: to, że ustaje sprężystość w zarządzie, zaprowadzona przez hr. Gołuchowskiego; to, że namiestnik nie zasłania dostatecznie kraju przed germanizacyjnymi zachciankami ministra oświecenia Stremayera; to, że nie wspiera młodzieży krajowej, oddającej się służbie rządowej; to, że nie żyje wystawnie we Lwowie tak jak się tego spodziewano; zarzuty te, mniej lub więcej uzasadnione, były nieuniknionem następstwem różnicy, która istnieje zawsze między utworami wyobraźni a rzeczywistością. Kraj spodziewał się i obiecywał sobie zawiele po namiestnictwie hr. Potockiego, aby rzeczywistość mogła odpowiedzieć tym nadziejom. Być może, że hr. Potocki nie poszedł tą drogą, o której wspominałem w pierwszym moim liście, mówiącym o jego namiestnictwie; być może, że nie zajął tego wysokiego w kraju stanowiska, z którego jedynie mógłby wpłynąć stanowczo na jego przyszłość; ale znów zarzuty, wspierane drukowaną i słowną humorystyką, zaczęły iść zadaleko, i to w tym znanym tu kierunku, który unicestwia w końcu najkorzystniejsze dla kraju osobiste stanowiska, zamiast je należycie zużytkować. Choroba namiestnika i niebezpieczeństwo grożące jego życiu przez tydzień, spowodowały zwrot. Zrozumiano odrazu, jak trudno byłoby z korzyścią dla kraju i monarchii, znaleźć obecnie następcę hr. Potockiego; zrozumiano jak wielkiej dla Galicyi wagi jest stanowisko hr. Potockiego w Wiedniu, jak niezbędnem jest jego pośrednictwo wobec Korony i stronnictw politycznych w Austrii; odczuto jednym słowem, że strata namiestnika byłaby o tyle dotkliwszą w tej chwili, że nikt inny nie łączy w sobie tyle dodatnich dla kraju stron, które wyłącznie przywiązane są do jego osoby i jego wyjątkowego w świecie stanowiska. Dało to powód do wcale niedwuznacznych objawów współczucia, które jeszcze ściślej zespoliły kraj ze swoim naczelnikiem, które niewątpliwie staną się bodźcem dla namiestnika, w każdym razie zniewolą go do pozostania

na miejscu, z którego radby zawsze, jak z każdego urzędu, jaknajspieszniej się uwolnić. Z powodu tej gorącej chęci pozostania w granicach życia domowego, opowiadają o hrabim Alfredzie Potockim, że gdy był jeszcze bardzo młodym, pewnego dnia znalazł się w Białocerkwi, w towarzystwie kilku przyjaciół i krewnych: Adama Potockiego, panów Branickich i innych; wśród wesołej rozmowy, każdy z młodych ludzi objawił czem życzyłby sobie być w przyszłości. Oczywiście, młodzież dała się porwać bujnej wyobraźni; jeden Alfred Potocki oświadczył: „że chciałby być prostym panem“. Jak tamtych dalej sięgające, tak i jego życzenia zawiedzionemi zostały i wbrew usposobieniu musiał przez całe życie być właśnie wszystkim innym, tylko nie „prostym panem“. W życie publiczne wciągnął go głównie brat stryjeczny Adam Potocki.

Ruch wyborczy, dla którego tak nie w porę przypadła choroba naczelnika kraju, ruszać się zaczyna; komitety centralne dały mu pierwszy popęd. Walka z czynnikami przeciwnymi dobru kraju, pójdzie, jak się zdaje, dawnym trybem. Co się tyczy różnicy zdań czyli programów, mających na uwadze duchowe i gospodarcze korzyści kraju, to zawsze i jedynie stoi na porządku dziennym jedno tylko rozsądne i dodatnie hasło — „reforma stosunków wiejskich!“ Hasło to obejmuje przeprowadzenie przez Sejm znacznej części wniosku Dunajewskiego, który zmierza do uproszczenia tak rządowych, jak i samorządowych zarządzeń; dalej do utworzenia gminy zbiorowej; nadania popędu sprawie wychowania, szczególniejszej szkół ludowych; zmniejszenia ciężarów, któremi obarczeni są wszyscy, przed innemi lud wiejski, co go zniechęca do samorządu. Wobec tego rzeczywistego programu, popieranego przez dodatnie dziennikarstwo, wyskoczył, trochę jak z tabakierki, inny tak nazwany samborski, lecz ten figielek nie miał wobec szerszej publiczności powodzenia. Twórcy jego znaleźli się w położeniu woźnicy, co

po jumacku trzasnąwszy z bicza, złamał na miejscu dyszel i nie mógł dalej ruszyć. W samej rzeczy, program samborski mieści w sobie płochosć i szkodliwy pomysł; płochoscią jest żądać od Sejmu, aby odwołał uchwałę 2 marca 1867 r., bo uchwałą tą Sejm wówczas obesłał Radę Państwa, a obecnie od chwili zaprowadzenia bezpośrednich wyborów, obesłanie to, nie od niego zależy; szkodliwym zaś pomysłem nazwać należy strącenie na drugi odrys napraw wewnętrznych, które są naglące a możliwe, dla urojonych zdobyczy na rządzie państwowym. Jestto zawsze ta polityka, która, jak w bajce La Fontaine'a, porzuca kawał mięsa dla cienia. Program powyższy błahy i nie na czasie, dziecinny i płytki, policzonym być może bezsprzecznie do rzędu czczych gadanin, tem więcej, że poparł go z zapalem młodzieńczym, jedynie, niedawno powstały lwowski dziennik *Kronika*, a tylko na pół przychylnie wyraziła się o nim *Gazeta Narodowa*, nie chcąc zwykle narażać sobie ludzi stawiających jaskrawe pomysły, lecz zawsze gotowa w każdej chwili uskuteczyć odwrót, dla zabezpieczenia własnego stanowiska. Możliwość więc przejść do porządku dziennego nad tym tworem, gdyby pod jego płaszczkiem nie ukrywało się coś zupełnie innego, bo niechęć i opór przeciw naprawie stosunków wiejskich. Program samborski, to najdogodniejszy sposób utrzymania w całości oddawna wyrobionego i przez wielu popieranego zdania, aby nic nie robić, lub też tak robić, aby nic nie zrobić. Dwa prądy — napozór przeciwne sobie — zawsze stawiać będą przeszkody naprawie stosunków wiejskich, a ich przedstawiciele używać będą podobnej do owego samborskiego pomysłu broni, dla jej unieczystwienia. Pierwsi, których nazwę rozczochranymi, zadawałając się czczemi słowami, mniemają, że przeczenie i wichrzeństwo są najwyższą mądrością, a ludzą się, wierząc, że krzyki i bezmyślny ruch jest życiem. Drugi, wyrachowańsi i samolubniejsi, chcieliby za pomocą

blichtru walki politycznej z Wiedniem, oddalić reformę, bo ona im nie dogadza, nie odpowiada ich drobniutkim korzyściom, ich samolubstwu i ciasnemu pojęciu o położeniu kraju. Dwa te prądy połączą się zawsze w pustym haśle, aby udaremnić wszelkie dodatnie działania a razem wzięte, przedstawiają odwieczny bezrząd pojęć i czynów; one to wywarły tak zgubny wpływ na przebieg spraw publicznych w tym kraju, a nie znalazły dotąd dostatecznej przewagi w usiłowaniach dodatnich i rozumnie pragnących zle naprawić.

Aby dokładnie zrozumieć, dlaczego tą drogą poszły sprawy publiczne, aby pojąć nareszcie wiele rzeczy, które, z daleka szczególnie, wydawać się muszą arcyniezrozumiałemi, trzeba poznać wpływ wywierany na tutejsze społeczeństwo przez miejscowe dziennikarstwo, tem samem zapoznać się z tym ważnym, nawet przeważnym czynnikiem. W poprzednim liście zwróciłem waszą uwagę na jedną stronę dziennikarstwa, obecnie zamierzam w tym i następnych przedstawić główne znamiona tutejszej publicystyki. Wiadomość ta konieczną jest do rozpoznania tutejszych, nieco chaotycznych stosunków, tak jak igła magnesowa niezbędną jest na morzu. Prawie zupełna i nieograniczona wolność druku, w Austrii, podnosi znaczenie tego badania, i nadaje mu ważną, bo poniekąd obyczajową cechę.

Ludzie mało tu czytają, ale wierzą w drukowane, wierzą bez wiary, to jest, że do tego stopnia dziennikarstwo obalamowało ich i okłamywało, iż stracili już zmysł służący do odróżnienia fałszu od prawdy; ostatecznie więc nie wierzą dziennikom, przecież wszystko co wydrukowane znajduje u nich wzięcie, to jest, wsiąka w nich bez różnicy, czy dobre czy zle, czy głupie czy rozumne, czy bezecne czy uczciwe, i uczy ich samych, kłamstwa: kłamstwa uczuć, kłamstwa wyobrażeń, kłamstwa jednych o drugich. Takie niestety, a nie inne, jest działanie przeważnego piśmiennictwa galicyjskiego, to

jest tego, które najwięcej jest czytaniem. Zapoznając was więc z tutejszem dziennikarstwem, zacznę od jego najważniejszej, bo najwięcej wpływowej części, którą z góry pozwolę sobie nazwać ujemną.

Na czele tego zastępu stoi niezaprzeczenie we Lwowie *Gazeta Narodowa* i jej właściciel i kierownik Jan Dobrzański. Jan Dobrzański — a i to niemałe rzuca światło na tutejsze stosunki — był bezsprzecznie jedną z najważniejszych i przeważnych w Galicyi potęg. Wpływ jego, obecnie nieco osłabiony, był niemałym, działalność była i jest zawsze niesłychaną; najruchliwszy, najczynniejszy, najzapobiegliwszy to człowiek w tym kraju, przecież jest bez stanowiska; dość powiedzieć, że on, który nie jednego zrobił posła lub dygnitarza, sam nigdy nie mógł zasiąść w Sejmie, aczkolwiek pragnął tego gorąco. Dziwne to zaprawdę zjawisko, żeby człowiek mało ceniony, wywierał tak przeważny wpływ. Dobrzański jest też, nie powiem niepospolitą, ale niezawodnie niezwykłą osobistością; twarz jego znacząca, bystre czarne oczy nie patrzą ci się wprost; ruchy rubaszne, postawa wyrażająca siłę woli; obdarzony jest niezwykłym, rzec można, nadzwyczajnym sprytem, któremu dorównywa brak gruntownego wykształcenia i wszelkiej prawdziwej nauki; umie tak biegle zastępować wiedzę sprytem, że nikt już rozróżnić nie może, co w nim jest jedną lub drugim, i gdzie jedna niby się kończy a zaczyna się drugi.

Jest to może jedyny tutaj człowiek, który na dziennikarstwie wyrósł. Nie da się zaprzeczyć, że Dobrzański zna, nawet poniekąd przywiązanym jest do kraju i społeczeństwa, lecz umiał on zawsze nie tylko godzić z własnymi korzyściami ale nawet znaleźć własny zysk w publicznej sprawie; zrzeczność pod tym względem posuwał tak dalece, że i tu znowu, trudno dla ogółu odróżnić, gdzie się kończy sprawa kraju a zaczyna się Dobrzańskiego i odwrotnie. Bystry jego i wprawny rozum, wy-

kształcony w szkole największego warcholstwa, skłania się zawsze do wichrzenia, lecz w razie koniecznej potrzeby, z niesłychaną giętkością, umie być dodatnim i twórczym. On to jest ojcem tak nazwanych słynnych borb galicyjskich; obdarzony zdolnością pomięszania w najdziwaczniejszy sposób wyobrażeń i zagmatwania najprostszych spraw co dało powód do nazwania go Borbifaxem — umie przecież siłą woli, wytrwałością i sprężystością, przeprowadzić najtrudniejsze przedsięwzięcia i doprowadzić je do pomyślnego skutku. Dziwnie wszechstronnie usposobiony, jest dobrze w naszym społeczeństwie znanym pierwowzorem człowieka zdolnego do wszystkiego; z równą łatwością prowadzi dziennik i teatr, wichrzenie polityczne i sprawy pieniężne, potępienie i oczyszczenie jednych i tych samych osób; z równą biegłością włada bronią niesłusznej napaści i chwalby, przewodniczy zgromadzeniom ludowym lub towarzystwu gimnastycznemu; gdyby mu wypadło trąbić z wieży Maryackiej, potrafiłby doskonale, rzekł ktoś o nim. Dziwnym zbiegiem okoliczności Dobrzański był nauczycielem jednego z najwybitniejszych, zarazem najruchliwszych tutejszych oligarchów, księcia Adama Sapiehy. W odmiennych warunkach na odmiennych zupełnie stanowiskach, dzisiaj są to w Galicyi dwa pierwowzory, jeden w świecie demokratycznym, drugi w możnowładczym. Dobrzański zwykle namiętny, umie w potrzebie być układnym, gniewa się jak Jowisz, lecz posiada także dar przebaczenia; srogi w zwadzie, gotów do najserdeczniejszej zgody gdy mu ją wyższe nakazują względy. Był okres i były sprawy, w których Jan Dobrzański rzeczywiście oddał usługi.

W czasach odretwienia, w których biurokracya i germanizacya, przygłuszaly najzupełniej narodowe żywioły w Galicyi, w czasach w których szlachta dla sprawy publicznej zobojętniała, a dwory obywatelskie przedstawiały istny obraz domu państwa Jowialskich; w czasach, gdy

Lwów jedną tylko żył żądzą naśladowania Wiednia, wtedy niezaprzeczenie Dobrzański swoją ruchliwością, sprężystością, podwojoną czynnością, przyczynił się do obudzenia swojskiego życia, do starcia z Galicyi znamion niemieczyzny, ze Lwowa pokostu wiedeńskiego. Pod temi względami Lwów szczególnie, wiele mu zawdzięcza; ale on też jest w znacznej części twórcą dzisiejszej Galicyi i dzisiejszego Lwowa, wyrwał je z paszczy jednego potworu, ale rzucił w objęcia innego, wprawdzie swojskiego przecież niebezpiecznego, bo w objęcia bezprzekładnego warcholstwa i bezładu pojęć i obowiązków. Wszystko co obecnie napotykamy w Galicyi: ohydne, szkalujące, nie szanujące nikogo i nie szanujące siebie dziennikarstwo; tak nazwana, przez Lama: tromtadracya czyli galicyjska demagogia; zmienność zdania; brak zasad; osobiste widoki w sprawie publicznej; całe pokolenie dziennikarzy z pod ciemnej gwiazdy; karczemna walka na pióra: wszystko to Galicya zawdzięcza Dobrzańskiemu, on jest tego wszystkiego twórcą. Sam od najdawniejszych czasów, czynny piórem, aczkolwiek pisać poprawnie nie umie, należał do różnych pism i wydawnictw, od przeszło dwudziestu lat ma swój własny dziennik, który zmieniając kilkakrotnie nazwę, przyjął ostatecznie głośnie miano *Gazety Narodowej* nazwanej *Narodówką*. Dziś Dobrzański to *Narodówka*, *Narodówka* to Dobrzański. Dokończę więc konterfektu człowieka, odrysowaniem głównych znamion pisma.

Gazeta Narodowa jest jedynym dziennikiem tutejszym, który przynosi korzyści i zyski, ma ona ze cztery tysiące prenumeratorów, co jest istnem zjawiskiem, tutaj; gdzie liczba trzymających dziennik nie przechodzi zwykle dwóch tysięcy; ma ona dochody z ogłoszeń, które właściciel umiał zdobyć na wszystkichi znaczniejszych tutejszych zakładach pieniężnych. Pisana jest najczęściej niżej mierności, językiem nie polskim, galicyjskim, nieraz pospolita i rubaszna, bez literackiej wartości, umie jak

żaden wyżeł angielski, wietrzyć i uchwycić skąd wiatr wieje; umie zawsze uderzyć w słabą stronę obywatelstwa wiejskiego, nie narażając swego wzięcia w kołach miejskich; będąc pismem demokratycznym, schlebia wszystkim złym skłonnościom szlacheckim, i tu znowu tak jest zreęczną, że nigdy rozróżnić nie można, czy ona kieruje zdaniem publicznem, czy też daje się niem powodować; zmienia zapatrywanie o rzeczach i ludziach z kuglarską biegłością, z wielką swobodą pisze dziś czarno, jutro biało, wynosi dziś pod niebiosa, jutro mięsza z błotem; o jednych i tych samych osobach, o mężach stanu, o literatach, o artystach, nie raz ale sto razy, pisała najpierw jako o wielkich znakomitościach, w tydzień potem, jako o największych miernościach — stosownie do chwilowej potrzeby; pod tym względem *Gazeta Narodowa* jest najzupełniej bezwstydną. Nikt dotąd nie mógł jej dowieść aby była sprzedajną, i nie jest nią, na sposób wiedeńskich dzienników; nie, ona wprost za pieniądze nic nie robi, nie napisze, pochwały nie umieści, ale sprzedaje się, że tak powiem, cała i odrazu *en gros*, to jest poświęca prawdę, rozsądek, godność, dla ogólnego zysku dziennika, dla prenumeraty i wzięcia, czasem nawet dla ważniejszej osobistej korzyści właściciela. Wiadomości podaje bez wyboru, częściej fałszywe niż prawdziwe, bo — rzecz godna uwagi — fałszywe najlepiej tutejszej publiczności smakuja; nie zadaje sobie nawet pracy odwoływania ich; ciska potwarze z niesłychaną śmiałością, i parę razy stała się przyczyną nieszczęść; aby usunąć lub obalić to co stoi na jej drodze, lub zdaje się jej, że stoi, gotowa się chwycić najostateczniejszych środków i wtedy nie przebiera w nich, osobiste napaści, niesumienne walka, groza, oto jej ulubiona broń; zasad żadnych, przekonañ również; znajdziesz w niej tylko zdanie i to często zmieniające się w przeciągu doby. *Gazeta Narodowa* broni wytrwale spraw kraju i niezawodnie gdy przyjdzie je poświęcić, zawaha się; ale ni-

gdy nie zawaha się rzucić spraw krajowych na pastwę złych namiętności, złej wiary i kłamstwa.

Pomieszanie w niej pojęć wielkie, nigdy nie była i nie jest bezbożną, ale ma swoją dziwną i dziwaczną religię, swój katolicyzm, który obchodzi się bez dogmatów i Papieża. Piętno wyciska na niej Jan Dobrzański, aczkolwiek teraz mało pisuje; współpracowników ma kilku, między nimi i zdolnych i pracowitych, jak Platona Kosteckiego.

Gazeta Narodowa posługuje się przecież zwykle, tak jak całe dziennikarstwo galicyjskie, młodymi ludźmi, którzy szkół nie skończyli, zarozumiałymi o tyle, o ile byli nieukami. Z równą oni swobodą wydają wyroki o mężach stanu i o aktorach, o wielkich i małych sprawach tego świata, bez polotu, nawet bez zapалу młodzieńczego, lecz z pychą nieuctwa; dla dopełnienia śmieszności, przybierają pseudonimy najznakomitszych w świecie publicystów. Plagiaty i tłómaczone żywcem rzeczy podane za swoje, sypią się z pod piór tych niepowołanych kierowników opinii publicznej. Są to jednak przemijające i zmieniające się plagi; główną sprężyną *Gazety Narodowej* jest jej właściciel, to też tak jak w jego niepoprawnym ale wyrazistym stylu, tak i w dzienniku jest pewna grubiańska siła, jest śmiałość, która zdumiewa i narzuca się obcesowo. *Gazeta Narodowa* jest czemś pośredniem między dziennikiem a pałką. Cóż na to powiecie, że taki dziennik jest bądź co bądź tutaj potęgą? Nie wielu, ale wszyscy boją się go, i oto tajemnica tej potęgi. Nie tyle z przywiązania, potrzeby lub przekonania, jak raczej ze strachu, czytają go. Nikt nie chce być zaczepionym przez *Gazetę Narodową*, każdy unika narazić się jej, nikt nie ma chęci dostania pałką po głowie, nawet najwytrawniejsi i najzręczniejsi publicyści wymijają walkę z nią, nikt jej nie szanuje, boją się wszyscy: jest to istny postrach, którego *Gazeta* bardzo zręcznie, nie nadużywa, lecz którym posługiwać się

umie wybornie. Postrach tłómaczy całkowicie powodzenie *Gazety Narodowej* w społeczeństwie słabem i rozbitem, które dotąd nie zdobyło się na zrzucenie z siebie tego upokarzającego jarzma. Postrach i samokupstwo, oto dwie bronie *Gazety*. Samokupstwo utrzymywała ona przez długie lata i stała na jego straży zajadle, upornie, umiała w krótkim czasie zwalić z nóg każdy nowo powstały dziennik, każdy z nich we Lwowie miał przy niej tylko wrzekome istnienie, aż nareszcie ustalił się nieco silniej obecny jej współzawodnik *Dziennik Polski*.

W skutku tego osłabił nieco wpływ *Gazety*, ustalo jej samokupstwo, musi się rachować z *Dziennikiem*. Nareszcie, wielka miłość ojcowska, która jest znamienym rysem dziwnej osobistości Jana Dobrzańskiego, popełnęła go na niebezpieczne teatralne tory; dziś teatr ze szkodą *Gazety* pochłania Jana Dobrzańskiego, a przyznać trzeba, że jest on wcale dobrym przedsiębiorcą; we Lwowie jedynym możliwym Dyrektorem teatru, już dlatego, że jest jedynym, który nie ma przeciw sobie *Gazety Narodowej*.

Nie może nie określa lepiej stanowiska Dobrzańskiego w tutejszem społeczeństwie, jak dwie nazwy, które mu ono dało: *Jana IV* i *Jancio*. Ostatecznie przeważył *Jancio*, lecz ten *Jancio* jeszcze często jest istnym tutejszym *Janem IV*.

Rozszerzyłem się może zbyt znacznie nad *Gazetą Narodową*, ale podając jej wizerunek, odmalowałem zarazem obraz całego owego ujemnego dziennikarstwa galicyjskiego, o którym dochodzą was różne nieraz wieści. Dobrzański stworzył pierwowzór, podług niego, każdy tego rodzaju dziennik galicyjski, będzie odlanym.

Pod opiekuńczemi skrzydłami *Gazety* wychodzi we Lwowie pismo *Ruch literacki*, zbiór mierności, w którym popisują się młode genjusze i studenckie zachcianki. Jest to pomocniczy oddział.

Obok *Gazety Narodowej* wychodzi we Lwowie jej współzawodnik *Dziennik Polski*. Jedynym rzeczywistym powodem bytu tego pisma, w chwili jego założenia, było położenie końca samokupstwu *Gazety*, a przecież *Dziennik* poszedł w ślad za nią i ulanym został na jej podobieństwo, aczkolwiek stawał w obronie odmiennych kierunków politycznych, już dlatego samego, żeby się *Gazecie* sprzeciwiać. *Dziennik Polski* zatem, pod względem — że się tak wyrażę — ducha, nie różni się od *Gazety Narodowej*, przeciwnie, jest krokiem naprzód, na drodze bezsumiennego i paszkwilowego dziennikarstwa galicyjskiego. Założony pierwotnie jako dziennik Ziemiańkowskiego i jego stronnictwa, zwanego z powodu wielkiej dla naczelnika uległości, stronnictwem Mameluków, nie przestał sprzyjać Ziemiańkowskiemu, gdy ten na wyższe wy dostał się stanowisko, lecz tak dalece go kilkakrotnie naraził, że pan minister rad nierad musiał się go wyprzeć, jednak nigdy zupełnie, stanowczo. Główną siłą tego dziennika, jest Jan Lam, który w chwili jego założenia opuścił *Gazetę Narodową* i Dobrzańskiego; pisałem o nim obszernie, powtarzać się zatem nie będę; nie była to przecież ani polityczna ani społeczna siła, ale rzecz można, że urokiem i powabem swojego dowcipu, Lam stworzył i utrzymał przy życiu to pismo, a nadał mu chwilowy powód bytu, ciągłą, nieustającą, bezprzykładną wojną z Dobrzańskim, i walką przeciw wszystkiemu i wszystkim, których Dobrzański wspierał. Jako odpowiedzialny kierownik tego dziennika wystąpił, i po raz pierwszy dał słyszeć o sobie Rogosz, około którego wiele narobiono niesmacznego hałasu. Po głośnym procesie między Rogoszem i Dobrzańskim, pierwszy opuścił *Dziennik*, przynajmniej pozornie; niedawno zaś wstąpił do niego, człowiek bardzo pracowity bezsprzecznie zdolny, szczególnie mowca porywający Romanowicz, lecz trybun nieco teatralny, usposobienia skrajnego, bez ciągłości i stateczności politycznej, pra-

wdziwie jednak patryotyczny i narodowy, chociaż przez sekcjarstwo nie cofnąłby się przed środkami dla narodowości szkodliwymi. *Dziennik Polski* jak powiedziałem, w głównych rysach, zupełnie jest podobny do *Gazety Narodowej*, tylko że jeszcze dalej idzie w zaczepkach osobistych, w nieszanowaniu domowych stosunków, w oszczerstwach i potwarzach, w kalaniu wszystkich i wszystkiego. *Gazeta* czyni to zawsze z myślą i w bezpośrednim celu, *Dziennik* oddaje się temu platonicznie, *l'art pour l'art*, w tem jak się zdaje przekonaniu, że zgorzenie jest najlepszem zaleceniem, najlepszym środkiem zdobycia zwolenników. *Dziennik* jest nierównie mniej swojskim niż *Gazeta*, jest to pismo kosmopolityczne, czego *Gazecie* największy jej nieprzyjaciel nie zarzuci. *Dziennik*, to naśladownictwo wiedeńskich gazet. Bez względu na tradycję, przekonania, przedewszystkiem dobro kraju, hołduje wolnomyślności wiedeńskiej, staje się apostołem bezwyznaniowości, rzuca się na wszystko co dodatnie w społeczeństwie z widoczną rozkoszą. W sprawach politycznych wytrawniejszym jest od *Gazety*; co się tyczy stosunku kraju do monarchii, widzi rzeczy jaśniej i na tem polu nie szuka popularności, często trafnie ocenia położenie, słowem, mniej w nim miejscowego warcholstwa, więcej skrzywionych i spaczonych wyobrażeń zaczerpniętych z obczyzny. Z wyjątkiem *Lama* i tego co on pisze — a *Lam* nieraz z dołu, przechodzi na pierwsze piętro. — *Dziennik* pisanym jest przeważnie bez talentu, także językiem galicyjskim, bez dobrego smaku, zdradza często grubą niewiadomość, czego dowodem jego belletrystyczne i teatralne rozprawy. Zatruiwa społeczeństwo obcemi nam i z obczyzny wziętymi niezdrowemi naukami, a równie jak *Gazeta* zatruiwa złą wiarą, kłamstwem, lekceważeniem i poniewieraniem godności pióra i słowa, bezczelną bezwzględnością w podnoszeniu spraw osobistych. Mniej czytany od chwili jak dowcip *Lama* nieco stępiął, nie doszedł

nigdy do liczby prenumeratorów *Gazety*, o ile wiem, wspierany jest z kieszeni zmieniających się opiekunów. Pod jego wyraźną i bezpośrednią opieką, wychodzi pismo tygodniowe *Tydzień*, w którym Rogosz dalej prowadzi swój zawód, tak smutnie przerwany; pisuje w nim także Lam, lecz tam nie poznałbyś jego pióra; wogóle pismo to jest zbiorem komunalów i różnego rodzaju napaści wydawanych pod godłem Rogosza, jako środek naprawienia jego dobrej sławy! I cóż powiecie, że pismo to ma więcej czytelników, niż równie mierny, lecz pod mniej zszarzaną flagą wychodzący *Ruch*. Widocznie zapach zgorszenia nie prędko wietrzeje, a miłym jest tutejszej publiczności.

Aby zakończyć o tym przykrym przedmiocie, wspomnieć jeszcze wypada o świeżo założonej we Lwowie przez kierownika *Szczutka — Kronice*. Mówiłem i o *Kronice* i o *Szczutku* w poprzednim liście. *Kronika* niema obecnie rzeczywistego powodu bytu, bo miećby go mogła jedynie zrywając stanowczo i otwarcie z powyższym rodzajem dziennikarstwa; niema ona przyszłości, bo aczkolwiek znajduje się w dobrych rękach, nie umiała utrować sobie odmiennej drogi; do tej chwili pisana głównie nożyczkami, nie dała dowodu wielkiego zmysłu politycznego, popierając na pierwszy występ, program samborski.

W kraju znanym ze wstrętu do czytania, powyższe dzienniki mają przecież czytelników i mają ich więcej niż inne, więcej niż poważne książki lub utwory odznaczające się wykończeniem: to jedno usprawiedliwia owe dzienniki, nie wobec własnego ich sumienia, ale wobec własnego zysku. Dziennikarstwo to, jest rzeczywiście tylko wyrachowaniem na korzyść, chociaż nie jest ona znaczną; namaszczenia, wyższego pojęcia o powołaniu daremniebyś tam szukał. Cóż niestety powiedzieć o społeczeństwie, w którym podobne przedsiębiorstwo udaje się i kwitnie, które je bezmyślnie, otrętwiało, os-

pale wprawdzie, ale nie mniej dlatego grzesznie popiera? i tu niewiedzieć znowu kto winniejszy: czy to dziennikarstwo, czy społeczeństwo, które je znosi? Dziennikarstwo to nie przedstawia nic; ani stronnictw, ani przekonań, ani zasad, ani nawet ludzi, chyba, że różnocześnie weźmie którego z ważniejszych w opiekę, jak to uczynił *Dziennik Polski* z Ziemiałkowskim. A przecież ten sposób pisania, ten rodzaj dziennikarstwa wsiąka w społeczeństwo tutejsze, działa na nie rozkładowo, i jemu przypisać należy wiele smutnych, czasem gorszących objawów, które dla was zgoła są niezrozumiałemi. Najwyższym wyrazem tego dziennikarstwa był głośny i gorszącej pamięci proces między Dobrzańskim i Rogoszem, którego przykry odgłos doszedł w swoim czasie i do was. Bezprzykładnie, do ostatnich granic nieprzyzwoitości, doprowadzoną została wtedy walka osobista, a że nie starczyły dla niej szpalty dzienników, codziennie wychodziły dodatki zawierające wzajemne najohydniejsze napaści; szczytem tego zgorzenia było po takich oskarżeniach, pogodzenie się wobec sądu obydwóch przeciwników. Zgorzenie to, uwłaczające powadze ogółu, powadze dziennikarstwa i ducha publicznego, dało powód hr. Tarnowskiemu do napisania znakomitej i pięknej rozprawy „Królowa Opinia“. Zdawać się mogło, że zada ona cios stanowczy owemu dziennikarstwu; gdzietam, nie straciło ani jednego czytelnika, ani straciło na wzięciu. Przyznać jednak należy, że od owej chwili nieco pomiarkowało się, szczególnie w wzajemnej ze sobą walce.

Pojmiecie łatwo, do jakiego stopnia podobny stan rzeczy zgubnie oddziaływa na ducha publicznego i na sprawy publiczne; pojmiecie jeszcze łatwiej, do jakiego stopnia szkodliwym jest w tak ważnej chwili, jak wyborów, potem nie dziwicie się wielu rzeczom, o których was stąd wieść dochodzi.

W przyszłych listach, przedstawiając wam obraz reszty tutejszego dziennikarstwa, starać się będę zbadać: o ile ujemne znajduje zrównoważenie w dodatniem.

XI.

Kraków, 15 października.

Rodzima komedia, uwieńczona na warszawskim konkursie, odegrana na otwarcie zimowego okresu w teatrze krakowskim, komedia napisana po polsku, osnuta na życiu i obyczajach angielskich: oto przyznacie, dostateczne powody, aby poświęcić list ten, rozbiorowi tego niezwykłego zdarzenia na niwie literatury naszej. A jednak i te liczne powody nie skłoniłyby mnie do wypełnienia szpał waszego dziennika uwagami nad dopiero co odegraną tutaj komedią, gdyby nie jakiś dziwny jej urok, który mnie przynajmniej, przyciąga i zmusza poniekąd do wyrażenia na zewnątrz myśli obudzonych tym misternym utworom, urok, który niezawodnie był także głównym powodem, że pomimo wielu przyczyn przemawiających przeciw uwieńczeniu, sędziowie warszawscy wynagrodzili go przecież.

Czy to rodzima komedia, czy naśladowana? Naśladownictwem komedia ta być nie może; takie rzeczy albo się pisze samemu, albo tłumaczy się je żywcem. Oskarżać zaś kogoś o taki fortel, o podobny fałsz, o taką kradzież z wyłamaniem, o taką płaską krotofilę, z powodu komedyi tej wartości — nie wolno! Nie wolno, nie mając w ręku dowodów, jak nie wolno oskarżać o nieuczciwą grę w karty, nie mogąc tego dowieść.

Czy „Pojedynek Szlachetnych“ nie jest osnuty na powieści angielskiej? Tego nie wiem, ale nie przemawiałoby to ani przeciwko utworowi, ani przeciwko autorowi, ani przeciwko konkursowi. Shakespear wszyst-

kie niemal swoje komedye osnuł na powiastkach włoskich, Molière i Beaumarchais na hiszpańskich, Fredro na polskich, angielskich i francuskich. Byle rzecz była pełną życia i prawdy, byle ruszała się i postępowała naprzód na deskach, byle osoby były z krwi i kości, byle wrażenia były jędrne i zdrowe, wszystko niesprzeczne z odwieczną psychologią, słowem byle to była dobra komedya, mniejsza o to, czy bajka powstała w głowie pisarza podczas snu czy na jawie, lub też wzięta została z zapomnianej, w jakimś miesięcznym *Przeglądzie* powiastki. Powiastka mogła być dobrą i mogła spełnić swoje jednomiesięczne zadanie; talent dramaturga stawiając ją na scenie, przykuwając ją do niej, nadal jej i wlał w nią dzielniejsze nierównie życie, tem samem spełnił swoje zadanie.

Komedye w czterech aktach Maciejowskiego-Se-wera „Pojedynek Szlachetnych“, otacza jakieś niezwykle powietrze, zdrowe, orzeźwiające; nietylko niezwykle, że wyłącznie i na wskrós angielskie, ale dlatego także, że przezroczyością i czystością swoją odmiennem jest zupełnie od tego, które wytwarzają wokół nas te- atra i literatura dramatyczna. Powiedziećby można, że „Pojedynek Szlachetnych“ pod względem ducha i treści, jest odwrotnym objawem obecnego teatru; co dziwne, zarazem przyjemne, oto że podniosłość tej komedyi, wprost przeciwna dzisiejszej poziomości, ma przecie w sobie angielską czerstwość i to ziarnko zdrowego rozumu, którym się naród angielski odznacza. Znajomość dokładna stosunków, obyczajów, zwyczajów angielskich w najdrobniejszych odcieniach, jest tu zdumiewającą, powiem nawet odurzającą. Najwyższą, najpierwszą zaletą tego utworu jest, że pozostaje od początku do końca wier- nym, subtelnej nazwie swojej. — Ciągłe i wszędzie u wyższych i u niższych, szlachetność jest tu główną sprężyną działania: istny to pojedynek między najwy- tworniejszemi uczuciami ludzi ze sercem, rozumem i su-

mieniem, a widz obawia się wciąż, czy ta obustronna szlachetność, odniesie zwycięstwo w takich czasach jak nasze. Oto prawdziwe zajęcie, które budzi utwór, oto co przywiązuje do niego, jeszcze więcej może jak wytworne postacie, które się w nim ukazują. Aby ta szlachetność z pozorami prawdopodobieństwa zwyciężyła, trzeba było przenieść działanie za morze, do tej starej Anglii, w której siła tradycyi — i tam już gasnącej — dozwala jeszcze w niejednym zakątku pielęgnować szlachetność uczuć, nadaje hart i męskość, tak wewnętrznemu jak zewnętrznemu działaniu społeczeństwa, które unikając starannie zbyt gdzieindziej spopolitowanego pojedynku, zachowało przecież obyczaj wspaniałych zapasów duchowych, podnoszących jego zaćność i godność.

Przypatrzmy się więc, jako szlachetnemi obdarzeni upodobaniami widzowie, tej prawdziwie rycerskiej, w dzisiejszych czasach wyjątkowej walce.

Oto slyszymy dźwięczny głos dziewczęcia: śpiewa walca, widocznie nie ustraja się w szatę artyzmu, ani też nie choruje na muzykę przyszłości; nie wstydzi się śpiewać oklepanego walca; musi być wiele prostoty w jej duszy. Po chwili ukazuje się w ogrodzie Lidya; w nieco długim monologu, odsłania stan swej duszy. Przedstawia się tu nam z wielką dokładnością, nie bez wdzięku, kobieta, angielska nieco uczuciowa, przecież obdarzona tą wolą, która pozwala przeczuwać najsilniejsze z jej strony postanowienia i najdzielniejsze czyny; jest w niej coś z Ossyana i coś ze Shakespeara, w osobie jej widną jest wyższość, pochodząca z wewnętrznego poczucia własnej godności, która góruje nawet nad pozorami. Przestrzedz należy, iż utwór, równie jak i występujące w nim osoby, zgoła nie mogą być zrozumianemi, jeżeli nie zna się Anglii, czy to z dłuższego w niej pobytu, czy za pomocą natchnienia, wspartego znajomością obyczajowej literatury tego kraju; lecz przy nieco dokładniejszej znajomości, wszystko się tu rozwija, zgodnie

z prawdą, nieraz uroczo. Lidya znajduje się w tem dziwnem usposobieniu, w którem tak często, nie spodziewając się, oczekujemy przecież przybycia drogiej nam osoby. Świadomość położenia nie dozwala jej oczekiwać przybycia Juliusza Stanleja, przecucie mówi jej, że przecie przybędzie, „lecz czekać, gdy nie oczekujemy, to okropnie“. Wtem daje się słyszeć tentent konia, Lidya wydając okrzyk: Juliusz! wybiega za scenę. Nucać ulubionego walca, powraca z Juliuszem; zawiązuje się rozmowa; widocznem jest, że Lidyi cięży na sercu jakaś tajemnica, której wypowiedzieć nie śmie, której pozbyćby się rada. Dowiadujemy się, że Juliusz otrzymał w pojedynku lekką ranę, lecz o jego przyczynie Lidya nic nie wie; odchodzą nad brzeg pobliskiego jeziora, Juliusz jak jaki mussetowski bohater, mówi: „Ah, jak tu dobrze, tak dobrze, że aż cicho“. Wszystko to usposabia nas przychylnie dla tej zagadkowej nieco pary. Od pierwszej chwili nikt nie posądza Lidję o pospolitą schadzkę, wyznaczoną przez źle wychowaną pannę, która przez garderobę wybiegła do ogrodu dla potajemnej rozmowy ze swoim Adonisem. Nie zachodzi nawet potrzeba wytłomaczenia sobie tej schadzki, wyjątkową wolnością i swobodą, których używają panny angielskie, bo odrazu widz czuje, wie, przekonany jest, że musi być jakiś ważny a szlachetny powód tej tajemniczej schadzki, że to nie zaloty, lecz że tu w grze są wzniosłe uczucia. I w samej rzeczy dowiadujemy się z rozmowy ex-woźnicy Bulla i żony jego Peggy, równie jak z powtórnej rozmowy Juliusza z Lidją, że nasza bohaterka, córka zmarłego lorda Brugham, zostająca pod opieką krewnych i przyjaciół ojca, lordów Harvey i North, od kilku miesięcy poznała w szkółce wiejskiej Juliusza Stanleja. Juliusz nic nie wie o jej pochodzeniu, ani też że jest panią zamku Brugham; mniema przeciwnie, że jest wiejską nauczycielką. Po co ta tajemnica, czy mistyfikacja? — Poucza nas

o tem druga rozmowa Lidy z Juliuszem, w której podsuwa mu ostrożnie przypuszczenie, iż może się kiedyś pokaże, że pochodzi z wysokiego rodu i jest bardzo bogatą. Stanleya przypuszczenie to, uczynione niby żartem, przeraża. On człowiek pracy, on chcący wszystko zawdzięczać sobie samemu, wzdryga się na myśl zaślubienia bogatszej od siebie, chociażby ukochanej kobiety, rozwija przed Lidyą piękną naukę o niestosowności, o nieszlachetności mężczyzny zaślubiającego bogatszą i wyższego stanowiska społecznego kobietę, oświadcza się stanowczo, gorąco, prawie namiętnie, przeciwko podobnym związkom. — Lidyą wiedziała o tem. Lidyą umiała czytać w duszy ukochanego, przekonaną była, że straci na zawsze Stanleya, jeżeli prawda się wykryje, i dlatego musiała się uciec do tajemnych schadzek, do podstępu niemal; aie nie dlatego, żeby miała się ukrywać przed opiekunami: nie, ona nie uważa Juliusza jako kochanka, on w jej sumieniu jest jej narzeczonym i bądź co bądź musi być jej mężem. Zaiste w czasach, w których tyłu ubiega się za posagami, w których jak we wszystkim, tak i w małżeństwie zysk jest głównym, jeżeli nie wyłącznym celem, taki Stanley wydawać się może dziwakiem, wydawać się może nieprawdopodobnem zjawiskiem. A jednakże szczęściem dla godności ludzkiej, należy on dzisiaj nawet, może do wyjątków, nie do nieprawdopodobieństw. Są jeszcze szlachetne serca, są wykwiłtne usposobienia, które wzdragają się na myśl o małżeństwie dla zysku, i które zamiast gonić za posagiem, cofają się przed nim, które nawet do tego stopnia posuwają wytworność uczucia własnej godności i niezależności, że unikają i bronią się przed miłością, przynoszącą ze sobą złote kajdany; są dla chwały naszej cywilizacji; bo zaiste, jeżeli najwyższem barbarzyństwem jest sprzedaż kobiety, to nikczemniejszem jeszcze barbarzyństwem cywilizacji, jest zaprzędanie się mężczyzny. Juliusz Stanley należy

do wyjątków; jest to człowiek czynu, pełen szlachetnych uczuć i pięknych porywów; nie wolnym jest przecież od przesądów i podejrzeń względem wyższych i bogatszych warstw społeczeństwa, którym zwykle podlegają ci, którzy wchodząc w życie, jedyną znajdują podporę we własnej, osobistej wartości. Wcale nie tał się ze swojemi pod tym względem wyobrazeniami, lecz wyraża je umiarkowanie i wykwintnie. Wśród tej rozmowy, która odkrywa przed nami związek utworu, a która rozeiekawia widza, daje się słyszeć gwizdnięcie piszczałki, na odgłos której żokieje przelatują przez scenę. Gwizdnięcie przeraziło Lidyę, żegna się pospiesznie z Juliuszem i schrania się do domku Peggy. Lordowie Harvey i North wchodzą na scenę; słyszeli rozmowę Juliusza z Lidyą i zrozumieli odrazu położenie — sercem; zrozumieli, że Stanley gdyby się dowiedział kto jest Lidyą, nie zaślubiłby jej; wyobrażenia jego zacne, wydają się przecie lordom wypływem zbytnej dumy i pychy, i tu zaczyna się pojedynek szlachetnych uczuć, którego różne przejścia i zawikłania przemawiają do najlepszych, najwznioslejszych pociągów ludzkich; tu się zaczyna ta gra, ta walka nader misterych i subtelnych uczuć i pojęć ludzi w wysokim stopniu szlachetnych. Lordowie, którzy oddawna wiedzieli o znajomości Lidii z Juliuszem, zrozumieli, że nie może być bez niego szczęśliwą; związek ten nie bardzo im dogadza, lecz przedewszystkiem idzie im o szczęście Lidii, o spełnienie sumienne obowiązku; muszą wiedzieć i nabrać przekonania, że Stanley ma w sobie warunki, zdolne uszczęśliwić Lidyę; przytem chcieliby go może przekonać, że mylnemi są jego podejrzania, nieugruntowanemi jego przesady. — A jednak, jak dokonać tego wszystkiego, jak spełnić zadanie, skoro niewątpliwie młodzieniec zniknie na zawsze, gdy się dowie o prawdziwem położeniu rzeczy? Pomimo zatem oburzenia Lidii, pomimo obawy Northa, co na to powiedzą

Whigi, uciekają się do nieco feudalnego fortelu, więżą Stanleya i każą go zawieść do zamku Harvey. — Uwięzienie w dzisiejszych czasach wolnego obywatela Anglii, jak się wyraża Lidya, może się wydawać nieco nieprawdopodobnem i grubiańskiem, przecież w tych granicach i rozmiarach jest najzupełniej prawdopodobnem, a dla widza grubiańskiem nie jest, bo od pierwszej chwili przywiązuje się do tych dwóch starców, popełniających ten niby niesłychany gwałt, ufa i wierzy im, odgaduje, że oni nie zdolni popełnić nikczemności; tyle bowiem jest w nich wytworności, tyle szlachetności, tyle rozumu i serca; widz czuje, że to uwięzienie jest co najwięcej serdecznym żartem, że celem jego nie jest prześladowanie, ale uszczęśliwienie; przebacza zatem, przebacza nawet, że nieoceniony North nieco humorystycznie zapatruje się na całą tę sprawę i jako prawdziwy Anglik uradowanym jest, „że go to wszystko kolosalnie bawi“, jego — który jak sam później wyznaje, „rzadko, ale za to dobrze się bawi;“ widz przebacza, bo w tej zabawie jest dużo serca, dużo uczciwości i szlachetności; a w chwili, gdy z końcem pierwszego aktu zasłona spada, ten zawiązek, szlachetnie go rozciekawia.

Ale bo też jakżeż nie mają zaciekawić i wzbudzić zaufania te dwa przepyszne pierwowzory wielkich panów angielskich, lordów, należących do stronnictwa Torysów, zacnych opiekunów uroczej Lidyi. Dwa te pierwowzory współczesne Welingtonów, Peelów, Palmerstonów, Dudley Stuartów, to przedstawiciele starej, wspaniałej, potężnej, rozumnej, szlachetnej, bo szanującej siebie Anglii, tej Anglii zwolna niksącej już niestety — jak wszystko co dobre — wraz ze swojemi pierwowzorami, w mgle czasu. Jeden z tych lordów, Harvey, to uosobienie rozumu, powagi bez przesady i silnej woli, dobrego smaku i wykwintnego doświadczenia; zimny na pozór a pełen serca, umie spełniać

najpoważniejsze obowiązki z prawdziwie pańskim odcieniem swobody i wesołości; widocznie musi niepospolite w sprawach swojego kraju zajmować miejsce, lecz zarazem nie zapomina o obowiązkach względem rodziny, a te, które wziął na siebie, chce sumiennie i godnie spełnić; to wielki pan; bo to człowiek wzniosłych uczuć. A ten drugi, jego przyjaciel North; co to za nieoceniona postać; to także pan, ale odmiennego usposobienia, to ten Anglik, który chce się koniecznie bawić, a nie umie się bawić pospolicie, facecyonista i nieco tuzinkowy polityk, ale człowiek wyborny, ale magnat prawdziwy, to trochę nasz „Panie Kochanku“. — Niezawodnie mniej znakomity mąż stanu jak Harvey, już dlatego samego, że dużo więcej od tamtego mówi o polityce, a boi się zanadto Whigów; lecz ileż serca, ileż ciepła, ile subtelnych odcieni uczucia w jego angielskim na wskrós usposobieniu i pociesznem gonieniu za zabawą. Jeżeli co dopełnić może dobre o tych panach wyobrażenie, to zaiste ich otoczenie i ich stosunek do służby i domowników, o którym obszerniej pomówię niżej. Ale już w pierwszym akcie ten były stangret Bull, zostający na laskawym chlebie, który „milczy i powozi“, ta zawsze nieszczęśliwa żona jego Peggy, która rumieni się słysząc dowcipy męża, ten Kidd, sekretarz Northa, który zapisuje jego dowcipy a widocznie poprawia jego mowy — co to za nieoceniony zastęp pocziwych dziwaków, co to za wyborne zalecenie przed publicznością samych lordów i ich patryarchalno-możnowładczego sposobu życia. Słowem, po pierwszym już zapadnięciu kurtyny, ma się błogie uczucie, że się przepędzi kilka chwil, nie tylko w najlepszym towarzystwie, także w towarzystwie najlepszych ludzi.

Z rozpoczęciem drugiego aktu zapoznajemy się z najwyborniejszym, z najwięcej pierwowzorowym domownikiem zamku Harvey; jest to Pockock, stary kluźnik; spotykamy się z nim w przedsiönku prowadzącym

do dawnego więzienia zamkowego; rozpacza nad swoją długoletnią beczynnością, jest na łaskawym chlebie, stary i głuchy, cierpi przecież w uczuciu własnej godności, iż jest bezużytecznym i niepotrzebnym, skoro już nie ma pod kluczem więźniów; na wskrós poczciwy, dobry człowiek, wychowany i zestarzały w najlepszych wspomnieniach rodu Harveyów, przecież, w skutku dziwnego ale wybornego sofizmu, jego poczciwość, zaćność i przykre uczucie bezużyteczności, doprowadzają go do żalowania, że już nie ma więźniów, tak dalece, iż pragnie ich z chciwością, że tak powiem, skąpca; tak samo nieco, jak wygórowane uczucia szlachetności lordów popchnęły ich do uwięzienia Stanleya. Ten Pocock, zostawiony w tym przedsiönku do dawnego zamkowego więzienia, pozostawiony na miejscu i w urzędzie, pomimo zmiany czasów i obyczajów, pomimo, iż już więźniów niema, chyba na żart, to jedna z tych nitek, które w Anglii, misternie i tajemniczo łączą przeszłość z terażniejszością, to owo poszanowanie tradycyi, które pomimo zmian, napraw i postępu, jest dotąd podstawą społeczeństwa i treścią obyczajów angielskich. Nigdzie tak jak w Anglii nie umieją szanować i zachowywać ruin, zarazem ubierać je zielonością; jest to obraz życia i zwyczajów angielskich. Pocock jest taką ruiną.

Nareszcie gorące życzenia poczciwego staruszka spełnione; donoszą mu o przybyciu więźnia; w chwili gdy najmniej się tego spodziewał, wprowadzają Juliusza Stanleya. „Ha, nareszcie Pocock nie je darmo chleba“, woła uradowany. Wyborną jest dobrodusznosc starego sługi, który nie często musiał wychodzić za mury zamku, dla którego światem całym jest ów zamek, dobrodusznosc, która dozwala mu brać poważnie uwięzienie Stanleya i wierzyć, że się stał rzeczywiście potrzebnym. On zna swój obowiązek i spełnia go sumiennie, on zna tylko jedno prawo, posłuszeństwo i zupełne oddanie się Harveyom, a wykonać ich rozkazy zawsze gotów z rozkoszą,

z zagorzałością przywiązanego zacnego sługi. Lecz jakże srogie są igraszki losu! W chwili gdy Poccock zabiera się do spełnienia sumiennego swoich obowiązków, wchodzi Bull; wchodzi z tajemem, ważnem poleceniem Lidyi i wypełnia je sumiennie; umie on trafić w słabą stronę Poccocka, daje mu do zrozumienia, że ów więzień jest znaczną osobą, że królowa powiedziała: „do Poccocka z nim“. Słowa te upajają staruszką, który się ma za najpierwszego w Anglii klucznika, wino przyniesione przez Peggy dokończa dzieła. Bull odpina klucze kaźni od pasa śpiącego Poccocka, Lidya wchodzi, po chwili Juliusz ukazuje się na progu otwartego przez Bulla więzienia. Spotkanie stanowcze, chwila uroczysta. Następują wzajemne objaśnienia, wyświecenie rzeczywistego położenia rzeczy i z jednej i z drugiej strony, prawdziwy pojedynek szlachetności, który, gdy Lidya oświadcza Juliuszowi, że skoro jej miliony i nazwisko odpychają go od niej, wolnym jest i może odejść, kończy się, rzuceniem się w objęcia kochanków i postanowieniem przeczekania do dnia w baszcie, skąd Bull obiecał wyprowadzić Juliusza, gdy ściągnięte zostaną straże ustawione z rozkazu lordów. Lecz ktoś dostrzegł widocznie ucieczkę więźnia i doniósł opiekunom, i oto w drugiej odsłonie tego aktu, widzimy naszych nieocenionych lordów, zdobywających na czele domowników i służby, basztę. Czy żart nie za daleko tu posunięty? Być może, ale to wszystko jest obrazowe, nie jest to zwykły i pospolity fortel sceniczny, bo i tu w grze są namiętności i uczucia. Lidya, jako prawdziwa Angielka, zapala się, unosi się nawet, staje się lwicą, gdy obrażonem jest w niej uczucie prawa; w przytrzymaniu Juliusza, w szturmie przypuszczonym do baszty, widzi pogwałcenie ustawy i własnej godności; bronić się więc postanawia. Scena ta, w której komizm przeplata dramatyczność, daje pole artystce do popisu i do rozwinięcia obszernej skali głosu. North zawsze humorystyczny

i zawsze pomysłowy, twierdzi: że w Anglii parlamentaryzm przedewszystkiem; parlamentuje więc, lecz gdy groźną z ust Lidy odbiera odpowiedź, gdy widzi, że obleżeni poddać się nie chcą, a Juliusz zamierza zrzucać na służbę kamienie, posyła do starej zbrojowni po tarcze i szyszaki, pod ich zasłoną każe szturm przypuścić; ukazanie się służących i żokiejów w średniowiecznych zbrojach, sprawia wyborne wrażenie sceniczne; oburzenie Lidy przemienia się w szal, staje się gwałtowną, wyrывa z rąk Juliusza zapalki i spieszy do podziemia baszty, — jest tam skład prochu; Harvey ją zna i wie, że w takiej chwili przed niczem się nie cofnie; żart przeistacza się w gróźną rzeczywistość; wzniosłe usposobienie lordów objawia się tu w całej świetności, drżą przez chwilę o życie Lidy, zaparli dech w sobie, słuchają z napięciem, oczekują strasznego wybuchu i ci dwaj starcy, którzy przed chwilą tak serdecznie się bawili, płaczą; wtem daje się słyszeć przerażający łoskot; lecz to nie baszta wyleciała w powietrze, to drzwi, które służba wysadziła, zawaliły się; omdlałą Lidyę wraz z Juliuszem prowadzą do zamku; lordowie płaczą z radości, ciężki kamień spadł im z piersi. W tem miejscu może lordowie niepotrzebnie, zamiast spieszyć do Lidy, zawiązują ze sobą humorystyczną rozmowę; nie stosowna po temu chwila; nie całkiem wytworny sposób obchodzenia się z przedmiotem, nieco sprzeczny z całością utworu i z osobami; można było tego błędu uniknąć. North niespokojny i w tej chwili „co powiedzą Whigi?“ wydaje się tu trochę niesmacznie śmiesznym, aczkolwiek nie przestaje nigdy przywiązywać do siebie, jeżeli jest wytwornie granym. Harvey także, po gwałtownem zajściu, pod basztą, za mało okazuje współczucia dla omdlałej Lidy, aczkolwiek można to postępowanie tłumaczyć sobie znaną, zimną krwią Anglików, która przecież nie wyklucza głębokiego uczucia; ta pozorną obojętność w tem miejscu jest rażąca. Lecz i tu od-

ślania się piękna strona charakteru Harveya, mówi, dając ostatnie rozkazy. „Pocock niechaj nie wie o niczem. Starzec mógłby umrzeć z rozpaczy na wiadomość o ucieczce więźnia. Należy szanować starość i przywiązanie do rodziny“. Wyrazy te określają uroczy stosunek, który w sztuce, łączy panów ze służbą i domownikami, stosunek na który chcę zwrócić uwagę, bo jest nauczającym, zarazem jest jedną z licznych piękności komedyi. Patryarchalny prawdziwie istnieje związek między temi lordami a ich domownikami, między temi dwoma wielkimi panami, a całym zastępem poczciwych dziwaków, zostających w zależności i zamieszkujących ich zamki; zastępem, który już po części jest nam znany. Panuje tu poufałość ale wielkie uszanowanie z jednej strony, względność z drugiej w obejściu. North, zawsze trochę jak „Panie Kochanku“, bawi się swoim sekretarzem Kiddem, który z powagą i pedanterią twierdzi, „że w ślad za nim kroczy rozsądek i przeorność“, bawi się wiecznie nieszczęśliwą Peggy. bawi się Pocockiem i Bullem; Harvey nieco poważniejszy; nieco mniej goniący za zabawą, bo zapewne więcej zatrudniony w życiu, uśmiecha się także; żaden z nich nie podnosi głosu na służbę, żaden nie laje, nie upokarza, obydwaj unikają starannie wyrządzenia przykrości, obrażenia lub zrażenia tych poczciwych sług; a ci służą, jak są przywiązani, jak oddani tym lordom, jak zgadują ich myśli! I znowu tu między panami i służbą rozgrywa się istny pojedynek szlachetności, który rzuca na utwór miłe, błogie światło. Tylko tacy panowie, mogą mieć takich służących. Nauczający to przykład, szczególnie u nas, gdzie szorstkie i nieco grubiańskie obchodzenie się ze służbą tak jest niestety rozpowszechnione, iż u niektórych uchodzi za dobry sposób; u nas gdzie piękne pod tym względem tradycye, coraz bardziej się zacierają. Zdaniem mojem szlachetność, nawet starożytność rodu, oceniłby się dała sposobem

obchodzenia się ze służbą i domownikami. Poszedłbym nawet dalej i do pewnego stopnia, po tem obchodzeniu się, po stosunku chlebobawców do sług, sądziłbym nie-raz w społeczeństwach chrześcijańskich, nietylko o stopniu ich wykształcenia, także o ich wewnętrznem zdrowiu. Wejdźmy w siebie i przyznajmy, że pod temi względami rzeczy przedstawiają się u nas nieco inaczej jak w „Pojedyнку Szlachetnych“, wyznajmy, iż należałoby z tego pięknego przykładu skorzystać i rozszerzyć go aż do ludu wiejskiego, wpłynęłoby to niezawodnie korzystnie na zdrowie naszego społeczeństwa.

Zastosowany do okoliczności monolog Harveya rozpoczyna akt trzeci, jest zarazem zręcznem rozwinięciem zasady arystokracji angielskiej: „gdy się uprzedza wypadki, staje się na ich czele“. To cała głęboka nauka niezbędnych napraw, które zapobiegają przewrotom, nauka o której zbyt często zapomina arystokracya, zbyt często zapomina nasza szlachta! A zatem, pomimo mimowolnego wstrętu do wydania Lidy za profesora, ku temu celowi zmierzać trzeba, skoro bez złamania serca ukochanej wychowawicy, skoro teraz już, bez narażenia jej przyszłości i dobrej sławy, sprzeciwić się temu nie można. Przedewszystkiem jednak przekonać się należy, czy ten profesor jest człowiekiem godnym Lidy. Zacni lordowie nie próżnowali; wysłany przez nich do Londynu drobiazgowy i dokładny Kidd, powraca ze szczegółowemi wiadomościami o Stanleyu; wiadomości te są nader korzystne i pocieszające; jednak jest i czarna plamka: pojedynek, i to o kobietę. Pojedynek w Anglii to rzecz nadzwyczaj rzadka, chociaż między słuchaczami uniwersytetów częściej się zdarza. North, stosownie do swojego usposobienia, i zapatrując się na wszystko z wyjątkiem Whigów różowo, widzi w tem zdarzeniu tylko dziarskość młodzieńczą, lecz wytrawny i stateczny Harvey rozumuje inaczej; on w tem upatruje niedobrą wskazówkę, bo, albo Stanley bałamuci jedną a kocha

drugą, albo kocha tamtą a chce się żenić z tą, bo może wie, że bogata; pyta więc Peggy, czy Juliusz nigdy przedtem nie wiedział, kto jest Lidya? Przybycie Lidyi wypasza z salonu wystraszoną wiecznie Peggy; North, dzielny North, nie śmie być obecnym zwierzeniom Harveya, i on, potomek rodu, który nigdy nikogo się nie bał, ucieka do swoich pokoi, zostawia cały ciężar przykrego wyjaśnienia Harveyowi. Rozmowa między Harveyem a Lidyą, w której opiekun robi jej zwierzenia co do powstałych podejrzeń o postępowaniu i stałości uczuć Stanleya, pod względem subtelnych odcieni, jest jedną z najładniejszych w komedyi; to znowu pojedynek między szlachetnym starcem, a równie szlachetną dziewczicą, lekki wyrzut ze strony opiekuna za brak do niego zaufania i zbyt spieszne postępowanie, miarkowanym jest co chwila, miarkowanym, ile razy Harvey odczuwa, że uraził ukochaną wychowankę; czułe porywy serca Lidyi dla opiekuna, pomimo bólu i żalu, nareszcie głęboka boleść, gdy podejrzenie, że Stanley kocha inną, dosięga jej serca, że podłym jest kochając inną i ludząc Lidyę. Lidya nie chce wierzyć, właśnie dlatego, że to podle, przecież oprzeć się zwątpieniu nie może; chwila ta daje artystce sposobność do pięknej gry, szczególnie gdy kilkakrotnie, zawsze inaczej powtarza: a więc niech jedzie; usta jej wymawiają te wyrazy, serce zaprzecza im brzmieniem głosu. Czują to lordowie i nie tak łatwo zgodzą się już teraz na odjazd Juliusza; niech jedzie powtarza wprawdzie Lidya, lecz dorzuca, w mussetowskim sposobie, tę piękną i bolesną uwagę: i niech zostawi za sobą pustkę nicości, której nawet nie potrafiemy zapełnić tęsknotą. Wtem wpada, jak prawdziwe *enfant terrible*, Peggy, oczywiście z nowem nieszczęściem; w prostocie ducha nie domyślając się do jakiego stopnia rani serce Lidyi, opowiada obszernie przybycie do Brougham Letty, owej panny, za której cześć Juliusz się bił, w celu

odszukania Stanleya. Tu dramatyczność potęguje się, lordowie i Lidya boleją niewymownie, cierpienie zwiększa rozwlekle opowiadanie Peggy, wyborne, właściwe osobom mniej wykształconym, dające pole do znamienitej gry. Niema wątpliwości, Stanley kocha Letty, zwodzi Lidycę, lub chce się z nią żenić dla majątku. To prawdziwy cios i dla opiekunów i dla wychowanki. Lidya upada pod nim; wesole usposobienie Northa ugina się; jeden Harvey nie traci głowy, on do końca spełni swój obowiązek. A więc trzeba przede wszystkim wy badać ową miss, grzecznie, ostrożnie; wprowadza ją Peggy i tu odgrywa się z obydwóch stron wykwinna scena; lordowie z prawdziwie pańską uprzejmością i wytwornością ludzi arcydobrze wychowanych przyjmują Letty; ona z wdziękiem młodości i dobroduszości przyjmuje ich grzeczności i z dziecinnem zaufaniem, na którym zaiste nie zawiedzie się, odpowiada na ich pytania, które są po części badaniem w wielkiej sprawie. Ta Letty, ukazująca się dopiero w trzecim akcie, jest także miłym zjawiskiem i skończonym, zaokrąglonym w drobnych rozmiarach, charakterem. Rozmowa ta spędza powoli troskę z oblicza szlachetnych lordów; z niej bowiem okazuje się, że Juliusz jest tylko opiekunem prawnym Letty, że zamierza ją wydać za pana Brick, urzędnika banku angielskiego; jasne zaś wschodzi słońce i opromienia starców, gdy Letty w rozmowie twierdzi, że Stanley lubi nad wszystko pewnego walcę i że ona musi mu go często grywać; z wielkim wdziękiem prostoty, na zapytanie: co to za walc? Letty; zamiast odpowiedzi, siada do fortepianu i gra go; po chwili radość lordów nie zna granic, bo to walc Lidyi! Lidya słyszy go także z za kotary, lecz inaczej go sobie tłómaczy, a widząc radość opiekunów, tłómaczy go sobie najgorzej, najczarniej; ta sprzeczność sprawia znamienite wrażenie. Walc przekonał lordów o czystości i stałości uczuć Juliusza, Harvey prawdziwie po

angielsku odzywa się do Northa: Ponieważ nie może być opozycyi, zdobywajmy pozycyę, na co North odpowiada: Po naszymu. Akt ten pod względem subtelności i gry uczuć jest najpiękniejszy, jest ładnem w literaturze dramatycznej zjawiskiem.

Lordowie, zupełnie zaspokojeni co do charakteru Stanleya i przywiązania jego do Lidy, pewni, że szczerze ją kocha dla jej wewnętrznej wartości, jak prawdziwi smakosze szlachetności, radują się na myśl tej uczyt duchowej, do której zasięda — radują się pewnością szczęścia Lidy; nawet, bawiącemu się tem wszystkim, Northowi ciepło robi się na sercu. Lordowie o niczem nie zapomnieli, wszystko gotowe do ślubu, notaryusz, kapłan, goście sproszeni. Ale jak teraz przekonać Lidyę o szczerości i wierności Juliusza? Trudnem to nie będzie. Podczas gdy rozkoszują, myśląc o przyszłem szczęściu swoich, jak ich nazywają, przybranych dzieci, wchodzi, raczej wpada nowa postać, nieznaną nam jeszcze, bibliotekarz Kuff, stary hellenista; siedział jak mól w bibliotece, podczas wszystkich zawikłań, o niczem nie wiedząc; wpada jak bomba, dopiero w ostatnim akcie. Cóż wypędziło go z biblioteki? Oto bluźnierstwa, jak je nazywa, Stanleya o mężach starożytności i o Grecyi. Stanley, któremu Harvey pozwolił przejść do biblioteki, zgorszył staruszką swemi nowoczesnemi pojęciami o sztuce, i zmusił do ucieczki. Doskonała to postać ten bibliotekarz Kuff, może najmisterniej, najładniej wyrzeźbiona, chociaż w dwóch tylko ukazuje się scenach. Jest w Kuffie uwielbienie dla sztuki, zapal w duszy, ogień w oczach gdzie idzie o Grecyę, zagorzale ubóstwienie klassycznych wzorów, przytem jest dobroduszność bez granic starca i uczonego, łagodność i dobroć poczciwego człowieka, który więcej miał w życiu do czynienia z książkami niż z ludźmi. Lordowie nie mogą się nacieszyć z oburzenia Kuffa, a kiedy North bawi się wszystkiemi domownikami bez wyboru,

Harvey, widocznie kwintniejszy w swoich upodobaniach, bawi się przeważnie dobrodusznym zapalem swojego bibliotekarza. Staje na tem, że aby odwrócić od Stanleya karę, która wisi nad jego głową, lordowie, na prośby Kuffa, który pomimo zawziętości za spotwarzenie Grecyi, jest za ułaskawieniem młodzieńca, wierząc, że można karać za literackie przekroczenia, dają bibliotekarzowi dwadzieścia cztery godzin do nawrócenia winowajcy na klasyczną wiarę. Przejścia Kuffa z oburzenia do litości są wyborne. Przecież trudno zaprzeczyć, że dobroduszność Kuffa jest zbyt daleko posunięta i że autor w tem miejscu zbyt dobrodusznie liczył na dobroduszność publiczności. Urojenie teatralne nie może iść tak daleko, żeby Kuff wierzył, że mają ściąć Stanleya. Jeżeli się nie mylimy, ważny ten błąd jest następstwem innego nierównie większego: pomieszania nieco chaotycznego i dyletanckiego dwóch okresów historycznych.

Wchodzi Lidya, złamana, z boleścią w sercu; lordowie nie walczą z tą boleścią, lecz przedstawiają jej konieczność, ze względów światowych i godności osobistej, zaślubienia Stanleya, skoro rzeczy tak daleko posunięte, że jak mówi North, zajście w baszcie znane już jest nawet na dworze królowej; po ślubie, pozwolą jej rozłączyć się z okolicznościowym mężem, a wiarołomnym kochankiem, i pozostać nadal przy opiekunach. Lidya pod naciskiem zezwala; po zimnej i wymuszonej rozmowie ze Stanleyem, który dopiero przy końcu zrozumiał nowe położenie, wybiega ubrać się do ślubu, na który Stanley przystać musi dla uratowania jej dobrej sławy. Mniejsze, wyborne sceny, w których Kuff donosi z dumą, że nawrócił Stanleya do Grecyi, poprzedzają rozwiązanie. Lordowie wydają ostatnie rozkazy i wychodzą po nowożeńców; po chwili wracają z nimi; następuje sztywne i zimne podpisanie umowy ślubnej, wobec naszych dobrych znajomych, wobec owych nieosza-

cowanych domowników i slug. Rozsuwają się kotary, ukazują się goście, zapewne sąsiedzi i domownicy z pobliskich folwarków, chór śpiewający wale Lidy wita nowożeńców. Przejście to jest może najślabszą stroną całego utworu, nie scenicznie ale psychologicznie nawet niemiłe sprawia wrażenie. Niepotrzebne dalsze pastwienie się lordów nad Lidyą, nie odpowiada ich szlacheckim usposobieniom; wiedzą już, że Stanley ani kocha ani balamuci Letty, że kocha tylko Lidyę, a nie spieszą zawiadomić o tem najdroższej wychowawicy, i narażają ją na męczarnie małżeństwa z przyzwoitości. Znowu żart za daleko jest posunięty i rzeczywiście staje się okrutnym do tego stopnia, iż niweczy miłe wrażenie owego walca Lidy, śpiewanego przez chór! Biedaczka, jej serce złamane w tej chwili; ulubiony wale czarne i gorzkie tylko nasuwa jej myśli. Lecz niebawem wszystko się rozjaśni. Kamerdyner zawiadamia o przybyciu miss Letty Cavendish i mister Brick. Lordowie i o tem pomyśleli. Następuje oświadczenie się pana Brick, nieco za krotofilne, zanadto w takiej chwili i takim utworze wyrachowane na śmiech nieunikniony publiczności. Nareszcie Lidy przekonała się naocznie, że Stanley nie kochał Letty, że był tylko prawnym i prawnym jej opiekunem, i że Lidyę jedynie kocha; już teraz opuścić go po ślubie nie chce, już teraz, dzięki szlacheckim opiekunom, zupełnie jest szczęśliwą. Lecz nie na tem koniec. North tak się wybornie tem wszystkiem ubawił, tak mu się ciepło na sercu zrobiło, że za pozwoleniem królowej przybrał za syna Juliusza. Stanley stawia wprawdzie opór, lecz Harvey przerywa mu i streszczając niejako całą komedję, wygłasza naukę życia społecznego i publicznego w Anglii, wzniosłą, piękną, rozumną. Scenicznie przecież, ten spech wygląda nieco na kazanie, którego znaczenie odnajdujemy w słowach Northa; „Anglia zawdzięcza wielkość swoją temu odświeżaniu. Ród nie ginie, lecz rodziny, które

go przedstawiają, zmieniają się, i dlatego rody kwitną“. Kazanie przecież odnosi skutek, bo Stanley z wdzięcznością rzuca się w objęcia Northa; przekonał się, że ci ludzie i ten świat, którego się tak obawiał, którego unikał, przed którym nawet uciekał, nie jest znowu tak dalece złym i przewrotnym; że umieją przecież w nim uszanować zasługę i pracę. North przyciska do serca przybranego syna i mówi te pełne mądrości i szlachetności słowa, malujące wybornie obyczaj angielski, których znaczenie gdzieindziej, i u nas, zbyt często jest niezrozumianem.

„A chociaż jesteś Whigiem do szpiku kości, nie wymagam, nie mam prawa żądać od ciebie zmiany twych przekonań. W izbie gmin będziemy walczyć na cześć Anglii, w domu będziemy się kochać“.

Wszyscy wydają okrzyk holdu królowej i starej Anglii! a Bull obecny, w olbrzymiej białej chustce, którą Peggy mu zawiązała, mówi: „Oto, tak się nasi panowie bawią“. Pojedynek szlachejnych zakończony, nikt w nim rany nie odniósł, nikt nie zginął, a ocalały szlachetność i wzniosłość uczuć, ocalały przynajmniej w komedyi, w tych smutnych poziomych i nierycerskich czasach!

Pomimo streszczenia głównych chwil komedyi, musiałem pominąć wiele wybornych, znakomitych ustępów, szczególnie wiele komicznych między służbą a panami; nie przytoczyłem pełno zabawnych, trafnych, zawsze wytwornych wyrażeń Northa, Kuffa, Kidda, Lidy lub Harveya. Twórca tej komedyi ma zadziwiająco wprawne oko pod względem rozmiarów scenicznych, niema tu nic zbyt krótkiego, ani zbyt długiego, wszystko jest tak jak być powinno, na swjem miejscu, jak w dobrze urządzonej domu angielskim. Zarzuciłbym tylko, że jest zbyt wiele wybornych, niejaskrawych, przeciwnie subtelných wrażeń komicznych; zbytńia obfitość nawet dobrego, jest błędem estetycznym. Ale te

komiczne wrażenia są wywołane zręcznie, zawsze w porę, zawsze na czasie, i to w chwili, gdy widz najmniej się tego spodziewa; jak zapytanie w trzecim akcie Northa do Poccocka: „Czy więzień nie próbował uciec?“ na co poczciwy klucznik odpowiada: „Ho, ho! kto się raz dostanie pod klucz Poccocka nie marzy o tem — a rozumie się“.

Treść, powietrze i kształty sztuki są czyste, szlachetne, ludzie przemawiają tu do siebie zawsze przyzwoicie, zawsze z uszanowaniem dla własnej i innych godności osobistej, mówią sobie rzeczy uprzejme lub miłe, unikają mówić nieprzyjemnych, czem chwalebnie odróżniają się od wielu postaci występujących w polskich komediach. Znajdując się na przedstawieniu tego utworu, doznaje się błęgiego uczucia obcowania, nie tylko z najlepszym towarzystwem, także ze sługami najwykwintniejszego społeczeństwa. Żart, dowcip, są tu zawsze dobrego gatunku; nawet parę dowcipów exwoźnicy Bulla — jedyne nieco sliskie — mniej są tłuste, jak lekkie rozmowy bohaterów Dumasa. Zręcznie, poziemnie, wplecionym jest obyczaj polityczny Angli; wszystkie znane nauki i zwyczaje życia publicznego tego kraju, ciągle ważne zajmują miejsce, przecież nigdzie nie obciążają zbyt ciężko, nie przeszkadzają ani powstrzymują działania.

Nie pojmuję, jak tego kroju i znaczenia komedia uchodzić mogła, przed jej ukazaniem się, za krotofilę; ma ona nietylko znamiona, ale duszę wyższej komedyi; bo wchodzi tu w grę naprzemian, najsubtelniejsze i najwznioślejsze uczucia, bo występują najszlachetniejsze, tak pod względem wewnętrznym, jak i zewnętrznym, postaci. Nie ma tu nic tego co stanowi krotofilę, bo nie ma nic poziomego, nic rubasznego, nic jaskrawego, bo, słowem, niema nic coby pobudzało do pospolitego, jest wszystko, co wzniecać może szlachetny śmiech.

Wszystkie postacie w tej komedyi są prawdziwe, misternie nakreślone, wszystkie przywiązują do siebie. Cały zastęp wybornych pierwowzorów stanowi jedną rodzinę, przecież każdy z nich ma swoją odrębną, dobrze oznaczoną cechę. Ze stanowiska, że tak powiem, technicznego, cóż stanowi dobroć utworu? Przeważna ilość dobrych ról. Im więcej w nim jest dobrych ról, tem jest lepszym, to pewnik teatralny, — bo utwór sceniczny składa się z ról. Otóż w „Pojedyńku Szlachetnych“, rzeczą zadziwiającą i zdumiewającą jest, że wszystkie bez wyjątku role są dobre, wszystkie nastęrczają pole popisu dla aktorów, od największych do najmniejszych; do tego stopnia, że nawet ów pan Brick, wchodzący w ostatniej scenie ostatniego aktu, jest skończonym okazem nieśmiałego młodzieńca, pracowitego a zakochanego kantorzysty. Pod względem psychologicznym, najslabiej nakreślonym, jest charakter Juliusza; los to zwykły bohaterów i kochanków; tym Juliuszem rzucają nieco jak piłką, wypadki i ludzie; lecz i on ma chwile, w których sceniczne wywołuje wrażenie.

Ponad wartością teatralną i techniczną, góruje bezsprzecznie w tej komedyi jej duchowe znaczenie; podniesienie do niezwykłego stopnia, w życiu codziennem i zwykłym, szlachetności uczuć, szlachetności postępowania i nieodłącznej od nich wykwiutności obejścia towarzyskiego. Wobec duchowego upadku dzisiejszego, wobec zacierania się, pod wpływem walki o byt uczucia honoru, znikania wytworności nawet w obejściu, jest to komedya, która podnosi godność człowieczeństwa. W tych czasach chciwości, używania i samolubstwa, dziwnem ale miłym zjawiskiem jest komedya, rozpoczynająca się ucieczką przed posagiem, kończąca się przyjęciem przez lorda za syna, profesora.

Niewątpliwie wpłynąć ona może korzystnie na zdrowie społeczeństwa, które się jej przypatrywać będzie.

XII.

Kraków, 9 listopada 1876 r.

Niema zapewne tak cichego i odosobnionego za-
kątka, w którymby ważne wypadki, odgrywające się
obecnie na wielkiej widowni świata, i te ważniejsze
jeszcze, które się przygotowują, nie oddziaływały, nietylko
na umysły, także na bieg spraw. Zatem i tutaj, w kraju
graniczącym niemal z temi wypadkami, należącym do
monarchii, której warunki bytu ściśle spojone są ze
sprawą wschodnią, sprawa ta i jej coraz to nowe przej-
ścia, niemale zajmują miejsce w zajęciach terażniejszo-
ści — w przewidywaniach przyszłości. Rzecz jednak go-
dna uwagi, że z wyjątkiem kilku lub kilkunastu wy-
borowych umysłów, ogół przypatruje się rozwijającym
się wypadkom, bez zapалу, spokojnie, jak zwykły i su-
mienny ale obojętny czytelnik dzienników. Dotąd wy-
raz neutralność, zdaje się określać najlepiej usposobie-
nie ogółu tutaj, tak jak dotychczasową politykę rządu —
neutralność nawet nie zbrojna ani wojskowo — ani też
w współczuciu lub niechęć. Jak długo wyraz ten wy-
starczy do określenia położenia i usposobienia, trudno
odgadnąć — przewidywać niepodobna. Zdawało się je-
dnak rzeczą pewną, że w rozprawach w Radzie pań-
stwa nad zapytaniem w sprawie wschodniej, posłowie
galicyjscy, odezwaniem się swoim, nacechują stano-
wisko określone owym wyrazem, jednocześnie staną na
gruncie dobra monarchii i państwa. Niewytłomaczone
ich milezienie tem więcej zdziwiło i niezadowolniło.

Wśród tych ważnych okoliczności, przypadły wła-
śnie nowe, na dalszych sześć lat, wybory ogólne do
sejmu lwowskiego. Odbłyły się w tych dniach, osta-
teczny ich wynik już jest powszechnie wiadomy; był on
niespodziewany i niezwykły, jedyny od chwili zaprowa-
dzenia w Austrii rządów konstytucyjnych, zaufaniem oka-

zanemu przez włościan, wykształconym warstwom. Wpły-
nie to więc oczywiście i na skład, i na istotę Sejmu. Sejm
lwowski uwolniony od więzów krępujących lub utru-
dniających wszelką pracę, będzie mógł teraz przystąpić
bez przeszkód, do przeprowadzenia niezbędnych dla po-
myślności kraju napraw. Ale czy zechce i czy potrafi?
Oto pytanie; a jeżeli zabraknie na nie twierdzącej od-
powiedzi, będzie to tem smutniejszym objawem, że już
teraz nie będzie żadnej wymówki, że nie nie zdołałoby
wytlómaczyć opieszałości, nieudolności lub samolubstwa
Sejmu. Wątpliwości pod tym względem o tyle są upra-
wnione, że w porównaniu z wyborami włościańskimi,
wybory z większej własności wypadły błado; gdy tamte
wysłały do Sejmu najzdolniejszych ludzi i najwięcej po-
litycznie znanych, te nie wysunęły naprzód prawie ża-
dnych znakomitości, nie przysporzyły z małemi wyjąt-
kami nowych sił lub zdolności i zamknęły się, jak zwy-
kle w ciasnem kółku zacności i enót powiatowych, lub
przyzwyczajenia do tych samych osób. Były to, rzecz
można, najmniej rozumne wybory; miasta nierównie
już zdolniejszych i lepiej obeznanych ze sprawami pu-
blicznemi wysłały przedstawicieli. W Sejmie zaś przy-
szłym przeważać będzie, widocznie, żywioł większej wła-
sności, można zatem obawiać się, iż niedostatecznie sko-
rzysta z nowego składu, tak jak nie umiał zużytkować
własnych wyborów — i że wyda sobie znowu świadec-
two nieudolności. Wybory wogóle i przeważnie wypadły
w duchu zachowawczym, lecz przyszły Sejm zadać może
dotkliwy cios tutejszemu konserwatyzmowi, jeżeli więk-
szość jego — nie stanie śmiało, odważnie i szczerze na
czele naprawy — cios ostateczny, jeżeli zgola nie zro-
bić nie zechce lub nie potrafi w tym kierunku, któremu
nawet rząd przyszedł w pomoc, wnosząc do Rady pań-
stwa dwie wielkiej wagi ustawy dla tego kraju, przeciw
lichwie i pijaństwu. Niemalą przecież należy pokładać
nadzieję w dziś już prawie niewątpliwem kierownictwie

przyszłego sejmu, które Najjaśniejszy Pan powierzy hr. Ludwikowi Wodzickiemu, bo on bezwątpienia nie zechce być ani malowanym ani tekturowym marszałkiem, lecz przeciwnie starać się będzie o zużytkowanie wyjątkowych warunków, w których przyszedł Sejm się znaleźć na rzecz roztropnej naprawy, której przeprowadzenie uprawnić dopiero może kierunek, jakim poszły wybory. Będzie to tem więcej obowiązkiem większości, że widocznie i niezaprzeczenie wybory odbyły się przeważnie pod godłem, o którym już nieraz wspomniałem — naprawy stosunków wiejskich! Jedni szczerze, drudzy może nieco obojętnie, ale bądź co bądź, niemal wszyscy, w różny sposób, występowali z tym programem i pod jego opieką przeprowadzali lub przeprowadzać usiłowali swoje posłowanie.

Najdobitniej i z największą stanowczością wywiesili program naprawy stosunków wiejskich krakowscy konserwatyści, tak nazwani Stańczyki, w październikowym zeszycie okrzyczanego ich pisma: *Przeglądu polskiego*. Z tego powodu, jeszcze więcej dlatego, że to co tam stronnictwo powiedziało, rzuca światło na położenie społeczne i gospodarcze tego kraju, należy się zastanowić nieco nad tym zeszytem *Przeglądu*. Jeden z kierowników, Koźmian, umieścił w nim rozprawę: „Nasze stosunki“, z powodu ukazania się w Warszawie drukiem Ungra, ludowego utworu dramatycznego Anczyca: „Emigracya Chłopska“. Widocznie skorzystał tylko z tej sposobności, aby zastanowić się nad ważniejszymi sprawami tutejszemi. Rozprawa, jako wyraz przekonañ dobrze uporządkowanego, acz nielicznego stronnictwa, nie przeszła niespostrzeżona; jest w niej obfitość poruszonych spraw; wielu twierdzi, iż przypisuje Anczycowi myśli daleko sięgające, które wysnuć można wprawdzie z jego niepospolitego utworu, ale które się tam nie znajdują. Mnie się zaś zdaje, że się tak zwykle dzieje z niezwykłemi utworami drama-

tycznemi. Autor przejęty główną myślą, często bezwiednie rozrzuca w dziele doniosłe szczegóły zgodne z pierwotnym pomysłem, dopiero ocena odkrywa i wskazuje ich znaczenie i spójnię z całością. Tak, *mutatis mutandis*, stało się z Shakespearzem, w którym krytyka, mianowicie niemiecka, wynajdywała wciąż nowe kryjówki pełne złota i klejnotów. Nie ulega wątpliwości, że Anczyc, pisząc „Emigracyę“, miał na myśli i naprawę stosunków wiejskich w Galicyi, dlatego utwór ten mógł posłużyć do wysnucia programu stronnictwa, które, trzeba mu to przyznać, oddawna wytrwale, nawet czasem namiętnie, przemawia za tą naprawą.

Rozprawa *Przeglądu* wychodzi z tego zdania, że zajęcie dramatyczne i grozę tragiczną „Emigracyi“ stanowi, równie jak położenia obecnego, powolne wywłaszczenie ze ziemi żywołu polskiego, przez Mendla i Schulzkiego. „Zawiązuje się między Starzą i Jędrzejem, czytamy w rozprawie, patryarchalna rozmowa nad zobopólną biedą; dowiadujemy się z niej, że brat starszy Starzy „zmęczony stosunkami w Poznańskiem“ sprzedał majątek i wyniósł się do Ameryki, a Juliusz Starża, udał się tam po spadek; dowiadujemy się, że dziś właśnie Mendel ma wystawić na sprzedaż grunt i chałupę Jędrzeja; że Starża, przegrawszy jakiś proces, widzi się także zagrożonym w posiadaniu swojego majątku: „podajcie mi rękę, Jędrzeju, i szlachcic i chłop pójda ze swojego dziedzictwa odwiecznego z torbami“. Piętrzy się tu groza tragiczna, w tych prostych słowach, w tem codziennem zdarzeniu, jest jej zaprawdę tyle co w *Edypie*. I nasuwa się pytanie, ażali i tu nie ciąży jaka wina, jakies Fatum, które... chłoscze nieubłaganie, ściga wciąż i popycha w objęcia Eumenid“.

„Bijącym w oczy i widocznem jest, że Juliusz Starża występuje zawsze w dramacie jak *Deus ex machina*. W sztuce ludowej nie jest to bynajmniej błędem, już dlatego, że lud przypuszcza zwykle bezpośrednio mię-

szanie się Opatrzności w sprawę tego świata... Ale tutaj, to ciągle opatrnościowe występowanie Juliusza, to jego, jakby z umysłu, źle uzasadnione ukazywanie się, jako zbawcy zstępującego z obłoków w złych chwilach, wyraża, może nawet bez zamiaru, głęboką prawdę czy przywarę, i nie co innego jak owo — jakoś to będzie! Wszystko już stracone, grunt i chałupa Jędrzeja mają się dostać w ręce żydowskie, folwark Starzy obdlużony idzie na sprzedaż, wieś wyludniona w skutku wyjazdu włościan do Ameryki, przecież — jakoś to będzie! i w samej rzeczy ukazuje się — jakoś to będzie! pod postacią nie wujaszka ale synalka z Ameryki, unikatka zaiste u nas, który wszystko ratuje, zawiązuje na nowo, tak że — jakoś to będzie! Mimowolnie czy nie, uchwycony przez Anczyca rys ten jest wyborny, znamionuje doskonale to wieczne spuszczenie się na coś nieokreślonego, na szczęście, a nieradzenie złemu siłą woli, hartem duszy, pracą, rozumem, naprawą, dopóki czas, dopóki można; to niekorzystanie z okoliczności, ale spuszczenie się na wypadki. A przecież, nie rozdilibyśmy zbyt ufać pojawianiu się takich z komedyi postaci! Jeżeli Juliusz Anczyca przypadkowo przedstawia sławetne — jakoś to będzie! to oczywiście przedstawia zupełnie co innego. Przedstawia należną, konieczną opiekę wyższych warstw nad niższymi“.

„Juliusz, czytamy w końcu rozprawy, przedstawia tu oczywiście cały stan, całą warstwę społeczną, a widząc, z jaką troskliwością, z jaką umiejętnością zajmuje się losem ludu wiejskiego, jak w każdym niebezpieczeństwie, w każdej potrzebie przychodzi mu z ratunkiem i pomocą, uderzmy się w piersi i wyznajmy, że nie jest niestety, zgodnym z rzeczywistością“. Po wypowiedzeniu tej gorzkiej prawdy, rozprawa wysnuwa z *Emigracji* Anczyca program: „wyniki *Emigracji Chłopskiej* prowadzą wprost do reform administracyjnych, objętych wnioskiem Dunajewskiego, nakazują dążyć do gminy

zbiorowej, której, zdaniem naszym, zbornym punktem winna być parafia, nakazują wznosić szkoły oparte na podstawie chrześcijańskiej, usunąć lichwę, pijaństwo i karczmę taką, jaką jest dzisiaj, a to w celu zapewnienia wyższym warstwom przynależnego im we wsi wpływu, przywrócenia w niej zgody społecznej, równowagi gospodarczej, ulżenia ciężarów niższym warstwom i uratowania ziemi... Przypatrzwszy się zatem naszym stosunkom i zastanowiwszy się nad nimi zimno i sumienie, wywieszamy program, streszczający się w słowach: reforma stosunków wiejskich“.

Józef Szujski poseł, profesor i sekretarz Akademii, w liście otwartym do Pawła Popiela, umieszczonym w tym samym zeszycie *Przeglądu* opierając się na powyższej rozprawie, do tych samych dochodzi wniosków, między innymi mówi: „Nie trzeba chorować na Zachód i jego walki, trzeba się uczyć od Zachodu, co jego siłą, a gotować na walkę z nim, na walkę z mnogimi jego sojusznikami. *Et haec facienda et illa non omittenda*. Czas powiedzieć, że wahanie się długie z podjęciem reformy gminy, było małodusznością bez granic, holdem wygodnictwu klasy oświeconej, kuszeniem do złego dobrych instynktów ludu, przez pozostawienie w jego rękach, niezdolnych niestety dotąd, tyle ważniejszych interesów bezpieczeństwa, zdrowia i dobrobytu gminy... Lakoniczność i pewna nerwowość mego listu mogła cię zdziwić, Szanowny Panie, ale wyrozumiesz ją, jeżeli ci się wypowiadam z spostrzeżenia, że w tem naszym galicyjskiem życiu od lat dziesięciu, zdaniem mojem, brakowało lakoniczności czynów, zniecierpliwienia, nerwowości i choćby odrobiny zapala“.

Niewiem jakim będzie w sejmie los programu: reformy stosunków wiejskich; być może, iż w samolubstwie jednych, w ociążałości drugich, natrafi na nieprzeparte przeszkody, ale to pewna, że wybory odbyły się pod jego godłem, że on jeden z licznych po-

został programów i że stoi dziś jeszcze niezachwianie. Pierwsze to swoje zwycięstwo zawdzięcza poważnemu i dodatniemu dziennikarstwu tutejszemu, którego stan obecny zobowiązałem się wam przedstawić, podawszy w poprzednich listach znamiona ujemnego, jak je nazwałem, dziennikarstwa galicyjskiego.

Z pism codziennych lwowskich wyjątkiem jest urzędowa *Gazeta Lwowska*, której naczelnym i wyłącznym kierownikiem jest Władysław Łoziński. O tym dzienniku i o jego szanownym i wielce uzdolnionym naczelniku, wspomniałem obszernie, w chwili objęcia namiestnictwa przez hr. Potockiego. Przytem *Gazeta Lwowska*, jako rozpowszechniona w Cesarstwie rosyjskiem, znaną wam jest. Zwalnia mnie to od podania jej szczegółowego, raczej drobiazgowego życiorysu. Nie mogę przecież, chcąc przedstawić dokładny obraz tutejszego dziennikarstwa, zamilczeć o głównych jej znamionach.

Władysław Łoziński rozwiązał arcytrudne zadanie publicystyczne, bo stworzył dziennik urzędowy, nie błady, nie nudny, przeciwnie nader zajmujący. Jest to człowiek wielce wykształcony, znany już w innych gałęziach piśmiennictwa, nie tylko zaszczytnie, ale co rzadsza, przywiązująco do siebie, szczególnie jako powieściopisarz, wyjątkowo nie nużący, nie tuzinkowy, zawsze dobrego smaku. Sam dobrze wychowany, ma poczucie przyzwoitości i piękna, ma miarę i zmysł krytyczny: przebywał długo zagranicą, mianowicie w Paryżu, i umie łączyć lekkość francuską z wytrawnością i poważnym poglądem, właściwym narodom północnym. Jako osobistość jestto wyjątkowy literat we Lwowie, nigdy nie szedł szlakiem dziennikarzy tego miasta; zna na wylot ich usposobienie, ich wady i zdrożności, smagał nieraz ostro śmieszności, niewłaściwości i wicherzenia lwowskie, sam przecież słyszałem jak mówił, że nie umiałby żyć gdziekolwiek jak we Lwowie. Łoziński złożył niemal dowód chwalebnej odwagi obywatelskiej,

stając otwarcie na czele dziennika urzędowego, lecz zarazem złożył dowód wielkiej zręczności i rozumu, stwarzając zajmujący, wyborny, rzecz nawet można, znakomity dziennik. *Gazeta Lwowska* jest pismem namiestnictwa i, w ścisłym tego słowa znaczeniu, dziennikiem urzędowym, a ma jasny pogląd, wytrawny, do pewnego stopnia bezstronny sąd; jest urozmaiconą i zajmującą. Ma tę wielką zaletę, iż jest jedynym we Lwowie dziennikiem, który przeczytawszy, można być spokojnym, iż nie zostało się okłamanym i w błąd wprowadzonym, tak co do wewnętrznych jak i zewnętrznych spraw, tak co do ważniejszych jak też co do drobniejszych zdarzeń. *Gazeta Lwowska* wybornie nawet wytwornie pisana, pięknym polskim językiem, umieszcza tylko pewne wiadomości, umieszcza je uważnie a nigdy w jakimś zamiarze, ze znajomością rzeczy i stosunków tak monarchii jak i Europy; ma obfitą ale przyzwoitą kronikę drobnych zdarzeń; ozdabia ją wyborny i wyborowy odcinek; ma doskonale, treściwe, oczywiście zgodne z rządowym zapatrywaniem, przeglądy polityczne, kilka znamienitych listów, np. ze Stambułu i Wiednia. Niema ważniejszego zdarzenia w świecie umysłowym, artystycznym, naukowym, o którymby natychmiast nie zdała sprawy w sposób zajmujący i poważny, że wymienię tylko kroniki paryskie. Słowem, jest to, pod względem układu, dziennik niepospolity, poważny, wytrawny, który nie tylko, że rozwiązał trudne zadanie pisma urzędowego, nie bladego i nie nudnego, ale dokonał jeszcze może trudniejszego dzieła, bo jest we Lwowie dziennikiem zupełnie porządnym. Wyjątek zasługujący na podziw! kto zna tutejsze stosunki, ten przyzna, że ta druga część zadania była najtrudniejszą. Rzecz zdumiewająca i godna pożałowania, że tej wartości i doniosłości dziennik, samem już swoim istnieniem i przykładem, nie zdołał dotąd zadać stanowczego ciosu ujemnemu i gorszącemu dziennikarstwu lwow-

skiemu; widocznie jest on za rozumny, za wytrawny, za mało gorszący i paszkwilowy, niedość rozezochrany, niedość pieprzny i tłusty, dla znacznej części publiczności. Smak nie da się tak prędko naprawić, a kto przyzwyczai się do potraw pływających w starem maśle, kto jadł przez dłuższy czas na smalcu, ten nie zaraz potrafi ocenić, prostotą swoją znakomitej kuchni angielskiej, lub wykwintnej francuskiej. Bądź co bądź, stworzenie i utrzymanie przy dobrem zdrowiu tego dziennika było porażką, przede wszystkim dla dziennikarstwa lwowskiego, niewątpliwie z czasem jeszcze większy przyniesie mu uszczerbek. Stąd też srogie gniewy i miotanie się na *Gazetę Lwowską*. Jej odrodzeniu pod kierownictwem Łozińskiego, przypisać już należy osłabienie wpływu dziennikarstwa lwowskiego. O ile mi wiadomo, *Gazeta Lwowska* ma dość poważną liczbę czytelników, ich koło rozszerza się, może nie tak znacznie, jakby sobie tego życzyć należało, przecież w sposób obiecujący. Zarzuciłby można *Gazecie Lwowskiej*, że jako urzędowo-krajowy dziennik, zbyt mało zajmuje się Krakowem i Zachodnią Galicyą. Czy należy to przypisać powietrzu lwowskiemu, którem oddycha? Niemale za sobą pociąga kosztą wydawanie obok, wielce cennego, literacko-historycznego pisma: *Przewodnik Naukowy*, o którym wspomniałem już dawniej. Zasluga Łozińskiego jest tem większą, iż nie tylko może, ale musi powiedzieć jak Medea: *Moi dis-je et c'est assez!*

W samej rzeczy jest on nietylko duszą, także ciałem dziennika, *Gazeta Lwowska* najzupełniej i wyłącznie pochłania teraz jego pracę; i nie może być inaczej, bo Łoziński nie zdołałby znaleźć ani między starymi, ani między młodymi dziennikarzami lwowskimi współpracowników, na którychby się mógł spuścić zupełnie; szkoła Dobrzańskiego nie mogła wytworzyć ani wytrawnych, ani wytwornych, ani nawet przyzwoitych publicystów, jednak kierownik *Gazety Lwowskiej*

musi uczniami z tej szkoły posługiwać się w braku zupełnym innych, zatem do olbrzymiej pracy kierowania dziennikiem, tego znaczenia i tych rozmiarów, przybývá jeszcze trudniejsza: nadzorowania i czuwania nad niesfornymi, znarowionymi żywiołami, wytworzonemi duchem Dobrzańskiego! Jestto bezsprzecznie najcięższa strona zadania. Pojmiecie ile wytrawności, ile sprytu i subtelności poczucia potrzeba, aby kierować takim dziennikiem jak *Gazeta Lwowska*; tych zalet nie mogą posiadać uczniowie szkoły Dobrzańskiego, zastępować je zatem musi wyłącznie niepospolita zdolność naczelnego kierownika. Rzecz ta jest do tego stopnia prawdziwą, że nie dalej jak podczas ostatniej bytności Łozińskiego w Wiedniu, już czuć się dała w dzienniku jego nieobecność, już ohydny i obrzydliwy sposób dziennikarstwa lwowskiego zaczął pokazywać swe rogi w szpaltach *Gazety Lwowskiej*, choćby tylko w bezrozumnych i śmiesznych dopiskach do telegramów, w wykrzyknikach i znakach zapytania, niewłaściwych i gorszących, nie tylko w urzędowym, ale w każdym poważnym piśmie, a które wielce zaczęły dziwić zwykłych czytelników *Gazety*; znaleźli oni wytłomaczenie dopiero w wiadomości o nieobecności naczelnego kierownika. W części literackiej zadanie było mniej trudnem, już dlatego, że Łoziński znalazł, raczej odszukał lub stworzył siły rzeczywiście niepospolite, jak Kanteckiego, młodego, pracowitego historyka, który zdaje się chcieć kiedyś zastąpić Szajnochę — dalej autora „Kłopotów starego komendanta”; Maurycego Dzieduszyckiego; Kubalę i innych.

Łoziński stwarzając taką *Gazetę Lwowską* jaką jest obecnie, oddał prawdziwą, rzetelną przysługę, i w kraju, w którym tyłu ogranicza się na pustych słowach, a wielu twierdzi, z godnem podziwieniem poddaniem się, że nic nieda się zrobić — on dowiódł, że przy rozumie, wytrwa-

łości i odwadze, najtrudniejsze nawet rzeczy nie są i tu niemożliwemi do przeprowadzenia.

Najdawniej w Galicyi wychodzącem pismem codziennem, jest krakowski dziennik *Czas*; należy on do rzadkich nader zjawisk w tym kraju, bo do rzeczy udanych i trwałych. Powstały w pierwszych chwilach życia parlamentarnego w Austryi, bo w 1848 r., liczy już blisko trzydzieści lat istnienia. Pierwotnymi jego założycielami byli Paweł Popiel, Lucyan Siemiński, Adam Potocki. Niebawem dziennik ten przeszedł na własność głośnego i znanego bankiera Wincentego Kirchmayera, aczkolwiek nie przestał nigdy zostawać pod duchową opieką pierwotnych założycieli. Jedną z licznych, niemałych tutaj zasług, dzisiaj więcej nieszczęśliwego jak występnego Kirchmayera, było sumienne, troskliwe i rozumne zarządzanie tym dziennikiem. Prawda, że *Czas* oddawał mu to sownie, stwarzając mu *ipso facto*, stanowisko, którego by bez niego nie miał. Kirchmayer był to, rzec można, właściciel wzorowy. Nie skąpił na utrzymanie pisma, w pierwszych szczególniejszych czasach, zajmował się nim; przecież nigdy nie wywierał na niego nacisku, zostawiając znakomitemu jego kierownictwu zupełny samorząd. Po smutnej, bolesnej, a tak lekko-myślnej upadłości Kirchmayera, grono ludzi, których przekonania, stosunki i, powiedzieć można, szczerze przywiązanie łączyły z *Czasem*, nabyło go i obecnie jest jego własnością.

Dziennik ten założonym został od początku, nie na zysk, ale w celu bronięcia zasad i przekonań, w celu mianowicie bronięcia zdrowych pojęć społecznych i gospodarczych, wobec pojawiających się w 1848 roku socjalizmu i komunizmu. Temu pochodzeniu pozostał wiernym; można się zgadzać z nim lub nie zgadzać, ale to mu przyznać trzeba, że zawsze występował w obronie dobrze określonych zasad i przekonań, nigdy nie frymarczył, nigdy nie ubiegał się za pieniądze.

źnemi korzyściami. Odpowiednio do tego postępowania, nigdy wprawdzie nie kosztował, o ile mi wiadomo, i nie narażał swoich rozmaitych właścicieli na straty, lecz też nigdy nie przynosił im zysków, nawet często nie przynosił odsetek od wyłożonych pieniędzy. Być może, że za Kirchmayera, w połączeniu z drukarnią przynosił niejaki zyski, lecz rzecz trudna do sprawdzenia z powodu nieładu, który, jak wiadomo, zapanował w sprawach tego bankiera.

Nie da się zaprzeczyć, że pismo to jest jedynym tu-tejszym dziennikiem, około którego skupia się stronnictwo, stronnictwo zachowawcze, szczególnie zachodniej części kraju, we wszystkich swoich odcieniach, począwszy od katolików, umiarkowano zachowawczej szlachty i mieszczaństwa, aż do Stańczyków. Jako właściciele, występują osoby, jeżeli nie zupełnie jednakowych przekonań, to wielce do siebie zbliżone w głównych i najważniejszych zapatrywaniach, dość wymienić niektóre, aby się o tem przekonać. Głównymi właścicielami są: hr. Artur Potocki, Stanisław Tarnowski, Bank Galicyjski, hrabowie Ludwik i Henryk Wodzicy, dalej hr. Lasocki, ks. Sanguszko, Badeniowie, Paweł Popiel, Paszkowski, książęta Lubomirscy, Stanisław Koźmian, Henryk Lisicki oraz kierownicy i współpracownicy pisma i t. d. W ten sposób około własności dziennika, skupiły się siły i dążenia gotowe we ważniejszych sprawach iść wspólnie, pomimo odcieni, które je między sobą różnią. Pierwotne grono właścicieli było mniej liczne, następnie zwiększyło się dla zakupu drukarni, która jest niezbędną podstawą bytu dziennika. Drukarnia, własność Banku Galicyjskiego, zakupioną została na rzecz spółki złożonej z Henryka Lisickiego głównego właściciela i firmowego współnika, z hr. Artura Potockiego i Stanisława Koźmiana, który we wspólnie tej przedstawia tylko właścicieli dziennika, mających znaczny w tym interesie udział. Właściciele powierzyli kierownictwo

dziennika Redakcyi, której pozostawili najzupełniejszą, najrzeczywistszą niezależność, pod względem politycznym, społecznym, religijnym i literackim; czuwają jedynie nad bytem dziennika i zbierają się w tym celu poufnie, raz lub najwięcej dwa razy na rok. Ta niezależność Redakcyi, jest kamieniem węgielnym i główną podstawą przedsięwzięcia, bez niej zapanowałaby bezład lub samowola. Właściciele objąwszy dziennik po Kirchmayerze, pozostawili skład Redakcyi niezmieniony, i jej powierzyli nieograniczenie mozolne kierownictwo pisma. Składają ją Maurycy Mann, Aleksander Szukiewicz, Antoni Kłobukowski i Lucyan Siemieński, który wyłącznie dzierży część literacko-artystyczną. Aby dokładnie dać poznać dziennik, wypada powiedzieć słów kilka o każdym z jej filarów, więc o każdym kierowniku.

Maurycy Mann, powołany z Poznańskiego w pierwszych chwilach istnienia dziennika, jako główny jego redaktor, nie przestał nigdy być jego duszą, jego, w całym tego słowa znaczeniu, kierownikiem, zrosł się z nim i dziś stanowi z nim jedną nierozłączalną całość. Wykształcony wszechstronnie, wychowany za granicą, w Szwajcaryi i Francyi, Mann należał zawsze do najlepszych i najwyższych towarzystw, jest to człowiek światowy, przecież nigdy nie przestał ani na chwilę być dziennikarzem. Jestto pierwowzór dziennikarza gentlemana. Wielka prawość, wielka zaeność znamionuje tego męża, a umiał te główne, własne cechy nadać dziennikowi, którym blisko już od trzydziestu lat kieruje; stosując jednocześnie do niego obejście przyzwoite i wykwiłne dobrego towarzystwa, tak rzadkie u nas w codziennej publicystyce. Mann jest więcej jak dziennikarzem, to człowiek w najszlachetniejszym tego słowa, znaczeniu. Jako pisarz, znanym jest głównie na polu dziennikarstwa. Głośną się stała jego książka *Podróż na Wschód*, podróż, którą odbył z Adamem Potockim; pisał także dla teatru, w utworach tych, pomimo uste-

rek, znajduje się niezaprzeczenie siła dramatyczna i samodzielnosc pomysłów; niektóre jego dramata przedstawione były w Krakowie i Poznaniu. Jako dziennikarz, Mann obdarzony jest talentem, miarą, zmysłem, ma doskonałą znajomość stosunków europejskich, i siłę, którą nadaje, oparcie się o stałe przekonania społeczne i religijne. Jedyną może jego wadą, iż przez wielką miłość dla dziennika, obawia się zbyt często pomylić się, co hamuje czasem jego początkowanie; przecież umie je podnieść na czasie w sprawach krajowych, czego dowiódł kierunkiem jaki nadał dziennikowi, w chwili przyjścia do władzy Schmerlinga — ówczesne wstępne słowo w *Czasie* o stanowisku Galicyi w Austrii, pozostanie pomnikiem dziennikarskiej siły, rozumu i początkowania. Mann miał tę wielką cnotę, wspólną z innymi kierownikami *Czasu*, że umiał zawsze poświęcić własną osobę dla jego dobra; nadawało to dziennikowi niemalą siłę; aczkolwiek niewiem czy sam na tem dobrze wyszedł. Złączony przyjaźnią z znakomitymi ludźmi swojego czasu, nietylko w kraju ale i za granicą, tak z przekonania jak z obyczaju, przedstawiał w dzienniku zasady, wyobrażenia i dążności wyższych warstw społecznych, lecz nigdy nie dał się porwać ich namiętnościom, nigdy nie poświęcił im sprawy kraju i pisma; silnych przekonań religijnych nie zaparł się ich nigdy, lecz fałszem jest, aby wobec nich upośledzał istotne dobro narodu. Znamienite jego stosunki, wiele przyniosły i przynoszą dziennikowi korzyści, za ich to pośrednictwem ukazywały się w nim prace lub myśli znakomitych ludzi tegoczesnych, za ich pomocą dziennik dobrze był obsługiwany i miewa listy i wiadomości z najlepszych źródeł. Dziś trzydziestoletnia, wytrwała i nieprzerwana praca, nadwładzała Manna zdrowie, nie złamałszy ducha; pisać tyle ile dawniej, obecnie nie może, lecz nie przestał być duchowym kierownikiem dziennika; nie przestał zasłaniać

go i otaczać powagą zacności, prawości i rozumu, tak niezbędną aby utrzymać mir i znaczenie pisma, które nie jest wyrachowaniem na zysk. Mann niezmiernie przywiązany jest do *Czasu* i bardzo lubi swój zawód, przecież powiada, że gdyby pewnym był, że inni dziennikarze pójdą za jego przykładem, powiesiłby się! Istotnie dziennikarstwo z wielkiego mocarstwa przemieniło się zbyt prędko, w wielkie — nadużycie.

Rzadkim, a szczęśliwym trafem, Manna dopełnia najdawniejszy jego kolega Aleksander Szukiewicz. Mąż to silnego ustroju, żelaznej pracy, stanowi on zawodową podstawę dziennika, obdarzony zmysłem krytycznym, posiadając dokładną znajomość spraw politycznych, władając wybornie językiem, jest *la cheville ouvrière* pisma: niezmordowany, nieznudzony, chociaż nieraz ugina się widocznie pod nawalem roboty codziennej, nie lubi jej komu innemu odstępować. Obeznany ze sprawami świata, stworzył sobie świat odrębny, w którym wyłącznie żyje, tym światem jest dziennik, który nieraz zawdzięczał istnienie, jego wyjątkowej zdolności do nieustającej pracy. Podczas gdy Mann przedstawia wyższe warstwy społeczne w *Czasie*, Szukiewicz najdoskonalej przedstawia w nim zasnę, uczciwą, rozumną średnią, i tem właśnie dopełniają się oni w piśmie; to czego może Mann nie odczułby zawsze dostatecznie, odczuwa Szukiewicz i odwrotnie. Szukiewicz, cięty w walce na pióra, nie wolnym jest czasem od pewnej szorstkości, dowcip jego jest dotkliwy, lecz zwięzłe jego odpowiedzi na zaczepki mają w sobie siłę i nacechowane są znajomością warunków dziennikarskiego życia. Niezwykła wprawa i doświadczenie czynią z Szukiewicza wyjątkowego dziennikarza, który z największą swobodą potrafi w razie potrzeby, zappełnić *Czas* od dołu do góry, od kroniki i odcinka do wstępnego słowa, napisanego zawsze wytrawnie z jasnym i zdrowym poglądem. Dwóch tych ludzi, Szukiewicza i Manna nie-

tylko łączy długoletni zawód dziennikarski, ale ściśle spajają te same przymioty, objawiające się u jednego i drugiego w odmiennych kształtach. Stanowią oni nierozdzielalną całość i siłę dziennika; są to, niepodobni do siebie z rysów twarzy, bracia Siamscy, zrosnięci już po urodzeniu za pomocą pisma, które serdecznie kochają. I rzec można, że Mann-Szukiewicz to *Czas*, a *Czas*, to Mann-Szukiewicz.

Obok nich, raczej z nimi, dzieli w skromniejszych rozmiarach, od najdawniejszych lat, codzienną pracę, Antoni Kłobukowski, który podpisuje dziennik, jako odpowiedzialny wydawca. Przypomina mi to zabawne zdarzenie, malujące niski, niestety, poziom wykształcenia naszej czytającej publiczności, które zwykł był opowiadać znany z dowcipu Leon Skorupka. Podслуchał on w gospodzie rozmowę czytelników *Czasu*, dopiero co przybyłych ze wsi, którzy, widząc na końcu dziennika podpis Antoniego Kłobukowskiego, nie mogli się nadziwić i wychwalić pracowitość męża, który codziennie tak obszernie pismo zapełnia utworami własnego pióra. Oczywiście, że Antoni Kłobukowski nie zapełniał ani też zapełnia, jak mniemali owi dobroduszni czytelnicy, dziennika wyłącznie własnymi twórami, ale był zawsze i jest tem koniecznym kołem, które przyczynia się do prawidłowego ruchu — umie nastroić się do ogólnego poziomu dziennika, umie odpowiadać za niego przed władzą, zachować przystojnie granicę między dozwołonem a potrzebami publiczności; spokojem i zacnością zdania, dopomaga nieraz kolegom do utrzymania w dzienniku niezbędnej dla poważnego pisma równowagi. Pracownik sumienny, wytrwały i wierny w złej i dobrej doli, dzielił losy dziennika i odpowiadał za niego nie tylko podpisem ale i osobą. Od pewnego czasu dzierży wyłącznie ocenę teatralną, nie łatwą do prowadzenia w tutejszych stosunkach, gdzie zarówno zważać trzeba na rozwój sceny, jak na zachę-

canie nielicznej, ospałej publiczności do wspierania teatru; gdzie nie należy psuć aktorów i kierowników sceny zbyt wielkimi pochwałami, ani też zrażać publiczności lub dawać jej pozór do odsunięcia się od przybytku sztuki. Miarę umie Kłobukowski utrzymać, rzecz można, wybornie. Obeznany oddawna z teatrem, posiada niezaprzeczenie znajomość przedmiotu, aczkolwiek zamyka się czasem we formułkach; nazwany krakowskim Jules Janin, ze zimną krwią i trafnie umie przepływać przez szkopyły, publiczności, Dyrekcji i aktorów, chociaż nieraz narażony jest na niejedną z tych teatralnych burz, które i wam dobrze są znane; oskarżany często o zbyt wielkie pochwały dla tutejszej sceny, zdanie jego ma przecież w sprawach teatralnych znaczenie, a dość mieć nieco wprawy i sprytu, aby wybornie, między pochwalnemi wierszami jego ocen, wyczytać ostrożną, łagodną niemniej znaczącą naganę. Gani nieraz, ale nie szkodzi teatrowi, jest to niemała w tym kraju zasługa, gdzie nie umieją inaczej odszukać siedliska choroby, jak zabijając chorego i dopiero trupa potrafią opukać. Ile tu rzeczy zabito, chcąc je leczyć!

Na czele odcinka stoi Lucyan Siemieński, pierwszy literacki założyciel dziennika. Nazwisko to wymowniejszem jest od tego, cobym mógł powiedzieć, zbyt ono jest powszechnie znane, zbyt wielkie w dziejach literatury zajmuje miejsce, aby nie było ubliżającym dla czytelników chcieć ich objaśniać pod tym względem. Jest to zaszczytem i sławą dla *Czasu* mieć takie nazwisko w składzie Redakcji, mieć nazwisko poety-krytyka i pisarza, który tyle pięknych i wspaniałych stworzył rzeczy, który niedawno temu obdarzył społeczeństwo mistrzowskim tłumaczeniem „*Odyssei*“. Siemieński jest dla dziennika czemś więcej jak współpracownikiem, jest godłem, przed którym uchyla się głowę. Pierwszy ten dziś, niewątpliwie, stylistą u nas, zasiliał nieraz dziennik niezrównanymi dowcipem, świetnością i trafnością

uwag, pracami i ocenami, lecz niestety, zamało, za rzadko, nigdy z ciągłością; prawda że tej wartości rzeczy, nie dadzą się wyrabiać na godziny, na funty ani na łokcie, bo to nie tuzinkowy towar. Te świetlane metery, które ukazywały się, a teraz coraz rzadziej ukazują się w *Czasie*, nie zastępowały porządnego i ciągle starannego obrobienia odcinka, lecz zaprawdę okupywały ten brak.

Obok tych głównych kierowników, jest zastęp współpracowników, między którymi wyszczególnia się hr. Ludwik Dębicki, który rozpoczął swój zawód w szkole Walerego Wielogłowskiego, następnie stał się uczniem Manna i zagorzałym jego wyznawcą; pisarz z talentem, nie bez treści i myśli, nieco niedokładny, zanadto czasem jednostronny, aczkolwiek wędruje od odcinka do wstępnego słowa; uczeń pojętny mistrza, piszący ze zbytnią łatwością, lecz widocznie wyrabiający się z każdym dniem, pod wybornem kierownictwem, człowiek przekonanych, i to tak silnych, że w potrzebie umie stanąć czynnie w ich obronie, co mu powszechny zjednało szacunek, nawet ze strony przeciwników. Gdy był jeszcze współpracownikiem Wielogłowskiego, nazwano go „Benjaminkiem reakcyi“. Cyfrowicz, wyborny sprawozdawca spraw miejskich i sądowych, przedstawia pewne prądy miejskie. Oprócz nich, są inni młodzi współpracownicy, którzy, oby wyrobić się potrafili!

Rzecz godna uwagi, że szkoła tego dziennika łatwiej wytwarza ludzi, jak własnych współpracowników; jest w tem nieco podobna do teatru krakowskiego, który zasila inne sceny artystami, sam z trudnością — prócz kilku wiernych — zachować może lepszych. Siłę Redakcyi stanowi poniekąd, iż jest w sobie zamkniętą, iż ma swoją tradycyę, nieprzystępną dla wszystkich, iż ma swoje zwyczaje, nawyknięcia, swój sposób i swoje przesady. Wszystko to stoi przecież na przeszkodzie wytwarzaniu następców. Niejeden nowy żywioł, czując się

po pewnym przeciągu czasu, na siłach, woli opuścić dziennik, jak podrzędne w nim zajmować stanowisko; stąd też wielu jego współpracowników znajduje się, czy to w miesięcznych przeglądach, czy w Sejmie, czy w Wydziale Krajowym, lub w biurach ministeryalnych w Wiedniu, najmniej zaś ich pozostaje w piśmie, z którego powstał.

W ten sposób złożony dziennik, jest niemal jedynym tutaj sumiennym i rozumnym a niezależnym rzecznikiem spraw kraju. Przedewszystkiem ma tę wspólną z *Gazetą Lwowską* zaletę, wielce drogocenną tutaj, że nie zwodzi, nie okłamuje publiczności, pod względem tak większych jak i drobniejszych zdarzeń; podaje z wielką sumiennością wiadomości tylko pewne, podaje je oględnie, tak, że nawet woli zgrzeszyć zbyt ostrożnością, choćby się dał czasem wyprzedzić. Niema w nim języka galicyjskiego i wogóle pisany jest dobrą polszczyzną; raczej podchwytną czasem w tem piśmie, które uchodzi za ultramontańskie, galicyzmy! Rzeczywiście zdarza się, że *Czas* używa zwrotów francuskich, do których nawykł, pisząc o sprawach europejskich, i zajmując się dyplomatycznymi. — Wyrażenia i zwroty te streścił Bałucki w owem wstępnem słowie, nad którym poci się biedny radca. W treści swej, w dążnościach, broni *Czas* wytrwale zachowawczych przekonań społecznych, broni uczciwie, sumiennie, trzeźwo i zawsze przyzwoicie; z zasady unika osobistych zaczepiek, szanuje stosunki domowe. Jeżeli nie on wyłącznie rzuca w społeczeństwo zdrowe i poważne myśli, to rzecz można, że niema od trzydziestu blisko lat jednej zdrowej zasady, jednej uczciwej dążności, jednej żywotnej sprawy kraju, którychby nie popierał, za któremi by uporczywie i zacnie nie przemawiał.

Jemu zawdzięcza ten kraj, że nie zupełnie dał się ovladnąć i obalamucić warcholstwu i przewrotnemu dziennikarstwu. Pisany poważnie, spokojnie, przyzwoi-

cie, po europejsku, *Czas* jest jedynem codziennem piśmie, którego słowa mają jeszcze jakie takie znaczenie za granicami Galicyi, a był czas, że miały niemałe. — Zasługą jest jego, że umiał sobie wyrobić to stanowisko, aczkolwiek, czasem przeceniając je, popada w słabość częstego walczenia z *Timesem* lub *Journal des Debats*, które nie czytają go. Nie goni, nawet starannie unika tuzinkowej wziętości, przecież ma znaczenie w kraju i społeczeństwie, ma stanowisko, które daje wypróbowana zacność, rozum i poświęcenie; każdy człowiek poważny i uczciwy, dwa razy się namyśli, nim pójdzie wbrew jego zdaniu. Nie można powiedzieć, aby ogół za nim przepadał, ale nakazuje on szacunek, i bądź-co-bądź liczą się z nim. Zbyt poważny, zbyt staranny, nawet wykwiniony, aby mógł zupełnie przypaść do zepsutego czy nie wykształconego smaku tutejszej publiczności, poważanym jest i ma stanowisko powagi, którą wszyscy uznają, aczkolwiek niejednego nudzi, krępuje, czasem niecierpliwi.

I cóż powiecie, że dziennik ten nigdy nie doszedł do liczby czytelników, któremi poszczycić się może taka *Gazeta Narodowa*? Ma on stałych, wiernych przyjaciół, na których zawsze liczyć może, lecz koło to nie rozszerza się nigdy znacznie. Każdy się pyta co powiedział *Czas*? Nie wszyscy go czytają. Smutny to objaw i mało zalecający przykład dla uczciwego dziennikarstwa. Pieniężnie wspierają go znaczne ogłoszenia, które przybywają i cisną się do niego, szczególnie z Wiednia i zagranicy. Dziennik ten jest zadobrze, za roztropnie, za wstrzeźliwość, jednym słowem za sumiennie pisany dla upodobania tutejszej publiczności; aby im odpowiadał zupełnie, musiałby się zmienić, tem samem przestać być tem, czem jest. Nawet zwolennicy jego, nieraz zarzucają mu, że jest za ciężki, czasem nudny, za mało urozmaicony. Urozmaiconym jest dosyć, ale w kierunku poważnym, który nie odpowiada wyobrażeniu o różnaitości

większej części czytelników; ciężkim być musi nieco, pisząc sumiennie, statecznie i biorąc do serca sprawy, o których mówi; że zaś czasem jest trochę nudny, na to słusznie odpowiada: abym był zabawny, jak to wielu rozumie, musiałbym przyjąć sposób lwowskich dzienników; czy życzyście sobie tego, czy nie widzicie do czego to prowadzi? Być może, że należałoby znaleźć środek i pójść pośrednią drogą. — Zapominać przecież nie trzeba, że to dziennik poważny, który wobec wyuzdania i popospolitości tutejszego piśmiennictwa nie może zgrzeszyć zbytnią ostrożnością i wstrzemięźliwością, i tak kształtem jak treścią, stać winien wytrwale na straży godności pióra.

Widzimy z tego, co powyżej powiedziałem, że nie małemi są zasługi *Czasu*, że jest jedyną tutaj siłą, przeciwważącą ujemne dziennikarstwo; pomimo usterek nieodłącznych od rzeczy ludzkich, jest to dziennik przynoszący zaszczyt tutejszemu piśmiennictwu — i, rzecz nawet można, przynoszący wogóle zaszczyt literaturze i zawodowi pisarskiemu. Nie wzbogacił właścicieli, ani kierowników, a ci dzielni pracownicy, ci sumienni i znakomici publicyści, po trzydziestu latach wytrwałej i zacnej pracy, żyją ze skromnych wynagrodzeń, takich samych, jak w chwili w której rozpoczynali zawód — a w dniu, w którymby nie mogli pracować, znaleźliby się wobec najzupelniejszej nędzy; ani urzędy, ani zaszczyty nie spłynęły na nich; krom największego: poczucia spełnionego sumiennie i zacie do ostatniej godziny obowiązku.

A społeczeństwo, dla którego pracowali, co uczyniło dla nich? Ze smutkiem wyznać trzeba, że nic, zgoła nic; skąpiło im nawet głośnego uznania, oddając je poniekąd mimowolnie w cichości. Smutny to objaw, powtarzam raz jeszcze, przykra strona tutejszych stosunków, wśród których zbiera się dowoli laury za zgorzenie, nie zdobywa się obywatelskiego wieńca za

prawdziwą zasługę. — Rozważcie ten znamieny rys, że nie pomyślano nawet o wysłaniu do Sejmu jednego z tych ludzi tak politycznie wytrawnych, tak obeznanych już przez samą wprawę ze sprawami publicznymi, tak im sumiennie oddanych! Jest to może jedyny przykład, żeby nie zasiadał w Sejmie żaden członek dziennika, będącego wyrazem znacznego stronnictwa — przykład, który jest zarazem świadectwem ubóstwa politycznego wyborców. A jednak tych ludzi i ich dziennik cenią niezawodnie tutaj, skoro nie powiodły się liczne próby założenia w Krakowie pisma codziennego w rodzaju lwowskich. Próbowano pod różnemi kształtami i nazwiskami, bezowocnie i samokupstwo pozostało zawsze przy dzienniku, którego znamiona podałem, który, trzeba mu to przyznać, może strzedz lubi przywileju, lecz nietylko nie nadużywa go ale umie używać z wykwinną miarą i sumiennością. Zaczepiany wiecznie przez lwowskie dzienniki, umie być wstrzemięźliwym i przyzwoitym w walce, a w niecie, przez tamte, podniecanem, bezrozumnem przeciwieństwem Lwowa do Krakowa, zajmuje jedynie odporne stanowisko. Jest to jedyny dziennik galicyjski, któremu nie idzie o osoby, ale o rzecz. Można, powtarzam, nie zgadzać się z nim, można wytykać błędy i usterki, lecz ktokolwiek się szanuje, nie odmówi mu szacunku.

Niedawno temu ukazał się tu dzienniczek niepolityczny *Kuryer Krakowski*, o którym nic jeszcze stanowczego powiedzieć się nie da; chyba że dość szczęśliwie zaczyna naśladować *Kuryery warszawskie*, że jest przyzwoity; że, jak się zdaje, nieuczciwym nie będzie, i że w ostatnich dniach nieco się ożywił.

Pozostaje mi jeszcze, dla dopełnienia obrazu, pomówić o miesięcznych pismach, oraz wspomnieć o mniejszych ludowych i zawodowych.

XIII.

Kraków, 12 grudnia 1876 r.

W życiu publicznem galicyjskiem nastął po wyborach zastój. Wedle wskazówek nadchodzących z Wiednia, sejmy nie tak prędko się zbiorą, bo prace Rady Państwa w sprawie ugody z Węgrami potrważają do lata. Gdyby jednak przyszło do zmiany ministeryum, prawdopodobnie nastąpiłoby rozwiązanie Rady Państwa i wcześniejsze zwołanie sejmów. Poza temi ważnemi sprawami, weale dotąd niewyjaśnionemi, inne drobniejsze idą zwykłym trybem, lecz nie przedstawiają nic takiego, coby godnem było wzmianki na tem miejscu. Wrzekome zachcianki jakiejś chorobliwej ruchliwości, poza obrębem poważnych i rzeczywistych rzeczy krajowych, nie warte nawet wspomnienia, rozbijają się o zdrowy rozum ogółu; są to poprostu objawy warcholstwa jednostek, bez jutra, które nie znajdują w społeczeństwie odgłosu. Do ich rzędu zaliczyć należy zamiar pewnej lwowskiej klikki, powołania posłów tamtejszych do Rady Państwa, aby wytlómaczyli się z postępowania podczas obrad nad polityką zewnętrzną monarchii. Zamiar ten nie znalazł najmniejszego poparcia, natychmiast zaliczono go do rzędu „tromtadratycznych“ nawyknień lwowskich. Posłowie odmówili stanąć przed wyborcami, nawet Smolka miał bardzo stanowczo i ostro odpowiedzieć na to nieuprawnione wezwanie; nareszcie namiestnictwo najrozumniej postąpiło, zabraniając zwołania owego zebrania, które było wymysłem zaledwie kilku ludzi. Wszystko to świadczy najwymowniej, że, jak wam pisałem, kraj chce się trudnić tylko rzeczywistemi swojemi sprawami i pragnie zachować ową neutralność, o której w ostatnim liście wspomniałem.

Jak już wiecie i jak już donieśliście, straciliśmy na niwie rzeczywistych spraw krajowych dzielnego i znakomitego pracownika, Maurycego Manna. Kilka dni przed jego tak niespodziewaną śmiercią, naszkicowałem jego wizerunek. Teraz, gdy go już między nami niema, nie mam nic do dodania lub ujęcia z tego co powiedziałem. Świadczy to najlepiej, iż był to mąż, o którym całą prawdę wypowiedzieć można było za życia. Z tego, co wtedy napisałem, osądzić możecie ważność i doniosłość poniesionej straty; jeżeli jest dotkliwą dla piśmienictwa i społeczeństwa, to tem dotkliwszą jest dla *Czasu*, którego Mann był duszą, w wielu wypadkach tarczą. Dziennik ten jednak opiera się o dość silny zastęp ludzi, zatem niewątpliwie pomyślą oni o jego przyszłości; tymczasem, wspierany wyborną tradycją i doświadczeniami, wypróbowanemi siłami, które pozostały, spełniać będzie dalej swoje powołanie. Już 4 b. m. odbyło się zebranie właścicieli, w celu porozumienia się i zastrawienia nad położeniem dziennika; odłożono przecież postanowienie ostateczne do przyszłego miesiąca, prosząc i upoważniając pozostałą Redakcyę, aby dalej kierowała nawą *Czasu*.

Świat naukowy tutejszy poniósł także znaczną stratę w osobie prof. Skobla. Był to cichy, spokojny człowiek, oddany wyłącznie nauce, wojowniczym był tylko w sprawie czystości języka ojczystego. Nad grobem jego miał mowę prezes Mayer. Dr Skobel był w swoim rodzaju pierwowzorową postacią, nawet dziwakiem; należał do okresu, który wytwarzał jeszcze pierwowzory, gdy nasz coraz jest w nie uboższy. Jakby dla zrównoważenia ich braku w życiu, ujrzymy niebawem cały ich szereg na scenie nakreślony ręką mistrza w odtwarzaniu ich i chwytaniu na gorącym uczynku. Już znany wam jest wynik narad Rady, powołanej przez syna Fredry, do rozpoznania pośmiertnych jego dzieł scenicznych. Narady te odbywały się głównie tutaj, dokąd w tym

celu przybył hr. Jan Aleksander Fredro. Spis pozostałych po nieśmiertelnym komedyopisarzu utworów najwymowniej świadczy, jak ważną i pożądaną jest jego spuścizna dla naszych teatrów. Należałoby dla dobra sceny, aby tak publiczność, jak i krytyka, wyjątkowo nastroiły się do przyjęcia tych utworów; ażeby tak, jak czynił Machiavell, gdy zasiadał do czytania starożytnych pisarzy, przybrały świąteczne szaty; a przez to rozumieć, aby tak publiczność jak krytyka, pozbyły się w tym wypadku wszystkich, już wyszarzanych drobniutek i poziomych względów i względzików, aby zawiesiły na kółku recepty a przystąpiły do tych przedstawień w pełnym stroju zamilowania i znawstwa, o ile stać, na to ostatnie. Utwory pozostałe po Fredrze nie mogą być w żadnym razie pospolitemi, bo by je był spalił, lub syn jego i powołana Rada nie dopuściły na scenę, na to aby nimi zaćmić najczystsza sławę. Mierzyć te utwory zwykłą miarą, byłoby małostką. Płody te, wielkiego talentu, są w każdym razie wyższe i znamienitsze od tego wszystkiego, co się na naszych scenach ukazało od zamknięcia Fredry. Są przecież między nimi różnice i stopnie wyższe i niższe, tak samo, jak w znanych już utworach. Zdaje się, że obawa, iż dla aktorów dzisiejszych trudnem będzie zadanie występowania w pośmiertnych komedyach Fredry, była płonna; niema bowiem w nich owych zaginionych postaci przeszłości ze „Zemsty“ lub „Pana Jowialskiego“; przeciwnie, Fredro ze swego pokoju śledził bacznie ruch i postęp świata, i nieznanne jego komedye są zastosowane do bieżących czasów; jest nawet w nich ruch nierównie większy, jak w znanych już, i tem zbliżają się do komedyi francuskiej, zachowując przecież piętno samodzielności Fredrowskiej, i w wysokim stopniu znamię narodowe. Rada bardzo roztropnie postąpiła, dzieląc przed stawienia tych siedemnastu utworów na trzy lata. Widocznie pamiętną była zasady, że najlepsza rzecz podana

w zbytniej obfitości może przesyć. Są i inne względy, które przemawiają za postanowieniem Rady: komedye Fredry winny być z największą dokładnością i możliwą doskonałością wystawione; otóż niepodobna, aby aktorki w jednym roku mogli należycie i wytwornie wyuczyć się siedemnastu utworów tego znaczenia, siedemnastu utworów zawierających w sobie niewątpliwie wielką ilość pierwszorzędnych postaci. Nareszcie, choćby to było możliwem, nie pozostałoby miejsca dla innych nowych, rodzinnych rzeczy, coby było niesprawiedliwością i ze szkodą dla kiełkującego rozwoju, swojskiego piśmiennictwa dramatycznego. Rozkład przedstawień tak jest ułożony, że nie od razu, ukażą się najcelniejsze utwory, przeplatać je będą niższej względnie wartości. Teraz nie pozostaje nam, jak oczekiwać z namaszczeniem, broń Boże! z popolityą ciekawością, ukazania się na scenach pierwszego szeregu utworów pośmiertnych Fredry; to nie dziennik, w którymbyśmy mogli szukać nowin i nowinek, to dzieło, do przeczytania którego, trzeba nam zasiąść z przygotowaniem. Mentorem, raczej Arystotelesem publiczności w tym wypadku, winno być poważne piśmiennictwo. Tutaj, w Galicyi, krytyka teatralna, z małemi wyjątkami, jest zbyt pobieżną, zbyt zaniedbaną, we Lwowie zupełnie pauperską. Nie wątpię przecież, że w tym wypadku poważna część dziennikarstwa, o której pisałem w poprzednim liście, potrafi sprostać zadaniu. Pisma nie trudniące się, w zwykłych okolicznościach, zbyt często teatrem, nie zechcą pozostać w tyle za innemi, gdy przyjdzie ocenić pośmiertne dzieła Fredry. Przybędzie wtedy sąd hr. Tarnowskiego w tu-tejszym *Przeglądzie*; pisarz ten dowiódł już, że zna się na pięknościach komedyi Fredrowskich.

Przyznać trzeba, że jeżeli nasze pisma miesięczne w zwykłych okolicznościach nie zawsze odpowiadają zadaniu, to w nadzwyczajnych umieją nastroić się do ważności chwili lub przedmiotu; powiedziałbym nawet,

że jest to ich głównem znamieniem. Stosownie do wziętego zobowiązania, zamierzam podać wam dziś ich ocenę.

Przedewszystkiem z niekłamanem zadowoleniem zapisuję, że obydwie *Przeglądy* miesięczne wychodzące w Galicyi, należą do dodatniego piśmiennictwa; zadowolenie moje łatwo pojmiecie, bo czujecie niewątpliwie, jak przykrem i wstrętnem jest dotykane się tak niesmacznego i cuchnącego przedmiotu, jakim jest, tutejsze dziennikarstwo, które w przeszłych listach podciągnąłem pod nazwę, dziennikarstwa ujemnego.

We Lwowie wychodzi od lat, jeżeli się nie mylę, sześciu, *Przegląd Lwowski* dwa razy na miesiąc, 1-go i 15-go; każdy zeszyt ma od pięciu do sześciu arkuszy druku. Jestto pismo niemal wyłącznie religijne i znajduje też największe poparcie w duchowieństwie; prawie każdy proboszcz czyta je, co mu pozwala osiągnąć do liczby ośmiuset prenumeratorów, z którą tutaj pismo miesięczne — może poniekąd żyć o własnych siłach. Przytem ma podobno zamożnych opiekunów, miał ich z pewnością w chwili, gdy go założono. Głównym jego kierownikiem jest ksiądz Edward Podolski; między współpracownikami znajdują się: hr. Ludwik Dembiński, pisujący do tego pisma z Krakowa, znany autor *Skargi* hr. Maurycy Dzieduszycki, wymowny, przeważnie wojujący kaznodzieja, ks. Golian; wielu światłych i uczonych członków Zakonu Jezusowego, między nimi głównie ks. Załęski. Ks. Podolski odznacza się ruchliwością, ożywieniem, początkowaniem i odwagą w popieraniu i obronie przekonań, za którymi stoi; posuwa nawet czasem tę odwagę aż do lekkomyślności, mogącej szkodzić sprawie, dla której naraża siebie i pismo swoje. Będąc przedmiotem pocisków humorystyki, ma zbyt często pochopność do walczenia z nią, jej własną bronią. Ks. Podolski przezwany przez paszkwiliistów tutejszych Edziem, marzył o stworzeniu humorystyki

katolickiej, i chciał ją wyprowadzić w pole przeciw bezwyznaniowości; spostrzegł się przecież, że taka ruchawka nie daje żadnej rękojmi, że gotowa zawsze przejść do nieprzyjaciela, bo natura ciągnie wilka do lasu; zaniechał też tego płochego zamiaru. Przecież ciągnęła wojna z dziennikarstwem lwowskiem popycha nieraz *Przegląd Lwowski* do zbyt namiętnych wycieczek i do używania zwrotów i przezwisk, których nie powstydzilaby się *Gazeta Narodowa* lub *Dziennik Polski*. Pismo to wyraża się nieraz gwałtownie. Pojmiecie łatwo, iż z istoty swej jest jednostronnem. Czuć je sutanną. Rzecz godna uwagi, jak często, w najszanowniejszych pismach religijnych mało jest miłości chrześcijańskiej. Jestto niewątpliwie skutkiem zbyt silnych acz godnych szacunku przekonań. U nas jest jeszcze inna tego przyczyna, u nas prawie wszyscy dziennikarze i pisarze religijni zachorowali na *veuilliotyzm*. To co u Ludwika Veuillot jest wrodzonym, zapal, szyderstwo, siła w wyrażeniach, sztucznem jest u jego naśladowców. Wielu z nich muiema przecież, że spełnienie całkowite obowiązku polega na naśladowaniu sposobu używanego przez słynnego ex-kierownika *Uniwers*; są oni poronionemi płodami rozgorączkowanego sumienia. W zapale *Przegląd Lwowski* strzela czasem nie tylko do przeciwników, nawet do sprzymierzeńców. Przed paru laty uderzył na tutejszy areczachowawczy *Przegląd Polski*, upatrując w nim bodaj czy nie początki nowego kacerstwa, które ochrzcił nazwą *moderantyzmu*. Walka ta skończyła się przecież zgodą i uczciwem ze strony *Przeglądu Lwowskiego* poparciem *Przeglądu Polskiego*, gdy ten ujrzał się obskoczonym ze wszech stron, w niebezpiecznym przesmyku głośnych *Porcyi*. *Przegląd Lwowski*, jak każda rzecz ludzka, a jest nią i to pismo, pomimo swej pobożnej treści i religijnej dążności, ma wady i niedostatki. — W sprawach monarchii ma barwę wyraźnie związkową, już przez pociąg do zachowawczo-katolickiego

stronnictwa w Austrii. Nienawiść jaką mu zaprzysięgło ujemne dziennikarstwo, podnosi jego znaczenie i wartość w oczach ludzi uczciwych i rozsądnych. Ma tę zasługę, iż rzuca nieco światła w szeregi tutejszego duchowieństwa, które nie błyszczy umysłowem wykształceniem. Życzyć sobie należy, aby kiedyś nie popadł w to, co pewien mój przyjaciel dowcipnie nazywa tromtadracją zachowawczości i religijności; bo wtedy, broniąc nawet najlepszej sprawy, zbliżyłby się bezwiednie sposobem i środkami do tych, z którymi dziś wytrwale walczy — i zamiast jednej tromtadracji, którą pogardzać można, mielibyśmy drugą, nad którą ubolewać by trzeba.

Wyraz *tromtadracja* wyłącznie galicyjski, zapamiętać należy chcąc zrozumieć stosunki tutejsze. Powstał on nikt nie wie kiedy i jak; podobno stworzył go Lam. — Oznacza warcholsko-wichrzące skrajno-demagogiczne a bałamutne żywioły i ich działania. Tak się przyjął, iż niepodobna nie używać go.

Najwybitniejszym z tutejszych dodatnich pism jest niezawodnie *Przegląd Polski*, wychodzący zeszytami dziesięcioarkuszowemi, raz na miesiąc, pierwszego. Stanowisko społeczne i polityczne jego założycieli i kierowników nadało mu odrazu wyjątkowe znaczenie. Powstał w roku 1866, w chwili nader ważnych wypadków, bo podczas wojny prusko-austriackiej. Czterech, wówczas młodych ludzi, czując potrzebę pracy dla siebie i innych, czując, że im większa była próżnia, tem skwapliwiej należało ją zapełniać, powzięło myśl założenia pisma miesięcznego, przedstawiającego trzeźwo, sumienie, przede wszystkim rozumnie, istotne dobro społeczeństwa. Od początku zatem pismo to wolnem było od wszelkich zachcianek zysku, lecz nie wolnem zarazem od pewnego dyletantyzmu i złudzeń; aczkolwiek w ważnych sprawach brało sobie za zadanie walkę ze złudzeniami. Pod względem układu, założyciele widocznie

marzyli o *Revue des deux Mondes*, o wytworzeniu dla naszego społeczeństwa czegoś podobnego do znakomitego pisma kierowanego przez Buloz. *Przegląd Polski* powstał przecież głównie pod głębokim wpływem smutnych wrażeń 1863 roku, może i wyrzutów sumienia.

Zjawiskiem to było zaiste u nas, aby *des fils de familles*, zamiast oddawać się zabawie, lub smętnemu rozpamiętywaniu, zamiast gonić za osobistemi zyskami lub wyczekiwać filozoficznie lepszych czasów, wzięli się do pracy i wstąpili odrazu z podniesioną przyłbicą, bo z własnemi podpisami, w szranki publicystyki i literatury. Było to więcej jak założeniem pisma, bo czynem obywatelskim i dobrym przykładem.

Panowie hr. Stanisław Tarnowski, hr. Ludwik Wodzicki, Stanisław Koźmian i Józef Szujski, założyli *Przegląd Polski* w r. 1866 r. i pierwszy jego zeszyt wyszedł 1 lipca tegoż roku pod odpowiedzialnem kierownictwem Koźmiana, z wytyczną rozprawą dzisiejszego ministra, Floryana Ziemiałkowskiego, przy odgłosie dział z pod Sadowy.

Zanim pomówię o dalszych losach pisma, winienem powiedzieć kilka słów o jego kierownikach, tem więcej, że w tym wypadku ludzie większego może są znaczenia, jak samo przedsięwzięcie.

Hrabia Ludwik Wodzicki, nie mieszkając stale w Krakowie, nie mógł brać czynnego udziału w piśmie, przecież zasilał je czasem zdrowemi poglądami na sprawy krajowe, zawsze był z niem duchowo związany, wpływał na jego kierunek, a chociaż może, szczególnie później, nie zawsze pochwalał pewne skrajności *Przeglądu*, przecież zespalał się z nim i stał w jednym szeregu z jego czynnymi współpracownikami. Ocenę przyszłego marszałka sejmowego podałem w jednym z poprzednich listów; nie będę jej zatem tu powtarzał. Dziś zajmuje on jedno z wybitnych stanowisk w tym kraju, i zbyt jest znanym jako członek Sejmu, poseł do

Rady Państwa, zbyt wiadome są powszechnie wysokie godności, które mu często ofiarowywano, których dotąd, dla różnych powodów nie chciał przyjąć, abym potrzebował rozwodzić się nad tym mężem, który wiele obiecując, ma jeszcze przed sobą zadanie zapelnienia karty, zwanej w życiu publicznem — niewiadomą.

Hr. Stanisław Tarnowski, piórem i kieszenią najczynniejszy współpracownik *Przeglądu Polskiego*, zdobył sobie od chwili założenia pisma, tak głośne i wybitne stanowisko w piśmiennictwie, że jeżeli zawdzięcza to po części *Przeglądowi*, to bezsprzecznie, *Przegląd* jemu zawdzięcza możność nadawania rozgłosu. Jest tak pod względem serca, jak umysłu, wyjątkowo i bogato uposażony; jest to jeden z tych ludzi, którzy czynią zaszczyt każdemu społeczeństwu, którzy w takich jak tutejsze stosunkach i okolicznościach, są jego ozdobą i stają się drogocennymi czynnikami życia umysłowego i wogóle wszelkiego życia. Hr. Tarnowski znanym jest, jako mówca, publiczności warszawskiej. Nabrał w ostatnich czasach wielkiej wprawy w wymowie, na której zbywało mu w początkach. Mówi łatwo, zajmująco, pociągająco, czasem w dykeyi trąci nieco przesadą, aczkolwiek sam wysoko ceni prostotę. Lekki odcień wymuszoności, który możnaby mu zarzucić, nie jest mu wrodzonym, pochodzi raczej z nieśmiałości, której, pomimo tylu publicznych wystąpień, nie mógł się dotąd całkiem pozbyć. Jako krytyk, hrabia Tarnowski włada niezrównanie piórem; to co pisze jest często zabawniejszem i więcej zajmującym, jak to o czem pisze. Umie rozciekawić, nawet roznamiętnić do przedmiotu, o którym mówi. Widzi zawsze wszystkie piękności dzieła i umie je roztoczyć przed czytelnikiem, czasem upatruje błędy, których niema lub które niewarto podnosić. Obok wspaniałego sposobu wykazania dodatnich stron, nadto jest drobiazgowym w odszukiwaniu usterków. Nieawiszć do mierności stała się u hr. Tarnowskiego na-

miętnością, która jak każda namiętność, zaślepia i skłania do przesady. Uznaje tylko to, co stoi u szczytu piękna, i umie to po mistrzowsku ocenić; pomija lub pastwi się nielitościwie nad całą skalą, łączącą szczyty z poziomem, zbytecznie nieubłagany jest dla poziomu. Dlatego ocena jego, kiedy opuszcza szczyty, przemienia się w niezrównany dowcipem i szyderstwem pamflet, ale w pamflet. Z temi zaletami pierwszorzędnymi i samorodnymi wadami, hr. Tarnowski jest niezaprzeczenie jednym z najświetniejszych u nas krytyków; czyta się go, już nie dlatego, aby zapoznać się z przedmiotem, który rozbiera, ale ażeby dowiedzieć się co on o nim myśli.

Jako publicysta, hr. Tarnowski ma niesłychaną, może zbyteczną łatwość pióra; przejęty zawsze stroną duchową przedmiotu, rzuca świetnie na papier zdrowe myśli; czuć w tem co pisze: sumienie! Czuć, że spełnia obowiązek, w ważnych sprawach nikt nie literat wobec obywatela. Ta gorąca miłość rzeczy publicznej, może go czasem popchnęła niebacznie za daleko, lecz zawsze w dobrej wierze, w najszlachetniejszych zamiarach, bez myśli o sobie, z miłością dla rzeczy. Wielka odwaga znamionująca *Przegląd*, jest także wybitnym rysem hr. Tarnowskiego, jako publicysty, posuwa ją nieraz do bezprzykładnej śmiałości. Jest to rycerz, który walczy dzielnie, czasem nawet zapamiętale, bo walczy zawsze z przekonania. Połączenie uzdolnienia umysłowego, daru literackiego, z pierwszorzędnymi zaletami i, powiem nawet, wadami człowieka, stanowi jego urok. Czytając świetne rozprawy hr. Tarnowskiego, pełne zapału, dowcipu, szyderstwa, czasem namiętne, mało kto mógłby się domyślić, że pierwszym początkiem jego zawodu literackiego nie było co innego, jak głębokie poczucie obowiązku; przecież tak jest, i hrabia Tarnowski jest przede wszystkim człowiekiem obowiązku. Należy do tych, dla których imię i stanowisko są tylko wskazów-

kami Opatrzności, iż im przypada zadanie pracowania dla innych i za innych! Tem uczuciem powodowany, szukał on zawsze sposobności do pracy i okazał się w niej niezmiernym. W dojrzałym już wieku, niezadawalniając się pracą w *Przeglądzie*, Sejmie, Radzie Państwa, postanowił zostać profesorem wszechnicy Jagiellońskiej i w przeciągu roku zdał liczne, trudne egzamina, które potrzebne były do zajęcia katedry; zdał je z podziwem egzaminatorów, przy oklaskach całej zdrowej i uczeiwej publiczności. Dziś, jedyną ujemną stroną jego zawodu jest, iż zbyt ciężko jest obciążonym i zbyt wiele bierze na swoje barki. Hr. Tarnowski zawiele pisze i o zbyt rozmaitych przedmiotach; powszechność jest dla tego pięknego zjawiska pisarskiego szkopułem, którego strzedz się powinno. Nie należy drobnymi pieniędzmi roztrwonić tak drogocennej, rzadkiej u nas gotówki, nie należy o wszystkim przemawiać, kiedy się ma przywilej przemawiania skutecznie w ważnych sprawach i rozstrzygających chwilach. Lecz ten wyjątkowy człowiek, ten człowiek obowiązku, ten nielitościwy krytyk, ten Jowisz piorunujący na mierność, ten smok, polykający na śniadanie tuziny tuzinkowych poetów i artystów a nigdy nie nasycony, ten Cato czy Skarga we fraku, chłosczący największe i zbyt drobne zdrożności naszego społeczeństwa, jest najlepszym i pełnym serca człowiekiem. Niczego odmówić nie umie, od wielkiej usługi do drobnej, od mów pogrzebowych nad mogiłami znakomitych ludzi, do życiorysu o zupełnie nieznanym człowieku; nie umie zaś przedewszystkiem usunąć się od żadnej pracy, i dlatego obarczają go nią zbyt ciężko. Hr. Tarnowski jest zbyt znakomitym mężem, aby miał być: *La bonne à tout faire!*

Koźmian, przechodząc z *Czasu* do *Przeglądu Polskiego*, przynosił ze sobą najwięcej zawodowych dziennikarskich wiadomości; był pod tym względem najmniej dyletantem, objął też i nadał kierunek polityczny pismu,

pisząc w niem przez dziesięć lat *Przegląd polityczny* i umieszczając w dość wielkich odstępach rozprawy o ważniejszych sprawach zewnętrznych i krajowych. Obdarzony trafnym zmysłem politycznym, umiając dotknąć najważniejszej strony każdego położenia, z powodu nieco rozrzuconego sposobu życia, nie zawsze chce, czy umie sobie zadać przymus wypracowania przedmiotu. Rzuca myśli, zostawiając innym obrobienie szczegółów. Styl jego, gdy chce poprawny, jędry, zbyt często, gdy mu się nie chce, jest „szlafrokowym“ a nawet ten wyraz utarł się już tutaj, aby określić wtedy jego sposób pisania. Zwykle czuć w tem co pisze, pośpiech, chęć przedkiego skończenia rozpoczętej pracy; czuć, że rozprawa pisana była między próbą w teatrze a grą w klubie. Ma zasługę odważnej, otwartej, czasem także zbyt daleko posuniętej walki z niedorzecznością i z brakiem odwagi obywatelskiej. Karcil zawsze nielitościwie, zapamiętałe te dwie wady społeczeństwa. Zaprawiwszy się na tej każdomiesięcznej walce, zasmakował w niej i doszedł widocznie do tego, że z nieukrytą przyjennością zaczepia i gromi przeciwników, czasem nawet bez potrzeby. Nie mogąc czy nie chcąc być popularnym, starał się o rozgłos, który daje niezwykłą niepopularność. Było w tem zapewne wiele prawdy, wiele przekonania, ale było niewątpliwie także wiele chęci zwrócenia na siebie uwagi. Żadnego też może z kierowników *Przeglądu Polskiego* tak zajadle i wytrwale nie szarpały tutejsze dzienniki i tutejsza humorystyka, jak Koźmiana. Odwdzięczał się im sowicie. Przez długi czas, nie tylko nie unikał, poszukiwał z zapalem walki, a ktoś o nim powiedział: „że jego zadaniem jest kłócić się ze wszystkimi“. Jak hr. Tarnowski upatrzył sobie ofiarę w mierności literackiej i artystycznej, tak Koźmian obrał sobie za przedmiot prześladowania — chęć popularności, twierdząc, iż ona była i jest źródłem wszelkiego u nas złego, a tak dalece posunął jednostronność i namiętność

w tym względzie, że popadł w przeciwną ostateczność, to jest, że doszedł tam, gdzie niepopularność szkodzić już zaczyna, nie tylko człowiekowi, ale rzeczy, nietylko osobie ale i sprawie, której się broni. Obrany posłem z tarnowskiego, następnie członkiem Rady Państwa, wypełniając te nowe obowiązki nie bez znajomości rzeczy, lecz z pewnem lekceważeniem i wygodnem *dolce farniente*, a z wielką stanowczością zdania i drażniącym sposobem wyrażania go, sam jeden oświadczył się przeciw opuszczeniu Rady Państwa w roku 1870 i niezadługo doszedł do najzupełniejszego nieporozumienia z wyborcami. Od tej chwili objął, jak wiadomo, Dyrekcję teatru tutejszego, nie przestając być politycznym kierownikiem *Przeglądu*. Człowiek to niezaprzeczenie zdolny, lecz nie chcący czy nie umiejący dostatecznie rozwinąć i zużytkować wrodzonych darów, zastępujących u niego niezupełnie gruntowną naukę. Mniemano przez pewien czas, iż zachowuje się na ważniejszą chwilę życia publicznego, lecz jakoś ta chwila nigdy nie nadeszła. O nim to powiedział Waininger, dziś oskarżony w sprawie nieprawnie nabytych starożytności w Wiedniu, lecz człowiek nader sprytny, że Koźmian to leżący kapitał, czyniąc dowcipnie przymówkę do zbyt długiego spania posła do Rady Państwa. Określenie to złośliwe było trafne. Koźmian zerwał w publicystyce z utartymi receptami, lecz w walce dochodzi czasem do ostatnich granic, poza któremi może nastąpić zetknięcie się ze sposobem ujemnego dziennikarstwa tutejszego. Po słynnej sprawie *Porcygi*, w której czynny i wybitny, w skutkach szkodliwy, wziął udział, zaprzestał pisywać *przeglądy polityczne* i dopiero w tym roku odezwał się we wspomnieniu o Fredrze i w owej zasadniczej rozprawie o „Naszych stosunkach“, której treść jest wam znana. Określić dokładnie Koźmiana, nie jest rzeczą łatwą; dla tutejszej szlachty ten publicysta ultrazachowawczy, tak w społecznym jak i religijnym kierunku,

zarazem, chociaż z urzędu, gość zakulisowy i członek klubów, jest zjawiskiem, z którego sobie zdać ona sprawy nie może; niewątpliwie są tu sprzeczności, zdaniem mojem, pochodzą głównie stąd, że Koźmian zbyt często zapomina, że nie jest w Paryżu ale tylko w Krakowie. Dość, że aczkolwiek jest tu wogóle lubianym nawet cenionym, przecież stał się jednym z najmniejpopularniejszych ludzi, w wielu kierunkach, z własnej winy, człowiekiem ubezwładnionym: leżącym kapitałem.

Spotykasz nieraz człowieka z włosami i brodą w nieładzie ze starymi książkami pod pachą, spieszy roztargniony, raczej zamyślony z „Akademii“ na Sławkowskiej ulicy do „Uniwersytetu“ na ulicy św. Anny, lub odwrotnie; mijają idących znajomych, lecz gdy go zaczepisz, wita cię serdecznym i miłym uśmiechem, w którym odbija się niejako dusza jego; to Józef Szujski, trzeci kierownik *Przeglądu Polskiego* i jedna z najwybitniejszych i najszlachetniejszych postaci tutejszych.

Szujski zbyt jest znanym jako historyk i poeta dramatyczny, abym rozwodził się nad nim pod temi względami; ramy tych listów nie wystarczyłyby zresztą na pomieszczenie sumiennego ocenienia niepospolitych prac, na których czcigodny pisarz wycisnął swe piętno.

Szujski jest przede wszystkim człowiekiem serca; to co miłuje, miłuje gorąco i właśnie dlatego wzywa na pomoc rozum, wiedząc, że bez tej podpory szkodzi się zwykle temu, co się miłuje. Poeta w duszy, prawdziwy zatem poeta, nie tylko w rymach, ale w każdym „calu“ swojego jestestwa, nie był nigdy wolnym od pewnych porywów i uniesień; dopiero wielką miłością doszedł do pohamowania ich w tem, czem mogły się stać szkodliwymi, doszedł do zupełnej równowagi ze samym sobą i do ujęcia w karby rozumu, postępowania swojego, swojej wyobraźni i swoich porywów. — Była niezawodnie chwila w jego życiu, w której nie stał na tem stanowisku, jakie dziś mężnie i wytrwale zajmuje;

tem samem był on, nigdy zupełnie ale nieco oddalonym od wyobrażeń *Przeglądu Polskiego*. — Przystąpienie jego do założenia tego pisma, miało zatem znaczenie i doniosłość; dowodziło, że zaane serca i wyższe umysły czuły potrzebę znienienia dotychczasowych zgubnych kierunków. Wejście Szujskiego na drogę *Przeglądu*, powitane przez jednych z radością, srodze przez drugich potępione i nazwane odstępstwem, było ważnem zdarzeniem, które wzmocniło w tym kraju sprawę rozsądku i uczciwości publicznej, przynosząc jej pomoc zaszczytnej przeszłości, sumiennej pracy i niezwykłych zdolności. Szujski obeznany wszechstronnie z dziejami, wniknąwszy w ich istotę; czerpał i czerpie z nich naukę życia i postępowania w terażniejszości. — Warcholstwo i wichrzenie przedstawiły mu się w dziejach, jako najzgubniejsze, najujemniejsze znamiona usposobienia narodowego, karci je zatem nielitościwie, jako pisarz, ale karząc, nie przestaje miłować; wszystko, co z pod jego pióra wychodzi, ma w sobie ciepło, które ogrzewa a nie parzy. Pisząc, nigdy nie myśli o sobie. Wśród niezliczonych piękności wysłowienia i myśli, wciskają się niekiedy pewne niejasności, nie pochodzą one z nieświadomości celu i zamiaru, ale z bujnej wyobraźni, z wykwintego sposobu myślenia, nie zawsze przystępnego dla ogółu. Szujski zanadto liczy na domyślność publiczności, idąc za polotem wyższej myśli, nie dość wyraźnie wciela ją. Jest artystą, dla którego wstrętnem jest kładzenie zbytniego nacisku. Rozmiłowany w wyżynach piękna, chciałby je widzieć urzeczywistnionemi w postępowaniu i czynach społeczeństwa, lecz zbyt jest rozumnym, aby oddawał się pod tym względem złudzeniom! Pragnienia zatem jego pozostają platoniecznemi i nikt nie umie równie trafnie dojrzeć i określić wad naszych, równie odważnie i szlachetnie je karcić. Lecz jeżeli Szujski jest nieublaganym dla warcholskich i balamutnych dążeń, to wcale nie jest zaślepionym pod względem własnego stron-

nictwa; zna wybornie jego wady, widzi niebezpieczeństwa, na które się ono nieraz dobrowolnie i bezużytecznie naraża, i całym swoim wpływem usiłuje powstrzymać je na drodze mogącej doprowadzić do śmieszności, lub, co gorsza, do samolubstwa. Prześladowany zawzięcie przez ujemne dziennikarstwo tutejsze, znosi jego pociski ze wspianym spokojem, który jest czemś więcej, jak zwykłą pogardą. Mimo tego, w gruncie rzeczy, wzbudza ogólny, powszechny szacunek, i o granitową podstawę tego szacunku odbijają się pociski nieprzyjaznego mu piśmienictwa. Szujski jest przede wszystkim człowiekiem pracy, twardej pracy. Jeżeli dla Tarnowskiego praca jest obowiązkiem; dla Koźmiana jedną rozrywką więcej, to dla Szujskiego jest ona potrzebą, jest tym żywiołem, w którym żyje i czynnikiem głównym duchowego i cielesnego jestestwa. Profesor Uniwersytetu, sekretarz „Akademii“ i jej dusza, jak prezes Mayer jest jej głową, posel na Sejm ze Sandeckiego, kierownik *Przeglądu Polskiego* Szujski poświęca noce badaniu dziejów, a jeszcze znajduje dość czasu, aby napisać dramat o głębokich myślach, jak niedawno wyszły pod nazwą „Smierć Władysława IV“. — Jest to najzaciej zapelniony zawód, jaki zdarzyło mi się tutaj spotkać.

Ci trzej ludzie, stanowiący główną podstawę *Przeglądu*, już dostatecznie dają go poznać i znamionują pismo; tem więcej, że każdy z nich wycisnął na niem swoje piętno a wszyscy razem wzięci, układają się do równowagi, tak pod względem treści, jak i kształtu.

Każdy z tych trzech kierowników ma oprócz *Przeglądu* inne ważne zatrudnienia: Tarnowski katedrę, Szujski katedrę i Akademię, Koźmian teatr. Każdy z nich zatem zajmuje się pisaniem, nieco mimochodem; stąd pewien szkodliwy zakrada się dyletantyzm, stąd w układzie ważne usterki, nieakuratne ukazywanie się zeszytów, które tu przeszło w przysłowie, niemiłosierna korekta i, obok rzeczy znakomitych, inne umieszczone

widocznie na to tylko, aby zapłacić zeszyt. Sporadycznie *Przegląd* bywa świetnym, brak mu ciągłości w zdawaniu sprawy z ruchu społecznego, umysłowego i artystycznego. Tysiące rzeczy pomija milczeniem, lub mówi o nich zbyt pobieżnie. Nad tą częścią zadania czuwać ma ten, który podpisuje się na okładce, jako odpowiedzialny. Był nim przez długi czas Ludwik Powiday, następnie Skrochowski; obecnie, nie podpisując się jako odpowiedzialny, jest gospodarzem profesor Zataj i zdaje się, że nareszcie pod tym względem *Przegląd* dobil szczęśliwie do portu. Widoczne i znaczące bowiem nastąpiło polepszenie, czuć umiejętną rękę, kierowaną silną wolą; czuć chęć utrzymania ład i porządku w piśmie, które przemawiając za ładem i porządkiem w społeczeństwie, samo przez się dawało przykład nieładu i nieakuratności. Do tego *Przegląd* pozyskał, jako politycznego kronikarza Szukiewicza, zasłużonego kierownika *Czasu*, pisarza doświadczonego i umiejętnego; a tak, w chwili, w której zaczęto mówić o jego zgonie, odrodził się on.

Wpływ *Przeglądu* na wyobrażenia i życie publiczne tutejsze, był znaczny i doniosły. Stanowi on przełom w życiu duchowym społeczeństwa i ani dzisiaj, ani tutaj, nie podobna go należycie ocenić. *Przegląd* zadał cios ostateczny postępowaniu opartemu na złudzeniach i porywach; z drugiej strony on, w największej części, przyczynił się do wytworzenia dzisiejszego stosunku kraju do monarchii. Pod względem zaś psychicznym, *Przegląd* dał przykład, mało dotąd naśladowany przez innych, lecz który nie pozostał bez wpływu na cały ustroj — odwagi cywilnej; tej odwagi cywilnej, tak mało u nas znanej, zupełnie niemal zanikłej w dziedzinie publicystyki. *Przegląd* wogóle ma większe, zdaniem mojem, znaczenie jako czyn, niż jako pismo. Odpowiednio też do tego, ma więcej doniosłości niż prenumeratorów. Każda ważniejsza rozprawa *Przeglądu* staje się

niemal wypadkiem, wywołuje podziw, gniewy, walkę, czasem nawet straszne burze, jak to miało miejsce z powodu *Porcyi*, lecz *Przegląd* nigdy nie miał więcej, jak pięciuset stałych czytelników. Zawsze właściciele jego dopłacali i dopłacają; temi pieniędzmi, które na niego wydano, możnaby kilka pism założyć. Raz tylko znacznie zwiększyła się liczba prenumeratorów; raz tylko, rozrywano sobie pojedyncze zeszyty *Przeglądu*, oto wtedy, kiedy ukazywała się w nim głośna i osławiona „TeKa Stańczyka!“ Był to też szczyt pisma, pod względem jego zasad, jego duchowego znaczenia w społeczeństwie i wpływu na umysły. Burza, którą wtedy *Przegląd* wywołał, zapewniła mu pierwszorzędne stanowisko; i wtedy to, czego dokonać nie mogły usiłowania najznakomitszych ludzi, dążenia poważnych dzienników, to czego bezowocnie pragnęli tacy mężowie, jak Jerzy Lubomirski, Adam Potocki i inni, stało się za pomocą pamfletu: powstało stronnictwo społeczne i polityczne, ustaliło się od chwili, w której przeciwnicy ochrzcili jego członków mianem — Stańczyków. Można ganić sposób, lecz niepodobna nie uznać doniosłości i znaczenia pamfletu, który tyle miał w sobie twórczej siły, że dał początek szkole i stronnictwu. Musiał być z talentem napisany i głębiej obmyślany.

Talentów i głębszych myśli nie brak w *Przeglądzie*. Prócz prac kierowników, ukazują się tam pisma ludzi niepospolitych; przemawiali w nim i przemawiają nie tylko literaci i publicyści, także mężowie ze znaczeniem i doświadczeni w sprawach publicznych. Brak przecież tam czegoś: oto głównie nie znizenia się, czego w żaden sposób wymagać nie można, ale zrozumienia i obrachowania się z poziomem, dla którego ostatecznie się pisze; brak także niektórych drobnych szczegółów, niezbędnych dla zadowolenia publiczności. *Przegląd Polski* zbyt często zamykał się zawsze w swej wyższości. Z murów tej twierdzy prażył na lewo, czasem i na

prawo, aż nareszcie wywołał zniecierpliwienie i wytrzymać musiał walny szturm tych, których chorągiew powiewała na baszcie. Była to chwila stanowcza; przekonawszy się, że na nikogo i na niczyją pomoc rachować nie może, spostrzegł, że trzeba albo opuścić twierdzę, albo poddać się. Tymczasem zajął wyczekujące stanowisko i pomyślał, jak wszystkie dziś państwa, o przekształceniu wojska. Czy ono się powiedzie i czy będzie skutecznym, przyszłość okaże. To pewna, że dotąd dowódcy chcieli prowadzić wojnę nieco na dawny sposób, nie tyle licznymi jak wyborowymi siłami. Wszyscy trzej chorowali na wyłączość i ta wyłączość oddziaływała na pismo. Ma ona w sobie coś szlachetnego i wykwintnego, nieraz staje się potężną siłą. Ale gdy niema do niej dostatecznych warunków, lub odpowiedniego gruntu, okazuje się zwykle niedostateczną. Wyłączość kierowników *Przeglądu*, pozbawiła ich wielu sił, szczególnie wielu zwolenników, nie ochroniła pisma od miernot i mało nieraz zajmujących rzeczy. Pozostała dumną w zasadzie, nierównie będąc skromniejszą w zastosowaniu.

Przegląd broniąc pewnych, stałych zasad, będąc piśmie zachowawczem i katolickiem, miał przecież w początkach widoczny zamiar przestrzegania miary, omijania wszelkich śmieszności i przesad, zerwania z małostkami i małodusznością, zbyt często przyczepiającemi się do tego kierunku. — Chciał okazać, że można go obrać bez zaślepienia lub zdziecinniałości. Wogóle starał się wytrwać w tem roztropnem przedsięwzięciu; przecież zbiegiem okoliczności, pod naciskiem rozwijających się wypadków, czasem namiętnością piszących w nim, tracił równowagę i przekraczał granice, które sobie sam nakreślił: „Dokąd to zaszedł *Przegląd*, od chwili, w której ja mogłem w nim napisać kierujące słowo“ miał kiedyś powiedzieć minister Ziemiałkowski. Przytaczam to orzeczenie, chociaż w tej mierze nie może ono mieć rozstrzygającego znaczenia. Ziemiałkowski, którego

zdolności i zasługi z pewnością cenię, zanadto przecież całe życie związanym był i przesiąkniętym wyobrażeniami wiedeńskiej wolnomysłności, aby mógł odczuć dostatecznie, co w pewnych chwilach, odpowiadało rdzennym potrzebom kraju. Ale to pewna, że *Przegląd Polski* zgrzeszył nieraz przesadą, a kierownicy jego nie powinni zapominać, że tam gdzie się zaczyna przesada, tam się kończy siła.

Niezaprzeczoną zasługą *Przeglądu* pozostanie, że zawsze i wytrwale przemawiał za naprawą stosunków wiejskich, i że dziś wywiesił ją, jako swój sztandar. Byt i przyszłość tego kraju zależą od wytworzenia za- możnego chłopca.

Przedstawiłem wam stan obecny tutejszego dzien- nikarstwa i tutejszej publicystyki. Mało mi już pozostaje dodać, aby dopełnić obrazu. Oprócz piśm, o których wspomniałem, wychodzą wydawnictwa zawodowe, któ- rych opis nie przedstawiałby dla was szczególnego za- jęcia. Wychodzą we Lwowie i Krakowie, tygodniki prawnicze, lekarskie, poświęcone rolnictwu, leśnictwu i myślistwu; wychodzi tu *Przewodnik rolniczo-ekono- miczny* wydawany przez Alfreda Szczepańskiego bę- dący w związku z wielkim zakładem narzędzi rolni- czych Zieleniewskiego. Wszystkie te pisma mają mało czytelników i niewielkie niestety znaczenie; wszystkie muszą być wspierane, aby istnieć, i często też przestają istnieć, a publiczność nawet nie wie o ich zgonie, tak jest pod temi względami obojętną. *Przegląd krytyczny* znany i u was, gromadzi około siebie kilkunastu ludzi wielce zdolnych; prace ukazujące się w nim są sumienne, ze znajomością gruntowną rzeczy pisane; lecz właśnie z powodu zalet swych i ścisłej przedmiotowości, nie jest on dla tutejszej publiczności przystępnym, jest dla wszyst- kich z nadzwyczaj małemi wyjątkami, martwą literą. Podobno ma też przestać wychodzić. Wydawnictwa co- roczne Zakładu Ossolińskich i nierównie liczniejsze i do-

nićlejsze Akademii, mają wartość i znaczenie, lecz niema komu tych zalet ocenić i służą one głównie do zbogacenia księgozbiorów. — Ociężałość, brak szerszego umysłowego życia, brak czytającej publiczności, pozbawia wszystkie powyższe przedsięwzięcia wszelkiej żywotności. — Dział pism ludowych, jest prawie zupełnie zaniedbanym, co tem dziwniejsza, że kraj ten posiada niezrównanego w tym rodzaju pisarza Anczyca; a tem więcej pożałowania godnem, że dość już znaczna ilość szkół ludowych przysparza co roku po wsiach czytelników, potrzebujących zdrowego, umysłowego pokarmu. Ludowe pisma wydaje obecnie ks. Stojalowski; jest ich, jeżeli się nie mylę, dwa: *Wieniec* i *Piast*. Nie umiem nic powiedzieć o ich wartości. Kierownik ich puszcza się często na wzburzone morze dziennikarskiej walki galicyjskiej, nie zawsze szczęśliwie; *il nage entre deux eaux*, żeby nie użyć polskiego przysłowia.

Checiałbym abyście mogli powziąć jasne wyobrażenie o stanie publicystyki tutejszej z przedstawionego wam w moich listach obrazu; bo jest to niezbędnem do rozpoznania się w tutejszych stosunkach, dla mnie koniecznem, abym był zrozumiałym dla czytelników waszego dziennika.

Okazuje się z tego obrazu, że liczba ujemnych i dodatnich pism równoważy się niemal; lecz niestety, wpływ pierwszych, jest nierównie dotąd większy, nietylko że mają więcej od dodatnich czytelników, mają nierównie więcej wzięcia; robią nierównie więcej złego, aniżeli drugie dobrego.

Najgłówniejszą przeszkodą, najważniejszą tutaj dla prawdy zaporą, jest ociężałość, ospałość, wstręt do czytania, które przebudzić i poruszyć zdolnymi są zgorszenie, zuchwałość, bezczelność, ale nigdy myśl i słowo wyrzeczone w imieniu zdrowego rozsądku, sumienia i obowiązku. Jest tu publiczność bawiąca się dziennikami, niema publiczności umiejącej czytać dzienniki.

Przerzuca się tu pisma i chwytą się w lot co one piszą i co skłamią, brak zupełny zastanowienia nad wartością tego, co się czyta, brak zdrowej i roztropnej oceny; i to właśnie stanowi całą siłę ujemnego, całą słabość dodatniego dziennikarstwa. Ci nawet, którzy nauczyli się czytać, nie umieją tutaj czytać.

Zakończę własnem wspomnieniem powyższy pogląd na tutejsze piśmiennictwo. — Przed laty pisma miejscowe dały obiad dla Libelta; wnoszono niezliczoną ilość toastów na cześć pisarzy, literatów, dziennikarzy; w końcu powstałem i rzekłem: „Wznosiliście panowie zdrowia piszących u nas, ja teraz pozwolę sobie wnieść zdrowia czytających i umiejących czytać; tych jest najmniej, a są oni najdrogocenniejszymi, gdyż bez nich nie podobaby pić zdrowia piszących“.

Dodam, co może wydawać się paradoxem, że bodaj czy tutaj niema więcej ludzi umiejących pisać, jak umiejących czytać, więcej piszących, jak czytających.

XIV.

Kraków, 18 grudnia 1876 r.

Sprężyną życia Galicyi jest w obecnym okresie poczucie odpowiedzialności narodowej w skutku, znanych wypadków: klęski 1863 r. spadłej na kraje polskie pod panowaniem rosyjskiem oraz korzystnych warunków narodowych, w jakich ona jedna się znalazła; odpowiedzialności, z której wynikły: obowiązek i zadanie dla części, zastępowania całości, dla Galicyi, Polski. Ten powód wzniosły i ta szlachetna siła poruszająca, wytworzyły przeważnie dzisiejsze położenie. W nich szukać należy dodatnich i ujemnych jego stron. One bowiem miały w sobie z jednej strony ożywczą moc, z drugiej wymagania ponad możność.

Im zawdzięcza Galicya odrodzenie, które się rozpoczęło około 1866 r., które objawiło się w Krakowie, spowodowane w znacznej mierze przez przodujących Stańczyków. Odrodzenie jest istotne, znaczne, nieraz świetne. Na podstawie swobód publicznych i narodowych oraz zasad szkoły stańczykowskiej, rozpoczął się okres, w którym przedewszystkiem polityka galicyjska odznaczyła się zdrowym i rozumnym kierunkiem w stosunku do państwa; zdobyła znaczne korzyści od państwa i wpływ na państwo; zajaśniali ludzie znakomici, dbali o życie umysłowe, pragnący słabnące ożywić i wzmocnić; talenta, mowcy pierwszorzędni, publicyści, historycy, artyści; nauka uprawiana jest przez krakowski Uniwersytet i Akademię; zakwitły sztuki piękne, zwłaszcza malarstwo; powstało piśmiennictwo polityczne; teatr nabral niezwykłego blasku, ozdobiony pierwszorzędnymi aktorami; rozwinęło się życie towarzyskie. Jest to choć względne ale odrodzenie. Jego twórcami byli niepospolicci, wyjątkowi ludzie, ogół nie bierze w niem należytego udziału; jest to dzieło ludzi nie ludności. Ludzie, nie społeczeństwo, odczuli odpowiedzialność o której wyżej mówię. To też jest to raczej odrodzenie w Galicyi, jak Galicyi. Zadanie zastępowania gdzieindziej spętanej Polski i wypełnienia sobą okresu dziejowego, okazało się też ponad siły i ujawniła się jego sztuczność. — Nie jest to bynajmniej powodem ustania, zatrzymania się, zaniechania tego co możliwe, co spełnionem być winno dla siebie i za inne upośledzone części Polski. Przeciwnie, trzeba iść naprzód pod grozą cofnięcia się. Trzeba zrozumieć, że najskuteczniej służy się całej Polsce, pracując u siebie dla polskości. Tu zaś zaczyna się ujemna strona tujszych stosunków, o której nieraz ze zbytnią może odzywałem się gorczyzą. Określić ją można słowy — niedostateczne korzystanie z danych warunków, marnowanie czasu i zasobów, nie rozwijanie się należyte. Mogliście zauważyć, iż co chwila przyszło mi wspominać w tych

listach o znakomitych mowcach. Ludzie umieją tu nierównie lepiej mówić niż działać.

W chwili przyznania Galicyi swobód narodowych, w początkach odrodzenia, szlachta znalazła się na swoim miejscu; zajęła górujące, przodujące i kierujące stanowisko, co nie było trudnem, gdyż nie było nikogo, któryby ją mógł uprzedzić. — Każdej jednak rządzącej kascie, grożą trzy niebezpieczeństwa, bo są trzy powody, które stopniowo doprowadzają ją do upadku nie zaś dopływ ludowy.

Kasta zdrażająca do upadku, poczyną od wyzucia się z pragnień wielkich rzeczy, od znieczulenia dla wzniosłych dążeń, od zaniechania doniosłych przedsięwzięć. A że wszystko jest względnem; więc i w tej mierze nie zmienia w niczem następstw, czy kasta znajduje się na czele potężnego państwa, czy też małego kraju lub społeczeństwa pozbawionego bytu państwowego.

Następnie kasta obojętnieje dla potęgi, korzyści i bezpieczeństwa państwa lub rzeczy publicznej, staje się samolubną, zamyka się w ciasnem własnem kole. — Wreszcie kasta zapomina o sobie, o swym własnym bycie i bezpieczeństwie, o swej przyszłości, każdy w niej myśli tylko o sobie i własnej korzyści; samolubstwo osobiste, zastępuje samolubstwo zbiorowe i jest to ostatni stopień poniżenia. Kasta nie badając jego przyczyn poczyną odczuwać trwogę i idzie bezwiednie, stopniowo w niewolę wicherzycieli, którzy jej grożą: liczy się z niemi bezmyślnie i bezdusznie; członkowie kasty, każdy na swoją rękę, zdradza politycznie kastę ustępstwami i słabością wobec żywiołów wywrotu, to jest tych, które zajmą zaprzepaszczone stanowiska; tu się zaczyna zniekształcenie.

Wtedy upadek jest gotów a lada wypadek czy przypadek tylko go stwierdza; ruch ludowy lub zewnętrzny czynnik. Ale kasta podkopala się sama, nie obalil ją wcale lud lub zewnętrzny nieprzyjaciel.

Tych trzech stopni upadku i każdego z osobna, winnaby się wystrzegać szlachta galicyjska i w nich nie zaś gdzieindziej widzieć dla siebie niebezpieczeństwa. Czasem zdawaćby się mogło, że szlachta galicyjska, rozpoczyna od końca upadek, tak się okazuje nieraz lekliwą, wobec skrajnych, demagogicznych żywiołów, zwłaszcza demagogów a po tutejszemu *tromtadratów*. Mając jeszcze w ręku kierownictwo w sprawie publicznej i większość w Sejmie, zdaje się nieraz postępować jedynie ze względu na skrajne stronnictwa, z obawy niepopularności i pod rozkazami demagogii, przedewszystkiem ze strachu przed sławetnem opaskudzeniem w dziennikach! Jak dawniej szlachcie miał swojego żyda, tak teraz ma swojego demagoga czy też *tromtadratę*, z którym przedewszystkiem się liczy, który jest jego Egierią i zarazem aniołem opiekuńczym, zasłaniającym go przed opaskudzeniem w dziennikach!

Tymczasem ta obawa a z niej pochodzące uszanowanie dla tutejszej demagogii i liczenie się z nią, jej przewodcami, ich warcholstwem, ich wichrzeniem i ich dziennikami, polegają na złudzeniu. — Demagogia tutejsza na nikim się nie opiera niema istotnej siły, ma tę tylko, którą jej daje maloduszność kasty kierującej.

Widma niebezpieczne są tylko dla tych, którzy się ich boją!

Prawdziwie ważną i doniosłą sprawą tutejszą jest jedynie wiejska i chłopska; w niej tkwi niebezpieczeństwo lub przyszłość. Nie dopuścić wpływu na nią warcholskiej demagogii, którego dotąd ona niema, zapewnić i ustalić własny, oto najważniejsze zadanie kierującej kasty. Dlatego Tarnowski mógł, pisząc *Porcyę*, zbłądzić w szczegółach i przesadą, ale miał najzupełniejszą słusność, kładąc palec na ranę, może następując na nagniotek.

Przejdźmy do pogodniejszej dziedziny.

Przekład *Odysei* Lucjana Siemieńskiego jest pomnikiem dziełem okresu odrodzenia w Galicyi. — Był

czas, w którym ukazanie się go, ogólne byłoby w Polsce obudziło zajęcie. Mówionoby o nim jako o literackiem zdarzeniu nie tylko w kołach uczonych, także na zebraniach poufnych, w towarzystwach, w salonach. Spieranoby się co do sposobu tłumaczenia Homera, smakowanoby w przedmowie Siemieńskiego, cieszonoby się, że wielki wieszcz godnie przełożonym został na ojczystą mowę.

Gdzież są owe czasy pięknych, dobrodusznych uniesień literackich, owych gorących sprzeczek klasyków i romantyków, zamienianych listów, dowcipów, przycinaków i zawziętych walk, gdzież są owe czasy silnych przekonań nawet literackich, owych tryumfów i porażek, słowem, gdzie owe urocze czasy życia umysłowego i szlachetnych zajęć, rozrywek i rozkoszy, które zdobyły życie! Przeszły jak wszystko i zdawaćby się mogło, że u nas bodaj czy nie bezpowrotnie! Ich miejsce zajęła proza życia, owa dziś poetyzowana proza pana Jourdain, która zaiste nie zapełnia próżni, pozostałej po zniknięciu ze życia poezyi i wykwintnych rozkoszy umysłowych; przeciwnie próżnia ta jest coraz bardziej dotkliwa, zimna, krew się w niej ścina a ogrzewa się jedynie przy wspomnieniach przeszłości, podobnej dziś do wspańskiego lasu zniszczonego niebaczną ręką.

Wiem, że to przeistoczenie życia umysłowego w tem co miało w sobie najszlachetniejszego i najwykwintniejszego, nie jest nam wyłącznie właściwem, wiem, że jest jedną z ogólnych oznak ogólnego obniżenia, że przyczyny szukać by należało i odszukać by łatwo można w powszechnem skrzywieniu duchowych warunków życia, w fałszywym kierunku światowym, w złudnej walce bez wytchnienia o byt i w towarzyszącej jej pyrze. Odszukać by można przyczynę zarówno w przewrotach społecznych jak politycznych i religijnych, które na wyścigi obdzierały ludzkość i życie ludzkie z tego wszystkiego co stanowiło i wiecznie stanowić będzie jego urok, jego szlachetność, słowem w gorączce niszcze-

nia wszelkiej wyższości, tak samo, jak paryska komuna paliła wyniosłe gmachy, co były pamiątkami przeszłości.

Prawda więc, że obojętność dla szlachetnych ćwiczeń umysłu, że chłód w świecie literackim i artystycznym nie są dziś właściwościami jedynie polskiego społeczeństwa, lecz następstwem ogólnego usposobienia; niemniej przecież objawy te właśnie u nas są zadziwiającymi i niepokojącymi; inni bowiem zastąpili subtelne rozkosze umysłowe, być może iż gminnie, ale nieprzebraną, nieustającą czynnością i działalnością na innych polach, inni zbierają nasycające owoce a wyrzekłszy się wytworniejszych i wyższych uciech, doszli przynajmniej do poziomego używania i mają jego obfitość, mają za jakość, ilość; lecz my biedni i złupieni, niedołężni, marzyciele nawet w poziomości, co nam pozostanie, czem żyć będziemy, skoro wyrzekniemy się używania duchowego, rozkoszy umysłowych, skoro zerwiemy z ich tradycją, która wspierała u nas narodową a gonić będziemy za tem innym używaniem, które dla innych jest rzeczywistem; dla nas zwodniczą marą. W biegu tym omdlejemy, ustaniemy, jak ten żebrak, goniący za pociągiem kolei żelaznej w nadziei, że podróżni rzucą mu kilka groszy i pozostaniemy żebrakiem. Nie widzę, abyśmy w ubóstwianej obecnie dziedzinie materyalnej wielkimi mogli poszczycić się zdobyczami; widzę ze smutkiem, że w umysłowej z każdym dniem tracimy grunt pod nogami, chłodniejemy, oziębiamy się i obojętniejemy dla rzeczy wzniosłych i szlachetnych a zasób literacki, którym długo żyliśmy, rozdrabniamy i roztrwaniamy zdawkowym pieniądzem. Od rozbioru Polski obecna chwila jest w tej mierze najbardziej pożałowania godną. Nie zawsze mieliśmy wielkich pisarzy, wieszczów i artystów, raczej mieliśmy ich wyjątkowo, lecz do dzisiejszego okresu były zawsze u nas ogniska życia umysłowego i literackiego, które ogrzewały, w których przechowywał się święty ogień; nie mówię o ogniskach urzędo-

wych, których znaczenie oceniam należycie, choć najmniej może ogrzewają, ale o towarzyskich, rodzinnych i rodowych, które jedne należyte i potrzebne wydzielają ciepło, konieczne, dla takich roślin jak literatura i sztuka. Akademia, szkoły, uniwersytety, wydawnictwa i pisma nie rozpowszechnią zamilowania literatury i szlachetnych umysłu ćwiczeń, jeżeli nie będzie miejsc zbornych dla nich, cieplarni w którychby wyrabiał się dobry smak i zamilowanie piękna; jeżeli w społeczeństwie nie będzie dyletanckiego, szlachetnego zapалу dla rzeczy umysłowych i literackich, który jedynie zdolnym jest udzielić się ogółowi. Gdzie dziś czas — nawet u nas, którzy nie nie robimy — na zajęcie się temi bezużytecznymi przedmiotami i gdzie czas już nie na przeczytanie, ale przynajmniej na zastanowienie się nad znaczeniem przekładu *Odysei*, nareszcie gdzie te zborne miejsca, w których możnaby pomówić o tym literackim wypadku?

Za przykładem wykształconych społeczeństw, mieliśmy i my dawniej wykwiłtne towarzystwa i salony, którym obcemi ani obojętnemi nie były zajęcia literackie i rozkosze umysłowe. Gdzież są one? Któż zdoła ich odzyskać? Znikły wśród klęsk politycznych i pod techniem wszystkim równającego wichru ogólno-światowego! I znowu jeżeli gdzieindziej ich miejsce zajęły tłumne zebrania, publiczne uczty i uroczystości, ludowe igrzyska, wystawy powszechne, u nas nic ich nie zastąpiło. U nas z obniżeniem wyższego towarzystwa, z upadkiem zamożnych, starożytnych domów, które, mianowicie od rozbioru, były ogniskami życia umysłowego lub wyparciem się przez takowe obowiązków i tradycyi, z niedawnymi, bolesnymi stratami kilku znakomitych ludzi, którzy wiernymi byli obowiązkowi i przeszłości, znika w Polsce życie literackie i artystyczne, zapal do niego stygnie. Chwilowe w Krakowie odrodzenie nie zdoła zapobiedz ogólnemu niedostatkowi! Wprawdzie prąd umysłowy

objął nieco większą przestrzeń, lecz dotąd nie użyźnił jej; a brak zbiorników każe przewidywać posuchę.

Przecież w naszym położeniu niwa umysłowa, literacka i artystyczna znaczy wiele, to ważna część bytu narodowego tem ważniejsza, że najmniej zależna od zmiennych losów politycznych. I któż zaradzi posusze, kto napelni zbiorniki, kto rozpali wygasłe ogniska? Kto? Skoro nikt nawet nie zastanawia się nad ich ubytkiem, skoro go może już nikt nie czuje. U nas wpływ kobiety mógłby spowodować zwrot, raczej powrót. Nie zaiste kobiety literatki i piśmiennej, tak rzadko pociągającej, tak często odpychającej i ośmieszającej literaturę oraz zamilowanie do niej; ale ten wyższy wpływ kobiety rozumnej a nie rozumującej, który nieraz tak zbawiennie działał na społeczeństwa w chwilach przewagi siły nad duchem. Zwrot ku wzniosłym rozkoszom umysłu spowodowałyby mogła u nas wielka pani, w prawdziwym tych słów znaczeniu. Czy społeczeństwo nasze zdolne jeszcze, wydać ją ze siebie?

W czasie niewdzięcznym, przykrym, dla literatury, znalazł się ktoś, co pomyślał o przetłómaczeniu *Odysei!*

Człowiek to też innego okresu dziejowego; on zapamiętał szlachetne umysłowe wzruszenia i dnie, w których czczono dzieła będące wielkimi, potężnymi objawami ducha ludzkiego. Tak jest, tłómacz *Odysei* nie jest człowiekiem dzisiejszym i jest niemal ostatnim łącznikiem między dawnym światem literackim a dzisiejszym; on należy swoją przeszłością, usposobieniem, przekonaniami i upodobaniami, talentem wreszcie do innych czasów lecz zna wybornie i na wskrós dzisiejsze, zna ludzi współczesnych i ich małość i właśnie dlatego zapewne, ze złośliwym na ustach uśmiechem, rzucił im pod nogi, wielką pracę, przekład olbrzymiego dzieła, którą oni podnieść i unieść nie zdolni. Lucyan Siemieński zbyt jest przenikliwym, aby liczył w obecnej chwili na czytelników *Odysei*, zapewne pragnął stwierdzić, że

ich nie ma. Jego przekład *Odysei*, który przed trzydziestu laty byłby wypadkiem w naszym umysłowym życiu, dziś jest raczej osobliwością, czemś dziwnem, niemal dziwołagiem, któremu jednak mało kto przypatrzy się, którego z małymi wyjątkami nikt nie przeczytał i nie przeczyta. I znowu wyborowi tylko i wyjątkowi ludzie zrozumieli tu i odczuli znaczenie, doniosłość i piękno tego przedsięwzięcia i tego dokonanego mistrzowskiego przekładu, poematu nad poematami — ale nie społeczeństwo.

A przecież już zwrócenie się do Homera wśród nawalnicy mierności, winno było podnieść ducha ogółu. W chwili, w której wszyscy wysilają się na poziomść w dziedzinie, w której była siedziba podniosłości, przypomnienie poetycznego pierwiastku świata, zwrot do pierwszej, najdawniejszej, najwznioślejszej poezyi, do Homera, jest szlachetną śmiałością, jest rzuceniem rękawicy dzisiejszemu kierunkowi, nie obojętnem dla wznioślejszych usposobień. Sam czyn ma w sobie coś pięknego i wprowadza nas w zaczarowaną dziedzinę, tak inną, tak odmienną od tego, co nas otacza, że się w niej przepędza wyjątkowe, niezwykle chwile, podobne do marzenia wśród rzeczywistości życia. Wykonanie znowu wiedzie nas pewnym krokiem po tajnikach piękna i miernie uwydatnia, odsłania szczegóły dzieła.

Uczucia nad wyraz milego, niezwykłego zarazem, doznaje się, czytając przedmowę tłumacza. — To przedsionek świątyni, którego kształty proste, wstrzemięźliwe, uroczyste i wzniosłe jak Propilei; przedsionkiem tym wchodzimy w dziedzinę świata greckiego, poezyi i piękna, w bohaterstwo-homeryczne. Niema tam pedanckich, obłudnych rozpraw opartych na drobnostkowych poszukiwaniach i wyczerpaniu niewyczerpanych źródeł; oddycha się w tym przedsionku przeźroczyście, orzeźwiającem powietrzem, które usposabia do czytania Homera, odświeża i odmładza umysł, znużony, zmęczony, znękan.

Niema w przedmowie tych badań nieskończonych, które nigdzie nie doprowadzają i nie dowodzą, jest natchnieniem odgadnięty cały świat, cały okres ludzkości i ludzkiej wyobraźni. — Sposób to jedyny pisania i przekazania pokoleniom dziejów. Inny, polegający na przewadze źródłowości, na grzebaniu w źródle, aż się je zamąci, sprawia, że dzieje nie przemawiają już do ludzi, że są historycy, ale historii niema i że ci historycy nie kończą dzieł swoich. Ale bo też zbytnia źródłowość w historii jak biurokratyzm w polityce — zabija ducha.

Tłómacz umieścił na pierwszej stronie wiersz Andrzeja Chenier:

*Trois mille ans ont passé sur la cendre d'Homère
Et depuis trois mille ans Homère respecté
Est jeune encore de gloire et d'immortalité.*

Jeżeli prawdą jest, że Homer młodym pozostał nieśmiertelnością, to czytając przedmowę Siemińskiego także doznaje się dziwnego uczucia odmłodzenia umysłowego a przerzucenie myśli w bohaterskie czasy Grecyi staje się kordyalem, podobnym do napoi zaczarowanych, które ścierały znamiona starości i przysparzały sił żywotnych. Zwrócenie umysłu w tę uroczą stronę orzeźwia go, odrywając od ciągłej poziomuści, którą pokochał, jak się człowiek przywiązuje do przyzwyczajenia. Przypomnienie świata homerycznego jest wyrwaniem z przyzwyczajenia i ukazaniem w czarodziejskim zwierciadle, pierwszej miłości, naszemu przynajmniej pokoleniu, które rozkoszowało jeszcze w poezyi, zachwycało się pięknem i czytało w młodości Homera, nie z przymusu szkolnego, ale z wrodzonego pociągu do wielkich ducha tworców.

Siemiński nie cofa się przed tyle razy stawianem pytaniem: czy Homer istniał? Nie szuka odpowiedzi w drobiazgowych poszukiwaniach, w sztucznych bada-

niach, w rozprószkowaniu zadania, w źródłach; nie zniża się w przedmiocie wzniosłym, do sposobu małego; mówiąc o poezyi i największym poecie wznosi się natchnieniem do szczytów dziedziny piękna i tam znajduje rozwiązanie zagadki. Niezmienne prawa piękna, jego stosunek do ludzkości i ducha ludzkiego, istota utworów, mówią mu, że tak *Iliada* jak *Odyseja* muszą być i są nie zbiorowemi dziełami, ale utworami jednego, potężnego, wyjątkowego człowieka, bo tylko jedność woli, myśli i natchnienia mogła stworzyć, tak wielkie i wzniosłe jedności. Był więc Homer, był na wielką chwałę rodu ludzkiego. Inne pytanie czy Homer napisał *Illiadę* i *Odyseję*. Tu tłumacz porównywa umiejętnie ducha obydwóch epopei i zastanawia się nad dwoma stopniami wykształcenia, raczej okresami życia greckiego, które każda odzwierciadla i dochodzi do wniosku, że nie jeden i ten sam wieszcz wyśpiewał *Illiadę* i *Odyseję*. „Przecież, mówi Siemieński, i jeden i drugi poemat nie mógł wyjść jak z jednej piersi, lecz zapewne nie z tej samej. Czy nazwisko Homera nosił twórca *Illiady* czy *Odysei*, czy po pierwszym wziął drugi, czy drugi po pierwszym spuściznę — rzecz nie do rozstrzygnięcia“.

Siemieński z umiejętną wyobraźnią oprowadza nas po Itace, po kolebce *Odysei* a ta przechadzka daje przedsmak wspaniałej uczyty i zaostrza wykwintnie smak czytelnika. Wielkiego uroku dodaje dziełu pokrewieństwo, które tłumacz upatruje między twórcą *Odysei* a Itaką „wyśpiewać ją mógł tylko ten, co się urodził w Itace, żył z nią i znał każdą skalę, pieczarę, dolinkę, ścieżkę, drzewo, niemal każdy kamyk“. Na zimno — jakby dziś powiedziano — *Odyseja* nie mogła być wyśpiewaną, zbyt wiele w niej prawdy, zbyt wiele głębokiej miłości i ciepła, by nie czuć i nie widzieć w tym poemacie czegoś więcej jak natchnienia potężnej duszy poetycznej. „Był snąc inny, głębszy jeszcze duchowy związek, coś jak wspomnienia bohaterskiej przeszłości, żywe podania, które

go obwijały w swoje włókna, robiły spadkobiercą minionej sławy“. Otóż właśnie ten związek między wieszczeniem a eposeą nadaje niezrównany, niewypowiedziany urok *Odysei*, urok prawdy, rzeczy głębiej odczutej, poczętej nie tylko w wyobraźni, ale mającej swój początek w sercu. „Zagadka ta, mówi dalej Siemieński, nasuwa się każdemu, kto dziś po tylu wiekach wczyta się w *Odyseę*. Trafiła ona nie pomalą i starożytnych siłających się odgadnąć jej autora. Gdy docieklivość eruditów aleksandryjskich czuła się bezsilną, a spory siedmiu miast o kolebkę Homera nic nie rozstrzygały — uciekano się nawet do tajemnic wyroczni. Imperator Hadryan, pytał delfickiej Pythonissy o autora *Iliady* i *Odysei*? — Kapłanka odpowiedziała, że był rodem z Itaki, a synem Talemacha i Epikasty córki Nestora (*Certamen Hom et Heziodi*). Dodaje autor *Certaminu*, że na powagę wyroczni delfickiej można się spuścić. Jakkolwiek mimo tego zaręczenia dowód ten dałby się odnieść do kategorii dowodów branych z magnetyzmu lub spirytyzmu — nie mniej pokazuje, że i starożytni odgadywali w śpiewaku *Odysei* jakieś bliższe powinowactwo z *Itaką* i jej królem, niżby takowe znaleźć się mogło w wędrownym aoidzie“. Tak więc wtajemniczeniem się w ducha poematu, Siemieński dochodzi do misternego wniosku, pokrewieństwa rzeczywistego między Homerem, *Odyseą* i *Itaką* a zarówno przeczucie jak znajomość serca ludzkiego mówią nam, że ten wniosek jest prawdziwy już dlatego, że w *Odysei* głęboka tkwi prawda. Siemieński oprowadza nas z *Odyseą* w rękę po dzisiejszej Itace. Przechadzka po skalistej, wiekopomnej wysepce jest pełną wdzięku. Wtajemnicza nas w najskrytsze, najsubtelniejsze piękności homerycznej poezji. Niezrównanym staje się urok dokładności, ścisłości, prostych, rzeczywistych opisów znajdujących się w *Odysei*. Ścisła prawda to właśnie piętno wielkich dzieł, potężnych duchów, które nie potrzebują ubarwiać, przesadzać, dodawać, bo

w rzeczywistości, w przyrodzie, znajdują dostateczne żywioły piękna i natchnienia. „Jak z Bedekerem w rękę, mówi tłumacz, zwiedza się dzisiejszą Itakę, posługując się *Odyseą*“. Dziwne zaiste zestawienie i zbliżenie, świadczące o sile geniuszu, o piękności greckiego klasycyzmu, który małymi środkami, umiał do wyżyn piękna dochodzić. To coś jak wielki czyn spełniony z wielką prostotą.

Aby nas zapoznać z Itaką, raczej aby nam dać poznać pokrewieństwo Itaki z *Odyseą*, które jest jednym z wdzięków poematu, Siemieński wzywa na pomoc słynnego Henryka Schelimana. Wraz z nim zwiedzamy zakątki widowni wypadków. Tłumacz posługuje się Schelimanem, w opisie jednak, w przytoczeniach czuć rękę mistrza, poety, nie archeologa, lingwisty, słowem czuć więcej Siemieńskiego jak Schelimana a tak już w przedmowie tłumacz wprowadza nas w zaczarowaną dziedzinę poezyi. Do ustępów mających niezwykły, dziwny urok, należy opis zamku Odysea, którego odrys jak go zdjął na miejscu Anglik, W. Gell, odbity jest na 30 stronicy przedmowy, odrys zgodny zupełnie z opisem w XVII pieśni, który odtwarza po mistrzowsku, w pięciu wierszach, cały gmach:

Zaprawdę, jakże pyszne Odyssa zamczysko!
Zaraz poznać: od innych gmachów się odznacza
Izba piętrzy się izbą, dziedziniec otacza
Mur blakowany, mocne drzwi podwójne w bramie
Nie łatwoby je zdobyć mogło ludzkie ramie.

Siemieński odbudowuje wewnątrz zamku, idąc krok za krokiem za opisem w *Odysei* i tym sposobem oznacza dokładnie każde niemal miejsce, w którym ważniejszy zaszedł wypadek i za pomocą poezyi staje przed naszymi oczami ginąca w mgle czasów rzeczywistość. Więc to wszystko działo się, to nie twór wyobraźni, to prawda historyczna, przechowana w poezyi, którą za jej pomocą odnaleźć dziś jeszcze można na skałach Itaki!

Sprawy ludzkie dostateczny mają w sobie żywioł piękna i żeby stworzyć pierwszy w świecie poemat, dość było opowiedzieć je bez ozdób lecz z umiejętnością rozmiarów; upiększanie nie potrzebne, trzeba tylko umieć prawdę opowiadać.

Zapoznawszy nas z miejscowością, Siemieński zbliża nas do dzisiejszych mieszkańców Itaki i rzecz godna podziwu, po tylu wiekach oni także świadczą o *Odyssei* tak usposobieniem jak obyczajami, co ważniejsza, przechowaniem pamięci głównych bohaterów epepei. Zajmującym jest wielce przytoczony ustęp Schelimana, w którym opisuje jak w winnicy Laertesza czytał wieśniakom wyspy *Odysseę* i zapał, który ich ogarnął. „Nie tylko miejsca same, mówi Siemieński, dają świadectwo o *Odyssei*, że jest rzeczywistością, lecz i w ludziach, mieszkańcach tej wyspy, odzywa się echo starej tej pieśni: jakby na potwierdzenie, że tylko syn tej ziemi mógł ją wyśpiewać. Dzisiejsza Theaki jest żywą do *Odyssei* ilustracją“.

Nic poetyczniejszego i piękniejszego nad to przerzucenie nas na pole rzeczywistości we wstępie do wielkiego poematu, który dlatego tak jest wzniosłym, że ją po prostu opowiada. Życie ludzi w czasach bohaterskich było poematem, do tego stopnia było pięknem, prawdziwym a nie sztucznym, że samo przez się służyć mogło przyszłym pokoleniom, za pokarm wyobraźni i ducha. Przekazał to życie Homer i tem stał się największym poetą, przekazał takiem, jakim było, nie jak je sobie wymarzył i dlatego był wieszczem; prawda i przyroda doprowadziły go do szczytu poezyi, kiedy przeciwnie przesada i wyroby mózgu wiodą w sztuce do poziomości, która jest fałszem i zaprzeczeniem wyobraźni oraz ducha, tem samem do sprzeczności z całością istoty ludzkiej.

Na zakończenie Siemieński rzuca kilka myśli ściśle związanych z przekładem *Odyssei* i wydaniem go w tych czasach, które, jak domyślałem się powyżej, były przewodnikami, w podjęciu tej olbrzymiej pracy.

Wśród poziomości i walki o byt ginie poczucie piękna i dlatego znika zamilowanie do klasycznych utworów, to jest do wielkich dzieł wyobraźni i umysłu. Rozum maleje, nikczemnieje w zapasach o byt lub dobrobyt, w walce o niewzniosłe używanie; obrał wedle słów Ewangelii gorszą część. I czy mniema, że zdoła długo zadawać bezkarnie kłam własnej istocie, bluźnić sobie samemu, zaprzeczać najszlachetniejszej swej właściwości? Złudzenia to i marzenia, dziwne, dzikie, bo poziome, zwierzęce! Ludzkość nie może ostatecznie zbydlęcić, odwieczne prawa ducha zwyciężą; zemsta i kara za ich pogwałcenie, uczuć się dadzą wielką czczością, próżnią, przesytem, przeżyciem i w końcu tęsknotą nieprzewyciężoną, tak w dziedzinie uczuć jak duchowej, tak w rzeczach wiary, jak w poezyi, za szlachetną treścią człowieczeństwa — za prawdą, równie w religii jak w literaturze i sztuce. A kiedy ta chwila nadejdzie, kiedy nastąpi to niuniknione przesilenie, wtedy w literaturze i sztuce, trzeba będzie się wrócić do odwiecznych wzorów piękna, do tradycyi klasycznej w której znajduje się pierwiastek wszystkich wykształceń i wszystkich wzniosłych rozkoszy umysłowych. Wtedy świat zwróci się niewątpliwie do Homera a Siemieński swoim wytwornym przekładem ułatwia naszemu społeczeństwu powrót do tradycyi klasycznej, jedynej prawdziwej i nieśmiertelnej w dziedzinie piękna. I rzecz dziwna, ile razy przychodzi mówić o zwrocie ludzkości, o jej odrodzeniu, tyle razy czy to w świecie duchowym czy politycznym, czy literackim zawsze odczuwamy konieczność powrotu do tradycyi, jako do orzeźwiającego i odmładzającego źródła, do tradycyi, która jest jednym ze znamion szlachetności człowieczeństwa i różnicą między ludźmi i zwierzętami do tego stopnia, że gdy społeczność ludzka zrywa z nią lub się jej zapiera, najprędzej i najbardziej zbliża się do stanu zwierzęcego. Nic w tem dziwnego, jest ona bowiem mistycznym zarazem istotnym związkiem

łączącym ludzkość z Bogiem, więc ze źródłem wszelkiej prawdy duchowej, wszelkiego piękna.

Chciałbym, żeby to, co Siemiński mówi o tradycji greckiego klassycyzmu, pierwiastku piękna w sztuce, nie przeszło niespostrzeżonem przynajmniej przez tych, którzy zachowali pociąg do rzeczy wzniosłych; w tych słowach przedmowy jest odwieczna prawda, dziś zbyt często zapomniana.

„Niema żadnej przesady w tem wyjaśnieniu piękności heleńskiej; zresztą nieodosobniam jej, lecz puszczając w ruch, widzę jej ożywcze działanie i dlatego przyznaję jej tak wielkie zalety. Roma, ta wojenna, prawnicza Roma, ledwo dotknęła się jej złotej gałązki, przeobraża się... lekka, skrzydlata dusza Grecyi przenika ją, a mieszając się z czerstwym i zdrowym rozsądkiem tych wyrachowanych polityków i żołnierzy, wydała w drugim czy trzecim pokoleniu szereg geniuszów i wybornych talentów przypadających na złoty wiek Augusta. Przez tych samych Rzymian, dusza ta skrzydlata, ta iskra, ten pyłek ognisty cywilizacyi, nie przestał działać zapładniająco w stanowczych chwilach historyi. Cała literatura rycerska na południu, wytryska niespodziewanie z tego pyłku wiatrem niesionego gdzieś od brzegów Hellady. Starożytność chrześcijańska wielce uboga i niedoskonała pod względem sztuki literackiej, jak znów pod moralnym, wyższa nad wszystko, naraz okryła się najwonnejszem kwieciem. Dante zetknięty z klasyczną tradycją, znajduje pomysł i siłę, aby zbudować olbrzymi gmach poezyi; Wirgili jest mu przewodnikiem i opiekunem na tej zuchwałej pielgrzymce po tajemniczych światach, pomimo, że jego Beatrice i natchnienie, które ją wydało, należy do rzeczy całkiem nowych w dziedzinie fantazyi. Zwracając się wreszcie do naszej literatury — komuż to winna swój wykwit tak nagły, jeśli nie tradycyi klassycznej? Bez Horacyusza, tego echa Grecyi, wątpićby można, czy Kochanowski znalazłby

tak górny a dźwięczny ton na swojej słowiańskiej gęśli; bez Homera i Sofoklesa, czy byłby się zdobył na *Odprawę postów greckich*“.

Nie ocenę tak wielkiego dzieła, jakim jest przekład *Odysei*, zamierzyłem wam przesłać, chciałem tylko zapisać myśli nasunięte mi ukazaniem się w naszych czasach tłumaczenia *Odysei* Siemieńskiego i zwrócić uwagę na znaczenie oraz ważność tego wydawnictwa, na jego duchową dla nas doniosłość, na zasługę tego, który myśl tę podjął i wykonał, nareszcie na ukazanie się tego przekładu, jakby meteora wśród ciemności stworzonych miernościami literackimi i tuzinkową literaturą, w której obecnie myśl polska rozplywa się i tonie. Przecież nie dopełniłbym zamiaru mojego, gdybym nie wspomniał o duchu, że tak powiem, tłumaczenia, tem więcej, że Siemieński w przedmowie wspomina o tem, a to, co mówi, nie jest poślednią jej pięknoscią.

„Komukolwiek ten rodzaj pracy nie jest obcym, wie o niemałych trudnościach, gdy przyjdzie lekkim językiem dzisiejszym podnosić cyklopejskie kamienie, homerycznej opowieści, przedzielonej od nas tysiącami lat, malującej tak różne od naszych obyczaje, wyobrażenia, sposób życia, a jednak tak głęboko człowieczej, że mimo tych różnic, poznaje się w niej jakby patryarchalnych pradziadów, wielkich w prostocie. Cóż powiedzieć o samej formie i budowie homerycznego wiersza, który podobnie do wspaniałej rzeki, toczy się poważnie i cicho, a jednak drga ruchem życia na niebie i ziemi... Tyle już pisano o najwłaściwszym sposobie tłumaczenia starożytnych poetów! Jedni utrzymują, że proza, lub wiersz miarowy najstosowniejszem narzędziem, bo nie razi, a naśladuje ton i tok oryginału; drudzy są za rymem. Ja zaś, lubo się przechyłam za ostatnim — jednak odważam się stanowczo twierdzić, że aby na inny język przetłumaczyć starożytnego poetę, potrzeba przedewszyst-

kiem poezji. Jest to główny element, nie dający się niczem zastąpić, a najmniej prozą“.

Trudno prościej, zwięźle, wzniosłej, określić warunki przekładu Homera. Siemieński powierza niejako publiczności tajemnicę, przecież zachował ją dla siebie i sam jeden posiada ją. Śmiem twierdzić, że dopiero teraz ogół będzie mógł zapoznać się u nas z Homerem. Pomijając wyjątkowe dziś czytanie Homera w oryginale, nie mówiąc o przymusowem w szkole, dotąd z istniejących tłumaczeń polskich lub w innych językach, można było mieć tylko bardzo niedokładne, co gorsza, fałszywe o homerycznej poezji wyobrażenie. Wszystkie dotychczasowe przekłady grzeszyły jakąś niedostatecznością, jakimś wygórowanym patosem; nastrojano się tłumacząc Homera, nie przejmowano się jego duchem, prostotą, która jest jego treścią; stąd nie łatwo przychodziło dla wielu zapoznać się z Homerem; gdyż wydawał się nieprzystępnym.

W tłumaczeniu Siemieńskiego widzimy coś zupełnie innego; przy pięknościach przekładu uderza to właśnie, że on zdolnym jest rozpowszechnić Homera, z taką bowiem swobodą i łatwością czyta się. Jest to jego znamię, które podnosi go do wysokości przedmiotu sztuki i arcydzieła. Skąd to znamie, skąd urok tłumaczenia, które przemieniają je w rozkosz dla wykwintnych wielbicieli Homera, zarazem czynią go przystępnym dla ogółu? Oto nadaje mu je wielka, wyższa, prawda poetyczna — prostota, z jaką Siemieński dokonał przekładu. Czuć uchwycenie jedynie właściwej nuty. Niema ubiegania się za prostotą, jest ona prawdziwą a nie pospolitą, jest wypływem głębokiego przejęcia się duchem Homera i epizmu, który gdy jest samorodnym, nią przedewszystkiem się odznacza, czasem nawet dobroduszną, zawsze uroczą. Tłumaczenie Siemieńskiego przypomina nieraz wiersze *Pana Tadeusza*; ta sama swoboda, przy bogactwie i jędrności wyrażen; zdawać by

się mogło, że początem zostało w ten sam sposób co pieśni aoidów o których Siemieński mówi w przedmowie „iż przyzwani podczas uczty, zasiadali na krześle pod filarem i śpiewali z pamięci czyny bohaterskie“

Przyzwać mi pieśniarza
Demudaka; pieśń jego cudnie się wyraża
I weseli; on serce z Boga ma natchnione.

Tak samo cudnie wyraża się i weseli wiersz Siemieńskiego, płynie swobodnie, jakby zasiadłszy pod filarem, tłumacz z pamięci przekładał na ojczystą mowę, bez pracy i mozółu, wielkie czyny bohaterskich czasów Hellady i mógłby on powiedzieć za Femiosem:

Jam samouk; Bóg wszczepił dar drogi
W moją duszę.

Nie czuć pracy, przecież trzeba było niewątpliwie wielkiej, mozolnej pracy, aby tak wiernie oddać każdą myśl, każdy obraz, każdy wiersz, aby opierając dzieło o prostotę, zachować majestat bohaterskiej poezyi, zachować wielki kształt i szczytność, której najwyższym wyrazem znowu prostota, nie pospolita lecz wzniosła, godna Bogów i bohaterów Homera, wolna od gminności, pełna siły. Wszystkie te zalety połączone są w tym przekładzie, na dowód przytoczyć można wezwanie

Muzo! męża wyśpiewaj, co święty gród Troi
Zburzywszy, długo błędził — i w tulaczce swojej,
Siła różnych miast widział; poznał tyła ludów
Zwyczaję; a co przygód doświadczył i trudów!
A co strapien na morzach! gdy przyszło za siebie
Lub za swoje towarzysze stawić się w potrzebie,
By im powrót zapewnić. Nad siły on robił:
Lecz druhów nie ocalił — każdy z nich się dobył
Sam, głupstwem własnem. Czemuż poświęcone stada —
Heliosowi, pojadła niesforna gromada?

Za karę Bóg też nie dal cieszyć się powrotem.
Jak było? powiedz córo Diosa coś o tem!

Jeżeli idzie o obrazowość, o polot, to niech za przykład posłuży ustęp, gdy Atene opuszcza Olimp, spiesząc do Itaki

To rzekłszy, podwiązała złociste sandały
Pod stopki sobie; niemi ponad morskie wały,
Ponad bezbrzeżne stepy buja z wiatru wiewem;
W dłoń pochwyciła oszczep z ciężkiem, długiem, drzewem
O miednym grocie; tłumy mężów nim obala
Gdy ją, córę straszego ojca gniew rozpała.
I tak zbieżala z szczytów Olimpu, aż wreszcie
Staęła u bram zamku Odysa, tam w mieście
Itace: w ręku oszczep dzierżąca spiżowy
Niby tafijskie xiąże: Mentos gość domowy.
Więc przed gankiem ujrzała dziarskich zalotników
Igrających wesolo ciskaniem kamyków,
I, na skórach tych wołów co sami pobili
Porozwałanych. W dworze rojem się kręcili
Keryxi, czeladź: i jedni mięszali na poły
W kraterach wino z wodą; owi tarli stoly
Smokliwemi gąbkami; ci nieśli zastawy
I, rozdzielali mięsne biesiadnym potrawy.

Jak się tu wszystko widzi dokładnie a jak słowa są podniosłe skoro o bóstwie mowa, przecież jak czuć w nich czasy, w których nieśmiertelni ze śmiertelnikami obcowali.

Aby wziąć się do dzieła takiego, jak ten przekład *Odyssei*, aby podjąć jego całość, w dzisiejszej chwili — aczkolwiek dawniej było już rozpoczęte — trzeba być obdarzonym wielką żywotnością, ale trzeba jeszcze innego bodźca, jak miłości własnej lub nawet zamilowania literackiego; trzeba przekonania o doniosłości przedsięwzięcia dla współczesnych i ducha narodu. Nie pomylę się, twierdząc, że ten wyższy wzgląd powodował tłumaczem, że czuł, iż w chwili omdlenia duchowego,

w chwili obniżenia, chcąc orzeźwić i podnieść, odrodzić, trzeba sięgnąć do źródła, do początku, do pierwiastku, do — Homera.

Oby ten pomnikowy przekład, którym nasza literatura zbogaciła się, spowodował zwrot nie już miejscowy ale ogólny do piękna, do wzniosłych duchowych rozkoszy, oby wyrwał społeczeństwo polskie z zastoju umysłowego, odrywając, chociaż na chwilę od poziomych żądz i przenosząc w opuszczoną, boską dziedzinę wielkich utworów ducha ludzkiego, oby posłużył do czci, przynajmniej w literaturze — wyższości.

XV.

Kraków, 30 grudnia 1876 r.

Chcę jeszcze rzucić kilka uwag o tutejszem życiu społecznem i towarzyskiem, chcę wspomnieć o jego duchowej i obyczajowej stronie, wreszcie zaznaczyć stanowisko Galicyi na zewnątrz. — Będzie to niejako dopełnieniem poprzednich rozmyślań nad tym krajem, zarazem objaśnieniem na przyszłość. Każde społeczeństwo ma tysiące, drobnych na pozór, właściwości — tutejsze, może ma ich więcej jak inne — które poznać trzeba, aby należycie zrozumieć i ocenić istotne położenie. Starłem się dać wam je poznać w głównych zarysach; dzisiaj, pomówię najpierw o mniejszych szczegółach, o małościach, jeżeli chcecie, które, będąc przecież nieodłączne od ludzi, budzą zawsze zajęcie i godne są uwagi, w jakimkolwiek ukazują się kształcie. Przedmiot to ogólnoludzki, rozmaitość kształtów, które przybiera, czyni go ponętym dla myśli i wyobraźni. Obejmuje to, co Philarete Chasles nazywa: *les étranges variétés de l'espèce humaine*. Ludzie podobni do innych zamieszkują ten kraj, ale kształty ich drobnostek i małości mają właściwe, miejscowe piętno, niezwykłą samodzielność,

są nieraz arcydziwaczniemi, czasem śmiesznemi. Jak na wszystko, co ludzkie, należy się na nie zapatrywać, nie tyle z goryczą i oburzeniem, jak raczej ze spokojną filozofią, i szukać trzeba ich początku w tem, co Montaigne, z tak wielkiem uszanowaniem, zwykł nazywać *mère nature*.

Główne ogniska życia, a są niemi większe miasta, wszędzie, więc i w tutejszem wyjątkowem położeniu, łączą się ściśle z całością tworu społecznego.

Mówić zamierzam głównie o Krakowie, jako najlepiej mi znanym, a myślący czytelnik będzie miał przyjemność, którą piszący winien mu zawsze pozostawić, domyślenia się dalszych wniosków i skutków.

Zbyt wczesnie zmarły pisarz i malarz, przede-wszystkiem człowiek gorącego serca i miłego dowcipu, Leon Kapliński, porównywał Kraków do *matecznika*. Przybywał z Paryża, gdzie przez długi czas zamieszkiwał; był to z usposobienia i wykształcenia Paryżanin, nie w bulwarowem, ale w wyższem, prawdziwem tego słowa znaczeniu. Pojmiecie zatem, jakie, pomimo szczerego do Krakowa przywiązania, miasto to mogło na nim zrobić wrażenie, i ocenicie trafność, nawet głębokość porównania. Mówił, że jak w *mateczniku* zwierzęta, tak tutaj ludzie przychodzą składać stare kości, że się tu spotyka owe pierwowzory z wyrosłemi pazurami, zakrzywionemi dziobami i wylenioną siercią:

Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój cmentarz, kędy bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa;
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa;
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie;
Kruk, gdy już posiwieje; sokół, gdy oślepnie:

Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi,
Że zamknięty na wieki, już gardła nie żywi.
Idą na cmentarz; nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.

Istny to, uderzający podobieństwem, obraz Krakowa, do tego stopnia, że każdy powyższy szczegół można w nim odszukać, każdy pierwowzór odnaleźć, nawet upatrzeć podobieństwo w przyczynach, które tu niejednego zapędziły człowieka, jak tam niejedno zwierzę. Obraz ten ma niezaprzeczenie swoją poważną i szanowaną stronę i tej uragać nie myślę; ale jeżeli postacię jego, są żyjącem objaśnieniem Krakowa przeszłości, Krakowa pamiątek i grobów, to dziwne, czasem dziwaczne sprawiają wrażenie, w zetknięciu z dzisiejszą rzeczywistością, z życiem chwili obecnej, wpływ ich na nią, na jej nieuniknione potrzeby i wymagania, jest psychologicznie wyjątkowym, czasem arcyzabawnym, to znowu przynębiającym, dla niewtajemniczonych, zgoła niezrozumiałym.

Lecz obce mu ich wnętrze serca tajemnice,
Wieść tylko albo bajka wie co się w nich dzieje.

Gdyby znamiona zwierząt z matecznika mieli tu tylko ci, którzy czują już potrzebę spoczynku na cmentarzu, nie byłoby to ani dziwnem, ani szkodliwym:

Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte są w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu.

Ale tak nie jest bynajmniej; powietrze tutejszego matecznika wywiera wpływ na wszystkich i na wszystko; pod jego tchnieniem nikną duchowe różnice starości i młodości, i nigdzie zapewne niema tylu młodych starych i starych młodych, jak w Krakowie; stąd

powstają liczne, najczęściej niewinne, czasem przecież szkodliwe dziwactwa.

Woda tych studni sklni się plamistą rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkimi grzybami brodate,
Siedzą wkoło wody, jak czarownice kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Wyobrażenia, pojęcia, sposób życia starych i młodych wiekiem, nie różnią się w mateczniku od siebie. Nie wszyscy umieją tu być starymi, a nikt przecież nie umie być młodym, stąd wytworzył się, dla przeważnej części ludności krakowskiej jakiś fantastyczny wiek, z którego właściwościami trudno jest bardzo zapoznać się i obliczyć.

Powietrze matecznika jest silne, odurzające; nie tylko, że działa usypiająco na młodość, nie tylko, że przestacza ją w przedwczesną starość, ale wywiera wpływ swój na każdego kto z weselszych, cieplejszych i mniej posepnych stron przybywa. Widziałem nieraz ze zdumieniem, jak osoby — w najlepszym tego słowa znaczeniu — cywilizowane, które życie swoje przepędziły w Paryżu, i to w najwykwintniejszy sposób, gdy przybyły do matecznika i zamieszkały w nim jakiś czas, stawały się wzorowymi jego obywatelami, przyswajając sobie wszystkie małostki, śmieszności i drobne nawet nikczemności jego odwiecznych mieszkańców.

Pojmiecie łatwo, jak w takim mateczniku, miłem, łatwym, uroczem być musi położenie tych stworzeń, które nie chcą się poddać śmiesznym przesądom i krótkowidzeniu par zwierząt głównych i patryarchalnych, zasłaniają się wszelkimi sposobami przed wpływem dusznego powietrza i wyziewów z owych studni, chcą ostatecznie pozostać ludźmi żywymi i ży-

jącymi i pragną odrodzenia pośród tych starych murów, tych starych pamiątek i tych żyjących ruin. Biada im!

Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni,
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami węzowisk.

Uciekać przed temi osami, szerszeniami i węzami, zapewne najwygodniej; ale nie każdy może, wielu nie powinno. Nie pozostaje zatem, jak znowu odwołać się do spokojnej filozofii i jej nauk, i z jej stanowiska przypatrzeć się, jak to uczynię, temu zdumiewającemu zjawisku matecznika, wybornie zachowanego, nad koleją żelazną, o parę mil od wybijanej cywilizacyi i ognisk życia ludzkiego.

Mówiłem już dawniej o braku uprzejmości Krakowian i wrodzonej tu niemal wszystkim posepności; małe to wady w porównaniu z innemi przywarami, które tu zwią się cnotami. Brak tu zbyt często w życiu prawdziwej miłości chrześcijańskiej, brak jej w tem mieście, które skądinąd jest rzeczywiście pobożnem i miłosiernem. Przyczyną tej krzyczącej sprzeczności, jak wszystkiego złego, jest krótkowidzenie i zasklepienie się w nader ciasnem kółku. Ludzie są tu krótkowidzącymi i dlatego potracają jedni o drugich; ciasno tu nieco, i dlatego ludzie sturchają się łokciami.

Są kobiety, które osiadają w Krakowie dla pokuty, które chcą побыtem w starym grodzie odkupić dawne, zapewne urojone grzechy, a którym zdaje się, że najłatwiej i najwygodniej naprawić przeszłość, dokuczając innym, prześladując srodze większe i mniejsze ułomności ludzkie; nazywa się to przechowywaniem tradycyi krakowskiej. Wyradza się stąd spóźniona moralność, wykonywana kosztem innych, wyplaszająca z matecznika wszystko, co pełniejszem żyje nieco życiem, wszystko, co się brzydzi obłudą, lub co nie umie dość

zrecznie udawać. Niewesołą tu jest dola każdego, kto z usposobienia i wyobrażeń, jest prawdziwie młodym; będzie on wcześniej czy później wykleśmiony przez spóźnioną moralność w imię tradycyi krakowskiej. Niewesołą jest dola każdej niemal młodej a ładnej kobiety; żeby była Genowefą, Joanną lub Zuzanną, nie może poza pewien kres przedłużyć tu swojego pobytu; spłoczy ją natychmiast plotka, prześladować będzie spóźniona moralność, tem silniej, im sama więcej ma czasu straconego do odzyskania, w końcu wypędzi ją za mury Floryańskiej bramy, zazdrość posługująca się potwarzą. Dlatego też piękna kobieta jest w Krakowie przemijającym zjawiskiem, nie osiedla się tutaj stale; jak wędrownie ptastwo odlatuje pod cieplejsze niebo. Bywały i bywają ładne i piękne kobiety w Krakowie, ale każda z nich po dłuższem lub krótszem doświadczeniu, odlatuje, znika lub rozplywa się we mgle. *On lui rend la vie trop dure!*

Ten tak surowy, czasem nawet nielitościwy, rdzenny świat młoteczniaka, nie jest gorszym, ale także z pewnością nie jest lepszym od innych. Ogranicza się na moralności kosztem drugich, sam jest ludzkim, zatem, posiadając niezaprzeczone cnoty, ulega przecież słabościom ludzkim, jak każdy inny; a tylko ta zbytnia dla innych surowość i ta, kosztem innych moralność, stanowią jego wyjątkową niemoralność. Chcąc wmówić w siebie, że jest świętym, staje się świętoszkiem; chcąc być poważnym, staje się śmiesznym, chcąc być tradycyjnym, staje się nudnym. Mógłby zaś być i pobożnym i poważnym i tradycyjnym, nie siląc się na to, wtedy stalby się i miłym.

Nie zabawniejszego, jak kiedy w samej głębi młoteczniaka, pomiędzy najczystszyimi, najwybrańszymi, wybuchnie jakieś głośnie, nie dające się ukryć zgorzelenie, a zdarza się to i zdarzało nieraz, bo inaczej być nie mogło i nie może; jest to istnem uderzeniem pio-

runu, ploszącem pary zwierząt głównych i patryarchalnych. Mniemały, że surowością dla innych zabezpieczą matecznik, jakby wałem, przed ciekawym wzrokiem obcych; tymczasem każde takie miejscowe zgorszenie nabiera niesłychanego rozgłosu, który rozchodzi się daleko poza granicę puszczy i tem większą wywołuje radość, tem silniejsze szyderstwo, tem głośniejszy śmiech, im mieszkańcy matecznika czuli się wyższymi od zwierząt, zamieszkujących inne okolice, a im mniej te chelpiły się cnotami, moralnością i surowością obludy! Jeden z moich przyjaciół zwykł nazywać ową moralność seraficznym kłamstwem. Moralność ta, wznosząc się w najwyższe krainy zachwytu, zapomina o niższych, w których pobłażanie i miłosierdzie są niezbędnymi. Tem to dziwniejsze, że miłosierdzie wykonywanem jest tu na wielką skalę, prawdziwie po chrześcijańsku, w cichości, bez chęci popisu, a pod tym względem Kraków jest godzien podziwienia; umie być pięknie miłosiernym. Te same panie, które dla odpokutowania własnych, niezawodnie urojonych win, lub rzeczywistych najbliższych im, nie wahają się rzucić kłatwę, nie wzdrygają się przed narażeniem dobrej sławy mniej chwilowo od nich seraficznie usposobionych istot, umieją wynajdywać nędzę, umieją przyjść jej ze skuteczną pomocą, wykwinąć, bo z prostotą. Są to niemiłosierne siostry miłosierdzia. Dla chwały naszego grodu, są wspaniałe, zdumiewające wyjątki, są wysoko usposobione dusze, które gojąc materyalne rany, nie drażnią moralnych, które przygarniając do siebie nędzę, nie odpychają z nielitościwą dumą ulomności; te stoją u szczytu, czemuż tak mało mają naśladowców! Niema nic nielitościwszego od krótkowidzenia. Nie tyle z braku serca, jak raczej w skutku ciasnych poglądów, wyradza się zbyt surowość dla innych. Dla innych, powtarzam! Bo ci wszyscy, którzy tak skorymi są potępiać, skwapliwie czynią wyjątki dla swoich, dla najbliższych.

Istoty najbardziej zagłębione w seraficznem kłamstwie i wykonywujące na wielką skalę spóźnioną cnotę, mają zwykle bliższych i dalszych, którzy są także ludźmi; muszą one zatem mieć dwie miary, jedną przed, drugą za drzwiami własnych domów. Nie też zabawniejszego dla bezstronnych, nieseraficznych śmiertelników, jak potworne sprzeczności tej bezwzględnej surowości, uderzającej w obcych, oszczędzającej swoich, tej niezrównoważonej moralności, która winnaby zacząć wielkie dzieło oczyszczenia od najbliższych. Moralność niemoralności jest nadużyciem, któremu, czującym własną godność, najtrudniej przychodzi się poddać. A przecież jest to straszny przywilej, którego żadna ustawa nie zdoła znieść, ani nawet ograniczyć. Jest to bożek, który potrzebuje ofiar, a że rzeczywistość nie zawsze może nasycić jego łakomstwo, oddają mu usługi oszczerstwo oraz najusłużniejszy z dworaków — plotka, i zdarza się często, że ktoś bezpodstawnie prześladowany, może w końcu rzec do siebie, jak ów zazdrością żony trapiiony w komedyi mąż: „Czyżbym ja, nie wiedząc o tem, popełnił jaką niewierność“.

Nie trudno odgadnąć, jak prądy te oddziaływały na wszelkie, przedewszystkiem na towarzyskie stosunki. Kraków miał zawsze i ma jeszcze wytworne wyższe towarzystwo, nie ustępujące, wykwintnym koteryom, wielkich stolic. Młody człowiek, który przypuszczony jest do tego towarzystwa, nabiera na zawsze oglady. — Nigdy nie ginie, nie zamiera ono całkiem, jakiś zawiazek, nawet w najnieprzyjaźniejszych okolicznościach pozostaje, dla rozmnożenia. Niedawno Kraków miał towarzystwo niezbyt liczne ale wyborowe, pomimo jego dziwactw i małostek; zostały się jego dziwactwa i małostki; znikł ówczesny zastęp ludzi prawdziwie wykształconych, rozumnych i o szerokich poglądach. Za ich przyczyną obok tradycyjnej plotki, gwałtownej potwarzy, obok seraficznych kłamstw i spóźnionej moral-

ności, była zwykle rozmowa poważniejsza, zajmująca, wznosząca się ponad drobnostki i małości małomiej-
skiego życia. Owi ludzie, znani w naszym społeczeń-
stwie, nawet poza jego granicami, umieli wrodzoną wyż-
szością górować nad małostkowością i unicestwiać wpływ
krótkowidzenia. Kraków ma bowiem tę właściwość, że
w nim krzyżują się zawsze prądy małomiej-
skie z wiel-
koświatowemi, że jest prowincją i stolicą, łożówką i świe-
cznikiem.

Od pewnego czasu śmierć była nieubłaganą dla
Krakowa, i kolejno wyrwała z jego społeczeństwa, naj-
szlachetniejszych, najrozumniejszych, stojących na świe-
czniku. Klęski te oddziały dotkliwie na tutejsze towa-
rzystwo; pogasły owe światła, zostały się gasidla (*les*
étainoirs). Zaczął znikać wpływ kobiety pięknej, mło-
dej, który jest zawsze uroczym; również matrony, go-
dnej szacunku i uwielbienia, który jest zawsze pożąda-
nym; przeważył wpływ najstraszniejszej kobiety, bo sta-
rzejącej się. Ona tu dzisiaj staje się panią położenia, ona
prześladuje i nudów jest królową! Starzejąca się kobieta
mści się na Krakowie za

des années l'irréparable outrage!

Nieraz towarzystwo krakowskie nudzi się w tych
sztucznych warunkach. Lucyan Siemieński, w niedawno
napisanem pośmiertnem wspomnieniu jenerałowej Skrzy-
neckiej, bardzo trafnie powiedział, że tam tylko goście
bawią się, gdzie się pani domu bawi; otóż panie domu
przeważnie nudzą się tutaj. Są między niemi takie, które
szczególny mają dar dobierania, może bardzo przykła-
dnego, ale zabijająco nudnego towarzystwa; jest to ta-
kże rodzaj pokuty, którą sobie zadają; z tego powodu
ktoś powiedział o jednej z nich, celującej w tym spo-
sobie umartwiania się. „Że musi mieć znaczne winy do
odkupienia, skoro na tak srogie wystawia się męki“.

Oczywiście są wyjątki, przed innemi, czcigodny, szanowny dom, dający przykład tyłu cnót, któremu przoduje ostatnia, może prawdziwa, matrona, pani Arturowa Potocka; dziś niestety złamana wiekiem i nieszczęściami, często nieobecna, aczkolwiek sercem, uczuciem i tradycją nieodłączna od Krakowa. Jest to dom Potockich pod Baranami. Tam plotka nie ma przystępu, tam rzeczywiste cnoty nie pozbawiają przymiotów, a daleko sięgające miłosierdzie nie staje na przeszkodzie prawdziwej miłości bliźniego. Są i inne salony, nie poczuwające się do potrzeby spóźnionej moralności kosztem osób trzecich, umiejące zachować miarę i stopniowanie bez przemienienia się w izbę gwiazdzistą. Lecz te nie są dobrze widziane przez pary z wierzących i patriarchalnych. Nie myślcie, aby te szczegóły o mateczniku odnosiły się tylko do tak zwanego wyższego towarzystwa; stanowią one wspólny szablon dla wszystkich matecznika światów, raczej światków. Mieszczanstwo pod względem tych małostek i śmieszności, nie daje się prześcignąć, nawet najniższe warstwy, ba, z powołania najwięcej zepsute, odznaczają się wyłącznie krakowskim popisem moralności. Największą przecież wadą tego stanu rzeczy, jest wytwarzająca się w nim zbyt znaczna ilość obludy; gorszym zaś jeszcze jest powszechny niemal tu zwyczaj posługiwania się potwarzą; rzecz to tak zwyczajna, tak używana, że innej niemal nie umieją tutaj chwycić się broni, i z przykrością wyznać trzeba, że często bardzo źródłem słynnych krakowskich plotek, jest zemsta osobista lub sprawa osobista, co nie przeszkadza uprawiać plotki dla *l'art pour l'art*. Plotka jest tu niemal jedyną spójnią towarzyską, poza nią jest zgubne zasklepienie się, prowadzące do wiary we własną nieomyślność i do poczucia własnej nietykalności. Najdrobniejsza uwaga uraża, najumiarkowańsza nagana rozjątrza i, zamiast pomagać rzeczy, gniewa jednych, napelnia radością drugich. — Pojmiecie, do jakiego sto-

pnia powyższe śmieszności i wady niekorzystnie oddziaływiają na cały zakres umysłowego i artystycznego życia, do którego Kraków rości sobie prawo, które dzisiaj stanowi jedyny jego powód bytu. Jest ono też tutaj w położeniu ryby wyjętej z wody i istnieje jedynie wysileniami kilkuset jednostek, wysilenia te są znaczne, znakomite, są godną uznania stroną tutejszych stosunków i one dały początek odrodzeniu o którym mówiłem. Kraków nie ma publiczności umysłowej i artystycznej, ma przecież życie umysłowe i artystyczne, które w ludności wcale nie budzi zajęcia. Życie to zawdzięcza zastępowi dzielnych pracowników, niezemnie zrażonych; zastęp ten przynosi zaszczyt miastu, podnosi jego znaczenie, pokrywa jego małości i odkupuje wiele ujemnych stron, tem większą ma zasługę, że warunki wśród których walczywytrwale, nie są zachęcającymi. Ludzie ci, to prawdziwa, jedynie godna uwagi terażniejszość Krakowa, być może, iż uda im się, wraz z niektórymi obiecującymi młodszymi żywiołami, wytworzyć przyszłość, oczyszczając powietrze ze śmieszności, wad i małości, nie zrywając przecież z dobrą i uczciwą tradycją; wtedy i enoty tutejsze na trwalszej oprą się podstawie.

Kraków słynie i słusznie z rozsądnych, umiarkowanych, zacnych i roztropnie zachowawczych zasad i przekonań, w tutejszych stosunkach stanowi to niezaprzeczenie jego dodatnią, poważną stronę. Ale trudno wypowiedzieć, o ile powyższe małości, dziwactwa, zwyczaje i obyczaje matecznika, oddziałują niekorzystnie także na rozumny, zachowawczy kierunek. Ktoś rozmawiając ze mną w tych dniach, zwrócił moją uwagę na tę okoliczność, że dzisiaj we wszystkich społeczeństwach, stronnictwa rozsądno-zachowawcze mają zapaleńców, *chevaux légers*, którzy najprzód narażają je, następnie gubią. Są to wysuwające się na ochotnika przednie straże o krótkim wzroku; nie zatem dziwnego, że

wpadają w ręce nieprzyjaciela i narażają główne wojsko. Nigdzie może niema tak wybornych okazów tego rodzaju, jak tutaj, nigdzie może zachowawczość nie ma tylu *enfants terribles*.

Wszystko to jest powodem, że wpływ Krakowa, który mógłby być użytecznym na sprawy i rozwój kraju, jest ograniczonym, czasem zwiehnętym; szkoda, bo względnie, w tym Krakowie, jest wiele dobrego i wiele uczciwego, jest częściowe odrodzenie, lecz koło jego działalności, zamiast się rozszerzać, zwięża się w skutku zbyt ciasnego zapatrywania się wielu. Zadaniem winno być młodego pokolenia i młodszych żywiołów, aby szanując to, co szacunku jest godnem, nie dozwoliły Krakowowi przeistoczyć się w istny zamek „Safandulów“ Wiktoryna Sardou.

Lwów mniej święty i obłudny, mniej drzemiący, lecz za to mniej wytrawny, więcej rozczochrany, wicherzący w próżni, pełen także śmieszności i śmiesznośtek towarzyskich, Lwów ze swem dziennikarstwem, wielkimi ludźmi, urzędowym światkiem, chaotycznymi wyobrażeniami i nieudanem naśladownictwem Wiednia, nie może zastąpić wpływu, jaki Kraków mógłby i powinienby wywierać na kraj, jego wyobrażenia i postępowanie, gdyby nie stały mu na przeszkodzie jego śmieszne przywary. Tak więc z dwóch ognisk, z których ciepło i światło rozchodzićby się mogło, jedno rzuca niedostateczne światło, drugie fałszywe, jedno za mało grzeje, drugie parzy. — Dodajmy jeszcze do tego owo nad wszystko śmieszne i szkodliwe między dwoma miastami przeciwieństwo, które stąd głównie pochodzi, iż Lwów nie może wybaczyć Krakowowi, że był kiedyś stolicą, Kraków Lwowowi, że nią jest obecnie, a będziemy mieli prawdziwy obraz położenia, wyświecający w części, ujemne strony społeczeństwa tutejszego, tłumaczący wiele rzeczy, nad którymi w tych listach zastanawiałem się, które może czasem w moich opisach zbyt jaskrawemi malowałem farbami, nadając im zbyt

w oko wpadający koloryt, za przykładem, *si magna parvis*, Matejki. Czynilem to przecież z umysłu, bo chciałem ułatwić rozpatrzenie się z oddalenia w tutejszych stosunkach; jaskrawe barwy służyły tylko do uwydatnienia rysunku, który był, ile mi się zdaje, dokładnym.

Jeżeli teraz przeniesiemy się z dwóch głównych miast do kraju, to znowu powiem, że znamieniem jego jest także pewna drobiazgowość i krótkowidzenie w pojęciach i czynach. — Przytem, jednocześnie tak w dwóch miastach, jak w całym społeczeństwie, jest sprzeczność między istotnym stanem rzeczy duchowym i materialnym, a pragnieniami i żądzami; być może, iż wypływa to z położenia i istoty rzeczy, lecz niewątpliwie daje powód do szamotania się, które kończy się tem, że blichtr i pozory zastępują nieraz rzeczywistość i że ostatecznie zbyt często dla pragnień i jakichś nieokreślonych żądz, zaniedbuje się i marnuje istotne korzyści, że tak często słowa zastępują czyny; pięknie brzmiące mowy pracę. Głównemi tu wadami i grzechami są: nieumiejętność korzystania z danych okoliczności, marnowanie drogiego czasu, zapełnianie go bezużyteczne i szamotanie się, wieczne dążenie z brzegu do jakichś nieznanych wybrzeży, zamiast korzystnego w porcie połowu; ociężałość w ruchliwości; wielka polityka w ciasnym pojęciu; powiatowszczyzna w zawierusze pojęć i wyobrażeń; narzekanie na szczupły zakres działania, przy szczupłym działaniu w zakresie działania. Wady te wytknął tak rozumnie rektor tutejszego uniwersytetu, Zoll, przed kilku dniami, w przemowie do uczniów, że posłużę się jego słowami, aby wam przedstawić główną chorobę tutejszą:

„Gdybym panowie przemawiał nie wyłącznie do was, ale do wszystkich zajmujących dzisiaj, w kraju, stanowiska urzędowe i obywatelskie a narzekających często na szczupły zakres działania, jaki mają sobie

wskazany, tobym każdego z nich zapytał naprzód: czy też, zanim podniósł słuszne zresztą skargi swoje, wypełnił wszystko to, co mu bodaj i w tym szczupłym zakresie wypełnić należało; czy może twierdzić, iż żadną miarą niczego więcej uczynić tam nie był w stanie. Sumienna odpowiedź w wielu przypadkach byłaby zapewne nie bardzo zadowalającą. Ja też w życiu naszym publicznym nieraz upatruję w tem pewną niewłaściwość, że zanim przystąpimy do ścisłego wypełnienia przyjętych obowiązków, pierwiej jeszcze oglądamy się na rozszerzenie wskazanego nam zakresu działania, i że myśląc, jakby to było, gdyby można było działać poza jego granicami, zanedbujemy czynić to, do czego w zakreślonych nam granicach jesteśmy powołani“.

A rzecz godna uwagi mimo tego, polityk i badacz spraw ludzkich, zastanawiając się nad współczesnemi nam dziejami, ze zdziwieniem stwierdzi, że ten kraj po wielkim pogromie narodu polskiego, będąc ubezwładniony ziemi dawnemi rządami, rozdzielony nie politycznie ale duchowo na dwie części, na zachodnią i wschodnią Galicyę, mając w brzuchu sprawę ruską, we wspomnieniu rzeź 1846 r., potrafił zająć w wielkiej monarchii austriackiej ważne, wpływowe stanowisko i zdobyć sobie w niej niemałe znaczenie. — Jest to istne zjawisko polityczne i objaw żywotności.

Wieleby czasu trzeba, aby wykazać wszystkie tego przyczyny.

Głównym tu czynnikiem był zastęp ludzi znakomitych, który się pojawił, gdy nadeszła chwila odrodzenia w Galicyi, bo pomimo wszystkich ujemnych stron i niedostatków, odrodzenie częściowe nastąpiło. A że nie jest zupełnem, to dlatego, że ten zastęp miał do czynienia ze społeczeństwem niższem od niego, że rozporządzał niedostatecznemi środkami i posledniemi narzędziami. — Tam zaś, gdzie działał sam i bezpośrednio, na zewnątrz, w stosunku do państwa, zupełnie i świetnie spełnił za-

danie. — Galicya zawdzięcza swoje w monarchii stanowisko przede wszystkim *Kołu Polskiemu* w Wiedniu a powodzenia i zdobycze *Koła* zapewnili ludzie niepospolici, którzy do niego należeli i należą, którzy stanowią jego wartość i znaczenie. Jerzy Lubomirski, Adam Potocki, Smolka, Ziemiałkowski, Zyblikiewicz, Krzeczunowicz, Stanisław Tarnowski, Józef Szujski, Ludwik Wodzicki, Henryk i Kazimierz Wodziccy, Dzieduszyccy, Otto Hausner, Konstanty i Jerzy Czartoryscy, Rydzowski, Baum, Grocholski, Apolinary Jaworski, Dunajewski. Skarszewski Zuk, Skrzyński Ludwik, mowca niezwykle Smarzewski Seweryn; Chrzanowski i wielu innych współpracowników niepoślednich, oto ludzie, którzy nadali się *Kołu Polskiemu* i wywalczyli dla Galicyi należne w monarchii miejsce, oraz wielkie zdobycze i korzyści narodowe i gospodarcze. Dziś na ich czele postawić trzeba tego, który *Kołu Polskiemu* przewodniczy, Kazimierza Grocholskiego.

Mąż tak znany w kraju i w Wiedniu, że zalicza się do owych, o których najdrobniejsze szczegóły wiadome są już wszystkim, bo opowiadają je sobie z ust do ust. Jest to najwyższy, niezawodnie dla niego najdrogocenniejszy zaszczyt, który długiem życiem publicznem sobie zdobył. Senatorskiego już wieku, ma senatorski spokój i wytrawność zdania, równie jak zakrój; pobierał nauki we Lwowie i Wiedniu, ukończył je stopniem doktora prawa. Wszedł następnie do urzędu i tu dotknąwszy się, na gruncie rzeczywistym, sprawy publicznej, zapewnił sobie nad wielu innemi z konieczności ochotnikami politycznemi, wyższość, która połączona z gorącą miłością narodu i wielką prawością, uutorowała mu drogę do znaczenia w kraju i monarchii i jest przyczyną, że w wielu wypadkach oddał on i oddaje nie urojone, istotne usługi. Ze starej rodziny szlacheckiej, której kilku członków po dziś dzień zamieszkuje Podole rosyjskie, nie jest połączony ani pochodzeniem, ani pokrewieństwem z drugim tego samego

nazwiska rodem, który między innemi skoligacil się z domem ks. Czartoryskich i wydał Michała Grocholskiego, gubernatora podolskiego, wielce prowincyi swojej zasłużonego. W skutku rodzinnych stosunków przebywał czas jakiś na Podolu rosyjskiem i tam poznał dokładnie i przeniknął sposób rządu rosyjskiego, nabrał przekonania o nieublaganej jego nienawiści do narodu polskiego i nauczył się widzieć w nim najgorsze i najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla tego co tak gorąco umiłował.

Przez cały przeciąg swojego zawodu publicznego Grocholski miał głównie na uwadze to niebezpieczeństwo i bez złudzeń, ale z siłą głębokiego przekonania walczył z niem. Zwykłą i nienniknioną koleją każdego polskiego szlachcica osiadł Grocholski na wsi w Galicyi, w Rożyskach, w powiecie skałackim i tam gospodarował. Z rozpoczęciem okresu konstytucyjnego w Austrii widzimy go zaraz obdarzonego zaufaniem współobywateli i czynnym. Wybrany do Sejmu w r. 1861, zasiadał czas jakiś w Wydziale krajowym i był zastępcą Marszałka; w tym samym roku wybrany przez Sejm do Rady Państwa został prezesem Koła polskiego w Wiedniu a odtąd godność ta zespoliła się z jego osobą. W skutku bolesnej straty rodzinnej cofnął się chwilowo z życia publicznego. W 1867 roku wyjątkowo nie zasiadał w Radzie państwa i dopiero w roku 1868 wszedł w skład *Koła Polskiego*. Wielkie wzięcie i szacunek współobywateli, towarzyszyły mu od początku, wrażyły w niezwykle u nas sposób. Zródłem ich kryniczna czystość żywota pana Kazimierza. Jego środkami działania są prawość i pojednawczość. Pomimo silnych przekonań i stałości zdania, nie wolnej czasem od pewnego odcienia uporu, umiał jeżeli nie zawsze górować nad stronnictwami, to nieznacznie przecież wzniesić się ponad nie tak, aby nie być żadnemu wstrętnym a w każdym obudzić może nie miłość do siebie, ale zaufanie. W tej umiętności swojej lubował się i starannie pielęgno-

wał ją, nie chcąc jej narazić na szwank. Uniknął przecież tuzinkowej i jałowej popularności, cieszył się zwykle tą, która pozwala działać i być użytecznym. W Sejmie i Radzie państwa zajął odrazu znaczne stanowisko. Każdy się z panem Kazimierzem liczył. Wybierany jednostajnie do wszystkich ważniejszych komisyj, zasiadał różnemi czasy w komisjach adresowych oraz w pamiętnej komisji rezolucyjnej. W Sejmie miał ważną o rezolucyi mowę, która zrobiła wrażenie; zwykle przedmiotowy, tym razem uniósł się zapalem a wykrzyknik o „uschnięciu ręki“ wywołał przeciągłe oklaski nawet na galeryi i pozostał pamiętnym. Miał znaczyć, że nie podpisze zespolenia się Galicyi z monarchią, z poświęceniem zasady niepodległości Polski. Dalszem postępowaniem nie uparł się przy tym porywie. Wtedy to Grocholski nacechował swoje antifederalistyczne zapatrywania oraz dążenie do uzyskania odrębności dla naszego kraju, jako szczybla do przyszłości, wiążącej się z wiekową przeszłością. Zwolennik wystąpienia Delegacyi polskiej z Rady państwa za mieszczkańskiego ministerjum, wstąpił jako minister dla Galicyi do gabinetu hr. Hohentwarta w maju 1871 r. Powołanie jego do ministerjum powitanem zostało przychylnie w kraju, ogólny szacunek, który wszędzie mu towarzyszy, sprawił, że i w Wiedniu przyjęto w jego osobie nowość ministra dla Galicyi, z zadowoleniem. Pan Kazimierz stał się nawet bohaterem dnia w Wiedniu i budził w kołach najwyższych i w towarzystwie pełną życzliwości ciekawość. Wszyscy pragnęli poznać tego Sarmatę, który w polskim stroju zasiąść miał w radzie korony Habsburgów! Między innymi ówczesna towarzyska potęga wiedeńska ks. Lory Schwarzenberg; na niej, równie jak na wszystkich, do których się zbliżył minister nasz zrobił prostotą w obejściu, szczerością, uprzejmością i właściwą szlachcicowi polskiemu łatwością w obejściu, połączoną z godnością, jak najlepsze wrażenie. Pan Kazimierz, jak wiadomo,

przywdziawszy raz strój narodowy, nigdy go nie zdjął i jemu zawdzięczamy, że z oznaki wichrzenia, przemienił go w stwierdzenie narodowe. Wiadomo jest także, że pan Kazimierz, powodując się słusznem uczuciem przyzwoitości i wytworności, wchodząc do ministerjum, zapytał monarchę, czy może zachować strój narodowy i otrzymał nie tylko pozwolenie, ale zalecenie, aby go nie zdejmował.

Od owej chwili strój narodowy przestał być demonstracją, stał się rzeczywistością.

W październiku 1871 roku, nie z powodu czeskiej sprawy, ale w skutku zupełnego przeistoczenia gabinetu, ustąpił z rządu, który szybko dojść miał do bezpośrednich wyborów. W r. 1873 wybrany z bezpośrednich już wyborów do Rady Państwa z większej własności w Tarnopolskiem, zawsze powoływany był do Delegacyj wspólnych. W Radzie Państwa wybierany do ważniejszych komisji, między innymi do adresowej w r. 1873. Grocholski stoi wyżej wszelkiej próżności. Przypomina on ten konterfekt antenata, zawieszony w szlacheckim dworze, który niewprawną malowany ręką, ma przecież piętno szlachetności, dzielności i przesądu.

W kraju ceniony i poważany, w Kole niezbędny, na dworze szanowany, w Izbie otoczony szacunkiem i uszanowaniem, zdobył sobie stanowisko poniekąd wyjątkowe a Herbst powiedział o nim: „Jak Grocholski zaręczy za Polaków, to pewno dotrzyma“.

W Sejmie, Grocholski jest naczelnikiem stronnictwa podolskiego; w całym znaczeniu szlachecki konserwatysta, niechętny zmianom i naprawom społecznym. Jego godłem — niech będzie jak bywało. Jest on najniebezpieczniejszym przeciwnikiem reformy i stronnictwa reformy. Niczem w tej mierze niewzruszony, nawet nieubłagany. Już w r. 1862 przy ustawie gminnej przeciwnik połączenia, dotychczas nie zmienił zdania i uważa zespolenie obszaru dworskiego z włościańskim

w jednej gminie jako urojenie posłów krakowskich. Pan Kazimierz, zachowując strój polski, nie pozbył się niektórych dawnych przesądów. Do twarzy mu z nimi. Tak samo, jak w polityce, jest on w swojej wsi gospodarzem niepostępowym, ale porządnym. Mówi nieco ciężko, czasem braknie mu słowa niemieckiego, przygotowany przemawia dobrze. Mowy jego odznaczają się treściwością. Należy do tych szczęśliwych, których w Izbie słuchają; zwracają wszyscy uwagę na to, co mówi, bo mówi zawsze w imieniu pięciomilionowego kraju koronnego.

Kazimierz Grocholski stał się jedną z tych powag, bez których biada społeczeństwu, mianowicie takiemu, jak nasze. Zaslugą jego i dowodem żywotności, że nie przemienił się w relikwię narodową, lecz, że jest wciąż czynnie użytecznym. W *Kole polskiem* każdy z osobna przyzna, że tylko on jeden mógł podolać trudnemu, żmudnemu a doniosłemu stanowisku prezesa. W kraju używa tego wzięcia i szacunku, którym w różnych czasach cieszyli się u nas nieraz, ludzie wyjątkowi a wpływowi. Ma wzięcie w życiu politycznym zbliżone nieco do tego, które miał Andrzej Zamoyski na gruncie pracy obywatelskiej do 1861 r., dopóki nie dotknął się bezpośrednio polityki. Przypomina zupełnie Gustawa Potworowskiego, przewódcę w W. Ks. Poznańskim. Jest siłą, przynoszącą zaszczyt krajowi, który ją uznał i ocenił, jest jednym z tych, którzy przeważnie zapewnili stanowisko *Kołu Polskiemu* w Wiedniu, tem samem Galicyi w monarchii a zdobyli dla niej swobody i zarządzenia narodowe.

Tuż obok niego postawię Apolinarego Jaworskiego, posła złoczowskiego do Sejmu i do Rady państwa. Za pierwszym ani drugim razem nie zwróci się uwagi na człowieka, który mówi mało a najmniej myśli o wrażeniu, jakie na widzu zrobić może: trzeba mu się dobrze przypatrzeć, żeby zobaczyć wszystko co w nim jest, po długiej nawet znajomości robi się jeszcze nowe odkrycia. Dlatego też i w Sejmie pomалу dochodził do stanowiska,

jakie w nim zajmuje: o charakterze wiedział Sejm z góry, o zdolnościach coraz więcej się przekonywał. Rzadki, między nami przynajmniej, rodzaj człowieka i postać, jeden z najpożyteczniejszych, i może dlatego, że tak rzadki, przywiązujący do siebie. Ma nad ogromną wielkością Polaków tę wyższość, że jest wolny od miłości własnej, przynajmniej od jej najzwyczajszego objawu próżności. To daje mu w zdaniu i postępowaniu swobodę, pewność i równowagę niezbyt u nas, częstą: to sprawia, że zawsze jest gotów i zdolny w swoim zakresie działać, choć zakres mały i skutek nie bije w oczy: to sprawia, że rozprawiając, nie zagłuszy się i nie roznamiętni swoim własnym zdaniem, że w obrocie danym sprawie u niego niema zamiaru osobistego lub stronniczego zwycięstwa, postawienia na swoim. Rozumiejący wszystkie sprawy, nie lubi o wszystkich mówić, zachowuje się na te, które doskonale umie, a z tego wynika, że i doskonale mówi. Chociaż powiedzieć trzeba, że znajomość rzeczy sama, nawet najgruntowniejsza, nie wystarcza jeszcze na to, żeby mówić tak jak Jaworski. Nieraz zdarza się, że mowca i rozumny i w przedmiocie biegły będzie suchym i męczącym, Jaworski ma dar, i jakaś sucha rzecz, przez niego wprowadzona i broniona, staje się zajmującą dla wszystkich, nawet dla arbitrów. Jako sprawozdawca zwłaszcza, jest świetny: niezmiernie jasny w przedstawieniu przedmiotu, tak, że ktoby nie chciał nawet, zrozumiećby musiał, jest przytem żywy w słowie i sposobie, a w obronie swojej sprawy, bystry, przytomny i silny. Rzadko wychodzi się z posiedzenia Sejmu pod tak zdrowem i milem wrażeniem, z takim przekonaniem, że kraj ma ludzi zdolnych nie tylko dobrze mówić, ale dobrze wiedzieć i robić, jak kiedy w jakiej sprawie drogowej lub innej zabiera głos hr. Władysław Badeni, Męciński lub Jaworski. Jakżeby był sobie sam nałożył prawo, którego nie przekracza, odzywa się prawie zawsze tylko w takich szczegółowych

i zawodowych przedmiotach. W Sejmie najświetniejsze jego przemówienia były o drogach, w Radzie państwa, w sprawach kolejowych, gospodarczych i podczas choroby Kornela Krzczunowicza podatkowych. Najczęściej też wybierał się dając do komisji zajmujących się gospodarzami rzeczami. Nie ścieśnia to jednak bynajmniej ogólnych jego poglądów i nie zamyka go w jednym obrębie, a jeżeli nie rad o wielkiej polityce mówić, to z pewnością należy do tych, co o niej myślą najrozumniej i ma pewny trafny zmysł polityczny, który mu zawsze wskaże, gdzie jest istotna korzyść polska i jak jej w danej chwili skutecznie bronić można.

Te przymioty tłumacza dostatecznie stanowią, jakie zajmuje w Sejmie i w Kole Polskiem. Do uznania zaś i poważania przyłącza się ocena męskiej, śmiałej i prawej działalności człowieka, który nie zawsze i nie każdemu powie wszystko co myśli, ale nigdy nikomu nie powie co innego jak myśli, który czy powie tak, czy nie, to zawsze szczerze, bez ogródek, z głębi przekonania i stanowczo. W mowie i postępowaniu spokojny i cichy, usposobieniem i uczuciem jest żywy, i kiedy zobaczy co krzywego lub nieczystego miewa oburzenia, które ludzi uczciwych tembardziej dla niego ujmują. Żywłość ta wszakże podczas rozpraw nigdy nie przechodzi w namiętność; drażniącym i wyzywającym nie był nigdy, przeciwnie, posiada w wysokim stopniu dar fortelu, w postępowaniu z rodakami, których zna na wylot.

Oprócz tego jest to umysł ozdobny ogólnem wykształceniem, obszernem, ciągłym czytaniem, przystępny wrażeniom, lgnący z upodobaniem do wielu rzeczy, które z gospodarstwem i zarządkiem nie mają nic wspólnego. Jaworski wychodząc z posiedzenia komisji na którym radził o drogach, zatrzyma się przed pięknym kwiatem i będzie umięjętnie tłumaczył, jak go trzeba chodować: wróciwszy do siebie otworzy Horacego i na odpoczynek przeczyta satyrę. Jednego razu w Sejmie słuchał uwa-

źnie mowy, której okres kończył się łacińskiem przytoczeniem, jak rzekł mowca Wirgiliusza. Wtem Jaworski skończył, jak żeby go coś podrzuciło na ławce, sąsiedzi nie wiedzieli, co go gniewa. — „Przecież to Owidiusz!“ zawołał!

Jest on wcieleniem skutecznej, owocodajnej pracy, zatem człowiekiem rzadkim u nas, wszędzie najpotrzebniejszym. Im więcej takich, tem więcej zdrowia, tem większa siła, tem pewniejsza i piękniejsza przyszłość narodu.

Jest on i czemś jeszcze, bo rękojmnią ciągłości pięknej przeszłości i terażniejszości *Koła Polskiego* w Wiedniu i prawdopodobnie przywódcą w przyszłości. — Tej wartości ludzie co Grocholski i Jaworski, tłumaczą dlaczego, pomimo niedostatków w społeczeństwie, oni i im podobni a tu wymienić jeszcze winienem uczonego i statystę, znakomitego lekarza i byłego burmistrza krakowskiego, Dietla, dokonali trudnego dzieła politycznego, zdobycia i utrwalenia stanowiska przeważnego i szaczonego tego kraju w monarchii austriacko-węgierskiej oraz zapewnienia Galicyi szerokich warunków życia narodowego.

Działanie ich było skutecznem i owocodajnem, bo ożywionem wyższą myślą, głębokim patryotyzmem z początku, nawet daleko sięgającą nadzieją. — Miłość narodu i sprawy, na obcym gruncie, dodała mocy i cnoty; znikły wady i małości; zapanowały zalety. — Ale w tem głównie współdziałała ustawa przyjęta przez *Koło Polskie*, jego wzorowy, znakomity statut. On jest pierwiastkiem, żywiołem, przyczyną, dzielności, powodzeń, znaczenia *Koła*. Pozostanie ono potęgą narodową i polityczną, dopóki zachowa go nie zmienionym. Zyblikiewicz, który wybornie zna swój naród, miał szczęśliwą myśl, pomimo odmiennych stosunków, nadać *Kołu Polskiemu* w Wiedniu, statut *Koła Polskiego* w Berlinie. — Wiedział, że tylko karnością i solidarnością zapewni jego byt i stanowisko, że aby ich panowanie między rodakami zabezpieczyć, potrzeba stanowczej, ostrej, nieubłaganej ustawy.

Zasługą *Koła Polskiego* w Wiedniu, że to zrozumiało i statut swój oparło na głównych zarządzeniach obowiązujących *Koło Polskie* berlińskie.

Dość, że stwierdzić należy, iż Galicya nierównie lepiej wyzyskała sprzyjające okoliczności i korzystne warunki na zewnątrz niż wewnątrz.

Tem kończę a gdy kończę wchodzi do mnie ktoś, obdarzony sądem spokojnym, bezstronnym, i tym sprytem spostrzegawczym, na którym tu wielce zbywa, który wśród zajęć i sporów tutejszych, nieraz opuszcza i tych, którzy nim od przyrody uposażeni zostali. Przeczytałem mu to, co powyżej o Krakowie i naszych wewnętrznych stosunkach napisałem, pytając o zdanie; przyznał mi słusność, lecz dodał z wrodzonym mu dowcipem: „za żywo nieco bierzesz to wszystko do serca, i dziwię się, że się dziwisz; odczytaj *La vie de Province* Balzaca, zrozumiesz łatwiej, szczególnie co się tyczy Krakowa, wiele rzeczy; zrozumiesz lepiej siebie samego, i okażesz się wtedy wytrawniejszym wyznawcą owej spokojnej filozofii, do której tak pięknie odwołałeś się na początku“.

Trafność tych słów uderzyła mnie i postanowiłem dodać je jako dopisek. Prowincya zmuszona być krajem, oto wytłomaczenie zagadki.

To też nie sądzmy jej zbyt surowo, a ja sam pod tym względem nie wolny jestem od wyrzutów sumienia! Wystrzegajmy się przesady! Przesadą zaś byłoby twierdzić, że pomimo wielu ujemnych stron, wielu wad, szczególnie śmieszności, niema tu wewnątrz nic ani dobrego, ani zacnego, ani uczciwego, ani nawet rozumnego; przesadą szczególnie, w którą wszyscy, mówiący o tym kraju, zwykle popadają, byłoby twierdzić, że niema polepszenia w żadnym kierunku, że nie było odrodzenia. Prawdą zaś jest, że weszło w zwyczaj narzekać na Galicyę i potępiać ją, tymczasem, jeżeli popełniono tu tysiące drobnych niedorzeczności, to przyznać należy, że dotąd Galicya ma tę niemałą zasługę, iż, pomimo

niejednej sposobności, nie popełniła żadnego wielkiego głupstwa, ani żadnego zabójczego szaleństwa, ani zgubnego błędu politycznego. Szkoda tylko, że jak ktoś powiedział: „Rozum chodzi tu pojedynczo niedorzeczność gromadnie“. Jest jeszcze wiele złego, wiele niedostatków ale już jest pod wielu względami lepiej jak było; a tu znowu powołam się na mowę rektora uniwersytetu Jagiellońskiego:

„Moi panowie, ktokolwiek spoglądnie na nasz kraj i wszystkie w nim się znajdujące instytucye, ktokolwiek porówna stan jego dzisiejszy ze stanem, w jakim był przed niedawnemi laty, ten musi przyznać, powolny wprawdzie, ale tem pewniejszy rozwój jego w każdym niemal kierunku“.

Przytoczeniem tych słów, wyrażam skruczę za zbyt czasem może surowy sąd, mniej on jednak szkodliwy niż pochlebstwo i wzajemne uwielbienie.



S P I S.



Rok 1875.

I.

Strona

Do redakcyi. — Kraków i Lwów. — Schodząca z porządku dziennego sprawa rozprawy hr. Tarnowskiego o *Porciach*. — Proces Offenheima. — Wmieszani w niego ludzie. — Zagorzałe ocknienie się sumienia publicznego. — „Zawieszenie dzwonu Zygmuntońskiego“ Matejki. — Zakupno innego obrazu Matejki. — Teatr. — Komisya konkursowa. — Bartelsa nowa komedya. — Bale. — Prezydent Zyplikiewicz lwem salonów. — Wieczory poniedziałkowe. — Kulig. — Żałoby. — Śmierć pani Kisieff. — Leon Skorupka.

7

II.

Arcyksiążę Jan Salwator. — Jego rozprawa i jej następstwa. — Arcyksiążę i hr. Neuperg. — Ks. Windischgrätz. — Bal u ministra Ziemiałkowskiego. — Mazur. — Dowcip Lassera. — Florian Ziemiałkowski. — Bal na korzyść budowy szpitala dla dzieci. — Kulig na Szlaku. — Benefis Hoffmann. — „Begum Somru“ Halma. — Nowe portrety Andrzeja Grabowskiego. — Zarys odnowienia Sukiennic. — Prezydent i zakłady

31

III.

Strona

Dłuższe milczenie. — Zebranie Towarzystwa Kredytowego. — Zjazd marszałków w sprawie drogowej. — Posiedzenie Towarzystwa Rolniczego Galicyjskiego. — Panowie Tchórznicki i Oktaw Pietruski. — Namiestnik hr. Gołuchowski i ks. Adam Sapieha. — Stańczyki. — Złożenie poselstwa przez hr. Stanisława Tarnowskiego. — Ks. Leon Sapieha i złożenie laski marszałkowskiej. — Hr. Alfred Potocki marszałkiem. — Jeszcze proces Offenheima. — Niesłuszność. — Względy i względziki osobiste. — Pan Giskra. — Przyszła sesya sejmowa. — Propinacya. — Obraz stosunków galicyjskich. — Pogłoski o przejeździe cesarza do najmniejszego kraju w monarchii. — Arcyksiążę Jan Salwator w Krakowie. — Komisya konkursowa. — Sprawozdanie pióra Estreichera. — Proces Kirchmajera. — Hr. Władysław Małachowski o Kirchmajerze. — Świącone pod Baranami

76

IV.

Kilka słów z powodu przerwy w listach. — Powołanie hr. Alfreda Potockiego na namiestnika. — Uczucia, które wzbudza. — Hr. Potocki do wszystkiego. — Słowa cesarza Franciszka Józefa z powodu zbyt hałaśliwego objawiania życzeń kraju w tej sprawie. — Hr. Potocki zdobył sobie ogólne uznanie jako marszałek. — Galicya krajem sprzeczości. — Kapitol i skała Tarpejska. — Hr. Potocki, jego usposobienie i stanowisko społeczne. — Bezstronność. — Karykatura *Szczutka*. — Potocki i Lasser. — Przypuszczenia. — Określenie nudów krakowskich przez dziecko. — Mówienie rzeczy nieprzyjemnych. — Zakochanie w sobie. — Ludzie za wielcy na Kraków. — Akademia. — Odczyty. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Medal wręczony Matejce i jego odpowiedź. — Opera lwowska w Krakowie. — Teatr krakowski. — Straty, które poniósł. — Nowy okres. — „Król Mieczysław II“, Bełcikowski. — B. Ładnowski występuje gościnnie

95

Rok 1876.

V.

Strona

Po powołaniu hr. Potockiego na namiestnika. — Życie towarzyskie we Lwowie. — Znaczenie namiestnikostwa hr. Potockiego. — Znaczenie polityczne i społeczne. — Wpływ pożądaný na życie umysłowe. — *Gazeta Lwowska* i Władysław Łoziński. — *Przewodnik*. — Zapowiedź przyjazdu namiestnika do Krakowa. — Hr. Potocki stworzony na złagodzenie przeciwieństw. — Święta. — Mowy Rydzowskiego i Dunajewskiego o lichwie i o budżecie. — Zaznajomienie się z ludźmi Galicyi. — Julian Dunajewski. — Przemówienie w sprawie Rady Szkolnej Euzebiusza Czerkawskiego. — Odnowienie Sukiennic staje się rzeczywistością. — Ślub i wspomnienie ślubu. — Dawna Resursa Krakowska. — Hr. Kazimierz Starzeński. — Tłomacz *Odyssey* i częstochowskie wiersze. — *Dwie Sirotki*. — *Krytycy* Chęcińskiego. *Śmierć Władysława IV*, Szujskiego 104

VI.

Rozmowa z cudzoziemcem o Krakowie. — Brak życzliwości i uprzejmości. — Plotka krakowska. — Jej znamie. — Oszustka i trucicielka a grypa. — Próżniacy. — Cudze sprawy. — Czem się Kraków zajmował przez rok? — Nie lekka, ale tłusta rozmowa. — Dowcip ulatuje. — Obluda. — Pobłażanie dla siebie, surowość dla innych. — Warszawa a Kraków. — Nie można być przez dobę wesołym w Krakowie. — Towarzystwo Strzeleckie. — Świat mieszczański. — Zieleniewski i Alfred Szczepański. — Ponedziałkowe wieczory wznowione. — Dawny pałac starościny Wolbromskiej przeistoczony przez ks. Marcelinę Czartoryską. — Biesiady muzykalne. — Tańczące soboty pod Baranami. — Hr. Arturowa Potocka. — Bal państwa Żurowskich. — Bal na zakupno obrazu Matejki. — Bal dziadowski. — Publiczne bale krakowskie. — Bale akademickie i ich niedogodności. — Rektor Zoll. — Przyszły marszałek sejmowy. — Hr. Ludwik Wodzicki. —

Hr. Włodzimierz Dzieduszycki będzie marszałkiem. —
 Obraz Brandta: „Zaloty“. — Konkurs dramatyczny. —
 Komedya nadesłana z Ameryki. — Firma. — Lucyan
 Siemieński przetłomaczył „Córke Rolanda“ 118

VII.

Wyjątkowe ożywienie Krakowa. — Położenie przeisto-
 czone. — Siła przyciągająca posagów. — Wpływ posa-
 gów na rozwój mniejszych miast. — Hr. Edward Raczyn-
 ski. — Uroczystości z powodu bytności kardynała Ledó-
 chowskiego. — Bale. — Kwiaty przemieniające się
 w jarzynę. — Pseudo-wylew Wisły. — Jedyna ofiara po-
 wodzi. — Wyjazd namiestnikostwa ze Lwowa. — „Córka
 Rolanda“ w tłumaczeniu Lucyana Siemieńskiego. — Post
 w Krakowie. — Bank Galicyjski dla Handlu i Przemys-
 łu. — Środy. — Kurtz. — Pogrzeb Seweryna Goszczyń-
 skiego. — Amerykanin i Galicyjanin. — „Ojciec Makary“. 127

VIII.

Kraków Zyblikiewicza. — Prezydent Zyblikiewicz
 i jego działalność. — Brudy i plotki. — Plantacye. —
 Asfalt. — Niebezpieczny przesmyk. — Odbudowanie Su-
 kiennic przestało być pięknym snem. — Wodociągi. —
 Muzeum ks. Czartoryskiego. — Dalsze pomysły. — Bło-
 nia. — Letni Teatr. — Światowe miasto. — Liczne prze-
 szkody i ich znamiona. — Trudności wpływające z po-
 chodzenia. — Mac-Mahon i Zyblikiewicz. — Mniejszość,
 większość i współzawodnicy. — Szczęśliwe dotąd żeglo-
 wanie wśród skopułów. — Bystrość, parlamentarna wprawa
 i samowładztwo. — Ludzie obdarzeni wyjątkowo i sej-
 mikowanie. — Mikołaj Zyblikiewicz. — Jedyńy w swoim
 rodzaju utwór. — „Emigracya chłopska“ Anczyca. —
 Jedyńy pisarz ludowy dramatyczny. — Sprawy spółe-
 czne. — „Emigracya Chłopska“ i wniosek Dunajewskiego. —
 „Merima“ czyli Powstanie w Bośni, tłumaczenie Zmor-
 skiego. — Niedołęstwo słowiańskie w dramatyzowaniu. —
 Zapowiedziany zgon *Przeglądu Polskiego*. — „Po dzie-
 sięciu latach“ przez hr. Stanisława Tarnowskiego. — Zie-

lona literatura. — *Szkice społeczne i literackie*. — Dowcipkujące pisemka krakowskie. — Cesarz na radzie ministrów a pan Maresch. — Bytność hr. Coloredo Mansfeld. — Sprawozdanie. — Zgon Fredry. — Hołd oddany jego pamięci. — Pogrzeb. — Konkurs dramatyczny imienia Fredry. — Pośmiertny wiersz Fredry: „Stary śpiewak“. — Dwa wesela w Krzeszowicach i Krasiczynie. 135

IX.

Wybory do Sejmu. — Brak stronniectw i przewodzców. — Piękne słowa. — Kierunek przeważnej części publicystyki galicyjskiej. — Przyczyny ubezwładnienia Galicyi. — Paszkwil i humorystyka. — Jan Lam — Kroniki w *Dzienniku Polskim*. — „Panna Emilia“. — *Szczutek*. — Liberat Zajączkowski. — *Kronika Codzienna*. — Humorystyka plaga. — Jej powinowactwo z biurokracyą. — Żart. — Szkodliwy tutaj jego wpływ. — Dlaczego? — Społeczeństwo nie umie strawić żartu. — Istota i pochodzenie humorystyki galicyjskiej. — Biurokracya i humorystyka zjałowiły Galicyę. — Wpływ tego zjałowienia na wybory. — Potrzeba zapełnienia próżni. — Montaigne o duszy. — Naprawa stosunków wewnętrznych. — Gmina wspólna i wniosek Dunajewskiego. — List Pawła Popiela do wyborców. — Paweł Popiel. — Powołanie na stanowisko marszałka sejmowego. — Hr. Ludwik Wodzicki. — Przyszła sesya sejmowa i naprawa stosunków wiejskich 148

X.

Przygotowania do wyborów. — Choroba namiestnika. — Zarzuty. — Słowna i drukowana humorystyka. — Zwrot. — Objawy współczucia. — Opowiadanie. — Ruch wyborczy. — Program powszechnie popierany. — Program Samborski. — Co się pod nim ukrywa. — Dwa prądy przeciwne naprawie stosunków wiejskich. — Dziennikarstwo galicyjskie. — Dziennikarstwo ujemne. — *Gazeta Narodowa*. — Jan Dobrzański. — Co Galicya zawdzięcza Dobrzańskiemu. — Główne znamiona *Gazety*

Narodowej. — Samokupstwo. — *Dziennik Polski* — ulany na podobieństwo *Gazety Narodowej*. — *Dziennik Polski* i Ziemiałkowski. — *Dziennik Polski*, Lam i Dobrzański. — Romanowicz. — Wolnomysłność wiedeńska i bezwyznanowość. — Obczyzna. — Sprawy osobiste. — Lam stanowi jedyną siłę *Dziennika*. — „Królowa Opinia“. — Wpływ na ducha publicznego. — Zapowiedź rozbioru dodatniego dziennikarstwa 158

XI.

„Pojedynek Szlachetnych“, komedia w czterech aktach prozą, Maciejowskiego-Sewera, uwieńczona drugą nagrodą na konkursie dramatycznym warszawskim r. 1871, odegrana w teatrze krakowskim. 173

XII.

Oddziaływanie wschodnich wypadków politycznych na umysł. — Neutralność. — Milczenie posłów galicyjskich. — Wybory do Sejmu. — Ich wyjątkowe znamię. — Obowiązki stąd wypływające. — Wybory z większej własności. — Dwie ważne ustawy. — Przyszły marszałek sejmowy. — Hasło wyborów. — Reforma stosunków wiejskich. — Krakowscy konserwatyści. — Rozprawa Koźmiana „Nasze stosunki“. — List Szujskiego do Pawła Popiela. — Dodatnie dziennikarstwo galicyjskie. — *Gazeta Lwowska*. — Władysław Łoziński. — *Czas*. — Pierwotni jego założyciele. — Jego pochodzenie. — Po upadłości Kirchmayera. — Dziennik ten nie jest założony dla zysku. — Dziennik stronnictwa. — Dzisiejsi właściciele. — Zakupno drukarni. — Redakcja. — Niezależność. — Maurycy Mann. — Aleksander Szukiewicz. — Antoni Kłobukowski. — Lucyan Siemieński. — Współpracownicy. — Szkoła. — Zamknięcie w sobie. — Co kraj zawdzięcza temu dziennikowi? — Jego znamię. — Jego stanowisko. — Co mu zarzucają nawet jego zwolennicy? — Strzeżenie godności pióra. — Zasługi. — Dola redaktorów. — Społeczeństwo wobec tego dziennika. — Nieudane w Krakowie próby dzienników w ro-

dzaju lwowskich. — Sposób używania przywileju. — Walka na pióra ze Lwowem. — *Kurier Krakowski* 194

XIII.

Zastój po wyborach. — Zachcianki chorobliwej ruchliwości. — Zamiar powołania posłów do wytlómaczenia się. — Kraj pragnie zachować neutralność. — Śmierć Maurycego Manna. — Losy dziennika, którym kierował. — Śmierć profesora Skobla. — Pierwowzory. — Pośmiertne dzieła sceniczne Fredry. — Rada. — Pisma miesięczne. — *Przegląd Lwowski*. — Ks. Edward Podolski. — Ludwik Veulott i sztuczny veulotyzm. — Moderantyzm. — Tromtadracja zachowawczości. — *Przegląd Polski*. — Kierujące słowo Floryana Ziemiałkowskiego. — Kierownicy: Hr. Ludwik Wodzicki. Hr. Stanisław Tarnowski. — Stanisław Koźmian. — Józef Szujski. — Ujemne strony *Przeglądu*. — Profesor Zataj. — Wpływ *Przeglądu Polskiego* na wyobrażenia i umysły. — Jego stanowisko wobec publiczności. — Teką Stańczyka. — Stronnictwo Stańczyków. — Braki i niedostatki. — Zajęcie wyczekującego stanowiska. — Choroba wyłączności. — Chęć pierwotna zachowania miary. Słowo ministra Ziemiałkowskiego. Przesada. — Wydawnictwa zawodowe. — *Przewodnik rolniczo-ekonomiczny* i Alfred Szczepański. — *Przegląd krytyczny*. — Pisma ludowe, Anczyc i ks. Stojałowski. — Zakończenie o dziennikarstwie. — Wspomnienie z obiadu dla Libelta . . . 216

XIV.

Powołanie i zadanie Galicyi w skutku współczesnych wypadków. — Odrodzenie w Galicyi, nie Galicyi. — Ludzie galicyjscy umieją nierównie lepiej mówić, jak działać. — Szlachta galicyjska. — Trzy stopnie upadku rządzącej kasty. — Szlachta galicyjska w niewoli demagogów. — Widma niebezpieczne są dla tych tylko, którzy się ich boją. — Jedyne prawdziwie ważna sprawa wiejska i chłopska. — Przekład *Oddyssei* Lucyana Siemieńskiego 237

XV.

strona

Uwagi o życiu społecznym i towarzyskiem. — Dwa główne ogniska życia. — Kraków. — Określenie Krakowa przez Leona Kaplińskiego. — *Matecznik*. — Fantastyczny wiek. — Powietrze *matecznika*. — Pary zwierząt głównych i patryarchalnych. — Krótkowidzenie i zasklepienie się. — Spóźniona moralność kosztem innych. — Ładna kobieta w Krakowie. — Wyjątkowa niemoralność. — Zgorszenie w głębi *matecznika*. — Seraficzne kłamstwo. — Miłosierdzie w Krakowie — Jego znamiona. — Wyjątki. — Dwie miary. — Sprzeczności. — Oszczerstwo i plotka. — Niedawne towarzystwo krakowskie. — Starzejąca się kobieta. — Lucyan Siemieński o gospodyni domu. — Ostatnia matrona. — Salony. — Popis moralności. — Obluda. — Potwarz. — Nieomylność i nietykalność. — Zastęp pracowników i odrodzenie. — Przyszłość. — *Enfants terribles*. — Ograniczony wpływ. — Lwów. — Dwa ogniska. — Śmieszne przeciwieństwo. — Wyświecenie położenia. — Za jaskrawe farby. — Wytłómaczenie. — Kraj i jego znamiona. — Szczupłe działanie w zakresie działania. — Mowa rektora Zolla. — Zdobycie dla Galicyi stanowiska w monarchii oraz korzyści narodowych i gospodarczych. — Dzieło zastępy znakomitych ludzi. — *Koło Polskie* w Wiedniu i jego zasługi. — Kazimierz Grocholski prezes *Koła Polskiego*. — Apolinary Jaworski. — Siła *Koła* następstwem ożywczej myśli oraz wzorowego statutu. — Pochodzenie tego statutu. — Uwaga bezstronnego czytelnika. — *La vie de province* i spokojna filozofia. — Rozwiązanie zagadki. — Zbyt surowe sądy. — Zwyczaj potępienia Galicyi. — Co zrobiła a czego nie zrobiła. — Zasługa. — Lepiej jak było. — Jeszcze słowa rektora Zolla. — Skrucha piszącego

257



28578/

2